

Stevens Amanda

Miłosne intrygi

W poszukiwaniu prawdy

Kim naprawdę jest Erin, obecnie ciesząca się zasłużonym uznaniem pani antropolog, a zarazem biegła sądowa? Czy można jej zaufać i powierzyć tajemnice ważnego śledztwa? Czyje szczątki znaleziono w lesie, kto i w jakim celu próbował je wykraść? Nick, policjant z Chicago, będzie musiał odpowiedzieć na o wiele więcej intrygujących pytań. Czy jednak potrafi zrezygnować w imię sprawiedliwości z prywatnej zemsty?

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Doktor Erin Casey pochyliła się nad stołem. Nie zidentyfikowane ludzkie szczątki powoli zaczynały wyjawiać swą tajemnicę.

Niewielka, lekka czaszka sugerowała, że najpewniej chodziło o kobietę, a przypuszczenie to potwierdziła szerokość miednicy.

Ponadto mała ryna na kości łonowej była typową pozostałością po co najmniej dwóch porodach.

Tajemnicza kobieta była więc czyjaś matka.

Ile lat mają teraz jej dzieci? Czy wiedzą, co się z nią stało? Czy odczuwają jej brak? Czy czasem nawiedza je w snach?

Erin na chwilę przymknęła oczy. Minął rok, odkąd jej mama odeszła z tego świata, a ona jeszcze się z tym nie pogodziła.

Bywały momenty, gdy instynktownie chwytła za słuchawkę, chcąc porozmawiać z Madeline, i dopiero wybierając numer uświadamiała sobie, że po drugiej stronie odbierze obca osoba.

Madeline Casey była dla niej wszystkim: oddaną matką, najlepszą przyjaciółką, serdeczną powierniczką.

Miały tylko siebie. Erin była kilkumiesięcznym dzieckiem, gdy jej mama radykalnie zerwała z rodziną. Przez kilka lat tułały się z miasta do miasta, we dwie borykając się z losem. Choć jednak więzy łączące je z krewnymi zostały przecięte, przeszłość odcisnęła na ich życiu trwałe ślady. Erin dopiero niedawno zaczęła zdawać sobie z tego sprawę.

Być może dlatego przyjęła ofertę pracy w Hillsboro University, prywatnym college'u w Chicago. Tutaj się urodziła, w tym mieście dorastała jej mama. Jej rodzina nadal tu mieszkała, choć żaden z krewnych, gdyby spotkali się na ulicy, by jej nie rozpoznał. Nawet ojciec widział ją ostatni raz, gdy była niemowlęciem. Mama już dawno zmieniła ich imiona i nazwiska, nie tyle ze względów bezpieczeństwa, choć z pewnością to również brała pod uwagę, ile z potrzeby całkowitego odcięcia się od rodziny, która w jej ocenie była pohańbiona na wieczne czasy.

Gdy Erin była już na tyle dorosła, by samodzielnie przeanalizować całą sytuację, doszła do wniosku, że mama postąpiła słusznie. Nie odczuwała bólu ani frustracji, że los pozbawił ją ojca, i wcale nie dążyła do spotkania z nim ani z jego rodziną. Jej powrót do Chicago nie był spowodowany takimi właśnie podświadomymi pragnieniami.

Przyjechała tu wyłącznie z powodu mamy, wiedziała bowiem, że w tym mieście najmocniej odczuje jej obecność. Madeline tu się urodziła, wychowała i kształciła, a także zakochała się i wyszła za mąż. W Chicago przyszła na świat dwójka jej dzieci. I choć wyjechała na zawsze, pozostawiła tu jakąś część siebie. Coś, co pozwoli jej córce utożsamić się z tą przestrzenią, nadać jej głębszy sens.

Oczywiście niebagatelną rolę w podjęciu ostatecznej decyzji odegrał fakt, że laboratorium, w którym Erin miała pracować, było wspaniale wyposażone w najnowocześniejszy sprzęt. Forensic Anthropology and Human Identification Laboratory*, w skrócie FAHIL, powstało z inicjatywy anonimowego sponsora i skutecznie rywalizowało z ośrodkiem badawczym Uniwersytetu Stanowego w Tennessee, gdzie Erin obroniła doktorat z antropologii fizycznej.

Upalny, czasami wręcz niemożliwy do zniesienia klimat Knoxville również zrobił swoje i Erin ani przez moment nie żałowała podjętej decyzji, tym bardziej że przyjęto ją z otwartymi ramionami. Wprawdzie, jak to zwykle bywa, również i tu zdarzały się urazy i animozje, lecz nie miało to większego znaczenia. W ciągu dwóch miesięcy, jakie tu spędziła, nie zaznała najmniejszej przykrości, co więcej, czuła, że w nowym środowisku została od razu zaakceptowana. Nie sądziła, by zawdzięczała to jedynie cechom swojego charakteru, lecz przede wszystkim opinii doskonałego fachowca, na jaką przecież ciężko zapracowała sobie w Knoxville.

Niewątpliwie uczelnia sporo zyskała, angażując ją do pracy. Erin reprezentowała wąską specjalność, w całych Stanach było jedynie kilku biegłych sądowych w dziedzinie antropologii, dlatego też doktor Casey od razu została wciągnięta na listę konsultantów chicagowskiej policji i działających w tym regionie instytucji związanych z prawem. Ponadto Rada

**Forensic Anthropology and Human Identification
Laboratory - Sądowe Laboratorium Antropologii i
Identyfikacji (przyp. red.).**

Nadzorcza Hillsboro University bardzo liczyła, że udział w rozwikłaniu głośnej sprawy przysporzy uczelni kolejnych sponsorów.

Popatrzyła na leżący przed nią szkielet. Sprawa 00-03, trzecie zlecenie z policji. Nie zanosilo się na rewelację, chociaż w tych szczątkach było coś fascynującego.

Znaleziono je tydzień temu podczas burzenia starego domu w chińskiej dzielnicy. To, co udało się wykopać, zapakowano w czarną folię i zabrano do zakładu medycyny sądowej, lecz od momentu śmierci upłynęło zbyt wiele czasu, by na podstawie samego wyglądu można było zidentyfikować zwłoki. Wtedy zwrócono się po pomoc do Erin.

Pochyliła się. Powoli i starannie dokonała pomiarów części twarzowej, głośno wypowiadając nasuwające się uwagi, by włączona kamera zarejestrowała całość badania. Jej słowa zostaną później spisane i dołączone do oficjalnej ekspertyzy. Uważnie porównała proporcje kształtu czaszki i twarzy. Szeroka część twarzowa, kwadratowe kości policzkowe, mała, nisko osadzona kość nosowa, wszystko to sugerowało typ mongolski. Ponieważ szkielet znaleziono w chińskiej dzielnicy, najprawdopodobniej ta kobieta była Azjatka.

Żółta matka dwojga dzieci. To już była jakaś konkretna informacja.

Teraz należało określić przybliżony wiek zmarłej. Erin pochyliła się nad kością udową, dokładnie oglądając jej strukturę i... -

Doktor Casey?

Była tak pochłonięta pracą, że aż podskoczyła. Owszem, kości wiele jej mówią, ale nigdy na głos.

Odwróciła się w stronę drzwi. Na progu stała Gloria Maynard, sekretarka. Miała czujny, niespokojny wyraz twarzy. Nie lubiła schodzić do laboratorium. Mroził ją widok poukładanych na półkach czaszek i kości czekających na ekspertyzę. Cóż, wiele osób nerwowo reaguje na zetknięcie ze śmiercią, na szczęście nie dotyczyło to Erin. Człowiek zawsze pozostawał dla niej ludzką istotą, nawet gdy przetrwały po nim jedynie nagie kości. To przekonanie pozwalało jej zachować spokój.

Istotą ludzką był niewątpliwie również wysoki, przystojny mężczyzna, który pojawił się w drzwiach tuż za Glorią.

Erin zmarszczyła brwi. Nie lubiła, gdy obcy plątali się po jej królestwie, i to nie tylko ze względów bezpieczeństwa.

- O co chodzi? - zapytała.

Sekretarka zerknęła za siebie. Widać było, że laboratorium budzi w niej lęk, jednak oczy dziewczyny błyszczały z podniecenia.

- Masz gościa. To detektyw - powiedziała z przejęciem. -

Mówiłam, żeby poczekał w gabinecie, ale uparł się, że tu zejdzie. Powiedział, że ma bardzo pilną sprawę...

Stojący w przedpokoju mężczyzna wyraźnie się niecierpliwił.

Odepchnął zagradzającą mu drogę Glorię i wszedł do środka. Ten obcesowy sposób bycia nie przypadł Erin do gustu, jednak musiała przyznać, że przybyły, przynajmniej jeśli chodzi o układ kostny, jest bez zarzutu. Szerokie ramiona, wąska talia, szczupłe biodra, zarejestrowała automatycznie. Przesunęła wzrok na jego twarz. Wysokie kości policzkowe, wyrazista linia brwi, przenikliwe niebieskie oczy,

kontrastujące ze smagłą cerą. Musiał być już po trzydziestce, Erin sądziła, że jest od niej starszy o jakieś dwa, może trzy lata.

Przybysz z trudem się hamował, z natury musiał być bardzo niecierpliwy. Sportowa marynarka, ciemne spodnie, krawat w paski. Detektyw szybkim, uważnym spojrzeniem omiół laboratorium. Bez mrugnięcia okiem popatrzył na wyszczerzone zęby czaszek poukładanych na półkach.

Chyba zadowolony z tego, co ujrzał, przeniósł wzrok na Erin. Poczwała się nieswojo. Nie z powodu tego mężczyzny, choć oczywiście z miejsca dostrzegła, że jest atrakcyjny. Miała dziwne przeczucie, że jego przybycie zakłóci spokojne życie, jakie dotychczas wiodła.

- Więc to pani jest specjalistką od kości - odezwał się. Głos miał głęboki, a jego ton wskazywał, że detektyw przywykł do wydawania poleceń.

Zjeżyła się wewnątrz.

- Nie - sprostowała chłodno. - Dziękuję za komplement, lecz pomylił mnie pan z innym antropologiem, wybitnym specjalistą w swej dziedzinie.

- No cóż... - odparł bez cienia zmieszania, mierząc ją badawczym spojrzeniem. - Chyba się jednak nie mylę, że mam przyjemność z doktor Erin Casey?

- Owszem. - Podniosła na czoło robocze okulary, ściągnęła jednorazowe rękawiczki i wrzuciła je do kosza. Podeszła bliżej. - A pan jest...? - zawiesiła głos.

- Detektyw Gallagher - dziwnie wysokim tonem wtrąciła nieproszona Gloria, jakby nagle ją oświeciło. Z napięciem wpatrywała się w mężczyznę, wręcz nie mogła oderwać od niego oczu. - Jest z chicagowskiej policji.

Detektyw spojrział na nią z lekkim rozbawieniem.

- Dziękuję, już dalej sam sobie poradzę.

Gloria spiekła raka, a Erin aż zamurowało. Pewna siebie kokietka rzadko dawała się komuś zapędzić w kozi róg, a ten detektyw z miejsca ją usadził. Widać było, że dziewczyna walczy ze sobą. Chciałaby jak najszybciej się stąd wynieść, zarazem jednak wprost wychodziła ze skóry, by zdobyć telefon tego przystojniaka.

- Czym mogę panu służyć? - zapytała Erin. Detektyw podszedł kilka kroków.

- Czy moglibyśmy porozmawiać na osobności? Rumieniec Glorii jeszcze się pogłębił.

- Gdybyś mnie potrzebowała, będę u siebie - wymamrotała, obróciła się na pięcie i wyszła, delikatnie zamykając za sobą drzwi.

Erin była pewna, że Gloria nie przywykła do takiego traktowania, zwłaszcza ze strony mężczyzn. Błyszczące czarne włosy, króciutkie spódniczki i obcisłe sweterki czyniły z niej kusicielskiego wampa, przyciągającego gorące spojrzenia męskiej części pracowników wydziału i studentów. Za to detektyw Gallagher zdawał się w ogóle nie zauważać jej zniknięcia. Tym razem Erin popatrzyła na niego przychylniej.

- Teraz jesteśmy sami - zauważyła i zarumieniła się nieznacznie, bo to stwierdzenie, oczywiście wbrew jej woli, zabrzmiało nieco dwuznacznie. Nasunęła okulary na oczy i podeszła do stołu. - Nie będzie panu przeszkadzać, jeśli podczas rozmowy będę jednocześnie pracować?

- Jeżeli to pani nie zdekoncentruje, nie ma sprawy. - Stał po drugiej stronie stołu na wprost Erin.

Wyjęła z pudełka parę rękawiczek i podała mu je.

- To na wypadek, gdyby coś pana zainteresowało. Mężczyzna przyjął je z ociąganiem. Niejeden raz zachodziła w głowę, jak to się dzieje, że ludzie, którzy na co dzień stykają się ze zbrodnią, w obliczu ludzkich szczątków często czują się nieswojo lub wręcz zielenieją z wrażenia. Ten facet trzymał się wprawdzie całkiem nieźle, zachowywał jednak wyraźną rezerwę.

A przecież nagie kości, spoczywające na roboczym stole, nie powinny przerażać, bowiem tylko one mogą dać odpowiedź na pytanie, kim była ta kobieta i co spowodowało jej śmierć.

- Wie pani, kim ona jest?

Erin popatrzyła na detektywa ze zdziwieniem.

- Skąd pan wie, że to kobieta? Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Już trochę pracuję w policji i czegoś tam się nauczyłem. Więc kim ona jest i co się z nią stało? - rzucił niby od niechcienia, lecz w jego tonie wyczuła skryte wyzwanie.

- Jeszcze nie skończyłam oględzin - odparła z lekką irytacją.

- Och, niech pani da spokój. - Przytrzymał jej spojrzenie. - Dużo o pani słyszałem. Zgodnie z tym, co twierdzi doktor Wyman, jest pani rewelacyjna.

Z doktorem Lawrence'em Wymanem zetknęła się kilka lat temu na konferencji w Nowym Jorku. Z miejsca się polubili i szybko zostali dobrymi znajomymi. Od tamtej pory stałe kontaktowali się przez e-mail. Wyman był wniebowzięty, gdy dowiedział się o jej przeprowadzce do Chicago.

- To on pana do mnie skierował? - zapytała.

- Jak już powiedziałem, gorąco mi panią polecił.

Spochmurniała, nie bardzo wiedząc, jak zrozumieć te słowa.

- Co to za sprawa, którą miałabym konsultować? Mężczyzna pokazał palcem na rozłożony szkielet.

- Mogłaby mi pani powiedzieć coś o tej osobie? Chce mnie sprawdzić, pomyślała. Przekonać się, czy rzeczywiście coś potrafię. Mogłaby odmówić, bo w końcu nie musi niczego udowadniać, lecz nie zrobiła tego. Spokojnym, zrównoważonym tonem zaczęła wypowiadać wnioski, do jakich doszła po obejrzeniu szczątek.

- Co najmniej dwa razy rodziła. Rasa mongolska, prawdopodobnie Azjatka. Wzrost około stu pięćdziesięciu centymetrów. Waga pięćdziesiąt-pięćdziesiąt dwa kilogramy... - urwała, uważnie oglądając piszczel i drobne ślady w miejscu, gdzie kiedyś były przyczepione mięśnie.

- Coś jeszcze? - nie dawał za wygraną.

- Była bardzo wysportowana. Sądzę, że mogła wyczynowo biegać. - Uśmiechnęła się lekko. - I, oczywiście, została zamordowana.

Doktor Casey okazała się zupełnie inną osobą, niż się spodziewał. Z roztargnieniem omiótł wzrokiem wiszące w gabinecie dyplomy i certyfikaty potwierdzające jej kwalifikacje. Ciągle jeszcze nie mógł się otrząsnąć.

Przede wszystkim był pewien, że jest dużo starsza. Doktor Wyman, człowiek po sześćdziesiątce, mówił o niej z uznaniem i szacunkiem należnym komuś co najmniej równemu mu wiekiem, a ona nie wygląda nawet na trzydzieści lat. Dodatkowo odmładzało ją

również to, że była szczupła. Pewnie często biorą ją za studentkę. Choć z drugiej strony jej skupienie i koncentracja na pracy dobitnie świadczą o profesjonalizmie. Jest rzeczywiście świetna w swej dziedzinie, co do tego nie było wątpliwości.

Nie dość, że kategorycznie stwierdziła morderstwo, to jeszcze potrafi określić sportowe zainteresowania ofiary. Szczegół, który w wypadku śledztwa może odegrać kluczową rolę i doprowadzić do mordercy.

Właśnie ktoś obdarzony taką intuicją i wiedzą jest mu pilnie potrzebny. Ktoś, kto potrafi rozstrzygnąć, czy znalezione wczoraj szczątki to również ofiara morderstwa. I zdoła je zidentyfikować. Lecz jeśli okaże się, że to...

Odepchnął od siebie te myśli. Nie pora teraz na nie. Wszystko po kolei. Najpierw ekshumacja, potem trzeba dostarczyć szczątki do laboratorium. Dopiero gdy doktor Casey wyda ostateczną opinię, przyjdzie czas na niego.

Na samą myśl o przypuszczalnym rozwoju wydarzeń, krew się w nim burzyła. Zacisnął zęby. Nie wolno pozwolić, by gniew wziął górę. Za dużo ma do stracenia. Istnieje szansa, że morderca ujdzie sprawiedliwości, lecz wczorajsze odkrycie może to odmienić.

Daniel O'Roarke, skazany osiem lat temu na karę śmierci za zamordowanie ślicznej dziewczyny, dzięki staraniom adwokatów może wyjść na wolność. Jeśli jednak okaże się, że ma na sumieniu jeszcze jedną zbrodnię, a odnalezione po ośmiu latach zwłoki to również jego ofiara, wtedy nie ma dla niego ratunku. Nieodwołalnie trafi do celi śmierci, tym razem za zamordowanie policjanta.

Skrzypnęły drzwi gabinetu i Nick prawie podsko-

czył. Krucho z nim, nerwy ma napięte do ostateczności, ale nic dziwnego, bo jeszcze żadna sprawa, z jaką miał do czynienia, nie była dla niego tak ważna. Żadna też nie dotyczyła go tak bezpośrednio, nie wspominając już o ewentualnym zagrożeniu, w razie gdyby jakakolwiek informacja przedostała się do mediów. W tym przypadku zachowanie tajemnicy było zadaniem absolutnie priorytetowym. Czy jednak doktor Casey jest osobą dyskretną?

Doktor Lawrence Wyman nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

- Jest znakomitym fachowcem i osobą godną najwyższego zaufania. Kombinacja cech, jaka w naturze niemal się nie zdarza - dokończył z przekonaniem.

Starszy pan pewnie podkochuje się w młodszej koleżance, pomyślał, i innym okiem spojrzął na wchodzącą do gabinetu Erin. Można ją uznać nawet za atrakcyjną kobietę. Drobnej budowy, niewysoka, szczupła.

Długie, wijące się ciemnoblonde włosy odgarnięte do tyłu i splecione w warkocz, okulary w drucianej oprawce, zza których błękitne oczy zdawały się jeszcze większe i dziwnie rozmarzone, jakby była istotą z innego świata. I ta gładka, nieskazitelnie jasna cera.

Zdażyła wziąć prysznic i przebrać się z roboczego stroju w dzinsy i żółty podkoszulek. Dostrzegł na niej plamę od długopisu.

Pewnie wcale jej nie zauważyła, a jeśli nawet, to się tym nie przejęła. Najwyraźniej nie przywiązuje wagi do wyglądu, choć w jej sposobie bycia jest coś niepokojącego, jakiś rodzaj roztargnionej, mimowolnej, a jednak intrygującej zmysłowości.

Usiadła za biurkiem i popatrzyła na gościa.

- Zechce pan usiąść, panie Gallagher.

Nie miał ochoty, ale nie wypadało odmówić. Zresztą jego zwyczaj krążenia po pokoju zwykle działał ludziom na nerwy. Przesunął wzrokiem po jedynym krześle zawałonym stosem książek i papierów. Na jej przyzwalający gest, zrzucił wszystko na podłogę.

Gdy wreszcie usiadł, z trudem hamował rozdrażnienie.

Niecierpliwił się. Chciał jak najszybciej przejść do rzeczy. Nie ma czasu do stracenia. Liczy się każda chwila.

- Proszę opowiedzieć mi o tym znalezisku - odezwała się doktor Casey. Jej śpiewny południowy akcent pozostawał w jaskrawym dysonansie z tematem rozmowy. Głos jak z filmu „Przeminęło z wiatrem”. Lecz to tylko pozór. Ta kobieta w niczym nie przypomina bohaterki tego filmowego melodramatu.

- Natrafił na nie myśliwy, wczoraj rano - zaczął. - W dzikiej głuszy w stanie Wisconsin.

Doktor Casey leciutko uniosła brwi.

- To dość daleko, no i poza rejonem działania policji z Chicago.

- Owszem, ale znam tamtejszego szeryfa. Zadzwoił do mnie, gdy tylko zgłoszono mu odkrycie.

- Zadzwoił? Dlaczego? - Niebieskie oczy popatrzyły na Nicka pytająco.

Detektyw zachnął się.

- Woli, by to nie wyszło na światło dzienne, póki nie będzie pewności, czyje to szczątki.

- Chce wiedzieć, czy ma do czynienia ze znaleziskiem archeologicznym, czy też powinien wszcząć śledztwo?

- To będzie dopiero następny etap. W pierwszej kolejności chciałby potwierdzenia, czy są to szczątki ludzkie. Na to wygląda, ale kto wie? - Wzruszył

ramionami. - Może przypomina sobie pani głośną sprawę sprzed kilku lat, gdy ktoś, kopiąc w ogródku, natrafił na kilka dziwnych skrzynek i lokalne władze uznały, że znalezione w nich kości to szkielety niemowląt? Szeryf, przekonany, że wpadł na trop seryjnego mordercy, postawił na nogi FBI. Dopiero później okazało się, że poprzedni właściciel domu pochował tam domowych ulubieńców: psa, dwa koty i kanarka. Biedny szeryf i jego ludzie! Media dały im do wiwatu!

- Bardzo dobrze pamiętam tę sprawę - powiedziała doktor Casey.

- To ja przeprowadziłam ekspertyzę.

- Naprawdę? - Wiedział o tym wcześniej i celowo nawiązał do tamtej historii. Teraz łatwiej będzie przejść do meritum. - Tak czy inaczej, mojemu znajomemu bardzo zależy, by obejrzała pani to znalezisko i wydała opinię.

- Gdzie są teraz te szczątki?

- Tam, gdzie je odkryto. Chcieliśmy, by była pani przy ekshumacji.

- Rozumiem - odparła.

Widział, że jest zainteresowana. Zwykle, przez zbytnią gorliwość, takie znaleziska od razu przewożono do zakładu medycyny sądowej, nie robiąc dokładnych oględzin i przeszukania terenu.

- Im szybciej się to zrobi, tym lepiej - powiedziała, spoglądając na leżący na biurku kalendarz. - Jeśli spadnie deszcz, wiele śladów bezpowrotnie zniknie. Niestety, tak się składa, że aż do środy jestem całkowicie zajęta.

Czyli dopiero za dwa dni, przekalkulował pośpiesznie, a prognozy zapowiadały, że podczas najbliższej doby będzie potężna ulewa.

- Może jednak uda się coś przełożyć - nalegał.
- Czas odgrywa decydującą rolę.
- Przecież pan nawet nie wie, czy te szczątki należą do człowieka.
Wytrzymał jej spojrzenie.
- To są ludzkie szczątki.
- Sam pan mówił...
- Powiedziałem tylko, że szeryf nie chce się zbłąźnić. Nie jest stuprocentowo pewny, lecz ja tak.
- Widział je pan?
- Pojechałem tam wczoraj, jak tylko się o nich dowiedziałem.
Chcemy jak najdłużej zachować to odkrycie w tajemnicy, ale na wszelki wypadek kilku policjantów patroluje okolicę. Powiem pani prywatnie, że nie bardzo wierzę w ich skuteczność. Są poruszeni i przejęci, i raczej nie uśmiecha im się perspektywa spędzenia nocy na odludziu.
- Rozumiem. - Uważnie popatrzyła w kalendarz, szukając optymalnego rozwiązania. - Przykro mi, ale naprawdę nie widzę możliwości, by wyrwać się stąd wcześniej jak jutro. Dziś do końca dnia mam wykłady, a potem... - spochmurniała. - Mam plany na wieczór i nie mogę się z nich wycofać...
Ma jakieś spotkanie? Czyżby się z kimś umówiła? Jeśli tak, to wcale nie wygląda na zadowoloną. Więc jaki problem?
- Może poczekam, aż będzie pani wolna, wtedy od razu moglibyśmy ruszyć w drogę - zaproponował.
- I skoro świt rozpocząć ekshumację.
- Jeśli aż tak się panu śpieszy, może zwróci się pan do kogoś innego, kto już był policyjnym konsultantem?
- Doktor Bernard Rosenbaum ma nogę w gipsie.

Czasami zastępował go doktor Gonzalez, lecz teraz jest w Bośni. Doktor Casey, poza panią nikogo nie ma, a jutro po południu ma porządnie padać - dodał z naciskiem. - Dlatego tak zależy mi na czasie.

Napięcie, które wyczuła w jego tonie, poruszyło ją. Popatrzyła na niego uważnie, w końcu skinęła głową.

- Dobrze. Zobaczę, co się da zrobić, ale proszę na mnie nie czekać. Wystarczy, że zostawi mi pan swój numer. Skontaktuję się, gdy będę wolna.

Mężczyzna podniósł się, wyjął z kieszeni wizytówkę i położył ją na biurku.

- Jeśli to pani nie przeszkadza, pokręcę się jeszcze po miasteczku akademickim.

- Naprawdę nie musi pan czekać...

- Doktor Casey... - zerknął na drzwi. - Chciałbym się upewnić w kilku kwestiach. Przede wszystkim chodzi mi o bezpieczeństwo. Chciałbym zorientować się, jak tu z tym jest.

- Bezpieczeństwo? Boi się pan o szczątki, o których nawet nie wiadomo, czy rzeczywiście należą do ludzkiej istoty? - Nagle oświeciło ją. - Nie powiedział mi pan wszystkiego o tej sprawie.

- Powiedziałem wszystko, co wiem na temat tego znaleziska.

- Więc dlaczego aż tak bardzo niepokoi się pan o bezpieczeństwo?

- To należy do mojej pracy. Może nie patrzy pani w ten sposób, lecz w laboratorium leżą szczątki zamordowanej kobiety. Jej identyfikacja może być komuś bardzo nie na rękę.

To stwierdzenie nie zrobiło na niej wrażenia.

- W budynku jest skomplikowany system alarmowy,

łącznie z czujnikami wykrywającymi ruch. Drzwi są wyposażone w specjalne zamki i tylko kilka osób ma klucze. Wejście jest zamykane na noc, a na dole siedzi strażnik. Czy to pana uspokaja? Zaskoczyła go tą wiedzą.

- Byłby z pani świetny detektyw, doktor Casey. Uśmiechnęła się, lecz jej ton nadal brzmiał poważnie.

- Można powiedzieć, że jestem detektywem, tylko pracuję innymi metodami niż pan. No i nie noszę broni.

Intuicja podpowiadała mu, że w razie potrzeby ta drobna kobieta potrafiłaby zrobić z broni dobry użytek. Chyba niewiele jest rzeczy, z którymi by sobie nie poradziła.

Nie da się ukryć, że intrygowała go coraz bardziej.

- Doktor Casey! Niech pani zaczeka!

Erin, obładowana książkami i papierami, przytrzymując teczkę i puszkę z napojem, odwróciła się pośpiesznie. Ross Calvert, asystent, wreszcie ją dogonił.

- Och, jak dobrze, że panią złapałem - wydyszał.

- Ross, śpieszę się, więc jeśli to nie jest coś naprawdę pilnego... -

Chłopak, słysząc to, zrobił tak zawiedzioną minę, że Erin zgromiła się w duchu. - Przepraszam. To dzisiejsze przyjęcie u rektora wybija mnie z równowagi, nie znoszę takich imprez.

Ross ze zrozumieniem skinął głową. Już odzyskał pogodę ducha.

Czarne, luźne dżinsy, czarna koszulka prymusa i postawione na żel jaskrawopomarańczowe włosy mogły zmylić kogoś, kto go nie znał. W dodatku nosił kolczyk w brwi i nit na brodzie. Jak kogoś takiego można podejrzewać o wybitną inteligencję? A jest jednym z jej najzdolniejszych asystentów.

- Będzie dobrze - rzekł z przekonaniem.
- Dzięki. No, to o co chodzi? Chłopak zawahał się przez moment.
- Dziś po południu jakiś człowiek pracował z panią nad przypadkiem 00-03. - Popatrzył na nią z przejęciem, w oczach przebiegł mu dziwny błysk.
Wiedziała, co go gnębi. 00-03 to jego pierwsza indywidualna sprawa. Przystąpi do pracy, gdy ona zakończy oględziny. Potem porównają wnioski. Święte prawo własności, pomyślała z nostalgią, przypominając sobie swoje początki w zawodzie. Ross nie może znieść myśli, że ktoś się wtrącał w jego badania.
- Tylko ja pracowałam - oświadczyła. - Detektyw Gallagher był biernym obserwatorem.
- Detektyw Gallagher? Przecież to nie on przywiózł do nas ten szkielet. Tamten nazywał się Stoner.
- Tak, detektyw Mike Stoner.
- Więc czego chciał ten Gallagher?
Teraz ona się zawahała, przypominając sobie jego niepokój o bezpieczeństwo laboratorium.
- Chciał się upewnić, że wszystko mamy pod kontrolą i laboratorium jest dobrze zabezpieczone. Nieraz zajmujemy się dowodami, które w sądzie odgrywają decydującą rolę - dodała tonem wyjaśnienia. - Jeśli coś z nimi się stanie, cała robota policji może pójść na marne.
Ross nie wydawał się przekonany.
- Może to w jakiejś mierze tłumaczy jego obecność, ale co w takim razie robił ten drugi?
- Jaki drugi?
- Stał przed wejściem i udawał, że czyta książkę - odparł Ross. - Jak pani wychodziła, podniósł wzrok i obserwował, póki pani nie odeszła.

Poczuła dreszcz na plecach. To mało przyjemne uczucie, gdy się wie, że się jest śledzonym. W dodatku w jej sytuacji...

- Jak on wyglądał? - zapytała. Chłopak wzruszył ramionami.

- Trudno powiedzieć. Raczej starszy, lekko siwy. Potężnej postury. Nie żeby był gruby, ale masywny. Dobrze umięśniony.

- Co potem zrobił?

- Podeszedł do samochodu i odjechał, choć nie sądzę, aby opuścił campus. Podejrzewam, że nadal się tu kręci.

Starła się zbagatelizować te informacje.

- Chyba nie mamy się czym martwić. Pewnie czekał na kogoś.

- Możliwe. - Ross uśmiechnął się bez przekonania. - Sądziłem jednak, że powinna pani o tym wiedzieć. To do jutra, doktor Casey.

- Do jutra - pożegnała się.

Nie jest takie pewne, czy rzeczywiście jutro się z nim zobaczy. Jeśli w nocy wyjedzie do Wisconsin, trudno przewidzieć, kiedy wróci do Chicago. Wiele zależy od tego, ile czasu zabierze ekshumacja. Być może przyjedzie dopiero pojutrze, ale nie ma powodu, by zawnocą mówić o tym Rossowi. Ten chłopak i tak za bardzo wszystkim się przejmuje.

Gdy odprowadzała wzrokiem idącego na parking asystenta, nagle przypomniała sobie niedawne słowa detektywa: „Może nie patrzy pani w ten sposób, lecz w laboratorium leżą szczątki zamordowanej kobiety. Jej identyfikacja może być komuś bardzo nie na rękę”.

Czyżby ten nieznajomy człowiek, którego zauważył Ross, miał związek ze sprawą 00-03?

A może coś go łączy z detektywem Gallagherem?

Obie możliwości były mało przyjemne. Wzdrygnęła się i ruszyła w kierunku domu. Dopiero był wrzesień, ale chłodny wiatr znad jeziora niósł w sobie zapowiedź szybko nadchodzącej zimy.

Dni robią się coraz krótsze. Słońce już zachodziło i porośnięte bujnym bluszczem budynki uczelni rzucały na trawę głębokie cienie. Po raz pierwszy od wielu lat nadchodzący zmrok obudził w Erin dziwny niepokój.

ROZDZIAŁ DRUGI

Rektor Stanton przeszedł dziś samego siebie, stwierdziła w duchu Erin. Zwykle mało przystępny i niezbyt rozmowny, wprost tryskał humorem, a usta mu się nie zamykały. Widać było, że za wszelką cenę chce przypodobać się zaproszonym gościom i usposobić ich jak najlepiej. Nie odstępował członków Rady Nadzorczej i przedstawicieli władz uczelni. Wśród przybyłych było również kilku wpływowych i bogatych absolwentów. To, że się zjawili, pozwalało żywić nadzieję, że wspomogą uczelnię. Poza wszystkim Stanton miał się czym pochwalić, co sprawiało mu wyraźną przyjemność. No cóż, w każdym z nas jest choć trochę próżności. Młoda pani rektorowa przyciągała spojrzenia. Wysoka, atrakcyjna blondynka, w pełni świadoma swej urody, w podkreślającej figurę króciutkiej sukience w odcieniu chłodnego błękitu, dodawała mężowi splendoru. Podobnie jak okazały, pięknie urządzonej dom. Rozległy parter robił wrażenie, a subtelna architektura wnętrza zachwycała przemyślaną koncepcją. Szerokie, łukowate przejścia łączy-

ły poszczególne pomieszczenia, spajając je w jedną, imponującą całość. Monotonie lśniącą płaszczyznę parkietu przełamwały barwne plamy jedwabnych dywanów, a z wyłożonymi boazerią ścianami i półkami z litego dębu ożywiająco kontrastowały olejne obrazy i kolekcja sztuki afrykańskiej. Bogato zdobione żyrandole jaśniały ciepłym światłem. Centralnie posadowione, dekoracyjnie wygięte schody wiodły na galerię na piętrze, gdzie spora grupa przybyłych raczyła się drinkami.

Erin zawsze mniej więcej w taki sposób wyobrażała sobie dom ojca: ogromny i imponujący, na każdym kroku kłujący w oczy zdobytym w nielegalny sposób bogactwem.

Rektor Stanton doszedł do niego tradycyjną drogą - otrzymał go wraz z tytułem. Czyli kariera akademicka miała swoje plusy.

Erin trzymała się na uboczu, wolno sącząc wino i krytycznym okiem patrząc na zebranych. Niestety tak już jest, że czasami trzeba się poświęcić i robić dobrą minę, choć w głębi duszy nie znosiła tego mizdrzenia się do dzierżących kasę członków rady i ewentualnych sponsorów. Nie było jednak innego wyjścia, ponieważ laboratorium i prace badawcze pochłaniały ogromne sumy.

Przypadkowo pochwyciła spojrzenie rektora. Stał w kilkusobowej grupie, pochłonięty rozmową. Gestem przywołał ją do siebie. Erin skrzywiła się w duchu i niechętnie ruszyła w jego stronę.

- Chciałbym przedstawić państwu nowego członka naszej uniwersyteckiej rodziny - zaczął z dumą, omiatając ją aprobującym spojrzeniem.

Pewnie nie spodziewał się wiele, więc tym przyjemniejsza niespodzianka, pomyślała Erin. Wprawdzie nie znosiła takich sytuacji, lecz już dawno nauczyła się, jak właściwie odgrywać swoją rolę.

Na dzisiejszy wieczór wybrała czarne spodnie i czarną tunikę bez rękawów z lejącego się, cienkiego jedwabnego dżerseju, doskonale układającego się na figurze. Wysokie obcasy dodawały jej kilka centymetrów, zręcznie poprawiając proporcje. Zwykle upięte włosy puściła luźno. Gęste, naturalnie układające się loki spływały na ramiona, uwodzicielsko obramowując twarz. W tym stroju i w takiej fryzurze czuła się bardzo kobieco i sądziła, że wygląda dość atrakcyjnie. Oczywiście tylko chwilowo...

Rektor położył rękę na jej plecach, przymuszając, by podeszła bliżej. Ledwie się powstrzymała, by nie zrobić kroku do tyłu. Stanton dokonał prezentacji, lecz nie zapamiętała żadnego nazwiska ani nie zarejestrowała w pamięci niczyjej twarzy. Z wyjątkiem jednej osoby, wysokiego mężczyzny, który o mgnienie za długo przytrzymał jej dłoń.

Nieskazitelnym strój, posrebrzone siwizną skronie, opalona twarz... i dominujące, zimne jak gład szare oczy. W ich wyrazie, w przesłanym jej spojrzeniu, było coś wręcz mrożącego. Znowu ogarnęło ją nieznane wcześniej uczucie niepokoju, takie jak po rozmowie z Rossem.

Czyżby to on był tym podejrzanym mężczyzną, który kręcił się przy wejściu do wydziału? Wydawało się jej, że już kiedyś go widziała. I to nazwisko... Ed Dawson. Brzmiało dziwnie znajomo.

Cofnęła rękę. Czuła się nieswojo. Ze zdwojoną

uwagą wsłuchiwała się w słowa rektora, gorączkowo próbując przypomnieć sobie, skąd może znać tego człowieka.

- ...zwraca się do niej policja nie tylko z Chicago, ale i z sąsiednich stanów - mówił Stanton. Odwrócił się do Erin. - Doktor Casey, może opowie nam pani coś o sprawach, z jakimi zetknęła się pani w Knoxville?

Nieznacznie zmarszczyła brwi. Nie miała zamiaru rozgadywać się na temat swojej pracy, a już na pewno nie chciała szczegółowo opisywać żadnego z konkretnych przypadków.

- Zazwyczaj wykonuję rutynowe ekspertyzy, co nie jest zbyt interesujące dla laików.

Siwowłosa mężczyzna popatrzył na nią sceptycznie.

- Jest pani zbyt skromna. Osobiście jestem zafascynowany pani pracą i chętnie usłyszałbym coś więcej, szczególnie o ekspertyzach mających związek ze sprawami prowadzonymi przez tutejszą policję.

- Te sprawy są dopiero w toku - wyjaśniła - a ponieważ jest bardzo prawdopodobne, że swój finał znajdą w sądzie, nie mogę o nich mówić. Przykro mi, lecz obowiązuje mnie dyskrecja.

Rektor skrzywił się z niezadowoleniem.

- To godne pochwały podejście, doktor Casey, ale skoro szef naszej policji chciałby u źródeł zebrać najświeższe dane na temat bieżących śledztw, chyba pani nie odmówi?

Szef chicagowskiej policji? Dopiero teraz ją olśniło. To dlatego twarz i nazwisko wydały się jej znajome. Kilka razy widziała go w telewizji, a jego zdjęcia zamieszczano w prasie.

Popatrzyła na Eda Dawsona ze skruchą.

- Przepraszam, ale nie dalej jak dziś przypominano mi, jak istotne w pracy biegłego sądowego jest przestrzeganie bezpieczeństwa.

- Proszę nie przepraszać - gładko odparł Dawson. - Jak już podkreślił rektor Stanton, pani podejście jest godne najwyższego uznania. Przyjęcie nie jest właściwym miejscem do rozmów na takie tematy - powiedział, posyłając rektorowi chłodne spojrzenie.

Stanton zacisnął zęby i groźnie spojrzał na Erin. Nie trzeba było wielkiej domyślności, by wiedzieć, na kim to się skrupi.

Kobieta stojąca za szefem policji odwróciła się i podeszła do zebranych. Choć podobnie jak Dawson była już dobrze po pięćdziesiątce, zachowała dawną urodę i świeżość cery. Ciemne, krótko przycięte włosy, gustownie dobrana do karnacji i wieku sukienka z zielonego jedwabiu, serdeczny, pełen ciepła uśmiech. Jak pomyślała Erin, na dzisiejszym przyjęciu była pierwszą osobą, która emanowała szczerością i przyjaznym nastawieniem do bliźnich.

Ed Dawson ujął przybyłą za rękę i powiedział:

- Chciałbym przedstawić moją dobrą znajomą, Maggie Gallagher - powiedział do wszystkich, cały czas patrzył jednak na Erin. - Jej trzech synowie pracują u nas w policji, są detektywami. Bardzo możliwe, że się pani z którymś z nich zetknie. Maggie, oto pani doktor Casey.

Zaskoczona Erin spojrzała na przybyłą. Podobieństwo rysów było oczywiste, no i te same błękitne oczy. Czyżby Dawson, bawiąc się w proroka, doskonale wiedział, że już zdążyła poznać Nicka Gallaghera?

Uśmiechnęła się do kobiety.

- Miło mi panią poznać, pani Gallagher.
- Proszę mi mówić po imieniu - serdecznie odparła rozmówczyni.
- Po prostu Maggie.
- Ja jestem Erin.
- Jest pani taka młoda, a jak zauważyłam, cieszy się pani szacunkiem starych policjantów, o co naprawdę nie jest łatwo. Godne podziwu!
- Szybko napisałam doktorat, ale do prawdziwych zasług jeszcze mi daleko.
- Doktor Casey jest zbyt skromna - wtrącił Dawson. - Jest znanym antropologiem, wybitnym specjalistą w swej dziedzinie. Najpierw z jak najlepszej strony dała się poznać gdzie indziej, ale teraz konsultuje skomplikowane sprawy dla policji i pokrewnych organizacji w naszej części Stanów. Maggie Gallagher nawet nie próbowała ukryć zdumienia po tym, co usłyszała.
- Niesamowite! To znaczy, że robi pani ekspertyzy...
- Kości - odpowiedziała Erin. - Tego, co po latach pozostaje z ludzi. Staram się pomóc w identyfikacji.
- To nie wszystko - uzupełnił Dawson. Był dziwnie posepny. - Naprawdę dobry biegły potrafi ustalić przyczynę i rodzaj śmierci, gdy wszystkie inne metody są już nieskuteczne, bo na przykład minęło dużo czasu od popełnienia przestępstwa. Dzięki temu udało się doprowadzić na ławę oskarżonych wielu morderców, którzy inaczej najpewniej uniknęliby kary.
- O Boże! - Maggie była naprawdę poruszona. - Jest pani tu z mężem?
- Nie jestem zamężna. Maggie lekko uniosła brwi.

- Koniecznie muszę powiedzieć o pani moim synom.

Trzech synów w policji, mimowolnie przemknęło Erin przez myśl. Nie ma wątpliwości, że Maggie i Dawsona łączyło coś więcej niż zwykła znajomość. Sposób, w jaki położył dłoń na jej ramieniu, jednoznacznie o tym świadczył, podobnie jak spojrzenia, które wymienili. Tak naprawdę sprawa była zupełnie oczywista.

Gdy Dawson pochylił się ku swej przyjaciółce, by coś jej powiedzieć, Erin postanowiła skorzystać z okazji. Wymamrotała przeprosiny w kierunku rektora i szybko wmieszała się w anonimowy tłum.

Najchętniej natychmiast by się stąd wymknęła. Tylko jak to zrobić, nie zwracając niczyjej uwagi? Miała niewiele czasu. Powinna jeszcze pojechać do laboratorium, by skompletować niezbędne wyposażenie, potem zadzwonić do Gallaghera... Zaprzątnięta myślami aż podskoczyła, słysząc, jak ktoś wypowiada jej imię. Odwróciła się pośpiesznie. Zimne jak stal oczy Dawsona mierzyły ją uważnie. Znowu poczuła się nieswojo. Komendant chicagowskiej policji był ważną i wpływową osobistością, może dlatego w jego obecności czuła się taka spięta i speszona. Chciałaby w to wierzyć. Lata pracy w policji zmieniają ludzi, wszyscy stają się nieufni i surowi w ocenach. Jednak intuicyjnie wiedziała, że przyczyna leży gdzie indziej. To zimny, być może nawet zdolny do wszystkiego facet. Erin wprost nie mieściło się w głowie, że tak miła i ciepła osoba jak Maggie, może być nim oczarowana. Choć patrząc na to z innej strony, Dawson był bardzo atrakcyjnym mężczyzną. Miał w sobie jakiś charyz-

matyczny urok, co czyniło go jeszcze bardziej niebezpiecznym.

- Proszę nie mieć mi za złe, że się pani narzucam - powiedział.

- Ależ skąd - skłamała.

- Chciałem jeszcze raz zapewnić, że mam ogromny szacunek dla tego, co pani dla nas robi, a także podziwiam pani dyskrecję.

Rektor Stanton czasami bywa, jakby to powiedzieć, zbyt natarczywy. Jestem pełen uznania, jak świetnie sobie pani z nim radzi.

Te komplementy powinny ją ucieszyć, jednak podświadomie czuła, że za nimi coś się kryje.

- W mojej pracy dyskrecja jest nieodzowna - powiedziała, lekko wzruszając ramionami i uśmiechając się z przymusem. -

Podobnie jak w pańskiej.

- Skoro wspomnieliśmy o pani pracy... Właśnie do tego chciałbym nawiązać. - Uśmiechnął się, lecz w tym uśmiechu w żaden sposób nie można było doszukać się choćby odrobiny ciepła. - Choć trudno się z tym pogodzić, wielu spraw, w tym również zabójstw, nie jesteśmy w stanie rozwikłać i ująć sprawców. Bardzo często dzieje się tak dlatego, że nie potrafimy zidentyfikować ofiar. Dlatego pani praca ma dla policji kluczowe znaczenie. Doktor Casey, proszę mi wierzyć, mówię to zupełnie poważnie.

- Dziękuję - odparła. - Ja również przywiązuję do tego, co robię, ogromną wagę.

- Pani oddanie jest bezdyskusyjne. - Zawahał się na chwilę. - Czy nie byłaby pani zainteresowana udziałem w pracach specjalnego zespołu, zajmującego się odszukiwaniem osób zaginionych? Pani umiejętności byłyby dla nas bezcenne.

Te słowa obudziły w niej czujność, ale zmusiła się, by niczego po sobie nie okazać.

- Czuję się zaszczycona - odpowiedziała uprzejmie - lecz praca na uniwersytecie całkowicie mnie pochłania.

- Rozumiem. Mimo to chciałbym kiedyś wpaść do pani laboratorium i przedyskutować tę propozycję. Oczywiście jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

Jego ton jednoznacznie świadczył, że nie dopuszcza takiej ewentualności, jednak Erin ta perspektywa wcale się nie uśmiechała. Miała dużo zajęć na uczelni, a poza tym nie chciała wdawać się w bliższe kontakty z policją. Co innego konsultować pojedyncze sprawy, natomiast stała współpraca z pewnością wiązała się z dokładnym przesledzeniem jej życiorysu i osób z najbliższego otoczenia. Zawsze, nawet przy bardzo głośnych sprawach, starała się trzymać w cieniu. Stało się to szczególnie ważne od chwili, gdy zamieszkała w Chicago. Jeśli ojciec dowie się, że tu jest...

Opamiętaj się, przestań się łudzić, zgromiła się w duchu.

Nieważne, gdzie mieszkasz, i tak nic nie obchodzisz ojca. Bez mrugnięcia okiem zrezygnował z praw rodzicielskich, byle tylko zatrzymać przy sobie syna, na którym, w przeciwieństwie do ciebie, naprawdę mu zależało.

Podniosła wzrok na Dawsona. Odniosła nieprzyjemne wrażenie, że szef policji czytał w jej myślach. Czyżby znał prawdę o jej pochodzeniu? Raczej mało prawdopodobne. Gdyby wiedział, kim jest jej ojciec, z pewnością nie proponowałby współpracy.

- Moja sekretarka zadzwoni do pani za dzień lub dwa - oznajmił. - Doktor Casey, muszę też panią ostrzec, że zwykle nie przyjmuje odmowy.

A ja muszę cię ostrzec, pomyślała w duchu, że bardzo nie lubię, gdy ktoś próbuje mi rozkazywać, nawet gdy jest nim sam wielki oberpolicmajster.

- Doktor Casey, prawda? Jestem Mary Alice Stan-ton. -

Olśniewająca żona rektora zatarasowała drogę do wyjścia, tym samym niwecząc nadzieję Erin, że wreszcie uda się jej wymknąć z przyjęcia. - Nareszcie mam okazję panią poznać. Phil tyle mi o pani opowiadał! Rozpływa się w zachwytach nad pani wiedzą i umiejętnościami.

Erin wyciągnęła rękę na powitanie.

- Miło mi to słyszeć - wymamrotała uprzejmie, choć ani przez moment nie wierzyła w te zachwyty. Była też pewna, że po dzisiejszym epizodzie z Dawsonem nie będzie mogła liczyć na przychylność zwierzchnika.

Przy bezpośrednim kontakcie żona rektora okazała się starsza, niż Erin początkowo sądziła. Musiała mieć około trzydziestki, były więc mniej więcej w tym samym wieku. Na tym jednak podobieństwo się kończyło. Erin nie przychodziło do głowy nic, o czym mogłaby porozmawiać z tą piękną, seksowną i oceniającą po stroju, świadomą swej urody kobietą. Nie widziała nic złego w tym, by umiejętnie podkreślić swoje atuty, wiara w siebie jest przecież cenną zaletą, jednak przy osobach takich jak Mary Alice czy Gloria, Erin zawsze czuła się trochę jak Kopciuszek. Nie lubiła tego uczucia, lecz nie potrafiła go zwalczyć.

- Zauważyłam, że rozmawiała pani z komendantem Dawsonem - powiedziała Mary Alice. - Bardzo interesujący człowiek, prawda? A jaki przystojny!

- Owszem - bez szczególnego entuzjazmu przyznała uprzejmie Erin.

Pani Stanton udała, że tego nie zauważyła, tylko popatrzyła na Erin z przejęciem.

- Mój mąż zna się z nim od lat, a ja chodziłam do college'u z jego pasierbicą. W ten sposób poznałam Phila.

Erin nie wiedziała, jak powinna zareagować na to wyznanie, więc poprzestała na lekkim uśmiechu. Mary Alice zniżyła głos.

- Pewnie pani słyszała, co się z nią stało.

- Z pasierbicą komendanta?

Pani Stanton skinęła głową. Przybrała smutną minę, lecz płonące oczy zdradzały, że nie może się doczekać, by opowiedzieć całą historię.

- Nazywała się Ashley Dallas. Osiem lat temu w czasie uczelnianego przyjęcia została zamordowana. To nie wydarzyło się w Hillsboro - dodała pośpiesznie, jakby bojąc się, że Erin się wystraszy. - Oskarżony o morderstwo trafił do celi śmierci, ale teraz wiele wskazuje, że może wyjść na wolność.

Erin tknęło dziwne przeczucie. Poczowała gęsią skórę na ramionach.

- Jak to możliwe?

Mary Alice wzruszyła ramionami.

- To robota adwokatów, wykorzystują pewne prawne uchybienia. Kilka miesięcy temu wyszło na jaw, że niektóre dowody zostały celowo wycofane ze śledztwa. Adwokaci skazanego domagają się wznowienia procesu albo przeprowadzenia go na nowo. Przed kilkoma miesiącami gazety rozpisywały się na ten temat, zorganizowano marsze protestacyjne pod siedzibę kome-

dy policji. Z tego, co czytałam, doszło do poważnych zamieszek.

- Nic o tym nie słyszałam - rzekła Erin. Była tak pochłonięta pracą, że prawie nie czytała gazet, rzadko też oglądała wiadomości. Nic dziwnego, że o tylu rzeczach nie miała pojęcia. Typowy przykład uczonej, która całymi dniami przesiaduje w laboratorium i jest całkowicie oddana swej pracy.

- Naprawdę? - zdumiała się Mary Alice. - A tyle o tym mówiono. Chociaż wtedy jeszcze pani tu nie było, a sprawa przycichła. - Wyglądało, że chce powiedzieć coś więcej, ale w tej samej chwili Russell Quay, antropolog z FAHIL, podszedł i delikatnie dotknął jej ramienia.

Mary Alice odwróciła się, a wyuczony uśmiech rozpromienił jej ładną buzię.

- Russell! Nawet przez chwilę się nie pokazałeś! Gdzieś ty się podziewał cały wieczór, przystojniaczku?

Profesor, wyjątkowo niepozorny mężczyzna, aż pokraśniał z radości. Mary Alice, znacznie od niego wyższa, pochyliła się, by coś mu powiedzieć, i jej biust znalazł się na wysokości jego oczu. Russell omal nie padł z wrażenia.

Mary Alice zagadała coś do niego i szybko się wymówiła, natomiast oszołomiony antropolog zachwyconym spojrzeniem odprowadził jej oddalającą się postać. W rozanielonych oczach, widocznych zza grubych okularów, malowało się nieśmiałe poczucie winy. Przypominał chłopca, którego przyłapano na oglądaniu ojcowskich świerszczyków.

- Doktorze Quay?

Odwrócił się, zaskoczony, bo wcześniej nie dostrzegł

stojącej w pobliżu Erin. W jednej chwili oblał się pąsem i mamrocząc coś pod nosem, prawie na oślep ruszył przed siebie, wpadając na kelnerkę niosącą srebrną tacę z kanapkami. Na szczęście dziewczyna, dokonując cudów ekwilibrystyki, nie dopuściła do katastrofy. Russell pognął dalej i zniknął w tłumie.

- Ten biedaczyna musi być bardzo niewyżyty! - roześmiała się Lois Childers, wykładająca w Hills-boro archeologię. - Z takimi lepiej mieć się na baczności. Są sfrustrowani i potrafią narobić kłopotów sobie i innym.

- Mówisz to z własnego doświadczenia? - zapytała Erin.

Lois, wysoka szatynka po czterdziestce, mogła się podobać: regularne rysy, zmysłowy, chropowaty głos namiętnej palaczki, fryzura w stylu Kleopatry, podkreślająca kształt twarzy. W kostiumie ze złotego brokatu wyglądała jak prawdziwa królowa. I to lekko pogardliwe spojrzenie, jakim obrzucała kłębiący się tłum...

- Trochę już w życiu przeżyłam - rzekła od niechcienia. - Na twoim miejscu uważałabym na niego.

Erin popatrzyła na nią ze zdumieniem.

- Dlaczego?

Lois wzruszyła ramionami.

- Spodziewał się, że to on zostanie szefem laboratorium. Stanton wiele razy jednoznacznie dawał mu to do zrozumienia. I naraz, zupełnie bez uprzedzenia... - strzeliła palcami - zjawiał się ty.

- Nic o tym nie wiedziałam - odparła Erin, choć właściwie nie powinna być zaskoczona. Konkurencja . na uczelniach jest tak samo zażarta jak w ogromnych

korporacjach. Nic dziwnego, że jej nominacja wzbudziła niechęć i zawiść. - Nie znam go za dobrze, ale nie wydaje mi się groźny.

- Nie bądź naiwna - mruknęła Lois, spoglądając na Erin z nadkilianką. - To samo można powiedzieć o wielu seryjnych mordercach. - Umilkła. - Mogłabym się założyć, że ten wazniak ciągle jest prawiczką. Mamusia krótko go trzyma.

- Mamusia?

Lois prychnęła jak kotka, a potem z niedowierzaniem spojrzała na Erin.

- Nie wiedziałaś, że on jeszcze się nie usamodzielił? Raz zaprosił mnie do siebie i oczywiście nie zapomniał o mamusi. Urocza kolacyjka we trójkę. Możesz to sobie wyobrazić?

- Spotykałaś się z Russellem? - zdumiała się Erin. Nie chciała, by zabrzmiało to aż tak dobitnie, ale Lois i Russell? To po prostu nie mieściło się w głowie.

- Ech! - mruknęła Lois. - Takie jest życie. Niestety lata lecą, a sama chyba już zauważyłaś, że nie ma tu zbyt dużego wyboru. Nie każdemu trafia się wysoki, czarnowłosa i w dodatku przystojny detektyw.

Erin znieruchomiała. Skąd Lois wiedziała o Galla-gherze?

Usiłując zachować normalny ton, zapytała:

- Kto ci o nim powiedział? Lois uśmiechnęła się tajemniczo.

- Mam swoje źródła.

- Słuchaj, pytam poważnie. Jeśli w FAHIL są jakieś przecieki...

Lois wzniosła oczy ku niebu.

- Och, Erin, daj spokój. To normalne, że jak pojawi się przystojny facet, to zaczyna huczeć jak w ulu.

Widziałam, jak wychodził z twojego pokoju, więc zapytałam Glorie, a ją język aż świerzbiał, żeby mi powiedzieć... Ten detektyw wpadł jej w oko.

Gloria nie porażała intelektem i umiejętnościami, nie wzbudzała też zbytniego zaufania. Teraz okazało się, że ponadto nie potrafi utrzymać języka za zębami. To niezbyt dobrze rokowało, jeśli chodziło o dalszą współpracę. Erin wiedziała, że powinna jak najszybciej poważnie z nią porozmawiać i przypomnieć, czym jest dyskrecja oraz tajemnica zawodowa.

Jednak z drugiej strony Lois miała rację: pojawienie się atrakcyjnego mężczyzny nie mogło pozostać niezauważone. No cóż, Gallagher był bardzo przystojnym facetem. Przypomniała sobie ciemnowłosego detektywa i poczuła się dziwnie, jak wtedy, gdy po raz pierwszy go ujrzała. Wcale nie dlatego, że mi się podoba, przekonywała samą siebie. Wszystkiemu winne jest owo niepokojące przeczucie, nieokreślona obawa, że coś się wydarzy. Lois popatrzyła na nią znacząco.

- Zaręczam ci, że ten facet nie mieszka ze swoją mamusią.

Na pewno nie, przyznała jej w duchu rację. Mieszka z żoną. Albo z dziewczyną.

Ta myśl nie była dla niej przyjemna. Pośpiesznie upiła łyk wina.

- I założę się, że nie jest prawiczkim - dodała Lois. Erin popatrzyła na nią z rozbawieniem.

- Taka jesteś pewna? Na twoim miejscu byłabym bardziej ostrożna, bo to stwierdzenie daje do myślenia.

Lois puściła do niej oko.

- Och, wcale bym się nie wzbraniała! Ciemne

włosy, niebieskie oczy, no i to ciało... - Westchnęła z rozmarzeniem. - Z niego musi być niesamowity kochanek. Erin nagle straciła ochotę do żartów. Rozmowa dryfowała w niebezpiecznym kierunku i budziła niepokój, choć dziewczyna była na siebie zła za te odczucia.

- Owszem, jest wyjątkowo przystojny, ale wyrokować tylko na tej podstawie...

- Nie chodzi o wygląd - przerwała jej Lois. - Gdy będziesz w moim wieku, sama to zrozumiesz. Wystarczy, że popatrzysz na kogoś i wszystko wiesz. Kobięca intuicja. Od razu czujesz, czy to ktoś, kto nie zapomni o twoich urodzinach, lub czy będzie miły dla twojej matki. I bez pudła wyczujesz też, który z facetów jest artystą w łóżku - dokończyła z łobuzerskim uśmieszkiem.

- Myślisz, że detektyw Gallagher byłby miły dla twojej mamy? - nie mogła się powstrzymać Erin.

- Kochanie, moja najdroższa mamusia tak by zatańczyła, jak by jej zagrał - roześmiała się Lois, zabawnie naśladowując śpiewny południowy akcent Erin.

- I nie zapomniałby o twoich urodzinach? Lois zastanowiła się przez chwilę.

- Nie - oznajmiła z przekonaniem. - Nie jest z tych, którzy pamiętają o takich rzeczach. Ale zaręczam ci, że potrafi to z nawiązką wynagrodzić.

Kilka minut później wyszła na zewnątrz. Zatrzymała się przy schodach i odetchnęła z ulgą. Nareszcie ma to z głowy. Naraz znieruchomiała. Po drugiej stronie ulicy, w cieniu wysokiego wiązu, ktoś się czaił. Czowała na sobie jego wzrok. Serce zabiło jej mocniej. Czyżby

ktoś ją śledził? Czekał przez cały wieczór, aż wyjdzie i będzie chciała wrócić do domu? A jeśli tak, to dlaczego?

Przypomniała sobie o sprawie 00-03, nie zidentyfikowanych szczątkach leżących w laboratorium FAHIL. Ogarnęła ją panika. Odwróciła się, by z powrotem schronić się w domu pełnym ludzi; w tej samej chwili mężczyzna wynurzył się z cienia i przeszedł przez ulicę. W świetle latarni błysnęła jego twarz. Erin odetchnęła z ulgą, ale serce nadal biło jak szalone. Detektyw Gallagher zbliżał się do niej obramowaną kwiatami alejką. „Z niego musi być niesamowity kochanek” - zabrzmiały jej w uszach słowa Lois.

Niepotrzebnie wdała się w tę rozmowę, bo wciąż dźwięczała jej w uszach... i nie może przestać myśleć o Gallagherze.

Daj spokój, zbeształa się w duchu. Nawet gdyby był prawdziwym Don Juanem, to co ci do tego?

„I założę się, że on nie jest prawiczką”.

Rewelacyjne odkrycie, stwierdziła z ironią. Nie trzeba mieć Nobla z inżynierii genetycznej, by dojść do takiego wniosku. Wystarczy przez sekundę popatrzeć w te niewinne, błękitne oczęta, by nie mieć najmniejszych złudzeń. Nawet dla antropologa z bardzo niewielkim doświadczeniem w tej dziedzinie, jest to dziecinnie łatwe.

Gallagher podszedł bliżej.

- Doktor Casey?

- Tak.

- Nie byłem pewny, czy to pani. - Przesunął po niej taksującym spojrzeniem, zatrzymując wzrok na roz-

puszczonych włosach i podkreślającym figurę stroju. Miał taką minę, że Erin zabrakło tchu.

- Skąd... skąd pan wiedział, że tutaj będę? - wydusiła, zmuszając się do spokoju.

- Od pani sekretarki.

Gloria. No tak. Paple bez opamiętania, nie ma dla niej żadnych tajemnic. Gotowa jest wszystko wygadać, byle tylko przypodobać się atrakcyjnemu mężczyźnie.

I co się dziwisz? - upomniała się w duchu, przyglądając się Gallagherowi. Przebrał się, był teraz w dżinsach i bawełnianym podkoszulku, pod którym rysowały się mocne mięśnie. Jest w nim co podziwiać, nie tylko kościec ma wspaniały, zreflektowała się. No cóż, do tej pory zbyt małą uwagę zwracała na męską muskulaturę.

Zaczynasz mówić jak Lois, zgromiła się w duchu.

A co to ma za znaczenie? - pomyślała, otulając się szalem.

- Jest pani gotowa? - zapytał, mierząc ją uważnym spojrzeniem, jakby ciągle nie do końca pewny, czy ma do czynienia z osobą, z którą się wcześniej umawiał.

Powinno jej to pochlebiać, lecz było inaczej. Czyżby poprzednio tak źle wypadła?

A jeśli nawet, to co? Cóż ją obchodzi, co o niej myśli ten detektyw lub ktokolwiek inny? Nigdy nie przejmowała się swoim wyglądem, co innego było dla niej ważne. Nawet sklepy nigdy jej nie pociągały. Szkoda jej było czasu i zachodu. Strój, w którym dziś wystąpiła, zamówiła przez Internet.

Sądząc po minie Gallaghery, nie był to zły wybór. Nadal nie odrywał od niej oczu. Coraz trudniej było jej zachować równowagę psychiczną.

Odgarnęła włosy do tyłu.

- Muszę najpierw pojechać do domu, żeby się przebrać, a potem wrócić do laboratorium po sprzęt.

- Świetnie. Zawiozę panią.

Już chciała burknąć, że pojedzie sama, gdy przypomniała sobie, że przyszła tu pieszo. Od domu rektora dzieliło ją ledwie kilka przecznic, a na wąskiej uliczce trudno było zaparkować. Nie pomyślała tylko, że po zapadnięciu zmroku powrót do domu nie będzie przyjemny. Wolała nie ryzykować. Wzruszyła ramionami.

- Dziękuję. Chętnie skorzystam.

Gdy zaczęli schodzić po schodach, Gallagher wziął ją za ramię.

Ten miły, staromodny gest ujął Erin. Pewnie mama zadbała o jego maniery. Może się jej wydawało, jednak w tym, jak ją prowadził, było coś więcej niż tylko uprzejmość. Jakby doskonale zdawał sobie sprawę z emocji, jakie w niej budził.

Za długo siedzę zamknięta w laboratorium, uświadomiła sobie Erin. Nie jest dobrze, skoro taki zwyczajny gest wytrąca mnie z równowagi.

Choć może to nie do końca jest tak. Niedawny kontakt z Dawsonem podziałał na nią całkiem inaczej. Ledwie się powstrzymała, by go nie odepchnąć, i to wcale nie z powodu różnicy wieku, bo starsi mężczyźni zawsze się jej podobali. Szczególnie tacy jak Dawson, podobni z urody do Seana Connery'ego. Ale jest w nim coś, co od pierwszej chwili wzbudziło w niej czujność.

Ciekawe, czy Gallagherowi podoba się związek jego matki z Dawsonem? Czyżby szef pomagał mu w karierze? Jak również jego braciom?

Taka możliwość oczywiście istniała, jednak intuicyjnie czuła, że w przypadku Gallaghery to nie wcho-

dziło w grę. Nie wyglądał na osobę skłoną do koniunkturalnych zagrywek. Przeciwnie, wszystko wskazywało, że w walce o słuszną sprawę potrafi być bezwzględny i nieustępliwy, głuchy na wszelkie propozycje i sugestie przedwczesnego zakończenia śledztwa. Biada temu, kto ośmieli się stanąć mu na drodze.

Przeszył ją dreszcz, gdy palce Nicka mocniej zacisnęły się na jej ramieniu. Dochodzili do końca alejki. Wskazał na jeden z zaparkowanych samochodów.

- Tędy.

Puścił jej rękę. Erin odetchnęła lżej, lecz jednocześnie znów ogarnął ją niepokój. Co się z nią dzieje? Dlaczego ten człowiek tak ją dekoncentruje? Już dawno nie doświadczała podobnych uczuć, a na pewno nie działo się to zaraz na początku znajomości, nawet wtedy, gdy jeszcze jako studentka zwariowała na punkcie swojego profesora. Była wtedy na pierwszym roku, młoda i naiwna. Żyła jak we śnie. Wierzyła, że ta ogromna, szalona miłość będzie trwać wiecznie, lecz gorzko się zawiodła.

Otrzeźwiała, gdy było już za późno. Zresztą ten romans z góry był skazany na porażkę. Okazało się, że profesor, nie dość, że znacznie od niej starszy i doświadczony, był niestety człowiekiem żonatym.

Nie lubiła wracać myślą do tamtych wspomnień, bo zawsze ogarniał ją wstyd i poczucie winy. Zapamiętała tamtą nauczkę, jednak swoje już wycierpiała i nie zamierzała w nieskończoność płakać nad rozlanym mlekiem.

Wsiedli do samochodu. Erin wyciągnęła się wygodnie i pogładziła miękki fotel. Sportowe, nisko zawieszone, zagraniczne auto, wprawdzie nie z tych

najdroższych, lecz równie stylowe. Gallagher przekręcił kluczyk i zerknął w tylne lusterko. Potężny silnik zamruczał i samochód wyjechał na jezdnię.

Ciemność panującą we wnętrzu rozjaśniały jedynie lampki z tablicy rozdzielczej. Erin zerknęła ukradkiem na siedzącego obok mężczyznę. Wydawał się pochłonięty własnymi myślami.

Czyżby rozmyślał o jutrzejszej ekshumacji? Zastanawiał się, kim był denat?

Czy to możliwe, że nie powiedział mi wszystkiego? - pomyślała i poczuła się nieswojo. Czy coś przede mną ukrywa?

Po drodze prawie nie rozmawiali. Gdy zaparkował przed domem, przez chwilę roztrząsała w duchu, czy nie powinna zaprosić Gallaghera do środka, jednak uznała, że lepiej nie. Wciąż pamiętała słowa Lois. Najbezpieczniej będzie ograniczyć ich kontakty do spraw ściśle zawodowych.

- Za moment będę z powrotem - zapewniła. Gdy otworzyła drzwi, zapaliła się górna lampka.

Oboje zamarli, zaskoczeni tą nagłą zmianą. Erin patrzyła na Gallaghera, on na nią. Przez długą chwilę nie była w stanie się poruszyć, napięcie widoczne w jego oczach przykuło ją do miejsca.

- Dziękuję, że zgodziła się pani zmienić swoje plany - odezwał się wreszcie.

Erin wzruszyła ramionami.

- Nie ma sprawy, w tym fachu to normalne. Uśmiechnął się lekko.

- W pewnym sensie mamy podobną pracę. Jego uśmiech obudził w niej czujność.

- To prawda.

- Bardzo na panią liczę, doktor Casey - rzekł. - Mam nadzieję, że mi pani pomoże.

Erin uniosła brwi.

- Wydawało mi się, że eksperta potrzebuje pana znajomy. Mówił pan o szeryfie z Wisconsin.

Uciekł wzrokiem w bok.

- Tak, oczywiście. Jeśli uda się pani zidentyfikować te szczątki, wyświadczy pani ogromną przysługę i jemu, i mnie.

- Zidentyfikuję je - oświadczyła z przekonaniem. Wysiadła z auta i spojrzała na Gallaghera. - Intuicja mi jednak mówi, że za tym kryje się coś jeszcze. Ze pan mi o czymś nie powiedział.

Jego uśmiech zgasł.

- Powiedziałem wszystko, co pani powinna wiedzieć - rzekł chłodno. - Najlepiej będzie, gdy każde z nas zajmie się swoją robotą, doktor Casey.

ROZDZIAŁ TRZECI

„Najlepiej będzie, gdy każde z nas zajmie się swoją robotą, doktor Casey”.

Gdy otwierała drzwi do mieszkania, te słowa dźwięczały jej w uszach. Nie były zbyt sympatyczne, ale czegoż innego mogła spodziewać się po gliniarzu? Często miała do czynienia z policjantami i zawsze było podobnie. Oczekiwali, że jak najszybciej zrobi swoje i o nic nie będzie nikogo pytać. A już najgorsi byli ci z wydziału zabójstw.

Szybko przebrała się w dżinsy i koszulową bluzkę, spakowała podręczną torbę, napełniła po brzegi miseczki kota, starannie zamknęła mieszkanie i zbiegła po schodach. Gallagher stał oparty o samochód. Gdy ją ujrzał, otworzył bagażnik, schował jej torbę i wsiedli do auta.

Przez długą chwilę panowała pełna napięcia cisza. Ostatnia uwaga Gallaghery wyraźnie ochłodziła stosunki. Patrzyła, jak bębni palcami w kierownicę. Wreszcie powoli odwrócił się do niej.

- Przepraszam za to, co powiedziałem. Naprawdę jest mi przykro.

Wzruszyła ramionami.

- Nie ma za co.

- Jest, i naprawdę bardzo mi przykro. Jestem wytracony z równowagi, dlatego... - Urwał i potarł dłonią kark. - Ta sprawa źle na mnie wpływa.

- Rozumiem, panie Gallagher. - Była zaskoczona, że ją przeproszał i usprawiedliwiał się ze swojego grubiaństwa. Do tej pory żaden z policjantów, z jakimi się zetknęła, nic takiego nie zrobił.

Gallagher podniósł na nią wzrok.

- Proszę mi mówić po imieniu. Nick.

- Chętnie. Jestem Erin.

Gdy się uśmiechnął, serce zamarło jej z wrażenia.

- Piękne irlandzkie imię - zauważył. - Mojej babci bardzo by się spodobało.

- Też masz irlandzkie korzenie? - spytała bez potrzeby, ale jego uśmiech prowokował ją do zachowań, jakich się po sobie nie spodziewała. Nigdy dotąd nie była tak spięta i podekscytowana obecnością mężczyzny. Zupełnie nie wiedziała, jak sobie z tym radzić.

Za to on wydawał się uosobieniem spokoju.

- Dziadkowie ze strony ojca pochodzą z Dublina - wyjaśnił. -

Gdybyś posłuchała mojej babci! Czasami sam mam problemy, by ją zrozumieć, zwłaszcza jak się zaperzy. Dotąd ubolewa, że żadne z wnucząt nie poszło na katolicki uniwersytet.

Erin uśmiechnęła się blado. Wolą nie opowiadać o swojej rodzinie, bo nie miała czym się chwalić. Według słów mamy, dziadek ze strony ojca też pochodził z Dublina. Wyemigrował do Stanów i bardzo szybko zaadaptował się do nowej rzeczywistości.

Zaczął od przemytu alkoholu, a gdy prohibicja się skończyła, przerzucił się na inne, równie lukratywne sposoby zarabiania pieniędzy, oczywiście nielegalne. Handlował nawet bronią. Synowie ochoczo poszli w jego ślady. To dlatego mama, chcąc ocalić przynajmniej jedno dziecko, przystała na ten nieprawdopodobny układ. Zostawiła syna, a sama zabrała Erin i na zawsze wyjechała z Chicago.

Przez te wszystkie lata ojciec nigdy się nie odezwał, podobnie zresztą jak Erin. Najpierw była zbyt przerażona opowieściami mamy, by próbować nawiązać z nim kontakt. Potem, już w szkole, gdy przeżywała krótki okres buntu, wmówiła sobie, że gdyby ojciec znał ich miejsce pobytu i nowe nazwisko, z pewnością chciałby ją poznać. Była pewna, że wystarczyłoby jedno spotkanie, by przyjął ją z otwartymi ramionami.

Mama jakimś sposobem wszystkiego się domyśliła. Nie mogła niczemu zapobiec, lecz prosiła tak gorąco i z takim żarem przekonywała o możliwych konsekwencjach, że wprawdzie nie od razu, jednak jej uwierzyła. Jeśli obróci się to przeciwko nim? Jeśli ojciec zacznie domagać się praw do córki? Jeśli zagrozi mamie?

Potem już nigdy nie próbowała go odszukać; mama, z tego co wiedziała, również. Choć czasami wydawało jej się to dziwne. Erin martwiła się o Madeline. Coraz bardziej izolowała się od świata, powoli wpadała w depresję. Erin intuicyjnie czuła, że dręczy ją poczucie winy. Często słyszała w nocy jej zduszony płacz, lecz gdy delikatnie starała się do tego nawiązać, mama zamykała się w sobie jeszcze bardziej.

Teraz, gdy na zawsze odeszła, już nie pozna jej mrocznej tajemnicy.

Poczuła na sobie wzrok Nicka. Odwróciła się i spojrzała na niego. Przyglądał się jej uważnie, jakby starał się coś zrozumieć. Sama też chętnie zadałaby mu kilka pytań.

- Dziwisz się, że ktoś może wybrać sobie taki zawód? - zagadnęła.

Uniósł lekko brwi.

- Zaczynam rozumieć, dlaczego masz takie osiągnięcia. Chyba jesteś jasnowidzem.

Prawdę mówiąc, niewiele się mylił. Nieraz zdarzało się, że dochodziła do wniosków, które wszystkim wydawały się nieprawdopodobne, a jednak to ona miała rację. Do tej pracy potrzebna jest ogromna cierpliwość i pedantyczna dokładność. Gdy inni rozkładali ręce lub poprzestawali na pobieżnych wynikach, Erin się nie poddawała. Nie przerażały jej długie i nieraz stracone godziny, spędzone w laboratorium. Sprawę uznawała za zakończoną dopiero wtedy, gdy miała stuprocentową pewność, że nic więcej nie da się zrobić.

- Kocham moją pracę - powiedziała. - To wystarczy. Nie potrzeba żadnych nadnaturalnych zdolności.

Znowu na nią popatrzył.

- Tym sposobem wracamy do mojego pytania. Jak to się stało, że zostałeś antropologiem, w dodatku z taką specjalizacją?

- Mam odpowiedzieć w dwóch słowach? - Wzruszyła ramionami.

- Archeologia zawsze mnie interesowała, a potem zafascynowały mnie filmy, gdzie głównym bohaterem był Indiana Jones. Wtedy, podobnie jak wielu moich rówieśników, podjęłam ostateczną decyzję. Wydawało mi się to wymarzonym sposobem

na życie. Dalekie podróże w poszukiwaniu bezcennych znalezisk, od których zależy istnienie ludzkości. Nick nie ukrywał zaskoczenia.

- Nigdy bym nie pomyślał, że jesteś taką roman-tyczką.
- To określenie niektórzy mogliby uznać za afront - odparła spokojnie. - Lecz ponieważ taka jest prawda, nie czuję się urażona.

Uśmiechnął się, wzrok mu się rozjaśnił. Naprawdę miał piękne oczy.

- Jesteś zupełnie inna, niż sądziłem.
- Tak mówisz? - Starła się, by jej głos brzmiał normalnie, ale serce zabiło mocniej. - Chyba się domyślam, jak sobie mnie wyobrażałeś.

Uśmiechnął się lekko.

- Ja też niezupełnie tak wyobrażałam sobie detektywa z wydziału zabójstw. Gdzie podziałeś wymięty prochowiec?

Nick nagle spoważniał.

- Niestety rzeczywistość różni się od tego, co pokazują filmy. Nie jesteśmy tacy jak porucznik Colum-bo. Nie zawsze udaje się znaleźć winnego, niektórzy potrafią ujść sprawiedliwości. Nawet najgorsi przestępcy i wyrachowani mordercy.

W jego głosie było coś poruszającego. Erin wzdrygnęła się. Popatrzyła ukradkiem, zastanawiając się, dlaczego odnalezione wczoraj szczątki mają dla niego aż takie znaczenie. Wprawdzie zapewniał, że chce jedynie pomóc znajomemu, ale ona wiedziała swoje. Czowała przez skórę, że za tą sprawą kryje się coś więcej, coś, o czym nie chciał jej powiedzieć. Była tylko nie wplątała się w jakąś nieprzyjemną historię.

- Czyli zapragnęłaś znaleźć się w roli Indiany Jonesa - podjął po chwili, ale już nie tak lekkim tonem, jak poprzednio. - A skończyło się na antropologii.

- Antropologia jest dziedziną archeologii. Nie można powiedzieć, że zmieniłam kierunek, wybrałam jedynie wąską specjalizację. - Uśmiechnęła się. - W czasie studiów przekonałam się, że wykopaliska archeologiczne to bardzo żmudne zajęcie. Kopiesz milimetr po milimetrze w nadziei, że znajdziesz resztki jakiejś skorupy. Nie tak, jak w filmach z Harrisonem Fordem, choć czasami rzeczywiście może być to fascynujące. Zainteresowałam się antropologią fizyczną. Jeden z profesorów opowiedział nam o pewnej kobiecie, której córka zaginęła bez wieści. Minęło ponad dwadzieścia lat. Wreszcie gdzieś odnaleziono ludzkie szczątki i po identyfikacji okazało się, że to ta zaginiona dziewczyna. Otrzymała list od jej matki. Dziękowała, bo przywrócił jej spokój. Przez dwadzieścia lat szukała córki, wypatrywała jej na ulicach, w centrach handlowych. Obsesyjnie przyglądała się ludzkim twarzom, zastanawiając się, czy któraś z tych osób nie jest jej dzieckiem. - Umilkła. - Wtedy zdecydowałam, że właśnie tym się zajmę.

- Szczęściara z ciebie. Wiele osób do końca życia nie wie, co tak naprawdę chciałoby robić.

Erin popatrzyła na niego zaskoczona.

- Nie odpowiada ci praca detektywa? Nick wzruszył ramionami.

- Właściwie nigdy się nad tym poważnie nie zastanawiałem. Od dziecka wiedziałem, że zostanę policjantem. Jak wszyscy w naszej rodzinie. Ojciec, dziadek, moi bracia. - Znowu wzruszył ramionami. - Chyba mamy to w genach.

Ten temat nie był dla niej miły. Wołała nie zastanawiać się nad rodzowym dziedzictwem Nicka czy swoim. Znała teorię głoszącą, że o rozwoju człowieka decyduje wpływ środowiska i sposób wychowania, nie zaś genotyp. Dlatego była wdzięczna mamie, że zapewniła jej szczęśliwe dzieciństwo z dala od ojca.

Była jednak druga strona medalu. Istnieje ogromna literatura i bogato udokumentowana wiedza na temat dziedziczenia konkretnych cech i zachowań. Według najnowszych badań negatywne, wręcz kryminalne skłonności mogą być przekazywane z pokolenia na pokolenie, a ona miała w sobie geny ojca. Ta świadomość odegrała dużą rolę w wyborze profesji. Jako ekspert przysłuży się społeczeństwu, natomiast złe skłonności nie będą miały jak się ujawnić.

Nie były to jednak przemyślenia, jakimi mogłaby się podzielić z Nickiem. Nie należy on do osób, które od razu i bez zastrzeżeń wierzą w takie opowieści, a skoro mają razem pracować, wzajemne zaufanie jest podstawą.

Zatrzymał samochód na uczelnianym parkingu. Laboratorium i biura FAHIL mieściły się w nowym, dobudowanym kilka lat temu skrzydle budynku wydziału nauk przyrodniczych.

Współczesna bryła stanowiła ostry kontrast z pozostałą częścią uniwersyteckich zabudowań.

Wysiedli z auta i podeszli do głównego wejścia. Erin wyjęła klucze, ale drzwi były otwarte. Popatrzyła na Nicka. Miał dziwną minę.

- Mówiłaś, że wejście jest zawsze zamykane.

- Do laboratorium zawsze, chyba że akurat pracuję, ale przychodzą sprzątaczkę, poza tym tutaj mieści się dziekanat i kilka sal wykładowych.

Poprowadziła go przez pusty korytarz. Echo zwielokrotniało odgłos kroków i odbijało się od ścian. Poplątana sieć korytarzy dla nieorientowanej osoby stanowiła trudną do rozwikłania zagadkę.

Drzwi łączące budynek z nową częścią nie były zamknięte. Już miała przekroczyć próg, gdy Nick zagroził jej drogę.

Żachnęła się.

- Na pewno ktoś został po godzinach. Ktoś z personelu...

Uciszył ją wzrokiem. Popatrzyła na pusty, tonący w mroku korytarz. Wzdrygnęła się, poczuła ciarki na plecach. Ogarnął ją niepokój i trudny do nazwania lęk. Nick powoli ruszył w głąb korytarza. Milcząc, podążyła za nim. Zatrzymywał się przy kolejnych drzwiach i ostrożnie sprawdzał, czy są zamknięte.

- Jak można dostać się stąd do laboratorium? - zapytał niemal szeptem.

- Stąd się nie da. Trzeba pojechać windą na drugie piętro, gdzie mieści się FAHIL. Dopiero stamtąd można zjechać windą na sam dół.

Nick rzucił jej szybkie spojrzenie.

- Z zewnątrz nie ma tam dojścia?

- Jest jedno, awaryjne - odpowiedziała. - Zamknięte na stałe.

Drzwi można otworzyć tylko od środka. Zwykle tamtędy odbieramy przesyłki. Ale ktoś musi być wtedy w laboratorium.

- Domyślam się, że macie tam alarm?

- Oczywiście. Drugie wejście jest z korytarza.

- Kto ma klucze?

- Już ci mówiłam, tylko pracownicy FAHIL.

- A Gloria Maynard?

- Gloria? - Zapamiętał jej nazwisko. No cóż, widać nie jest taki obojętny na kobiece wdzięki, za jakiego chce uchodzić. - Nie ma swojego klucza. Czasem korzysta z mojego.

Znowu to ostre spojrzenie. Wzruszyła ramionami.

- Zdarza się, że posyłam ją na dół, gdy potrzebuję czegoś na ćwiczenia lub do konsultacji - wyjaśniła. - Nie bardzo lubi tam chodzić, więc zdarza się to rzadko.

Doszli do wind. Erin nacisnęła przycisk. Nick zrobił krok do przodu, osłaniając sobą otwierające się drzwi.

- Nie wydaje mi się, żeby coś było nie tak - powiedziała Erin, obrzucając windę uważnym spojrzeniem i wchodząc do środka. - Po prostu ktoś został dłużej w pracy.

Nick nie skomentował jej słów, tylko w milczeniu stanął obok.

Na jego twarzy malowało się napięcie. Przez moment przemknęło jej przez myśli, że pewnie pod kurtką ma schowaną broń.

Nacisnęła przycisk drugiego piętra, drzwi zamknęły się z cichym dźwiękiem i winda powoli ruszyła w górę. Erin poczuła ucisk w żołądku.

Na drugim piętrze powitała ich ciemność. Przez chwilę Erin stała w milczeniu, wpatrując się w przytłumione światło lampy na końcu długiego korytarza, przy klatce schodowej. Nigdy nie zwróciła na to uwagi. Teraz panujący tu mrok budził dziwny lęk. Co się z nią dzieje? Tyle razy zostawała po godzinach, często do późnej nocy, i nawet przez myśl jej nie przeszło, że mogłaby się czegoś obawiać. Tym bardziej teraz, u boku policyjnego wywiadowcy, nie ma żadnego powodu do zdenerwowania. A jednak czuła na ramionach gęsią skórę.

Tuż przy windzie mieściła się otwarta część recepcyjna, gdzie urzędowała Gloria. Minęli jej biurko i ruszyli dalej. Gabinet Erin mieścił się w najdalszej części. Z każdym krokiem jej zdenerwowanie wzrastało. Gdy doszli do drzwi, niemal ogarnęła ją panika. A jeśli ktoś się włamał? Jeśli wyniósł archiwum z danymi? Jeśli zechce zrobić użytek z materiałów, które nie powinny się dostać w niepowołane ręce?

Nacisnęła klamkę i odetchnęła z ulgą. Drzwi były zamknięte. Włożyła klucz i przekręciła go. Sięgnęła do włącznika światła, automatycznie omiatając wzrokiem całe wnętrze.

Wszystko było w absolutnym porządku. Kartoteki na miejscu, szuflady nie tknięte. Błat biurka pusty, tak jak go zostawiła.

Zawsze, wychodząc do domu, chowała papiery, by nic nie zostało na wierzchu. Przez lata pracy wyrobiła w sobie taki nawyk.

- Wygląda dobrze - stwierdził Nick, obrzucając pomieszczenie uważnym spojrzeniem. - Chodźmy teraz do laboratorium. Warto je sprawdzić.

Skinęła głową.

- Dobrze. I tak miałam wziąć stamtąd parę rzeczy. Jestem pewna, że nic się nie stało. Drzwi będą zamknięte, tak jak te.

Popatrzył na nią sceptycznie, lecz nic nie powiedział. Widać tutejszy system zabezpieczeń nie wzbudził jego zaufania.

Erin powstrzymała się od komentarza. Nie warto teraz dyskutować, zwłaszcza o FAHIL. Ze wszystkich aspektów życia praca miała dla niej największe znaczenie, na tym gruncie czuła się najpewniej. Wiedziała, że

jest dobra, a jeśli ktoś miał jakieś zastrzeżenia, nie zamierzała się o to wyklócać.

Zjechali windą na dół. Tu też panował półmrok. Erin wyłączyła alarm i czujniki reagujące na ruch, postanawiając w duchu jak najszybciej wystąpić z wnioskiem o zainstalowanie mocniejszego oświetlenia.

Otworzyła drzwi laboratorium, weszli do środka. Nie od razu zapaliła światło. Chciała, by Nick zobaczył wewnątrz oświetlone jedynie awaryjnymi lampkami. Długie rzędy leżących na półkach czaszek, ledwie wyłaniających się z ciemności, naprawdę robiły wrażenie. Nie darmo Gloria tyle razy się zarzekała, że za żadne skarby nie weszłaby tu po ciemku. Erin to zawsze śmieszyło. Popatrzyła na Nicka. W półmroku ledwie majaczyła jego twarz. Bardziej czuła niż widziała, jak bardzo był spięty. Wymamrotał pod nosem coś, czego nie usłyszała, i głęboko westchnął.

- Słucham? - zapytała.

- Możesz zapalić światło? Czy może chcesz poopowiadać o duchach?

Erin zerknęła na niego z rozbawieniem, a potem nacisnęła przycisk.

- Chyba nie boisz się zjaw?

Wzdrygnął się, gdy jasne światło zalało pomieszczenie.

Popatrzył na Erin chłodno.

- Domyślam się, że twoje ulubione święto to Halloween. Co wtedy robisz? Może zamiast dyni dekorujesz te czaszki?

W jednej chwili rozbawienie ją opuściło.

- Nigdy bym tego nie zrobiła - powiedziała ostro.

-Szczątki, które badam, zawsze traktuję z szacunkiem. Pamiętam, że to byli ludzie, czyjaś siostra czy brat, czyjaś matka.

Popatrzył na nią z napięciem, przetrawiając w duchu jej słowa.

Przez długą chwilę nie przerywał ciszy. Dopiero po jakimś czasie odwrócił wzrok i rzekł cicho:

- Widzę, że dobrze trafiłem.

Nick dokładnie obejrzał drzwi prowadzące na zewnątrz.

- Mówisz, że otwierają się tylko od środka? Erin podeszła bliżej.

- Tak. Pierwotnie miało to być wyjście ewakuacyjne, ale odbieramy tędy przesyłki. Wychodzi na wewnętrzną alejkę.

- Chętnie bym je obejrzał z tamtej strony. Wzruszyła ramionami.

- Bardzo proszę. Podjedź tu, to załadujemy sprzęt. Wprowadziła kod i gestem pokazała, że można przejść.

Nick powoli odchylił masywne drzwi. Wychodząc, już na progu odwrócił się i popatrzył na Erin. Drzwi zamknęły się cicho.

Niechętnie zostawiał ją samą, choć wiedział, że w laboratorium była bardziej bezpieczna niż w większości miejsc w Chicago. No i dobrze się tu czuła. A jednak coś nie dawało mu spokoju. Dziś wieczorem zobaczył ją w innym świetle. Te rozpuszczone włosy, podkreślający figurę strój... Nieoczekiwanie ujrzał w niej atrakcyjną kobietę.

Potrząsnął głową, próbując odepchnąć od siebie obraz Erin, i zszedł po schodkach wychodzących na zaułek. Z jednej strony kończył się budynkiem

FAHIL, na wprost ograniczał go wysoki na prawie trzy metry mur. Samochodom dostawczym niełatwo stąd wyjechać, pomyślał mimo woli.

Mało przyjemne miejsce. Chłodne, wręcz kliniczne laboratorium też nie budziło miłych uczuć. No cóż, taka już jest specyfika tej pracy. Lecz trudno pogodzić się z myślą, że doczesne szczątki, i to szczątki osoby bardzo bliskiej, trafią na ten laboratoryjny stół i zajmie się nimi obcy człowiek.

Dobrze, że Erin okazała się odpowiednią osobą. Była całkowicie oddana swej pracy, a jednocześnie dyskretna i godna zaufania. Nie przez przypadek uznawano ją za wybitną specjalistkę. Sąd i ława przysięgłych na pewno nie zakwestionują jej opinii, jeśli więc potwierdzą się jego podejrzenia, Daniel O'Roarke zostanie oskarżony o zamordowanie Seana Gallaghery, ojca Nicka. I już się nie wymknie z celi śmierci.

Osiem lat temu postawiono mu zarzut brutalnego morderstwa, którego ofiarą padła Ashley Dallas, pasierbica Eda Dawsona. Piękna dziewczyna, w której kochał się Tony, młodszy brat Nicka. Do prowadzenia śledztwa Dawson wyznaczył Seana Gallaghery, najlepszego detektywa z wydziału. Sean aresztował zabójcę, a kilka tygodni potem zaginął bez wieści. Jego ciała nigdy nie odnaleziono. Nick ani przez moment nie wątpił, że za tym zniknięciem stał O'Roarke.

Po tych ludziach wszystkiego się można było spodziewać. Wiele lat temu William Gallagher i James O'Roarke wyemigrowali z Irlandii i przybyli do Stanów, gdzie ich drogi natychmiast się rozeszły. William zaczął pracować w policji, James został przestępcą. Łączyło ich tylko jedno - uczucie do Colleen, babci

Nicka. Była zaręczona z Jamesem, ale gdy prawda o jego kryminalnych poczynaniach wyszła na jaw, rzuciła go i została żoną Williama. Wtedy już wcześniej istniejąca między nimi rywalizacja jeszcze bardziej się zaostrzyła i z biegiem czasu stali się śmiertelnymi wrogami.

Wzajemna niechęć przechodziła z pokolenia na pokolenie.

O'Roarke'owie nadal prowadzili swoje ciemne interesy, Gallagherowie stali na straży prawa. Nic dziwnego, że przepaść między nimi stale się pogłębiała. Gdy Sean Gallagher przepadł bez wieści, Nick wypowiedział rodowi O'Roarke'ów otwartą wojnę.

Daniel został oskarżony o morderstwo Ashley i skazany na karę śmierci. Od tamtej pory armia prawników wynajętych przez jego ojca stawiała na głowie, by wyciągnąć go z za krat. Wnosili kolejne apelacje, odwoływali się od wyroku. Ponosili porażkę za porażką aż do momentu, gdy kilka miesięcy temu sprawa nieoczekiwanie przybrała inny obrót. Na światło dzienne wydostały się nieznane szczegóły ze śledztwa. Podobno niektóre zebrane przez policję dowody przemawiające na korzyść oskarżonego nie trafiły do sądu. I podobno stał za tym Sean Gallagher i Ed Dawson.

Do akcji wkroczyli najlepsi prawnicy, włączyły się media. Tym razem adwokaci mieli potężne argumenty i wiele wskazywało, że uda się zakwestionować wcześniejszy wyrok. Jeśli wygrają, Daniel O'Roarke wyjdzie na wolność. Ogromne pieniądze i wpływy potrafią wiele zdziałać, dlatego uwolnienie Daniela jest nie tylko możliwe, ale bardzo prawdopodobne.

To, co się potem działo, było dla Nicka nie do zniesienia. Gazety rozpisywały się na temat procesu

i uchybień, ogromne zdjęcia Daniela tygodniami wisały na billboardach. Natchnione panienki żarliwie błagały sąd, by wypuścił na wolność niewinnie oskarżonego. O'Roarke miał nawet swoją stronę w Internecie, założoną przez jedną z jego najzagorzalszych wielbicielek, uparcie zapewniającą, że oboje bezgranicznie się kochają.

Reakcja tłumów napełniała Nicka goryczą. Nikt ani przez chwilę nie pomyślał o tym, co czują rodziny ofiar. Nikt nie zastanawiał się, jak przyjmą fakt uwolnienia domniemanego mordercy swoich bliskich, jak zdołają pogodzić się ze świadomością, że ten, kto odebrał komuś życie, znów jest na wolności i znowu może zabijać. Nawet jeśli jakieś dowody nie weszły do oficjalnego protokołu, to przecież proces sądowy udowodnił winę oskarżonego. Sąd wydał prawomocny wyrok.

Jeszcze nigdy nie czuł się tak bezradny. Jak oczekiwać sprawiedliwości, skoro system prawny jest niedoskonały? I nagle ten telefon od szeryfa z Wisconsin z informacją o odnalezieniu nie zidentyfikowanych szczątków w pobliżu letniego domku Gallagherów. Tam ojciec pojechał na ryby i przepadł bez wieści. Ten telefon to prawdziwe zrzączenie losu, znak boży. Jeśli okaże się, że znaleziono to, co pozostało z jego ojca, oraz jeśli zdoła udowodnić, że Sean został zamordowany, wówczas śledztwo przeciwko Danielowi wkroczy na nowe tory, a droga na wolność nie będzie już taka prosta.

Po ośmiu długich latach może wreszcie nadejdzie sprawiedliwość. Dla Seana Gallaghery. I dla Nicka.

W przeciwieństwie do wielu osób, które sporadycznie przychodziły do laboratorium, Erin nigdy nie czuła się tu nieswojo. Przywykła do chłodnego, nawet odstręczającego otoczenia, zresztą pochłonięta pracą nie zwracała uwagi na tę odhumanizowaną atmosferę. Dopiero rozmowa z Nickiem otworzyła jej oczy i obudziła w niej czujność.

Już przy wejściu do głównego budynku, gdy nieoczekiwanie zastali otwarte drzwi, ogarnął ją ledwie odczuwalny niepokój. Teraz, stojąc w pustym laboratorium, jeszcze mocniej uświadamiała sobie swoją samotność. Poczwała ciarki na plecach. Dobrze ci tak, zgromiła się w duchu. To kara, że chciałaś nastraszyć tego nieboraka. Wprawdzie nie wygląda na strachliwego faceta, jednak ciemność panująca w laboratorium trochę go zmroziła. Zresztą wcale się z tym nie krył. Tym ją ujął. Nie kreował się na bohaterskiego macho, jak większość policjantów, z jakimi miała okazję się zetknąć. Ale też nie musiał na nic się silić. Ma dość wewnętrznej siły i wiary w siebie, by niczego nie udawać. Takie rzeczy od razu się wyczuwa. Prawdę mówiąc, jest bardzo interesującym mężczyzną, rzadko się takich spotyka.

Opamiętała się. Nie miejsce i pora, by roztrząsać jego zalety. Powinna przygotować sprzęt do jutrzejszej ekshumacji. Sięgnęła po szpadel.

Zajęta pakowaniem, w pierwszej chwili puściła mimo uszu ten cichy dźwięk, dopiero po jakimś czasie uzmysłowiła sobie, że coś jest nie tak. Serce jej zamarło. Czyżby tu jeszcze ktoś był?

Poczwała, że włosy stają jej dęba.

Nie odwróciła się od razu; przez kilka sekund

próbowała określić, co to za dźwięk i skąd dochodzi. Grube ściany i masywne drzwi w zasadzie niczego nie przepuszczały, ale już wcześniej zdarzało się, że gdy wokół panowała absolutna cisza, do środka przenikały odległe odgłosy. Czasami dochodził ledwie słyszalny dźwięk zjeżdżającej na dół windy.

Początkowo kładła to na karb wyobraźni, ale potem przekonała się, że rzeczywiście słuch jej nie zawodzi, bo na progu zawsze ktoś się pojawiał: Gloria, ktoś z personelu, jakiś petent. Z czasem przyzwyczała się i korzystała z tego systemu wczesnego ostrzegania. Uznała, że albo ma wyjątkowo dobry słuch, albo wentylacja przenosi i wzmacnia odgłosy z korytarza. Jeśli naprawdę tak było, to poza nią nikt tego nie spostrzegł, choć z drugiej strony mało kto pracował tu samotnie...

Znów rozległ się ten daleki dźwięk. Erin odwróciła się. Nie wiedziała, czego się spodziewać. Nastawiła uszu. Szczątki 00-03 w milczeniu leżały na stole. Czaszki na półkach szczyrzyły zęby. Ten widok, do którego dawno przywykła, działał niemal uspokajająco. Drzwi do pomieszczenia z rentgenem były szczelnie zamknięte. Właściwie nie działo się nic, co mogłoby budzić niepokój. Nagle znów usłyszała niemal nieuchwytny odgłos jadącej windy. Po tym, jak razem z Nickiem zjechała do laboratorium, ktoś musiał ściągnąć ją na drugie piętro, a teraz zjeżdżał na dół.

To musi być ktoś z personelu, bo nikt inny nie ma klucza do laboratorium. Ta świadomość powinna ją uspokoić, jednak tak nie było. Nikt o tej porze już tu nie pracował. A jeśli nawet ktoś chciał dłużej zostać, to zgodnie z procedurą powinien wcześniej zgłosić swój

zamiar. Skoro więc ktoś próbował się tu dostać, robił to bez pozwolenia.

W pierwszym odruchu chciała przyłapać nieproszonego gościa na gorącym uczynku, lecz zaraz potem przypomniała sobie ostrzeżenia Nicka. „Może nie patrzy pani w ten sposób, lecz w laboratorium leżą szczątki zamordowanej kobiety. Jej identyfikacja może być komuś bardzo nie na rękę”.

Popatrzyła na drzwi i dopiero teraz zdała sobie sprawę, że zamek jest otwarty, a wychodząc z windy, wyłączyła alarm i czujniki reagujące na ruch w korytarzu i w laboratorium. Jeśli w windzie znajduje się ktoś, kto ma nieczyste zamiary, może grozić jej prawdziwe niebezpieczeństwo.

Ze szpadlem w ręku pobiegła do drzwi i pośpiesznie opuściła ciężki rygiel. Przytknęła twarz do okienka umieszczonego w metalowym skrzydle. Nie widziała stąd windy, ale cichy dźwięk już nie dochodził, czyli winda prawdopodobnie zjechała do piwnicy. Ktoś już z niej wyszedł i wpatruje się w pograżony w ciemności korytarz, czekając, aż Erin otworzy drzwi...

Po drugiej stronie szybki zamajaczyła jakaś twarz. Poczowała, że serce podchodzi jej do gardła. Krzyknęła i odskoczyła gwałtownie. Za drzwiami rozległ się cichy okrzyk i w tej samej chwili twarz znikła.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Mogłeś uprzedzić, że zamierzasz ściągnąć na dół ochroniarza - wymamrotała Erin, gdy już zapakowali do bagażnika przygotowany sprzęt i ruszyli na północ szeroką aleją Lake Shore Drive, biegnącą wzdłuż jeziora Michigan. W nocnym mroku jarzyły się tysiące świateł, wyznaczając brzeg i odbijając się w ciemnej, połyskliwej tafli wody. Chłodny wiatr znad jeziora, niosący daleką zapowiedź ulewnej burzy, przeganiał strzępiaste chmury. Spowity delikatną, mglistą koronką rogal księżycy jaśniał bladym światłem. Noc była chłodna i cicha.

Erin odwróciła się, popatrzyła na siedzącego obok Nicka.

- Omal nie dostałam zawału - powiedziała ze złością - gdy zobaczyłam za szybą twarz Ralpha.

Nick uśmiechnął się.

- No nie, doktor Casey! - odparł z udanym zdumieniem. - Przestraszyć się we własnym laboratorium?

- Dobrze już - powiedziała znacznie spokojniej. - Dostałam nauczkę, pewnie mi się należało. Tylko

trzeba było pomyśleć o Ralphie. Nie zauważyłeś, że biedak nie jest najlepszego zdrowia?

Pracujący w FAHIL strażnik miał dobre trzydzieści kilo nadwagi i wielkie zamiłowanie do batoników oraz nafaszerowanych kofeiną słodkich napojów. Erin wiedziała, że w ten sposób ratował się przed morzącym go snem. Kiedyś przyłapała go, gdy spał przy biurku Glorii, z nogami wyciągniętymi na blacie. Chrapał, aż miło. Nie obudziło go nawet głośne trzaśnięcie wsuwanej szuflady.

Lubiła go i wiedziała, że zależy mu na posadzie. Wtedy tylko nim potrząsnęła, by go obudzić. Zresztą w głębi duszy była przeświadczona, że świetnie by się obeszli bez ochroniarza. Jest dobry alarm, więc po co przesadzać. Dopiero teraz zaczynało do niej docierać, że gdy zostawała po godzinach, wcale nie była bezpieczna. System alarmowy wyłączony, czujniki ruchu też. Gdyby ktoś wsiadł do windy na drugim piętrze i zjechał na dół... Wzdrygnęła się, wołała o tym nie myśleć. Musi bardziej dbać o bezpieczeństwo, porozmawia też z Ralphem i uczuli go na te sprawy. Oczywiście, jeśli po dzisiejszym incydencie biedak nie zrezygnuje z pracy.

Jakby czytając w jej myślach, Nick popatrzył na nią uważnie, bez śladu poprzedniego rozbawienia.

- Nieważne, w jakiej jest formie. Ma konkretną pracę i określone obowiązki, a to w pierwszej kolejności oznacza, że powinien pilnować, czy są zamknięte drzwi, a także stale zachowywać czujność.

Była pewna, że Ralphowi nieźle dostało się od Nicka. Ralph był porządnym facetem, niestety niezbyt lotnym. Dałaby głowę, że nie chciał źle, tylko tak wyszło.

- Nic się nie stało - powiedziała pośpiesznie.
- Sprawdziliście budynek i wszystko było w porządku. Nie ma się czym przejmować.

W ciemności zobaczyła jego ściągnięty profil. Było jasne, że Nick miał zupełnie inne zdanie w tej sprawie. Westchnęła.

- Detektywie Gallagher... Nick - poprawiła się.
- Zdaję sobie sprawę, że dla ciebie względy bezpieczeństwa odgrywają ogromną rolę, ale tu nigdy nie zdarzyło się nic niepokojącego.

Zerknął na nią z ukosa.

- Laboratorium zostało uruchomione dopiero rok temu, i to dzięki funduszom anonimowego sponsora, a ty pracujesz tutaj zaledwie dwa miesiące. Myślę, że w tej sytuacji nie powinnaś wyciągać zbyt daleko idących wniosków.

Erin buńczucznie uniosła brodę.

- To prawda, zapominasz jednak, że zanim przeszłam do FAHIL, pracowałam w jednym z najlepszych ośrodków tego typu, i naprawdę znam się na swojej robocie.

Coś w jej tonie go poruszyło.

- Ani przez chwilę w to nie wątpiłem. Wiem, że jesteś doskonałym fachowcem, ale ja również znam się na swojej pracy. Być może jestem przeczulony na punkcie bezpieczeństwa, ale wolę być przesadnie ostrożny, niż potem żałować. Uważasz, że nie mam racji?

Nie odpowiedziała. Zamiast tego popatrzyła na niego badawczo, zastanawiając się w duchu, co przed nią ukrywa. Wjechali właśnie na autostradę. Mimo późnej pory panował spory ruch.

- Wracając do szkieletu, który znalazłeś... - zaczęła.
- To nie ja go znalazłem - przerwał jej raptownie, wyraźnie poruszony.
- No tak, jakiś myśliwy. - Umilkła. - Ciągle mam wrażenie, że nie mówisz mi wszystkiego.

Nick zerknął w tylne lusterko.

- Już raz to mówiłaś.
 - A ty nie odpowiedziałeś. Chciałabym wiedzieć, w co się pakuję.
- Nick gwałtownie zahamował i zjechał na pobocze. Przez chwilę siedział nieruchomo, niewidzącym wzrokiem wpatrując się w szosę przed sobą. Wreszcie przyznał:

- Masz rację. Nie powiedziałem ci wszystkiego...
- Chciała mu przerwać, lecz nie pozwolił jej na to.
- I nie powiem - zakończył ponuro.
- Ale gdybym wiedziała coś więcej, byłoby mi łatwiej...
- Zależy mi - przerwał jej - by twoja opinia była całkowicie obiektywna.
- Moje opinie zawsze są takie - powiedziała ostro. Mimo ciemności spostrzegła, jak bardzo Nick był poruszony tą rozmową.

- Wiem o tym, dlatego poprosiłem cię o pomoc, jednak z ważnych powodów nie mogę ci nic więcej powiedzieć.

Potrzebujemy absolutnie bezstronnego eksperta. Erin, zrozum, to ma kluczowe znaczenie dla sprawy.

Dopiero teraz pojęła, o co w tym wszystkim chodzi.

- Zbierasz dowody - rzekła powoli. - Chcesz kogoś postawić w stan oskarżenia. Kogoś, kto ma pieniądze i wpływy.

- Nie myśl o tym, po prostu zrób swoje. - Ich spojrzenia na moment się spotkały i w tej krótkiej chwili coś niezwykłego wydarzyło się między nimi. Nick, jakby wbrew sobie, odwrócił głowę i powiedział: - Usiądź wygodnie i spróbuj odpocząć. Przed nami daleka droga.

Znów pomknęli autostradą. Erin próbowała pójść za radą Nicka, lecz szybko zrozumiała, że nic z tego nie będzie. Zbyt była świadoma jego obecności. Był tak blisko, że wystarczyło tylko wyciągnąć rękę, by go dotknąć... Co dziwne, ta możliwość wydawała się jej bardzo kusząca. Nawet nie pamiętała, kiedy ostatni raz była na randce, nie mówiąc już o czasach, gdy całowała się z kimś cudownym i upragnionym.

Ukradkiem zerknęła na Gallaghera. Czas najwyższy, żeby to zmienić, pomyślała.

Burza jeszcze nie nadeszła, lecz poranne niebo było zasnuwane ciężkimi chmurami. W powietrzu czuło się nadchodzący deszcz. Synoptycy zapowiadali, że gwałtowna ulewa nadejdzie dopiero za kilka godzin. Nick modlił się, by ta prognoza sprawdziła się. Noc spędzili w przydrożnym motelu kilkanaście kilometrów za Milwaukee. Oczywiście wzięli oddzielne pokoje, lecz ciągle mieli świadomość swojej obecności, bo przez cienkie ściany słychać było wszelkie odgłosy. Nick, wyciągnięty na łóżku, wsłuchiwał się w szum wody z prysznicą. I choć jego umysł zdawał się być całkowicie zaprzątnięty jutrzejszą akcją, wyobraźnia popchnęła myśli w zupełnie innym kierunku. Widział Erin stojącą pod strumieniem gorącej wody... mokre włosy opadają jej na plecy, a on podchodzi

do niej i odgarnia wilgotne pasma... muska ustami jej szyję, potem chwytą ją w ramiona i niesie do sypialni...

Te obrazy, coraz bardziej gorące i zmysłowe, zdumiewały go i jednocześnie ekscytowały. Zgasił lampę, otulił się kołdrą i spróbował czymś innym zająć swe myśli. Wreszcie ochłonał. Zaczynał już zasypiać, gdy zza ściany dobiegło go skrzypnięcie materaca. Pewnie Erin właśnie się położyła. Naraz usłyszał jej cichy głos:

- Dobranoc, Nick.

Śpiewny południowy akcent miał w sobie ujmującą łagodność i miękkość. Nick poruszył się niespokojnie. Nieoczekiwanie uświadomił sobie, że już od dawna spędzał noce samotnie.

Pomyślał o Erin. Zamknął oczy, ale sen nie przychodził. A kiedy wreszcie usnął, zaczął śnić o pewnej pani antropolog.

- Nick?

Jej głos wyrwał go z rozmarzenia. Był tak pochłonięty wspomnianiem wczorajszej nocy, że w pierwszej chwili nie mógł się otrząsnąć. Znowu siedzieli w samochodzie. Erin delikatnie musnęła jego ramię. Ten dotyk niemal go poraził.

Popatrzył na nią badawczo. Wyglądała na wypoczętą. Widać miała za sobą spokojną noc, czyli odwrotnie niż on.

Była w dżinsach i ciężkich roboczych butach. Spod grubej flanelowej koszuli wyglądał biały bawełniany podkoszulek.

Włosy zczesaa do tyłu i splotła w warkocz. Twarz miała poważną i skupioną.

- Jak sądzisz, ile mamy czasu? - zapytała. - Żeby tylko zdążyć przed deszczem.

- Nie za dużo - wymamrotał, kalkulując w duchu,

czy mogą sobie pozwolić na krótki postój, by napić się kawy. Jechali teraz wąską, obramowaną drzewami wyboistą drogą. Splecione gałęzie tworzyły nad nimi ciemne sklepienie. Nick włączył światła. Spod kół pryskał żwir, a za nimi wzbijały się tumany kurzu.

Przejechali tak kilkanaście kilometrów i zatrzymali się przy zaparkowanych na poboczu dwóch radiowozach.

- Chata jest niedaleko stąd. - Nick wskazał ręką zarośla. - Tam się spotkamy z szeryfem.

- Czyj to domek?

Zawahał się. Nie był przekonany, czy powinien powiedzieć jej prawdę. Wzruszył ramionami.

- Znam właścicieli tej chaty. Śmiało możemy z niej skorzystać. Wysiedli i wyładowali sprzęt. Nick ruszył pierwszy ścieżką, która wiła się między drzewami.

Las, znieruchomiały w oczekiwaniu nadchodzącej burzy, wydawał się nieprzyjazny i obcy. Nick wmawiał sobie, że to przez tę pogodę czuje się podminowany, lecz prawda była inna. Wiedział, że uspokoi się dopiero wtedy, gdy szkielet zostanie wydobyty, zidentyfikowany i pochowany. Jeśli oczywiście okaże się, że to rzeczywiście są szczątki ojca, którego od lat bezskutecznie próbował odnaleźć i w którego śmierć uwierzy dopiero wówczas, gdy odnajdzie jego ciało. Nawet nie mogli go pożegnać, wyprawić mu uroczystego pogrzebu. O'Roarke odebrał im nawet to.

Popatrzył na Erin, a ona odwzajemniła spojrzenie, jakby chcąc dodać mu otuchy. Może naprawdę czytała w jego myślach?

Szeryf i drugi policjant czekali na ganku niewielkiego domku. Gallagherowie mieli tę działkę od dawna, ojciec uwielbiał przyjeżdżać tu na ryby. Osiem lat temu zrobił to po raz ostatni i po prostu znikł.

W początkowym okresie, tuż po jego zaginięciu, Nick często tu przyjeżdżał. Nocował w domku, a potem chodził po lesie, szukając czegoś, co mogłoby naprowadzić go na jakiś ślad. Od jakiegoś czasu bywał tu rzadziej, ale nigdy się nie poddał. Zaprzyjaźnił się z miejscowym szeryfem. Roy Glass, mężczyzna w średnim wieku i z niewielkim brzuszkiem, okazał się świetnym kompanem. Jego brązowe oczy często skrzyły się humorem. Wielokrotnie towarzyszył Nickowi w jego wędrówkach po lesie, a gdy natrafiono na tajemnicze szczątki, natychmiast go o tym powiadomił. Domyślał się, jak ważne może okazać się to znalezisko.

Gdy Erin i Nick wynurzyli się z zarośli, policjanci palili papierosy i popijali kawę ze styropianowych kubeczków. Na widok przybyszy przerwali rozmowę.

Roy przydeptał papierosa i zszedł po drewnianych schodkach, by się przywitać.

- Cześć, Nick.

- Cześć, Roy. Poznaj doktor Casey, mówiłem ci o niej. Jest antropologiem i biegłym sądowym. Erin, to Roy Glass, tutejszy szeryf.

- Miło mi poznać panią - powiedział Roy.

- Również się cieszę, szeryfie Glass.

- Proszę mi mówić Roy. Tu nie jesteśmy tacy oficjalni.

- Jestem Erin. - Uśmiechnęła się i podała mu rękę. Szeryf odwrócił się w stronę domku.

- To Clive Avery - powiedział, przedstawiając towarzyszącego mu policjanta.

Avery skinął głową i odwrócił się bez słowa. Mrużąc oczy, popatrzył w niebo. Wysoki, dobrze zbudowany, jasny blondyn o zielonych oczach i nieco zbyt pełnych ustach. Gdyby nie słabo zarysowana linia szczęki, byłby wyjątkowo przystojny, choć i tak na pewno bardzo podobał się wielu kobietom.

Erin natychmiast poczuła do niego antypatię. Może dlatego, że zachowywał się wobec niej z ostentacyjną obojętnością? A może z powodu niemal namacalnej wrogości wobec Nicka? No cóż, wielkomięski detektyw wtrącał się w jego sprawę i usuwał go w cień. Zapewne o to chodziło.

Ruszyli leśną ścieżką. Avery, jakby chcąc podkreślić swoją pozycję, wysunął się na prowadzenie. Po jakimś czasie zaczęli schodzić w dół niewielkiego wąwozu. Drzewa i krzewy gęstniały, tworząc zieloną masę. Gałęzie uderzały po twarzach, czepiały się włosów. Ze starannie zaplecionej warkocza Erin wyszarpnęły kilka kosmyków.

Powietrze było przesycone niezwykle mocnym zapachem wilgotnej, pełnej rozkładających się resztek ziemi. Ten zapach miał w sobie pewien powab. Idący przed Erin Nick machnął ręką, odganiając owada. Przytrzymał gałąź i czekał, aż Erin podejdzie. Na chwilę ich spojrzenia się spotkały. Mimo panującego w gęstwinie zielonkawego półmroku, w jego oczach dostrzegła nerwowe napięcie. Przypomniała sobie wczorajszą rozmowę. Zależy mu na absolutnie bezstronnej ocenie. Najmniejszych przesłanek, nic, co mogłoby ją naprowadzić na konkretny trop. Jest dosko-

nale zorganizowany i dobrze wie, czego chce. Napięcie i nerwowy niepokój z jednej strony, lecz z drugiej chłodny, skoncentrowany umysł. Nie spocznie, póki nie dopnie swego, czyli nie znajdzie wystarczających dowodów, by wnieść oskarżenie. Wzdrygnęła się w duchu. Nie chciałyby znaleźć się na miejscu przestępcy, którego ten detektyw zamierza dopaść. Znowu ogarnęło ją nieprzyjemne uczucie, jakiego już doświadczyła w laboratorium, gdy zdała sobie sprawę z zagrożenia. Otaczające ich zarośla nagle wydały się jej odpychające i ponure, zapach gnijących liści, który jeszcze przed chwilą wprawiał ją w uniesienie, teraz nabrał symbolicznego znaczenia. Próbowwała zdusić w sobie rosnący niepokój, jednak lęk nadal w niej tkwił. Ruszyła do przodu, mimowolnie zastanawiając się, jakie tajemnice kryje otaczająca ją gęstwina. Po dziesięciu minutach znaleźli się na dnie parowu, a zaraz potem wyszli na okrągłą polankę otoczoną kłębowiskiem jeżyn i krzewów. Pełniący straż policjant podskoczył, gdy usłyszał zbliżające się kroki. Erin dostrzegła niepokój malujący się na jego twarzy. Dopiero gdy chłopak zorientował się, że to ludzie, i do tego żywi, nieco ochłonął.

Sądząc po zjadliwej uwadze Avery'ego o telefonie stawiającym policję na nogi w środku nocy, młody policjant był tutaj od wczoraj.

Chłopak splonął rumieńcem.

- Ktoś tu się skradał - rzekł z przekonaniem, wskazując na zarośla. - Przysięgam, że ktoś tu był.

- Uhm - mruknął Avery. - Z rogami i na czterech nogach.

Zadowolony z własnego żartu, zaśmiał się głośno, ale Nick nie podzielił jego wesołości.

- Skąd pewność, że to był jelenź? - zapytał ostro. Avery przestał się śmiać i spiorunował Nicka ostrym spojrzeniem.

- To ja musiałem zrywać się z łóżka i jak niańka przyjeźdźać tutaj, bo Jamie się wystraszył i podniósł alarm, że ktoś go śledzi. Widziałem tropy. To był jelenź - dokończył gniewnie, spoglądając na Nicka spode łba.

Roy Glass klepnął Jamie'ego po ramieniu i uśmiechnął się szeroko.

- Niedaleko jest miejsce, gdzie zwierzęta przychodzą lizać sól. Możliwe, że to był jelenź, ale ty, synu, dobrze zrobiłeś - rzekł życzliwie do speszonego policjanta. Jamie wzruszył ramionami. Twarz mu ciągle płonęła. - Lepiej dmuchać na zimne niż być mądrym po szkodzie - dodał Roy.

Dokładnie to samo powiedział wczoraj Nick, przypomniała sobie Erin, podnosząc wzrok. Nick patrzył na Avery'ego i sądząc po jego minie, domyślała się, że ma do niego podobny stosunek jak ona. Napięcie między nimi było wyraźnie wyczuwalne. Nie dość, że nadciągała burza, to jeszcze ta nieprzyjemna atmosfera, pomyślała Erin. Nieźle się zapowiada.

Odezwała się po raz pierwszy, odkąd opuścili domek:

- Zaczynajmy. Deszcz może spaść w każdej chwili.

Jej głos złagodził panujące w grupie napięcie. Mężczyźni z nie skrywaną ciekawością patrzyli, jak Erin metodycznie wyjmuje przyniesiony sprzęt. Gdy jednak zaczęła wyznaczać granice stanowiska, ich fascynacja zmieniła się w niepokój, a biedny Jamie ledwie krył przerażenie.

Nick w skupieniu przyglądał się pochłoniętej pracą Erin. Każdy jej ruch był dokładny i przemyślany. Doktor Casey naprawdę znała się na swoim fachu. To go uspokajało. Koncentrował się na tym, co robiła, starał się jednak nie myśleć, do jakich wniosków wkrótce dojdzie... Zbyt mocno wmówił sobie, że wreszcie odnalazł ciało ojca, który padł ofiarą brutalnego morderstwa. A potem jego zwłoki ukryto...

Czerwona mgła przesłoniła mu oczy, na moment przestał widzieć Erin i wszystko, co go otaczało. Zapieklą złość ogarnęła go jak spieniona fala. Zupełnie nieoczekiwanie usłyszał głos Seana:

- Synu, musisz nauczyć się panować nad sobą. Musisz kontrolować gniew i złość. Bo jeśli nie, to one zaczną w końcu tobą rządzić.

Tej rady ojciec udzielił mu przed laty. Nick był wtedy w liceum. W czasie szkolnego meczu pobił się z zawodnikiem przeciwnej drużyny, obaj zostali wykluczeni z gry, a zespół Nicka przegrał. Sean domyślił się, że Nick nie zamierza na tym poprzestać i chce dokończyć walkę. Niemal siłą skłonił go do powrotu do domu. Zapowiadała się porządna kara, lecz zamiast tego ojciec opowiedział mu historię odwiecznej niechęci między Gallagherami i O'Roarke'ami.

- Czy wiesz, co leży u podstaw tej wojny, co różni nas od ludzi takich jak oni? - zapytał Sean.

Nick wzruszył ramionami. Nie obchodziły go teraz stare dzieje, myślał tylko o jednym: jak pomścić przegrany mecz.

Ojciec zmierzył go uważnym spojrzeniem.

- Wierzymy w zupełnie inne wartości niż oni. Jesteśmy porządnymi ludźmi. Mamy poczucie dobra

i zła, staramy się panować nad własnymi emocjami i czynić to, co należy. Zawsze kierować się dobrem. To czasem znaczy, że trzeba się wycofać, nie podejmować walki. Jeśli się tego nie nauczysz, nie będziesz wart więcej niż najbliższy z O'Roarke'ów.

Teraz, po latach, zrozumiał, że nie wziął sobie do serca przemowy ojca, przynajmniej nie w takim stopniu jak powinien. Ileż to razy nie potrafił zapanować nad złością i gniewem, zwłaszcza gdy miało to związek z rodziną O'Roarke'ów.

Traktował ich jak śmiertelnych wrogów, a po zaginięciu Seana jego niechęć jeszcze się nasiliła. Zrobiłby niemal wszystko, by ich pognać.

Spojrzał na leżący w płytkim grobie szkielet, jeszcze częściowo przysypany ziemią. Ogarnęło go przytłaczające poczucie smutku. Jak powie o tym braciom i siostrze? Fiona tyle ostatnio przeszła. Miała za sobą nieudany, niszczący związek, teraz powoli układała sobie życie od początku. Jak zniesie wiadomość o odnalezieniu zwłok ojca?

A Tony, najmłodszy z rodzeństwa? Raczej się nie załamie. Ma teraz Eve, porządną dziewczynę, która świetnie na niego wpływa i potrafi okiełznać ciemne strony jego duszy.

O Johna może się nie martwić. Najstarszy z braci najszybciej pogodził się ze zniknięciem ojca. Raz nawet mu się wyrwało, że może Sean miał dość dotychczasowego życia i po prostu odszedł w siną dal. Nick nigdy mu tego nie wybaczył i od tamtej pory rozdzwięk między nimi jeszcze bardziej się pogłębił. Nie mógł nie na to poradzić, to było silniejsze od niego. Nie pomagała nawet świadomość, że mama nad tym boleje.

O mamę bał się najbardziej. Jak ona zareaguje? Jej

związek z ojcem należał do burzliwych, jednak ani przez chwilę Nick nie wątpił w uczucie łączące rodziców. Choć od zaginięcia Seana minęło osiem lat, mama nadal była sama. Mimo że wielu mężczyzn interesowało się nią, nie związała się z nikim. Nick uważał, że pozostała wierna ojcu, co dowodziło ich miłości. Otrząsnął się. Czas wrócić do rzeczywistości. Znow zaczął obserwować Erin. Właśnie dokonywała jakichś obliczeń na wyznaczonym wcześniej prostokątnym kawałku ziemi wokół znaleziska. Robiła to z wielką dokładnością, niczym filmowy Indiana Jones. Przypomniawszy sobie, że ta fikcyjna postać zainspirowała ją, wpłynęła na jej życie. Tyle że teraz nie była w kinie, tylko sama kreowała jedną z głównych ról w jak najbardziej realnie działającym się dramacie...

- Określam współrzędne - odezwała się, jakby odpowiadając na pytanie, którego nie zadał.

Miękkie brzmienie jej głosu działało kojąco na napięte nerwy. Poczł, że powoli spływa na niego spokój. Pozostało jedynie to dziwne uczucie, że Erin potrafi przeniknąć jego myśli.

Jamie Duncan, wyposażony w przywieziony przez Erin specjalny aparat fotograficzny, obchodził miejsce ekshumacji i robił dziesiątki zdjęć.

Erin każdemu wyznaczyła zajęcie: Nick i Roy Glass przesiewali przez sito materiał zebrany z wykopu, Avery'emu przypadło wynoszenie wiader z ziemią, w związku z czym wręcz buchał złością, co od razu zauważył Nick. Najtrudniejszą część pracy Erin wzięła na siebie: klęcząc, ostrożnie usuwała szpadlem warstwę po warstwie, a czasami, by nie poruszyć kości, sięgała po łyżeczkę, którą pedantycznie wybierała małe porcje

ziemi. Mijały godziny, a ona cierpliwie i bez śladu zmęczenia ślęczała nad wykopem. Jej oddanie budziło szczerzy podziw. Nick miał dodatkowe powody, by to docenić.

Zbierające się od wczesnego rana chmury wisiały coraz niżej. Niebo przybrało barwę ołowiu.

Erin zdawała się nie zwracać uwagi na pogodę. Pochłonięta kopaniem, nie patrzyła w górę. Wreszcie po paru godzinach wyprostowała się i wyciągnęła ręce. Rozejrzała się wokół.

- Gdzie Avery? - zapytała.

- Poszedł po kanapki i picie - wyjaśnił Roy. Kręgosłup miał sztywny od pochylania się nad sitem. - Może nie zauważyłaś, ale najwyższa pora na lunch.

- To już jest tak późno? - zdziwiła się.

Nick podszedł bliżej. Starał się nie patrzeć na szkielet.

- Zawsze taka jesteś?

- Jaka?

- Taka... spokojna. Erin uśmiechnęła się.

- Chyba tak. Przepraszam.

- Nie masz za co przepraszać. Robisz to, o co mi chodziło.

Skinęła głową.

- Najgorsze już za nami. Zróbmy sobie przerwę. - Popatrzyła na detektywa. - Czy w domku jest łazienka? Chętnie bym się odświeżyła - powiedziała taktownie.

- Pójdę z tobą.

- Dzięki, nie ma potrzeby. Mam dobrą orientację w terenie.

- Jeśli Clive jeszcze tam jest, każ mu poczekać i niech przyjdzie z tobą - rzucił Roy, masując zbolące lędźwie.

Nie odpowiedziała, ale jej spojrzenie było wystarczająco wymowne. Nie miała najmniejszej ochoty na takie towarzystwo. Ani trochę...

Nie wiadomo dlaczego, Nick od razu poczuł się lepiej. A nie powinien.

Gdy wynurzyła się z zarośli, Avery stał na ganku i rozmawiał przez komórkę. Na widok Erin pośpiesznie się rozłączył i wsunął telefon do kieszeni.

- Dzwoniłem na posterunek - wymruczał, gdy Erin zaczęła wchodzić po schodkach. - Prawie wszędzie leje. Mieliśmy szczęście, że tu jeszcze jest sucho.

- To prawda - przyznała uprzejmie, choć w głębi duszy była przeświadczona, że Avery wcale nie dzwonił na policję. Znała się nie tylko na kościach, ale i na ludziach. W sposobie bycia Avery'ego od samego początku było coś, co obudziło jej czujność. Rzadko myliła się w takich sprawach.

- Pierwsze drzwi po lewej - powiedział, gdy przestąpiła próg domku. - Od razu zobaczysz.

Zerknęła na niego przez ramię. Widząc to, uśmiechnął się z przymusem, lecz jego oczy miały nieprzyjemny, chłodny wyraz. Facet niby przystojny, a ma taki paskudny charakter, pomyślała. Szkoda. Mimowolnie nasunęła się jej analogia do Eda Dawsona, komendanta policji. Wzdrygnęła się. Weszła do domku.

Miała nadzieję, że gdy wyjdzie z łazienki, Avery'ego już nie będzie, jednak spotkało ją rozczarowanie. Wyraźnie na nią czekał, choć nie miała pojęcia dlaczego. Dałaby głowę, że nie chodziło o rywalizację z Nickiem czy też po prostu o nią. Z całą pewnością nie była w jego typie.

- Jak taka praca może podobać się komuś takiemu jak ty? -
Przełożył do drugiej ręki torbę z kanapkami i butelkami. - Nigdy nie masz oporów? To cię zupełnie nie rusza?

- Jesteś policjantem - odparła. - Chyba mi nie powiesz, że robi ci się niedobrze na widok paru kości.

- Jasne, że nie. Ale przez tyle godzin wykopywać ludzkie szczątki... To raczej nie jest zajęcie dla kobiet, nie uważasz? Arogancki i szowinistyczny samiec. Super. Wprost przepadała za takimi typkami... Gwałtownie odciągnęła gałąź zagrażającą jej przejście.

- Masz już jakieś przypuszczenia, czyje to zwłoki? - zapytał niby od niechcienia, lecz w jego tonie zabrzmiała dziwna nuta. Erin zdwoiła czujność, starając się przemóc nieokreślony lęk. Czyżby po to na nią czekał, by ją teraz przycisnąć?

- Póki nie przeprowadzę dokładnych badań, nie mogę powiedzieć nic wiążącego - odrzekła wymijająco.

- Na pewno masz wstępne podejrzenia. Przecież Gallagher musiał ci coś powiedzieć, dać jakiś punkt zaczepienia. Inaczej byś tu nie przyjechała.

- Jestem tu, bo taką mam pracę - wyjaśniła spokojnie. - Konsultowałam już dziesiątki spraw takich jak ta.

- Takich jak ta?

Znowu ten podtekst. Próbuje na czymś ją złapać, ale strzela w ciemno. Do czego on właściwie zmierza, co się kryje za tą niby zwyczajną ciekawością?

Zrobiło się jej nieswojo. Ledwie się powstrzymała, by nie zerknąć za siebie. Szkoda, że to nie ona idzie z tyłu. Lepiej by się czuła, nie mając go za sobą.

- Domyślam się, że sam masz pewne przypusz-

czenia - zmieniła taktykę. - Chyba w tej okolicy nie ma wielu przypadków zaginięć.

- Sporo ludzi tutaj przyjeżdża. Polują, łowią ryby lub też... no, sama wiesz, co mam na myśli. Nie da się na bieżąco tego śledzić.

- Jakaś zgnieciona gałąź skrzypnęła pod jego butem. - Te lasy zajmują ogromną powierzchnię, a miejscami są trudne do przebycia. Wprost wymarzony teren, by ukryć ciało.

- Uważasz, że kogoś zamordowano gdzieś indziej, a potem podrzucono tu zwłoki?

- A ty tak nie myślisz?

Nie chciała wdawać się w dyskusję.

- Na razie o niczym nie można wyrokować. Trzeba najpierw przeprowadzić dokładne badania - powiedziała pośpiesznie.

Nie miała najmniejszego zamiaru być z nim szczerą. Oczywiście, że już na tym etapie formułowała wstępne opinie, tak było również w tym przypadku. Gdy tylko ujrzała czaszkę, wszystko stało się jasne. Nie mogła pojąć, jak pozostałym mogło to umknąć. Jedynym wytłumaczeniem był fakt, że poza robiącym zdjęcia policjantem, reszta odwracała wzrok od szkieletu.

Jamie zauważył, że brakuje zębów, ale chyba nie zrozumiał tego, co widział i fotografował, a pozostali pewnie go nie usłyszeli.

Wszyscy byli zajęci pracą.

Pośpiesznie zmieniła temat:

- Mieszkasz w tych stronach od zawsze? Avery prychnął pogardliwie.

- Co ty! Jestem z dużego miasta.

- Z Chicago?

Jego wahanie trwało o ułamek sekundy za długo, by nie obudzić podejrzeń. Czowała, że tym razem trafiła w sedno.

- Co to, przesłuchanie? Erin wzruszyła ramionami.
 - Po prostu ciekawość.
 - Ciekawość, tak? - powtórzył z nieprzyjemnym rozbawieniem. - Jesteś mężatką? - zapytał imper-tynencko.
 - Nie.
 - Związana z kimś? Erin spochmurniała.
 - Wydaje mi się, że możemy pominąć osobiste tematy.
- Avery zaśmiał się cicho.
- Czyli nie jesteś. Kobiety, które kogoś mają, nie mogą się doczekać, by o tym mówić.
- Erin wzniosła oczy ku niebu. Protekcyjny, czy też po prostu chamski ton Avery'ego coraz bardziej ją irytował.
- No a ten superglina?
 - Masz na myśli detektywa Gallaghera? Co dokładnie chcesz wiedzieć? - zapytała chłodno.
 - Między wami chyba coś jest? Poczwała, że krew się w niej burzy.
 - Wprawdzie to nie powinno cię interesować, ale poznaliśmy się dopiero wczoraj.
 - Tak mówisz? - Złapał ją za ramię i odwrócił ku sobie. Szarpnęła się i uwolniła ramię.
 - Co ty wyrabiasz?!
 - Pomyślałem sobie, że moglibyśmy na chwilę się tu zatrzymać i sobie pogadać. No wiesz, trochę lepiej się poznać.
 - Przecież rozmawiamy. Uśmiechnął się do niej szeroko.

- No dobrze, w takim razie przestańmy. Pochylił głowę, jakby zamierzał ją pocałować. Erin cofnęła się pośpiesznie. Avery roześmiał się, lecz w jego oczach dostrzegła zdumienie. Widocznie nie wyobrażał sobie, że jakaś kobieta mogłaby odrzucić jego awanse. A już na pewno nie dziewczyna taka jak ona. To było tylko zdumienie, a nie złość. Działał pod wpływem nawyku, nie zaś dlatego, że Erin naprawdę mu się spodobała. Ten facet był wprost klinicznym przypadkiem nałogowego uwodziciela, rozbestwionego przez samotne kobiety.

A może celowo chciał ją sobie zjednać, czy też raczej uwieść? By mieć swobodny dostęp do informacji?

- No już dobrze, pani doktor. Niech się pani da udobruchać. Tylko mi nie mów, że jesteś z tych oziębłych intelektualistek. Erin darowała sobie komentarz. Odwróciła się na pięcie i ruszyła ścieżką do przodu. Odsunęła na bok zagrażającą drogę gałąź, lecz tym razem nie przytrzymała jej i gałąź smagnęła Avery'ego po twarzy, na co zareagował stekiem przekleństw, jakich Erin nie słyszała od czasów studenckich. No cóż...

Odwróciła się ze skruszoną miną.

- Przepraszam, niechcący wymknęła mi się z ręki.

W pośpiechu zjedli lunch i zapakowali wykopane szczątki. Ostatnia partia ziemi została przesiana w chwili, gdy z nieba zaczęły spadać pierwsze krople. Erin popatrzyła w górę.

- Skończyliśmy w samą porę.

Przez ostatnie kilka godzin Nick prawie się nie odzywał. Ze skupioną miną przesiewał ziemię, całko-

wicie pochłonięty tym nużącym zajęciem. Jamie zaoferował pomoc przy pakowaniu znaleziska, czym zaskoczył Erin. Gdy skończyli, on i szeryf zabrali pakunek do domku, natomiast ona zaczęła składać sprzęt.

Milczący ponuro Avery, z czerwoną pręgą na twarzy, wkrótce podążył za kolegami. Erin i Nick zostali sami. Nick nie odrywał oczu od wgłębienia, gdzie jeszcze niedawno spoczywał szkielet. W jego twarzy było coś poruszającego. Nie spodziewała się, że potrafi tak głęboko przeżywać. Gdy napotkał jej spojrzenie, serce zabiło jej mocniej. Miała wrażenie, że w jednej chwili jej mały, uładzony świat nieodwracalnie się zmienił.

- Dziękuję - przerwał przedłużającą się ciszę. Delikatnie zbyła go ruchem dłoni.

- Nie masz za co dziękować. To moja praca.

- Chodzi mi o twoje podejście. Wiedziała, co miał na myśli.

- Nawet gdy z człowieka pozostają jedynie nagie kości, nie przestaje być dla mnie ludzką istotą. Zawsze tak uważałam. Przez chwilę miała wrażenie, że Nick chce coś dodać, ale tylko wzruszył ramionami i odwrócił się. Lecz nim to zrobił, zdążyła pochwycić cierpienie i żal, malujące się w jego niebieskich oczach.

Już wcześniej zastanawiała się, jaką tajemnicę kryją te odnalezione kości. I do kogo należą. Teraz to pytanie odżyło na nowo.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Już z daleka widać było ciemnoszarą ścianę deszczu. Nick sięgnął po torby z zapakowanym sprzętem i gestem wskazał Erin, by poszła przodem.

- Lepiej się pośpieszmy.

Nim doszli do polanki, byli przemoczeni do suchej nitki. Lało jak z cebra, nogi ślizgały się po rozmięklej ziemi. Biegiem wpadli na ganek, trzęsąc się od przejmującego chłodu, bo mokre ubrania nie chroniły przed zimnem. Nick postawił torby w suchym kącie.

- Nieźle lunęło, co? - Szeryf Roy popatrzył na Erin. Wyciągnął papierosa i zapalił. Rzucił zapalną w deszcz.

- Może nie czekajmy, tylko od razu lećmy do samochodów - zasugerowała. - Zapowiada się na długą ulewę.

- Nie mamy co się śpieszyć, na razie nigdzie się nie ruszymy. -

Roy powoli wypuścił z ust smużkę dymu. -Clive przed chwilą rozmawiał z posterunkiem. Ulewy są tak gwałtowne, że rzeki błyskawicznie wezbrały. Mamy powódź. Woda zalała autostradę, a ta boczna droga, którą tu dojechaliśmy, zamieniła się w trzęsawisko.

- To znaczy, że jesteśmy odcięci od świata? - zdumiała się Erin. Teraz, po ekshumacji, nie mogła się doczekać, kiedy znajdzie się w laboratorium i rozpocznie badania. Poza tym, nie wiedzieć dlaczego, czuła się tu coraz bardziej nieswojo. Miała serdecznie dość tej dziczy. Przeświadczenie, że coś jest nie tak, nie odstępowało jej ani przez moment. Jakieś niejasne poczucie zagrożenia ogarnęło ją już w chwili, gdy znaleźli się na miejscu znaleziska i dodatkowo się nasiliło, gdy zobaczyła odsłonięty szkielet.

- Tutaj taka powódź to normalna rzecz - odparł szeryf, wzruszając ramionami. - Musimy poczekać. Co zrobić z kośćmi?

- Wnieśmy je do środka - powiedziała. - Trzeba je ułożyć w suchym miejscu i zostawić w spokoju.

- Zanieśmy je do drugiej sypialni. - Nick miał zmieniony głos, jakby z trudem panował nad kłębiącymi się w nim emocjami. Erin popatrzyła na niego, ale odwrócił wzrok.

Nie minęło kilka minut, jak z zarośli wynurzyła się dwójka biegnących policjantów. Opuścili głowy, by chronić się przed deszczem, strużki wody lały się z kapeluszy. Wpadli na ganek.

- Drogi już nie ma - zaczął Avery, ściągając z siebie przemoczoną kurtkę i otrzepując ją z deszczu.

Jamie szczął z zimna zębami. Pokiwał głową.

- To prawda, szeryfie. Wygląda fatalnie.

- A co z samochodami?

- Odstawiliśmy je trochę wyżej - rzekł Avery. - Chyba powinniście zrobić to samo z waszym.

Nick skinął głową.

- Idźcie do środka, może da się rozpaść w kominku. Dobrze byłoby się wysuszyć. - Popatrzył na Erin. - Za kilka minut jestem z powrotem.

Dziewczyna odgarnęła z twarzy wilgotny kosmyk i nagle, pchnięta niezrozumiałym impulsem, dotknęła ramienia Nicka.

- Uważaj na siebie.

Nawet jeśli jej ostrzeżenie wydało mu się dziwne, nie skomentował go. Spojrzał na nią uważnie, a potem odwrócił się i zbiegł po schodkach. Została z szeryfem i dwoma policjantami. Jeszcze rano nie знаła żadnego z tych mężczyzn, a już zdążyła z jednego z nich zrobić sobie śmiertelnego wroga.

Clive nie odrywał od niej wzroku. Stał i uśmiechał się cynicznie. Nick wrócił, przynosząc z samochodu bagaże. Przynajmniej on i Erin mogli się przebrać w suche ubrania, natomiast Roy, Avery i Jamie siedzieli przed kominkiem, próbując wysuszyć na sobie mokre mundury.

Niskie, ciężkie chmury ciemną warstwą zasłaniały niebo. Zmrok zapadł wcześniej niż zwykle. Nie wiadomo kiedy zrobił się wieczór. Zamknięci w domku, zjedli resztę kanapek i wypili kawę.

Deszcz nie przestawał padać i nie zanosilo się na rychłą poprawę pogody. Nie było innego wyjścia, jak przeczekać tu noc. Avery przez komórkę połączył się z posterunkiem. Potwierdziły się doniesienia o powodzi, jaka nawiedziła tutejsze tereny. Wiele domów zostało odciętych od świata, dlatego tym dotkliwiej odczuwano brak szeryfa i dwóch jego podwładnych. Niestety nic na to nie można było poradzić.

By zabić czas, zaczęli grać w karty, lecz około dziesiątej mieli dość zarówno kart, jak i siebie nawzajem. Policjanci wyciągnęli się na tapczanikach, szeryf zajął kanapę. Nick już wcześniej zaniósł torbę Erin do jednej z dwóch sypialń przylegających do salonu. Teraz pozbierał karty i zaczął wynosić stolik, na którym grali. Erin popatrzyła na niego.

- Gdzie będziesz spać? - zapytała. Wzruszył ramionami, ale unikał jej wzroku.

- Raczej nie będę.

- Nie ma sensu, żebyś zarywał noc - zaproponowała.

- W moim pokoju są dwa łóżka. Oboje jesteście dorośli.

- Dopiero gdy to powiedziała, uświadomiła sobie, jak to zabrzmiało. - Chodzi mi o to - dodała szybko - że nie ma powodu, byśmy nie mogli spać w tym samym pokoju.

Po raz pierwszy tego dnia Nick uśmiechnął się lekko.

- Śpisz z rozpuszczonymi włosami?

- Słucham? - zdumiała się.

Zamyślił się, a potem wyciągnął rękę. Chyba chciał dotknąć jej włosów, lecz szybko się opamiętał.

- Nieważne. Idź i spróbuj wypocząć. W razie czego położę się przy kominku. Nie przejmuj się mną.

Wyciągnęła się na łóżku i zamknęła oczy. Zwykle spała spokojnie, lecz tej nocy dręczyły ją koszmary. Co chwilę się budziła. Raz wydawało się jej, że widzi w oknie czyjąś twarz. W pierwszej chwili myślała, że to Ralph, ochroniarz z FAHIL, jednak gdy wpatrzyła się w ledwie widoczny zarys konturów, zobaczyła twarz Avery'ego. Uśmiechał się przez szybę. Potem ten obraz się zmienił i ujrzała utkwione w siebie zimne oczy Eda Dawsona.

Ta chwila ciągnęła się całą wieczność. Jak zahipnotyzowana wpatrywała się w okno, niezdolna się poruszyć. Nie wiedziała, czy to sen, czy jawa. W końcu spróbowała wyciągnąć rękę, lecz nie mogła. Zupełnie jakby ręce i nogi miała związane. Chciała usiąść, lecz tuż nad nią był sufit. Ściany otaczały ją z obu stron. Uświadomiła sobie, że leży w jakimś pudle.

Nie w pudle, olśniło ją. To jest trumna.

Rozpaczliwie łapiąc powietrze, usiadła na łóżku i rozejrzała się po pogrążonej w ciemnościach sypialni. Co ją przebudziło?

Koszmarne sen? Czy jakiś dźwięk?

Wysłuchiwała się w ciszę. Serce biło mocno. Deszcz już ustał, jakaś gałąź delikatnie ocierała się o ścianę domku. I jeszcze coś, cichy odgłos. Jakby ktoś stapał po błotnistym gruncie.

Zaparło jej dech. Czyżby ktoś skradał się do domku? Może szukał schronienia, a może miał inne, wrogie zamiary?

Ogarnął ją niepokój. Naraz do jej uszu doszedł jeszcze jeden dźwięk. Cichy odgłos metalu napierającego na drewno, jakby ktoś próbował podważyć okno.

Krew szumiała w uszach, serce waliło. Opuściła nogi na podłogę, zawahała się. Pośpiesznie sięgnęła po dzinsy. Powtarzała sobie, że nie ma czego się bać, bo za drzwiami było czterech uzbrojonych policjantów. Nagle uzmysłowiła sobie, że ten lęk nie dotyczy jej samej. A jeśli ktoś obawiał się nieuniknionych wniosków, do jakich dojdzie po zbadaniu szkieletu? Jeśli postanowił zawczasu go zniszczyć, by ekspertyza w ogóle nie doszła do skutku? By Erin nie mogła sporządzić opinii i przedstawić jej przed sądem?

Podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Deszcz

ustał, lecz niebo nadal było zaciągnięte ciemnymi chmurami. Ani śladu księżyca. Skraj polanki, tuż przy zaroślach, tonął we mgle podnoszącej się z mokrej ziemi. W mroku niewiele było widać, majaczyły jakieś nieokreślone cienie. Po chwili, gdy oczy przyzwyczały się do ciemności, tuż na granicy lasu dostrzegła coś dziwnego. Mgła lekko zawirowała, jakby zakołysana przez ruch powietrza. Może to gałąź poruszona przez wiatr? Lub spłoszone zwierzę?

Nagle go zobaczyła. Ubrany na ciemno człowiek szybko odchodził od domku. Po chwili tajemnicza postać znikła wśród drzew. Erin stała nieruchomo. Miała nieprzyjemne uczucie, że ten człowiek nie odszedł daleko, tylko czał się w zaroślach, czekając na sposobność, by wślizgnąć się do środka.

Odwróciła się od okna, szybko się ubrała i wyszła z sypialni. Na kominku ogień dogasał, słabe płomyki ledwie oświetlały pograżony w mroku salon. Zatrzymała się. Od strony, gdzie spali policjanci, dochodził równy, głęboki oddech, a z kanapy dobiegało ciche chrapanie szeryfa. Czyżby tylko ona zdawała sobie sprawę z grożącego im niebezpieczeństwa?

Przez chwilę zastanawiała się, czy ich obudzić, lecz przypomniała sobie wczorajszą przygodę Jamie'ego i złośliwy komentarz Avery'ego. O tego faceta nie dbała, ale nie chciała narażać się Nickowi, szczególnie po tym, jak przestraszyła się Ralpa. Skoro jednak ktoś kręcił się koło domku, powinna podnieść alarm.

Nagle otworzyły się drzwi. Erin najpierw zamarła, a potem odskoczyła do tyłu. W tej samej sekundzie zarówno rozpoznała stojącego na progu Nicka, jak i potrafiła krzesło, które przewróciło się z hałasem.

Umarłego by to obudziło. W jednej chwili policjanci byli na nogach, dzierżąc w dłoniach pistolety.

- Przepraszam - wymamrotała.

- Co do cholery się dzieje? - zagrział Roy. Avery zaczął kłąć. Sądząc po ich tonie, powinna się cieszyć, że od razu jej nie zastrzelili.

Nick wszedł do środka, zamknął drzwi, ale nie zapalił światła.

Podszedł do Erin.

- Nic ci się nie stało?

- Wszystko w porządku. Wydawało mi się, że coś usłyszałam, i wyszłam sprawdzić, a gdy otworzyłeś drzwi, przestraszyłam się i potraściłam krzesło.

- Coś usłyszałaś? - zainteresował się Avery.

W mroku spowijającym wewnątrz domku prawie go nie widziała, ale instynktownie czuła, że jest w pełnej gotowości. Nie zachowywał się jak ktoś wyrwany ze snu. Czyżby tylko udawał, że spał? Czy również słyszał ten dźwięk za oknem?

- Myślałam, że ktoś chciał się tu włamać. Avery podszedł do ściany, by włączyć światło, lecz żarówki nie rozbłysły.

- Co, do diabła...?

- Pewnie burza zerwała linię - ponuro mruknął Roy. - To jak to było z tym włamywaczem?

- Erin może mieć rację - rzekł Nick. - Na zewnątrz ktoś się kręcił. Czyli to nie była jej wybujała wyobraźnia, ktoś naprawdę się skradał. W takim razie czyją twarz widziała w oknie?

- Skąd wiesz, że na dworze ktoś był? - prowokacyjnie zapytał Nicka Avery.

- Bo też coś usłyszałem - odparł. - Wyszedłem na

zewnątrz, żeby sprawdzić. Pod oknem do sypialni zobaczyłem ślady. Ktoś musiał tu być, gdy deszcz przestał padać. - Nick popatrzył niespokojnie po wnętrzu. - A gdzie Jamie?

To pytanie zaskoczyło wszystkich. Rozejrzeli się po salonie, potem popatrzyli po sobie.

- Słyszałeś, żeby wychodził? - zapytał Avery'ego Roy.

- Nic nie słyszałem i nic nie widziałem - odparł, hamując złość. - Coś mi się widzi, że wszyscy macie pobudzoną wyobraźnię. Jamie pewnie siedzi w łazience.

Podszedł i zastukał do drzwi, ale nikt nie odpowiedział. Wzruszył ramionami.

- Może poszedł zaczerpnąć świeżego powietrza. Erin wzdrygnęła się, czując ogarniający ją dziwny chłód.

- Może też usłyszał hałas i wyszedł się rozejrzeć. Gdy patrzyłam przez okno, ktoś szybko szedł w stronę lasu.

- Pewnie właśnie Jamie - podchwycił Avery. - To jego zobaczyłaś. I to jego ślady.

- Raczej mało prawdopodobne - powoli zaprzeczył Nick. - Siady, które widziałem, zostawił ktoś znacznie od niego cięższy.

- Może jakiś włóczęga, który chciał się schować przed deszczem - nie zrażał się Avery.

Erin nie mogła pojąć, dlaczego tak bardzo się upiera, że nic się nie stało.

- Możliwe - przystał Nick. - Ale skoro sądził, że nikogo tu nie ma, dlaczego próbował dostać się przez okno, a nie przez drzwi? A dokładnie przez okno sypialni - dodał znacząco.

- Chcesz powiedzieć, że komuś mogło chodzić o ten szkielet? - zdumiał się Avery. - To jakaś paranoja.

- Tak uważasz? - chłodno zapytał Nick. Nie widziała w ciemności jego twarzy, ale mogła wyobrazić sobie jego lodowate spojrzenie.

- Jeśli ten człowiek został zamordowany, to szczątki mogą dostarczyć na to dowodów.

- To szaleństwo - powtórzył Avery. Tym razem w jego tonie Erin wyczuła desperacką nutę. - Przecież te kości leżą w ziemi od dawna, od wielu lat. Komu by teraz na tym mogło zależeć?

- Mordercy - wolno powiedział Nick.

- Nie za daleko się posuwasz w przypuszczeniach? - mruknął Avery.

- Wolę niczego nie zaniedbać - odparł Nick. - Jeśli morderca w jakiś sposób dowiedział się, że te szczątki zostały odnalezione, to bardzo prawdopodobne, że zrobi wszystko, by uniemożliwić nam ich identyfikację. To chyba jasne?

Poczuła ciarki na plecach. Znowu ogarnął ją ten podskórny lęk, który był w niej przyczajony, odkąd tu przyjechali. W ciemności czuła na sobie wzrok policjantów. Wiedziała, że musi się teraz zdeklarować, zapewnić, że nie da się zastraszyć.

Przesunęła językiem po suchych wargach.

- Nick ma rację - zaczęła. - Mam powody sądzić, że ten mężczyzna przed śmiercią został okropnie potraktowany. Jeśli jego szczątki dostaną się w niepowołane ręce, dowody mogą zostać bezpowrotnie zniszczone. Pod żadnym pozorem nie możemy do tego dopuścić.

Zebrani z wrażenia wstrzymali oddech. Pierwszy odezwał się Roy. Miał zmieniony głos.

- Powiedziałaś „ten mężczyzna”. Czy jesteś tego pewna?

- Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent.

Oczy już przyzwyczyły się do ciemności, widziała więc ich twarze. Roy i Nick wymienili szybkie spojrzenia.

- Masz pewność, że został zamordowany? - ostrym tonem odezwał się Avery. - Widziałaś ślad po kuli? Dziurę w czaszce? Po czym to poznałaś?

- Niestety, nie ma aż tak oczywistych śladów. Jeszcze nie wiem, w jaki sposób zadano mu śmierć - odparła. Nie pora zdradzać, że już coś zauważyła.

- W takim razie na jakiej podstawie sądzisz, że to ofiara morderstwa?

Nie odpowiedziała od razu, wahała się. Nie była pewna, czy na tym etapie powinna coś mówić. Lecz z drugiej strony ci ludzie uczestniczyli w ekshumacji wszystko widzieli na własne oczy i mogli coś spostrzec. Popatrzyła na Nicka.

- Nie ma ani jednego zęba. Oczywiście to może się zdarzyć, szczególnie gdy zwłoki długo pozostają w ziemi. W tym konkretnym przypadku minęło co najmniej pięć lat. Ale zastanawia, że nic nie znaleźliśmy, choć ziemia z wykopu została przesiana. Co więcej, dolna szczęka została celowo tak bardzo uszkodzona, że dokonanie identyfikacji na podstawie dokumentacji dentystycznej jest wykluczone.

- A więc tak - powoli rzekł Roy. - Ktoś zadał sobie duży trud, by mieć pewność, że ofiara nigdy nie będzie rozpoznana.

- Na to wygląda - potwierdziła Erin. - Rzecz jasna wiele uszkodzeń może być spowodowanych przez

zwierzęta. Nie da się tego stwierdzić na podstawie pobieżnego oglądu. Potrzebny jest mikroskop i zdjęcia rentgenowskie, dopiero wtedy można coś stwierdzić z całkowitą odpowiedzialnością.

- Z tym musimy poczekać. A na razie ty i Nick słyszeliście podejrzanе odgłosy. Jakby ktoś próbował się zakraść - rzekł Roy.

- To nie wygląda na zbieg okoliczności.

- A ja nadal twierdzę, że robicie z igły widły

- mruknął Avery. - Zapomnieliście, że jesteśmy odcięci przez powódź? Jak, do diabła, ktoś by się tutaj przedarł?

- Może wziął łódkę? - ponuro podsunął Roy.

- Albo był tu wcześniej, nim woda zaczęła się podnosić - zasugerował Nick.

Po tych słowach zapadła cisza. Wszyscy przetrawiali je w milczeniu. Świadomość, że ktoś mógł na nich czekać, a potem obserwować z ukrycia...

Erin wzdrygnęła się i spojrzała na Nicka. Też na nią patrzył.

Poczuła lęk i dziwne napięcie.

- Chciałbym wiedzieć, gdzie się podział Jamie

- odezwał się Roy. - On jest jeszcze całkiem zielony, a w dodatku wziął sobie do serca wczorajszą przygodę. Może też coś usłyszał, ale nie chciał narażać się na docinki i poszedł sprawdzić, czy to przypadkiem nie jelen. Dlatego nas nie obudził.

- Pójdę i rozejrzę się koło domu - powiedział Nick. Erin

spodziewała się, że Avery znów skontruje, lecz

ku jej zdumieniu również sięgnął po kurtkę. Tak samo postąpił szeryf.

- Niech no tylko dorwę tego... - wymamrotał Avery, nie kończąc zdania, ale i tak jego intencje dla wszystkich były jasne.

Nick odwrócił się do Erin.

- Zostań tu - przykazał. -1 dobrze zamknij za nami drzwi.

Nie bardzo uśmiechał jej się samotny pobyt w domku, lecz z drugiej strony było to najlepsze rozwiązanie. Oni byli policjantami, mieli broń. Jeśli rzeczywiście na zewnątrz ktoś się czaił, lepiej nie narażać się na ryzyko. Skinęła głową i podeszła do drzwi

Mężczyźni mijali ją po kolei i znikali w ciemności Avery szedł ostatni. Gdy przechodził obok Erin, jego kurtka musnęła jej ramię. Była wilgotna, wręcz mokra. Zupełnie jakby przed chwilą padał na nią deszcz A przecież zaraz po przyjściu powiesił ją przy kominku, by wyschła.

Czyżby wychodził na dwór, gdy reszta spała? Czy ta znikająca wśród zarośli ciemna sylwetka, to był on?

W pustym i ciemnym domku czuła się nieswojo Próbowała wziąć się w garść, ale nie bardzo jej to wychodziło. Podeszła do kominka i przegarnęła zwęglone szczapy. Jeden z kawałków zajął się jasnym płomieniem Na ścianach i suficie zatańczyły złowieszcze cienie.

Przez chwilę wpatrywała się w migoczący ogień potem spojrzała na zamknięte drzwi drugiej sypialni' Były tam wykopane dzisiaj szczątki. Jeszcze nie wiadomo, czy zdoła je zidentyfikować.

Zamyśliła się Nie powiedziała im wszystkiego. Brak uzębienia i zdeformowana szczeka to tylko początek. Intuicja podpowiadała jej, że ten człowiek został zamordowany, ale to jeszcze za mało, musiała mieć dowody. Jednak wiedziała, że się nie myliła.

Przecucia jeszcze nigdy jej nie zawiodły.

Podeszła do sypialni, otworzyła drzwi i popatrzyła na tonące w mroku wnętrze, rozświetlane jedynie bladym odblaskiem ognia z kominka. Po chwili oczy przyzwyczyły się do ciemności. Dało się rozróżnić zarysy mebli, połyskliwą gładkość okiennej szyby. Zapakowane szczątki leżały na miejscu, gdzie kilka godzin wcześniej zostały pieczołowicie ułożone. Wydawały się przez nikogo nie tknięte. Jeśli ktoś chciał się do nich dostać, skąd wiedział, gdzie ich szukać? Skąd miał pewność, że są właśnie tutaj, w tym pokoju?

Nieoczekiwanie coś sobie przypomniała. Gdy wyszła z lasu i zaczęła iść w stronę domku, Clive Avery rozmawiał przez komórkę. Na jej widok natychmiast się rozłączył i schował aparat, jakby bardzo mu zależało, by nie usłyszała nawet strzępu rozmowy. Deszcz wtedy jeszcze nie padał. Czyżby Avery zdawał komuś relację z poszukiwań? Nakłaniał kogoś do przyjścia? Jeszcze raz popatrzyła na pakunek. Znowu poczuła ten podskórny, czający się w niej lęk.

- Kim jesteś? - wyszeptała w ciemności, patrząc na doczesne szczątki nieznanego mężczyzny.

Nie żył od tak dawna, a nawet po śmierci jego los był zagrożony. Jaką tajemnicę kryły w sobie te kości? Od niej zależało, czy zdoła ją rozwikłać. Czy zdąży, nim morderca znów zaatakuje?

Ślady odcisnięte w błotnistej ziemi wiodły w stronę lasu. Nick szedł za nimi aż do skraju polanki. Tu, gdzie zaczynały się zarośla, nisko przy ziemi ścieliła się mgła, otulając wszystko miękką zasłoną. Nick odwrócił się, popatrzył na rysujący się w mroku dom. Wydawał się zupełnie piasty. Ciemne okna, żadnego śladu życia.

Ledwie się powstrzymał, by nie wrócić i upewnić się, czy Erin nic się nie stało. Chociaż z drugiej strony nic jej nie zagrażało. Drzwi były zamknięte, a Roy, Avery i on przeszukiwali teren. Nikt nie przedostanie się do domku niezauważony. Oczywiście przy założeniu, że ktoś już wcześniej się tam nie wślizgnął... Opanuj się, przykazał sobie ostro, zacznasz histeryzować. Mimo to nie mógł zdusić w sobie złych przeczuc. To miejsce zawsze działało na niego stresująco, nie czuł się tu dobrze. Tu zniknął ojciec. Pojechał na weekend i przepadł. Kilka miesięcy temu wydarzyła się kolejna nieprzyjemna historia. Fiona i Eve Barrett dziewczyna Tony'ego, zostały uprowadzone, a ich porywacz zastawił pułapkę na Tony'ego. Mając dziewczyny, zwabił go do chaty. Na szczęście Tony go przechytrzył. Zamiast wejść drzwiami, wdrapał się na dach i przez świetlik obserwował wnętrze, a w odpowiednim momencie wkroczył do akcji. Serce zabiło mu żywiej. Popatrzył na rysujący się na tle nieba dach, próbując przebić wzrokiem ciemność. Erin jest w niebezpieczeństwie, uzmysłowił sobie nagle, nie próbując nawet dociekać, skąd ta nagła pewność. Już dawno się nauczył, by ufać instynktowi.

Wyszedł z zarośli i szybko ruszył w kierunku domu. Z pewnej oddali dobiegł go głos Roya, nawołującego Jamie'ego. Nie wiedział, dokąd podążył Avery, ale podświadomie czuł, że nie poszedł za nim i za Royem. Gdy znikli w mroku, mógł zawrócić do domku. Do Erin. Widział, jak na nią patrzył, gdy przed lunchem oboje wrócili na polankę. Między nimi coś się musiało wydarzyć. Ta czerwona pręga... Erin pewnie dała mu niezłą odprawę

zaś Avery nie wygląda na kogoś, kto łatwo znosi odmowę ze strony kobiety. I nie puszcza zniewagi płazem...

Przyśpieszył kroku. Naraz potknął się na jakiejś kłodzie i jak długi upadł w błoto. Latarka wypadła mu z ręki. Klnąc pod nosem, zaczął się podnosić. Dla równowagi podparł się dłonią o leżący pień i znieruchomiał. To coś miękkiego i ciepłego. Nie pień, lecz czyjeś ciało!

Poczuł nagły przyływ adrenaliny. Błyskawicznym ruchem sięgnął po latarkę i potrząsnął nią gwałtownie, aż rozjarzyła się bladym światłem. Skierował je na ziemię. W migoczącym blasku zajaśniała przypięta do kurtki metalowa odznaka.

W pierwszej chwili był pewien, że to Jamie, lecz gdy przysunął latarkę do twarzy, w smudze światła zobaczył jasne włosy i utkwione w siebie zielone oczy.

Avery...

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Nie żyje? - Wlepiała w niego pełne niedowierzania spojrzenie. - Clive Avery nie żyje? - powtórzyła w szoku. - O Boże! Jak to? Co się stało? - Pytania cisnęły się jej na usta.

Od razu zapomniała o strachu, jakim napełniło ją raptowne stukanie do drzwi. Nick wrócił ledwie przed chwilą. Wpuściła go dopiero wtedy, gdy zaczął wzywać ją po imieniu, a ona poznała jego głos.

Podszedł bliżej. W blasku migoczących na kominku płomyków widziała go lepiej. Cały wymazany błotem i krwią. Znowu się przeraziła. Dławiło ją w gardle.

- Nie żyje - powtórzyła szeptem, zdjęta trwogą. - Co mu się stało? Nick zawahał się.

- Ktoś poderżnął mu gardło - rzekł po chwili. Erin osłoniła dłonią usta.

- O Boże! - wyszeptała. - Czyli ktoś naprawdę tu jest. Nick, co teraz zrobimy?

- Nie dopuścimy go tutaj. - Podszedł do okna i wyjrzał w ciemność. W rękę trzymał broń.

Nie chciała, by domyślił się, jak bardzo była przerażona. Pierwszy raz znalazła się w tak groźnej sytuacji. Większość czasu spędzała w zaciszu laboratorium. Szczątki, z jakimi miała do czynienia, zwykle należały do osób dawno zmarłych, natomiast Avery z poderżniętym gardłem leżał blisko domku.

Wzięła się w garść.

- Jesteś pewien, że on nie żyje? Może trzeba sprowadzić lekarza?

*

- Lekarz już nic tu nie pomoże. - Popatrzył na nią przez ramię. -

Poza tym droga jest nieprzejezdna i przez najbliższe godziny, a może nawet dni, nikt się tu nie dostanie. Jedyne, co możemy zrobić, to najlepiej jak się da zabezpieczyć teren. Tyle że przez ten deszcz... - Urwał i spojrzał na nią. - Nic ci nie jest? Usłyszałaś coś, jak mnie nie było? Czy może coś zobaczyłaś?

- Nie, nic. - Próbowała opanować drżenie. - A gdzie jest Roy? I Jamie?

- Jeszcze gdzieś tam chodzą. Pójdę ich poszukać. Ale najpierw chciałem się upewnić, że jesteś bezpieczna. Pomyślałem sobie... - urwał i znów wyjrzał przez okno.

Nic więcej nie powiedział, ale intuicyjnie wiedziała, co miał na końcu języka. Bał się o nią. Sądził, że znalazła się w niebezpieczeństwie. Dlatego wrócił.

Popatrzyła na niego i serce jej zamarło. Złapała go gwałtownie za rękę.

- Nick, nie powiedziałaś wszystkiego. Kto go zabił? Spojrzał na nią posepnie.

- Sam chciałbym to wiedzieć. Zamknij za mną drzwi i nie otwieraj nikomu, pod żadnym pozorem.

Tylko wtedy, gdy usłyszysz mój głos. Otwórz tylko mnie.
Rozumiesz?

Poraziło ją znaczenie tych słów. Wynikało z nich, że nie wolno jej wpuścić ani Roya, ani Jamie'ego. Czyżby Nick im nie ufał? Czyżby podejrzewał, że któryś z nich zamordował Avery'ego? To niemożliwe, przecież byli kolegami...

Powoli skinęła głową.

- Rozumiem. - Już niemal się odwrócił, gdy dodała: - Nick, bądź ostrożny.

Nic nie powiedział, ale w półmroku dostrzegła determinację malującą się w jego oczach. Podeszedł do drzwi, otworzył je i wyszedł. Odprowadziła go wzrokiem. Po chwili jego sylwetka rozplynęła się w ciemności. Poczowała, że drży.

Znowu została sama. Niepewnie rozejrzała się po wnętrzu, nie bardzo wiedząc, co teraz z sobą począć. Czym zająć myśli, by uciszyć narastający lęk? Podeszła do kominka, by się ogrzać. Zaczęła rozmyślać nad ostatnimi wydarzeniami.

Kto zamordował Avery'ego? To pytanie nie dawało jej spokoju. Do tej pory nocne hałasy i niknącą w mroku sylwetkę, którą widziała przez okno sypialni, przypisywała niedoszłemu włamywaczowi, lecz teraz wszystko się pogmatwało. Już nic nie było jednoznaczne. Jeśli ten dostrzeżony przez nią osobnik był jednym z policjantów? Przypomniała sobie wilgotną kurtkę Avery'ego, gdy mijał ją w przejściu. Czyżby wcześniej, gdy wszyscy spali, niepostrzeżenie wymknął się na dwór? Zresztą teraz nie miało to już znaczenia, bo Avery nie żył. Natomiast Jamie przepadł jak kamień w wodę, a Roy gdzieś krążył

w okolicy, podobnie jak Nick. Jeśli mordercą był Jamie lub Roy, Nickowi groziło śmiertelne niebezpieczeństwo.

Znowu ogarnęła ją panika. Resztką sił wzięła się w garść. Nie, to przypuszczenie, jakkolwiek z pozoru oczywiste, nie mogło być prawdziwe, pocieszyła się. Roy i Jamie nie są powiązani z odnalezionymi dzisiaj szczątkami. To ich wykluczało, oczywiście przy założeniu, że śmierć Avery'ego łączyła się z ową mroczną tajemnicą sprzed lat, choć równie dobrze powód mógł być zupełnie inny. Avery należał do tych, którzy potrafią narobić sobie wrogów. Może ta rzekoma próba włamania była podstępem, by sprowokować Avery'ego do wyjścia z domku? Zamyśliła się. Byli odcięci od świata, a więc morderca musiał tu przybyć wcześniej, zanim woda wezbrała, i przez cały dzień obserwował ich z ukrycia. Chyba że można się tu dostać jakąś inną drogą, znaną zabójcy. Czyli ktoś tutejszy? Albo zawodowy morderca, który otrzymał odpowiednie instrukcje? Z każdym pytaniem rodziły się nowe, przerażające możliwości. Już chyba lepiej tego nie roztrząsać.

Naraz przyszło jej do głowy coś innego. A jeśli to ona jest celem? Przypomniała sobie wczorajsze ostrzeżenie Lois Childers. Jej nominacja na szefową FAHIL nie każdemu przypadła do gustu. Russell Quay od dawna szykował się na to stanowisko. Czyżby chciał usunąć ją z drogi?

Szybko porzuciła ten pomysł. Drobnny, fajtłapowaty człowieczek w żaden sposób nie pasował do wizerunku zimnego, wyrachowanego mordercy. Nie, z całą pewnością to nie mógł być on.

Jednak Lois twierdziła, że właśnie na takich mężczyzn trzeba bardzo uważać...

Niemal w tej samej chwili usłyszała cichy dźwięk, jakby ktoś delikatnie zapukał do drzwi. W pierwszym momencie była pewna, że to spotęgowana strachem wyobraźnia, lecz pukanie się powtórzyło. Serce podeszło jej do gardła. Powoli zbliżyła się do drzwi i przyłożyła do nich ucho. Znowu ktoś cichutko zapukał, tym razem bardziej natarczywie. Serce biło jej jak szalone.

- Doktor Casey... Erin? Otwórz drzwi, szybko! - Głos był dziwnie zduszony, jakby rozmówca celowo chciał zamaskować jego brzmienie, lecz nie aż tak, by ją spłoszyć. Nie potrafiła określić, do kogo może należeć. Czy to Jamie, Roy, a może Russell? Jest w nim coś znajomego, ale nie umiała go rozpoznać.

- Tu szeryf Glass - rozległo się zza drzwi. - Proszę otworzyć! Szeryf Glass. Wcześniej powiedział, żeby zwracać się do niego po imieniu. Dziwne.

Krew dudniła jej w uszach. Cisza, jaka zapadła, gęstniała od napięcia. Erin powoli podniosła głowę i spojrzała na drzwi. Klamka się poruszyła.

Instynktownie przytrzymała ją dłonią. Nie wiedziała, jak się zachować, gdy morderca wdrze się do środka. Na szczęście zamek nie puścił. Po chwili na ganku rozległ się cichy odgłos kroków. Intruz odszedł.

Dobrze jednak wiedziała, że nie poszedł zbyt daleko. Jeśli morderca Clive'a przyszedł po szczątki swej poprzedniej ofiary, to teraz tylko Erin stanowiła przeszkodę na jego drodze.

Szybko przemknęła do drugiej sypialni. Na oko wszystko było w porządku, zrozumiała jednak, że okno

można było łatwo sforsować. Dokładnie zlustrowała wszystkie pomieszczenia, a na koniec jeszcze raz obejrzała drzwi wejściowe. Nie pozostało jej nic więcej do zrobienia. Musiała po prostu uwierzyć, że była bezpieczna i czekać na powrót Nicka. I wtedy usłyszała ten dźwięk. Cichy odgłos dochodzący z dachu. Jak puknięcie spadającej szyszki... albo lekkie skrzypnięcie pod naciskiem czyjejs stopy.

Nick daremnie przeczesywał pograżony w ciemnościach teren wokół domu. Ciało Avery'ego znikło. Nie natrafił też na żaden ślad Roya i Jamie'ego. Jakby trzech policjantów zostało zmiecionych z powierzchni ziemi.

Bywał w trudnych sytuacjach i potrafił sobie radzić. Nie ulegał emocjom. Adrenalina wyostrzała jego zmysły, wprowadzała w stan podwyższonej gotowości. Potrafił to doskonale wykorzystać.

Poruszał się ostrożnie, kalkulując każdy ruch. Ktoś zamordował Avery'ego i usunął ciało. Bardzo prawdopodobne, że zaatakował również Roya i Jamie'ego. Może przyczaił się w ciemności, czekając na najlepszy moment, by rozprawić się z nimi po kolei. Zlikwidować niewygodnych świadków. Ktoś, kto gotów był popełniać kolejne zabójstwa, by zamaskować ślady zbrodni sprzed lat.

Nick wiedział, że nie spocznie, dopóki nie dopadnie tego bydlaka.

Nie zapalał latarki. Szedł skrajem polanki, wykorzystując jako osłonę opary podnoszące się z krzewów i trawy. Ta nisko ścielącą się mgła chroniła przed czającym się wrogiem, lecz spowita nią ziemia była

zupełnie niewidoczna. Nie mógł zobaczyć odcisniętych śladów mordercy. Pocieszał się myślą, że prześladowca również nie dojrzy jego śladów. Szedł, zataczając krąg wokół domu, zatrzymując się co parę chwil i wsłuchując w noc, ale nic nie zakłócało ciszy, poza pluskiem opadających z drzew kropel wody i dalekim pohukiwaniem sowy.

Spostrzegł, że odszedł dalej, niż zamierzał. Zarysy domu majaczyły w ciemności, wybijając się na tle lasu jaśniejszą o ton barwą. Z tej odległości nawet w dzień nie widziałby przez frontowe okno, co dzieje się w środku. Wyobraził sobie Erin, stojącą przy kominku, niespokojną, ale nie przerażoną. Ona nie wpadnie w panikę. Czuł, że ta drobna kobieta jest dzielna i waleczna.

Przyśpieszył kroku. Chciał jak najszybciej znaleźć się w domu, przy niej. Naraził Erin na wielkie niebezpieczeństwo, nie tylko zresztą ją. Przez chwilę zastanawiał się nad inną ewentualnością. Może dzisiejsza ekshumacja nie miała związku ze śmiercią Avery'ego? Może mordercą nie był ten, kogo podejrzewał? Nie bardzo mógł w to uwierzyć. Domyślał się, kto to zrobił albo kto nasłał mordercę. Richard O'Roarke zrobi wszystko, by wydostać z więzienia jedynaka i nie cofnie się przed niczym, by zapobiec oskarżeniu go o jeszcze jedną zbrodnię. Jaką wagę mają dla niego kolejne ofiary? Co znaczy jedno czy dwa morderstwa więcej?

Wprawdzie Daniel siedział w więzieniu, ale kontaktował się ze światem. Miał do dyspozycji telefon, e-mail, przyjmował gości. Może sam zorganizował całą akcję? Dostał cynk, że odnaleziono szczątki, więc posłał któregoś ze swoich żołnierzy, by wykonał brudną

robotę. W swoim środowisku O'Roarke był kimś, z kim należało się liczyć. Miał posłuch i władzę. Nawet siedząc za kratami, mógł zlecić morderstwo.

Kilka minut później Nick znalazł Roya. Leżał jakieś dziesięć metrów od domu. Dostał cios w głowę, a sądząc po ranach na twarzy i rękach, stawił czoło napastnikowi. Żył, ale oddech był ledwie słyszalny, serce biło nierytmicznie. Mordercę coś musiało spłoszyć, może kroki Nicka lub Jamie'ego.

Nick miał teraz dwa wyjścia. Schować się i czekać, aż morderca wróci, by dobić ofiarę, i wtedy się na niego rzucić, albo zaciągnąć Roya do domu, lecz wówczas wystawiłby się na łatwy cel. W dodatku miałby zajęte ręce.

Popatrzył na zakrwawioną twarz Roya. Jednak nie miał wyboru. Erin z lękiem popatrzyła na umieszczone w suficie okno. Noc była ciemna, bez księżyca i gwiazd. Za szybą gęstniała ciemność, jedynie pełgające w kominku płomyki słabo odbijały się w szklanej tafli, rzucając zwiewne cienie. Przez chwilę miała wrażenie, że spostrzegła jakiś ruch. Serce w niej zamarło. Zastygła w miejscu, niezdolna się poruszyć. W napięciu wsłuchiwała się w przenikliwą ciszę. Krew szumiała jej w uszach. Z dużym wysiłkiem zmusiła się, by opanować zdenerwowanie. Musiała zachować spokój i przygotować się do walki, gdyby napastnik wdarł się do środka.

Uciekaj! - krzyczało w niej wszystko.

Spojrzała na wejściowe drzwi. Jeśli morderca jest na dachu, mogłaby wybiec z domu i rzucić się do lasu, wzywając na cały głos Nicka, Roya i Jamie'ego. Wtedy

wszyscy by tu przybiegli, a morderca zostałby osaczony na dachu. Albo...

Albo morderca nadal czekał na ganku. Specjalnie odwrócił jej uwagę. Rzucił kamyk na dach, by pomyślała, że wszedł na górę. A kiedy otworzy drzwi...

Ogarnęła ją panika. Popatrzyła na górne okno, potem na drzwi, na sufit i znów na wejście. Gdzie jesteś? - chciała krzyknąć na cały głos. Ta dźwięcząca w uszach cisza była nie do zniesienia.

Coś uderzyło we frontowe drzwi i dziewczyna gwałtownie odskoczyła. Stała teraz dokładnie pod świetlikiem. I naraz, nim jeszcze rozległ się głos Nicka, spostrzegła, jak tuż nad nią przemknął jakiś cień. A więc morderca jest na dachu!

Nick! Biegiem rzuciła się do drzwi. Już miała przekręcić zamek, gdy w ostatniej chwili coś sobie przypomniała.

- Erin! Otwórz!

Głos był inny, dziwnie stłumiony.

- Erin! Otwórz drzwi! - zawołał ponownie, tym razem z wyraźną irytacją, tak charakterystyczną dla Nicka.

Położyła rękę na drzwiach.

- Skąd mogę wiedzieć, że to ty? Zapadła napięta cisza.

- Indiana Jones - rzucił niemal ze złością. - Wiem o wszystkim, co się z tym wiąże.

Przekręciła zamek i otworzyła drzwi. Nick wszedł do środka, ciągnąc przewieszzonego przez ramiona Roya. Dlatego miał zmieniony głos, bo szeryf był słusznej wagi i postury.

- O Boże! - wyszeptała. - Czy on...

- Jeszcze żyje.

Erin szybko zamknęła drzwi, a potem położyła rękę na ramieniu Nicka i wskazała dłonią na sufit.

- Jest tam.

Nick skinął głową. Bez zbędnych ceregieli ułożył szeryfa na kanapie, a potem sięgnął po broń i spojrzął na świetlik. Erin zamierzała coś powiedzieć, lecz uciszył ją gestem.

Z bijącym sercem podeszła do nieprzytomnego Roya i w słabym świetle dogasającego ognia obejrzała jego zranioną głowę.

Wyczuła słaby puls.

Nick pochylił się tuż nad nią.

- Idę się rozejrzeć.

Nim zdążyła zapytać, co to znaczy, przeszedł przez salon i wszedł do pierwszej sypialni. Zniknął w ciemności. Po chwili usłyszała dźwięk otwieranego okna. Zostawiła Roya.

Nick stał na parapecie. Po chwili podciągnął się na rękach, by wejść na dach. Przez mgnienie widziała jego nogi i zaraz potem znów tylko ciemność. Wsłuchiwała się w ciszę, próbując wyłowić z niej odgłos kroków, lecz Nick poruszał się równie cicho, jak morderca.

Poczuła ciarki na plecach. Czekwała. Spodziewała się, że lada moment usłyszy huk wystrzału lub odgłosy walki, lecz po dwóch minutach Nick bezszelestnie zsunął się na dół.

- Jeśli tam był, to zdążył się ulotnić - powiedział, zatrzaskując okno i przekręcając zamek. - Nie jest dobrze, Erin.

Dziewczyna skinęła głową.

- Wiem. - Nie dodała nic więcej. Odwróciła się

i podeszła do Roya. Nadal był nieprzytomny, jego serce biło słabo. - Co mu się stało?

- Wygląda na to, że został zaatakowany od tyłu, ale się bronił. To mu uratowało życie.

Przyniósł ręcznik i przyłożył go do głowy szeryfa. Już nie krwawił. W miarę możliwości oczyścili rany na twarzy i rękach. Na szczęście w większości były to powierzchowne cięcia.

- A Jamie?

Nick potrząsnął głową.

- Nie znalazłem go. Mam nadzieję, że się wystraszył i zwiął. Przypuszczam, że to chłopak stąd. Zna dobrze teren, różne ścieżki i przejścia.

Nie zabrzmiało to przekonująco. Domyślała się, że Nick miał te same obawy co ona. Najpierw zniknął Jamie. Usłyszał podejrzane hałasy i poszedł sprawdzić, czy to nie jeleni. Dał się sprowokować i wpadł w pułapkę. Pewnie teraz leżał gdzieś w krzakach, martwy. Jak Avery. To samo miało spotkać Roya. Znaleźli się w potrzasku. Nawet gdyby przedarli się do samochodów, droga jest pod wodą. Nie było szans na ucieczkę. Popatrzyła na Nicka.

- Avery miał komórkę - odezwała się. - Widziałam, jak chował ją do kurtki. Może by się udało wezwać pomoc?

- Już próbowałem ze swojej. Nic z tego, bateria prawie wysiadła. Nie ma prądu, więc nie ma jak naładować.

- To może telefon Cleve'a...

- Jego ciało ktoś zabrał.

Poczuła nieprzyjemny dreszcz. Morderca usuwał

ślady. Nie dość, że był bezwzględny i okrutny, to jeszcze bardzo wyrachowany i opanowany. Kto wie, może nie działał sam?

Spojrzała na Nicka.

- W policyjnych samochodach są radia.

- Już o tym myślałem - odparł. - Jeśli jednak wyjdziemy z domu, staniemy się zupełnie bezradni. I nie ma gwarancji, że radia nie zostały zniszczone.

- Czyli jesteśmy w pułapce - podsumowała głucho.

- Jeszcze nie wszystko stracone. - Wyjął pistolet Roya, sprawdził go i podał Erin.

Wzięła broń bez wahania. Nick zaczął wyjaśniać, jak się nią posługiwać, ale przerwała mu w pół słowa.

- Wiem, co się z tym robi. Obie z mamą byłyśmy na kursie.

Madeline doprowadziła do tego pod pretekstem, że mieszkały same, ale Erin zawsze podejrzewała, że nie był to prawdziwy powód. Mama cały czas pamiętała o byłym mężu i bała się, że któregoś dnia upomni się

o córkę.

Niepotrzebnie się tym zadręczała, z goryczą pomyślała Erin.

Ojciec już dawno zapomniał o moim istnieniu.

- Posiedzimy do rana - powiedział Nick. Przegarzył szczapy w kominku i dołożył nowe polano. Snop iskierek poszybował w górę. - Może woda opadnie

i jakoś się wydostaniemy.

Nie zdążył wypowiedzieć tych słów, gdy zaalarmowana czymś Erin podniosła głowę i popatrzyła w okno na dachu.

- Posłuchaj - odezwała się cicho. - Znowu pada. W milczeniu popatrzyli na siebie.

Mijały minuty. Początkowo Erin starała się jakoś zająć czas: okryła kocem Roya, zmierzyła mu tętno. Lecz wkrótce nie było już nic do zrobienia. Usiadła przy ogniu. Nick w milczeniu krążył po salonie. Nie jest w stanie usiedzieć na miejscu, przemknęło jej przez myśl. Jak taki niespokojny człowiek może być detektywem?

- Właściwie do kogo należy ten domek? - przerwała przedłużającą się ciszę.

Zaskoczyło go to pytanie. Z ociąganiem usiadł obok Erin przy ogniu.

- Już ci mówiłem, znam właścicieli.

- Okna chyba długo były zabite deskami. Ci ludzie często tu przyjeżdżają?

- Nie, raczej nie.

Widać było, że nie chce ciągnąć tego tematu.

- Wiedzą, że tu jesteśmy?

- Nie. Również w policji nikt tego nie wie. Umówiliśmy się z Royem, że znalezienie szczątków i ich ekshumację zachowamy w tajemnicy jak najdłużej.

- Dlaczego?

- Mieliśmy swoje powody.

Podciągnęła nogi, objęła je ramionami, a brodę oparła na kolanach.

- Najwyraźniej nie byłeś wystarczająco dyskretny, bo ktoś się jednak dowiedział, chyba że mamy do czynienia z wyjątkowo niefortunnym zbiegiem okoliczności. To chyba możliwe? -

Podniosła głowę i popatrzyła na niego z nadzieją.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Może ten, kto zamordował Avery'ego i zaatakował Roya, nie ma nic wspólnego z tymi szczątkami. Może to jakiś świr szwędający się po lasach?

Nick uśmiechnął się rozbawiony.

- To by ci poprawiło nastrój? Miał rację, plotła bez sensu.
- Nie, oczywiście że nie. Ale muszę przyznać, że przez chwilę myślałam nawet...

Urwała. Nick popatrzył na nią czujnie.

- O czym?

Uśmiechnęła się blado.

- Przyszło mi do głowy, że może ktoś próbuje dobrać się do mnie. Nie wszyscy w Hillsboro są zachwyceni moim przybyciem.
- Miałaś jakieś sygnały? Zawahała się.
- Zostałam ostrzeżona. Nie mogę sobie jednak wyobrazić, by ktoś z mojego powodu zamordował niewinnego człowieka.
- Nie dałbym głowy za niewinność Avery'ego - rzekł oschle.
- Dlaczego tak mówisz?

Za całą odpowiedź Nick wzruszył ramionami.

Erin zapatrzyła się w ogień. Nick siedział tyłem do kominka, by dobrze widzieć całe wnętrze. Gdy odwrócił się do dziewczyny, migoczące płomyki oświetliły jego twarz. Zarysowane kości policzkowe, wyrazista linia szczęki, broda znamionująca upór. Na podłodze, tuż przy nim, leżał pistolet, a obok niej broń Roya. Jesteśmy przygotowani, pomyślała, dodając sobie otuchy. Jednak w głębi duszy nie była pewna, jak sobie poradzi, gdy zostaną zaatakowani.

- Myślisz, że Jamie żyje? - zapytała.
- Nie mam pojęcia. Możliwe, że zrobił swoje i uciekł. Musiał być przeciek w tutejszej policji, jestem

tego pewien. Tylko oni wiedzieli o planowanej ekshumacji. No i my. Może to był Jamie. Zamyśliła się.

- Kiedy wczoraj przyszedłam przed lunchem do domku, widziałam z daleka, że Avery rozmawia na ganku przez komórkę, gdy jednak mnie zobaczył, natychmiast skończył. Miałam wrażenie, że nie chciał, bym coś usłyszała. To mogłoby świadczyć przeciwko niemu, ale skoro został zamordowany, to raczej odpada.

- Niekoniecznie. Może wykonał swoje zadanie i został zlikwidowany, by nie było dowodów.

- Jednym słowem wracamy do punktu wyjścia, czyli do odnalezionych szczątków. Nick, kim był ten człowiek? Czyje to kości?

Nie odrywał oczu od ognia.

- Tego chciałbym dowiedzieć się od ciebie.

- Ale ty wiesz, prawda? A przynajmniej się domyślasz. Mam rację?

- Moje domysły nie mają tu nic do rzeczy. Wszystko musi być oparte na faktach. Powiesz, jakie są twoje wnioski. Wtedy ja wkroczę do akcji.

Ostro nalegał, by każde z nas robiło swoje, przypomniała sobie. Przez kilka minut oboje milczeli. W ciszy słychać było tylko delikatne stukanie deszczu i trzask płonących polan. W innych okolicznościach to wewnątrz wydałoby się ciepłe i przytulne, a sytuacja nadzwyczaj romantyczna. Odcięta od świata, sam na sam z przystojnym, seksownym gliniarzem. Lecz cóż, cały czas musi myśleć o czającym się w pobliżu mordercy. Jak pech, to pech.

- Jest też możliwość, że to ani Avery, ani Jamie

- powiedziała, zastanawiając się głośno. - Ktoś mógł za nami jechać.

Nick spojrzał na nią.

- Skąd taki pomysł?

- Bo wczoraj byłeś w laboratorium, co wywołało pewną sensację.

- Kto mnie widział? - Nick zmarszczył czoło.

- Sekretarka, a także moja koleżanka z wydziału. Coś mi mówi, że rektor też o tym słyszał. Wczoraj wieczorem bardzo mnie naciskał, bym opowiedziała Edowi Dawso-nowi o sprawach, nad którymi aktualnie pracuję.

Nick wyraźnie spochmurniał.

- Dawsonowi? Chcesz powiedzieć, że na przyjęciu u rektora był szef chicagowskiej policji?

Erin zdziwiła się.

- Myślałam, że o tym wiedziałeś.

- A niby skąd?

- Bo był z twoją matką.

Gdyby uderzyła go w twarz, nie byłby bardziej zaskoczony. Wbił w nią zdumione spojrzenie. To, co powiedziała, po prostu nie mieściło mu się w głowie. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w Erin, przetrawiając w milczeniu jej słowa i przekonując sam siebie, że zrozumiał je opacznie.

- To niemożliwe. To nie mogła być moja matka. Erin znowu wzruszyła ramionami.

- Być może to zbieżność nazwisk. Pomyślałam, że to ona, bo nazywa się Gallagher i jest bardzo do ciebie podobna.

Szczególnie te jej piękne oczy... - Urwała, lekko speszona. - Poza tym powiedziała, że jej syn jest detektywem w policji, a dokładnie trzech synów.

- Jak wyglądała?

- Pani po pięćdziesiątce. Ładna brunetka, bardzo miła. Och, prawie bym zapomniała. Ma na imię Maggie. Maggie Gallagher. Oczywiście zdarzają się zbiegi okoliczności, ale za wiele faktów się zgadzało. Tak naprawdę wszystko pasowało. Tylko co mama robiła tam z Edem Daw-sonem? Wprawdzie znają się od lat, ale to niczego nie tłumaczyło. Ojciec przyjaźnił się z Edem, jeździli razem na ryby, chodzili na piwo. Przyjaźń to może za duże słowo. Gdy po tragicznej śmierci Ashley rodzina Dawsonów przeniosła się do innej dzielnicy, ich kontakty stały się o wiele rzadsze. A wkrótce potem Sean zniknął bez wieści.

Doprowadzenie do skazania Daniela O'Roarke'a zapoczątkowało błyskotliwą karierę Dawsona. Wspinał się w górę, zaczął bywać w innych kręgach niż Gallagherowie. Powoli ich drogi się rozeszły. Tym bardziej Nick nie mógł pojąć, co mama robiła na przyjęciu u rektora. Od zaginięcia ojca nigdzie nie bywała, z nikim się nie umawiała. Inni mężczyźni dla niej nie istnieli. Więc czemu poszła z Dawsonem? Osiem lat to kawał czasu, uświadomił sobie nieoczekiwanie.

Zrozumiałby, gdyby mama chciała na nowo ułożyć sobie życie. Trzymała się świetnie, nadal przyciągała spojrzenia. Niechby to tylko był ktoś inny, a nie Ed Dawson. Nie ktoś, kto wcześniej przyjaźnił się z ojcem. I nie gliniarz...

A przede wszystkim nie w tym momencie.

Od chwili, gdy usłyszał o znalezieniu tajemniczych

szczątków, dawne wspomnienia odżyły z ogromną siłą. Ciągłe miał dziwne, trudne do wyjaśnienia wrażenie, że ojciec jest tuż obok, niemal na wyciągnięcie ręki. Ze daje mu wskazówki, pokazuje drogę, którą powinien podążać.

Wczoraj wieczorem w Hillsboro też tak było. Dałby głowę, że ojciec tam był, ukryty w cieniu, choć to przecież niemożliwe. Sean nie żył od ośmiu lat, a jego zabójca szykuje się do wyjścia na wolność. Jeśli wszystko ułoży się po jego myśli, za kilka tygodni opuści więzienie, chyba że Nick zdąży temu zapobiec. Dlatego tak bardzo liczył na Erin.

Popatrzył na dziewczynę. Siedziała zapatrzona w ogień, migoczące płomyki miękkim blaskiem rozświetlały jej twarz. Niesforne włosy wymknęły się z warkocza, delikatnymi pasemkami wiły się wokół szyi. Wygląda jak postać z obrazu, który kiedyś oglądał w muzeum - namalowana pastelowymi barwami, promieniejąca niemal mistyczną aurą. Uosobienie niewinności i kobiecości.

Gdyby teraz były inne okoliczności... Nie czekałby długo. Wziąłby ją w ramiona, rozkoszował się jej ciepłem, dotykiem skóry, smakiem ust. Palce zanurzone w rozpuszczonych włosach, czułe szepty...

Pod warunkiem, że nie odepchnęłaby go.

Nie pora na takie marzenia. Popatrzył na frontowe drzwi. W rozciągającej się za nimi ciemności krył się morderca i czekał na odpowiedni moment. O tym powinien myśleć. Sprowadził tu Erin, przez niego znalazła się w pułapce, więc teraz odpowiada za jej bezpieczeństwo. Musi myśleć o tym, jak ją stąd wyprowadzić, a nie jak uwieść.

Z doświadczenia wiedział jednak, że zwykle jedno

prowadziło do drugiego. Ciekawe, czy Erin też zdaje sobie z tego sprawę.

Podniosła wzrok. Zdumiał się, widząc jej zaskoczone spojrzenie. Czyżby jakimś sposobem czytała w jego myślach? Znowu?

- Zupełnie o czymś zapomniałam - powiedziała z przejęciem.

- O czym?

- Ross Calvert, mój asystent, powiedział mi wczoraj, że jakiś nieznajomy mężczyzna kręcił się wczoraj koło FAHIL. Udawał, że czyta gazetę. Gdy wyszłam z budynku, obserwował mnie, a potem wsiadł do auta i odjechał. Ross podejrzewał, że mnie śledził. Może jednak nie chodziło o mnie? Tylko o ciebie?

- Dlaczego nie powiedziałaś mi tego wcześniej?

- Wypadło mi z głowy - rzekła. - Poza tym wcześniej nie sądziłam, że to coś istotnego.

- Nawet zakładając, że ktoś dotarł tu za nami z Chicago, musiał wcześniej coś wiedzieć. Domyślał się, po co jedziemy, i dobrze się przygotował. Czyli u Roya musiał być przeciek.

Erin spojrzała na szeryfa.

- Jak dobrze go znasz?

- To dobry kumpel mojego ojca. Lubili się, chodzili razem na ryby. Znam go od wielu lat.

- Ufasz mu?

- Tak. On nie chlapnął - powiedział z przekonaniem. - Mógłbym ręczyć za niego głową.

Erin popatrzyła na niego przeciągle.

- Chyba już to zrobiłeś.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Erin gwałtownie się przebudziła. Jak to się stało, że zasnęła? Była pewna, że nie zmruży oka, że nie ochłonie, póki się stąd nie wydostaną i nie będą bezpieczni. A jednak sen ją zmorzył.

Leżała nieruchomo, przytulona do Nicka, z głową na jego piersi. Wsłuchana w bicie jego serca. Ten miarowy dźwięk miał w sobie coś uspokajającego. Nic dziwnego, że spała tak mocno.

Czuła na sobie jego ramię, dotyk palców we włosach. Nie poruszyła się, udając, że nadal śpi, lecz jej ciało było w pełnej gotowości. Nick przesunął dłonią po jej głowie, odgarnął kosmyk z karku. Erin zadrżała i przekręciła się nieco, jakby we śnie.

Niech nie wie, że już nie śpię, pomyślała. Nie chciała, by cofnął rękę, by przestał ją obejmować. Tak dobrze trzymać głowę na jego piersi. Nie otwierała oczu. Westchnęła z rozmarzeniem. Jak dobrze nie być samą!

Po chwili ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Nie powinna tak się zachowywać. Wyprostowała się, jakby

właśnie w tej chwili zaczęła się budzić. Nick natychmiast cofnął rękę. Erin otworzyła oczy.

- Długo spałam?

- Z godzinę. Już prawie świta.

W domku panował chłód. Ogień już dawno dogasł. Erin potarła zimne ręce.

- Jak się miewa Roy?

Oboje popatrzyli na leżącego nieruchomo szeryfa.

- Niedawno sprawdzałem - rzekł. - Oddycha trochę lepiej.

Skoro wstawał do niego, to jakim sposobem spałam na jego piersi? Czy to on mnie przytulił, czy ja sama, we śnie?

Speszyła się. Podniosła się z ziemi, podeszła do Roya i ujęła go za rękę. Rzeczywiście, puls silniejszy niż w nocy. Trochę z nim lepiej, ale muszą szybko zabrać go do szpitala.

Nick zaczął rozpalać ogień na kominku. Przeciągnął dłonią po twarzy. Pewnie chciałby się ogolić, pomyślała.

Sama też postanowiła się odświeżyć. Gdy wróciła z łazienki, Nick stał przy lekko uchylonych drzwiach i wyglądał na zewnątrz. Na dworze robiło się coraz jaśniej. Gdzieś z daleka dobiegł stłumiony odgłos jadącego samochodu. Serce skoczyło jej do gardła. Wstający dzień uspił nocne lęki, lecz ten nieoczekiwany dźwięk na nowo przywrócił poczucie grożącego im niebezpieczeństwa. Dźwięk narastał, samochód był coraz bliżej. Stała tuż przy Nicku.

- Co to jest?

- Jakieś terenowe auto. Chyba nawet nie jedno, sądząc po hałasie.

- Nie patrzył na nią. - Idź do środka i schowaj się.

Nie należała do osób, które zadają zbędne pytania lub niepotrzebnie ryzykują. Była szefem w laboratorium, ale tu dowodził Nick. Nie zastanawiała się ani przez chwilę. Pośpiesznie weszła do środka i złapała pistolet Roya. Narastający warkot silników zagłuszał gromkie bicie jej serca. Nie odrywała oczu od stojącego na progu Nicka, uspokajając się w duchu, że do tej pory nie pozwolił im zginąć.

Nagle zapadła cisza. Nick, nie odwracając się, rzucił przez ramię:
- Schowaj się.

Erin przyklękła za kanapą, drżącymi rękami ścisnęła pistolet.

Minęło kilka chwil, nim ktoś zawołał przez tubę:

- Tu oficer Selworth z posterunku Webber. Czy ktoś tam jest?

Nick odpowiedział z progu:

- Detektyw Nick Gallagher z policji w Chicago. Proszę powoli podejść z podniesionymi rękami.

- Proszę odłożyć broń, detektywie Gallagher - rozległo się wypowiedziane przez tubę wezwanie.

- Najpierw muszę zobaczyć wasze legitymacje - zaproponował stanowczo.

Zapadła cisza, jakby przybysze dyskutowali między sobą. Po chwili przez tubę odezwał się znajomy głos.

- Mówi Jamie Duncan. Nick, to są prawdziwi policjanci, daję słowo. Wezwałem ich, gdy znalazłem ciało Avery'ego.

- Nadal chcę zobaczyć ich legitymacje - chłodno powtórzył Nick.

- Jamie, przynieś je tutaj.

Znowu cisza. Erin wstrzymała oddech. Po kilku

minutach na ganku rozległy się czyjeś kroki. Usłyszała głos Jamie'ego.

- Nick, wszystko jest jak trzeba. Możesz im zaufać. Podał legitymacje. Nick obejrzał je uważnie. Po chwili oddał je chłopakowi.

- Co wczoraj się z tobą stało?

- Usłyszałem podejrzaną hałas, więc poszedłem sprawdzić. Nie chciałem od razu wszystkich budzić, bo znów mógł to być jelen. Ale w błocie były odcisnięte ślady stóp. Poszedłem za nimi i znalazłem Clive'a. Już nie żył.

- Więc zwiąłeś? - oziębło powiedział Nick. Młody policjant oblał się rumieńcem.

- Wiedziałem, że nie damy sobie rady bez posiłków. Pomyślałem, że przedrę się przez chaszczę, dojdę do autostrady albo najbliższej farmy i zaalarmuję policję.

Jego głos brzmiał tak szczerze, że Erin gotowa była mu uwierzyć, ale Nick nadal zachowywał dystans.

- Szeryf Glass jest ciężko ranny. Trzeba jak najszybciej zabrać go do szpitala.

- Na autostradzie czeka ambulans - powiedział Jamie. - Woda opadła, ale na drodze jest takie błoto, że przejedzie tylko terenówka.

Znowu rozległo się wołanie przez tubę.

- Detektywie Gallagher! Jesteśmy bez broni. Podchodzimy.

Nick otworzył drzwi, wyszedł na ganek. Erin ostrożnie podeszła bliżej, by osłaniać Nicka. Trzymała się w cieniu, lecz była gotowa do działania.

Rozmowa z policjantami trwała kilka minut. Dyskutowali przyciszonymi głosami, więc niewiele docie-

rało do środka. Po chwili wszyscy weszli. Popatrzyła na Nicka. Podchwycił jej spojrzenie i skinął głową. Erin opuściła rękę z pistoletem.

Szeryf został ułożony na noszach i przeniesiony do samochodu, natomiast Erin i Nick wsiedli do drugiego auta.

Ścisnął jej dłoń.

- Dobrze się czujesz?

Kiwnęła głową i głęboko odetchnęła.

- Spisałaś się świetnie - powiedział i popatrzył na nią tak, że serce zabiło jej jeszcze mocniej.

Było późne popołudnie, gdy wreszcie dotarli do Chicago.

Ekshumowane szczątki zostały umieszczone w laboratorium FAHIL, gdzie miały być otoczone szczególnie czujną opieką.

Erin zamierzała z samego rana zacząć badania, lecz teraz była tak zmęczona, że marzyła tylko o ciepłej kąpieli i łóżku.

Nick odprowadził ją do domu. Zapadł zmrok, zrobiło się chłodno. Wiał wiatr od jeziora. Erin, otwierając zamek, wzdrygnęła się z zimna.

- Ale wycieczka, co? - mruknęła z lekką ironią. Nick popatrzył na nią uważnie. W zapadającej ciemności jej twarz ledwie majaczyła.

- Dasz sobie radę? - zapytał z nutą niepokoju. Uśmiechnęła się.

- Jestem tak wykończona, że nawet gdyby sufit się na mnie osunął, niczego nie poczuję.

- Masz w mieszkaniu alarm? - Nick był naprawdę upartym facetem.

Skinęła głową.

- W takim razie nie zapomnij go włączyć.

Poczuła zimny dreszcz. Te słowa przypomniały jej niebezpieczeństwo, jakie jeszcze nie tak dawno im groziło.

- Nie martw się, nie zapomnę.

Gdy zaczął powoli schodzić, powiedziała miękko:

- Nick... Odwrócił się.

- Słucham.

Erin zawahała się, w końcu wzruszyła ramionami.

W zapadającym zmroku widziała utkwione w siebie niebieskie oczy. W cieniu jego twarz wydawała się spięta. Po chwili uśmiechnął się.

- O co chodzi? - Podszedł do niej bardzo blisko. Serce zatrzepotało jej w piersi.

- Dziękuję... no wiesz... za wszystko.

- Nie musisz dziękować. Gdybym cię tam nie ściągnął, nie byłoby sprawy. Miałabyś spokojną noc.

Miał absolutną rację. Wydarzyło się wiele nieprzyjemnych rzeczy, ale nie żałowała. Było jej przykro z powodu Avery'ego i Roya, lecz cieszyła się z nocy spędzonej w towarzystwie Nicka oraz że oboje znaleźli się w niebezpieczeństwie, bo to ich zbliżyło. W żadnej normalnej sytuacji do tego by nie doszło. Nick spojrzał na nią przenikliwie, jakby teraz on czytał w jej myślach. Zaparło jej dech. Nie zdążyła nabrać powietrza, gdy pochylił się i musnął jej usta.

W chwilę potem już go nie było.

Był zbyt podekscytowany, by wracać do domu. Wiedział, że nie zaśnie, wydarzyło się bowiem zbyt wiele. Pojechał na posterunek. Miał mnóstwo papierkowej roboty. No cóż, ta cholerna, nieśmiertelna biurokra-

cja! Usiadł przy biurku i rozłożył papiery, nie mógł się jednak skoncentrować.

Ciągle wracał myślą do ostatnich wydarzeń. Avery został zamordowany. To go niepokoiło, nie pasowało do całości. Gdy dowiedział się o znalezieniu zwłok, postanowił utrzymać to w tajemnicy. Przynajmniej do czasu, kiedy z całkowitą pewnością będzie można określić, czy są to szczątki Seana. Nie chciał, by dowiedziały się o tym media i rodzina O'Roarke'ów. Lepiej, by żyli w przekonaniu, że lada moment Daniel wyjdzie na wolność. Niech żyją w niewiedzy, że odnalezione szczątki mogą doprowadzić do nowego oskarżenia.

Ale O'Roarke'owie w jakiś sposób zostali zawiadomieni o odkryciu. Komu poza nimi mogło zależeć na uniemożliwieniu identyfikacji? W grę wchodzi tylko oni.

- Cześć, Nick! Co tu robisz o tej porze? Podniósł głowę z nad biurka. Na progu stał wujek

Liam. Nie słyszał jego przyjścia. Liam ma za sobą prawie czterdzieści lat służby. Siwowłosa, bystre niebieskie oczy. Człowiek, którego niełatwo było oszukać. Poszedł w ślady ojca, który też był policjantem. Teraz Liam był najstarszy, dlatego pozwalał sobie na więcej niż inni. Między innymi bardzo lubił pouczać młodszych kolegów.

- Przyganiał kocioł garnkowi. Z ciebie też nocny marek.

Liam wzruszył ramionami, wszedł do niewielkiego pomieszczenia i usiadł ciężko. Za parę lat pójdzie na emeryturę, a wygląda, jakby już bez żalu to zrobił, nieoczekiwanie pomyślał Nick. Ostatnio Liam bardzo się postarzał: zmarszczki zrobiły się głębsze, plecy się zgarbiły.

- Wiesz, jak to jest. Mnóstwo trudnych spraw. Niby nic nowego, poza jednym: coraz mniej wywiadowców, a coraz więcej zabójstw.

Było dokładnie odwrotnie, lecz Nick nie zamierzał prostować słów wujka.

- Z czym przychodzisz? - zapytał z udaną obojętnością.

- Widziałem, że wzięłeś sobie parę dni wolnego. - Liam spojrzał przenikliwie.

Nick oparł się wygodniej.

- Miałem zaległy urlop.

- Wiem, ale nie w tym rzecz. Ciekawy byłem, gdzie się wybrałeś.

Pojechałeś na ryby?

W głosie Liama było coś, co obudziło w Nicku czujność. Pokręcił przecząco głową.

- Ostatnio prawie nie łowię.

- Szkoda. Gdy byłeś mały, przepadałeś za tym. Wtedy żył Sean. I nie chodziło o łowienie ryb, ale o czas spędzony z ojcem. To były najszcześniejsze chwile.

- Teraz już nie jest tak, jak dawniej.

- Wiem. - Liam nie dodał nic więcej. Pamiętał, jak bardzo Nick i Sean byli ze sobą zżyci.

- No, to o co chodzi? - zaryzykował. Czuł, że za przybyciem wujka coś się kryje. Nie przyszedł tylko ot, tak sobie, na pogaduszki.

Liam przez chwilę patrzył na niego badawczo.

- Zadzwoił do mnie znajomy z Wisconsin. Powiedział, że dziś w nocy szeryf z sąsiedniego posterunku został ciężko ranny, a drugiego policjanta zamordowano. Wpadli w zasadzkę niedaleko waszej chaty. Wiesz coś o tym?

Nick nawet nie mrugnął powieką.

- Dlaczego sądzisz, że mógłbym coś wiedzieć?

- Bo dobrze znasz Roya Glassa. Wiem, że przez lata zdążyliście się zaprzyjaźnić oraz że co jakiś czas jeździsz tam szukać ciała Seana. Tym razem się udało, prawda? A w każdym razie jest taka szansa.

Nick energicznie potarł oczy. Nagle poczuł, jak bardzo jest zmęczony.

- Skąd o tym wiesz?

- Bo ja też znam Roya. Często razem z Seanem wybieraliśmy się we trójkę na ryby. Zadzwoił do mnie po rozmowie z tobą. Opowiedział o znalezionych szczątkach. Niestety, tak szybko wyjechałeś, że nie zdążyłem cię złapać. Niewiele brakowało, byś stracił życie. Bardzo ładnie, Nick!

Ton Liama poruszył go.

- A chciałbyś, żebym co zrobił? Czekał na normalne procedury, a przez ten czas dał O'Roarke'om wolną rękę? Żeby zdążyli usunąć wszelkie ślady? Może nie wiesz, ale w jakiś sposób dostali cynk. To oni stoją za morderstwem Avery'ego.

- W to nie wątpię, ale powinieneś przyjść z tym do mnie - rzekł ostro Liam. - Ja też bym się włączył. Ten policjant nie musiał zginąć.

Nick skrzywił się. Być może powinien wezwać posiłki, ale przecież trudno wszystko przewidzieć.

- Te szczątki są w laboratorium FAHIL. Specjalista je dokładnie przebadają, dostaniemy oficjalną ekspertyzę. Gdy będziemy wiedzieć, na czym stoimy, ruszymy do przodu.

Liam popatrzył na niego ostro.

- Raczej, gdy okaże się, czyje naprawdę są te szczątki. A jeśli to nie Sean?

- O co ci chodzi?

- Jeśli okaże się, że to nie Sean, to co wtedy? Tyle czasu czekałeś na zemstę.

- Możesz nazywać to zemstą - odparł chłodno Nick. - Dla mnie to sprawiedliwość.

- Słowa, słowa... - mruknął Liam. - Wszystko i tak sprowadza się do jednego: chcesz im się dobrać do skóry. I ja to świetnie rozumiem. Sam o tym marzę. Zawsze trzymałem się od nich jak najdalej, a ten ślub Kaitlin niczego nie zmienił. - Urwał. Jego córka wyszła za kuzyna Daniela. Liam nigdy się z tym nie pogodził. Odebrał to jak osobistą zniewagę znienawidzonego rodu. Wyrzekł się Kaitlin i, mimo próśb całej rodziny, pozostał w tym nieugięty.

Złość Nicka nagle się rozviała. Ogarnęło go "silne znużenie.

- Zależy mi tylko, by Daniel poniósł zasłużoną karę. Jestem pewien, że zamordował mojego ojca.

- Osiem lat to szmat czasu - zamyślił się Liam. - Trudno będzie znaleźć dowody.

- Nie twierdę, że to proste zadanie. Mógł jednak z kimś rozmawiać, przechwalać się, że załatwił gliniarza lub wspomnieć, gdzie zakopał ciało i ukrył broń. Cokolwiek, od czego można by zacząć. Musi być coś takiego. Trzeba tylko do tego dotrzeć.

- A jeśli nic takiego nie znajdziesz?

- Znajdę. - Nie dopuszczał do siebie myśli, że może być inaczej. Nie teraz, gdy wszystko zawisło na włosku i morderca jest już jedną nogą na wolności. Z napięciem popatrzył na Liama i ujrzał przed sobą

twarz Seana. - Przecież jestem policjantem. Jeśli nie potrafię doprowadzić do ukarania mordercy własnego ojca, za kogo powinien się uważać?

- Za człowieka - mruknął Liam. - Jak my wszyscy.

Po dwóch pełnych napięcia dniach mieszkanie wydawało się jeszcze bardziej ciche i przytulne. Czarno-biały Macavity, zadowolony z przybycia pani, łąsił się do Erin przez chwilę, ale szybko umknął na swe ulubione miejsce i z daleka obserwował ją zielonymi oczami.

- Przepraszam cię, Mac, ale zostaliśmy odcięci przez powódź - usprawiedliwiała się Erin. - Dlatego wszystko tak się przedłużyło.

W głębi duszy nie była jednak pewna, czy rzeczywiście chciałyby wrócić wcześniej. Bo choć znalazła się w niebezpieczeństwie, to jeszcze nigdy nie czuła w sobie takiej chęci do życia, jak u boku Nicka. Cudowne było też to, że przy nim ani przez chwilę nie czuła się samotna.

Macavity, jakby czytając w jej myślach, odwrócił się obrażony i zaczął czyścić przednie pazurki, demonstracyjnie ignorując swoją panią. Nie można liczyć na kocią wyrozumiałość.

Nieoczekiwanie obudziła się w niej tęsknota za mamą. Gdyby żyła, gdyby Erin mogła sięgnąć po słuchawkę i usłyszeć po drugiej stronie jej głos! Tak chciała podzielić się z nią wydarzeniami ostatnich dni, opowiedzieć o tym, co się stało.

A najbardziej o Nicku. I to tym, że chyba się w nim zakochała.

- Najlepiej zrobi ci teraz długa, gorąca kąpiel

- powiedziała głośno, by zagłuszyć panującą w mieszkaniu ciszę. Gorąca kąpiel to sprawdzony maminy sposób na wszelkie niepowodzenia i przeciwności losu, poczynając od złamanego serca po bolący paznokieć. Dzisiaj jednak im Erin dłużej leżała w gorącej wodzie, tym trudniej było się jej rozluźnić. Z każdą chwilą robiła się coraz bardziej niespokojna.

Te tajemnicze szczątki mogą okazać się puszką Pandory. Już i tak z ich powodu tyle się wydarzyło. Od pierwszej chwili, jeszcze nim wyruszyła z Nickiem z Chicago, instynktownie się czegoś obawiała. Intuicyjnie czuła, że za tymi szczątkami kryje się jakaś mroczna przeszłość oraz że zło, przebudzone wraz z wydo-
staniem tych szczątków na światło dzienne, jeszcze nie
powiedziało ostatniego słowa.

Nie chciała drażnić tego tematu, za bardzo się denerwowała. By odwrócić myśli, zaczęła przypominać sobie chwile spędzone z Nickiem. I ten lekki jak dotknięcie motyla pocałunek. Zadrżała na to wspomnienie. Delikatnie przesunęła palcem po ustach... Ciepła woda otulała ją miękko, pieszczotliwie. Myśli o Nicku były coraz bardziej natrętne, nie dawały się odgonić.

Jeszcze żaden mężczyzna tak na nią nie podziałał. A jednak było w nim coś niepokojącego, trudnego do nazwania, jakieś mgliste przeczucie, budzące lęk czy też rezerwę. Przeczucie kryjącej się w nim tajemnicy. Pociągał ją, a przez to jednocześnie się go obawiała. Być może jedno z drugim jest nierozłącznie związane. Wyszła z wanny, włożyła piżamę i wślizgnęła się do łóżka. Długi czas przewracała się z boku na bok,

daremnie próbując zasnąć. Naraz dobiegł ją dziwny dźwięk. Zaniepokojona usiadła. Macavity, który łaskawie w końcu jej wybaczył i zwinięty w kłębuszek spał w nogach łóżka, otworzył szeroko oczy i nastawił uszka. On też coś usłyszał.

Wstała z bijącym sercem, przeszła przez pograżone w ciemnościach mieszkanie, zatrzymując się i wsłuchując w ciszę. Okno salonu wychodziło na ogród z tyłu domu. W cieniu, rzucanym przez drzewa, majaczyły klomby i ozdobne krzewy. Gałęzie kołysały się na wietrze. Znowu ten dziwny metaliczny dźwięk, jak poruszane wiatrem dzwoneczki. Już nieraz je słyszała, ale nigdy jej to nie zaniepokoiło. Widać nerwy miała w gorszym stanie, niż się do tego przyznawała.

Odwróciła się i minęła barek oddzielający salon od niewielkiej kuchni. Wyjęła szklanę, odkręciła kran i nalała wody. Stała przy oknie, powoli pijąc łyk za łykiem. Popatrzyła na ulicę. I od razu zauważyła długi czarny samochód zaparkowany po drugiej stronie, dokładnie na wprost jej domu.

Tam, gdzie stał, nie dochodziło światło ulicznej latarni. W mroku można było dostrzec tylko niewyraźne zarysy. Jak czająca się do skoku pantera, przebiegło jej przez myśl. Wyteżyła wzrok. Naraz jej uwagę przyciągnął jakiś ledwie dostrzegalny ruch. Trwało to mgnienie, ale dałaby głowę, że widziała lekki refleks światła, jakby szyba opuściła się w dół. A zaraz potem poczuła, że czyjeś oczy wpatrują się w nią przez ciemność.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- To z całą pewnością mężczyzna - oświadczyła Erin, delikatnie przeciągając końcem palców po leżącej na blacie czaszce. Nie odrywała od niej oczu. Nick, stojący po drugiej stronie laboratoryjnego stołu, dziwnie na nią działał. Serce biło jej jak szalone. Przez cały dzień czekała na chwilę, kiedy się tutaj pojawi. Umówili się, że poda mu wstępne wnioski. Myślała, że przyjedzie znacznie wcześniej. Było już późne popołudnie.
- Popatrz na zarys oczodołów. Mają kształt typowy dla białej rasy. I ta wąska, długa kość nosowa. Kształt i proporcje bardzo charakterystyczne.
- Czyli biały mężczyzna - podsumował Nick. - Co dalej?
- Przyjrzyj się kościom szkieletu. Porowata powierzchnia i szarawy odcień świadczą, że od dłuższego czasu przebywały w ziemi. Orientacyjnie można powiedzieć, że co najmniej pięć lat. Ich spojrzenia się spotkały, lecz tym razem Nick nie odezwał się ani słowem. Nie potrafiła określić, jakie

odczucia budzą w nim prezentowane przez nią wnioski. Był dziś taki daleki i obcy, że zaczynała się zastanawiać, czy ten wczorajszy pocałunek zdarzył się naprawdę. Dziś Nick zupełnie jej nie zauważał.

- Przy ustalaniu hipotetycznego wieku bierze się pod uwagę wiele różnych szczegółów. W tym przypadku wszystko wskazuje, że zmarły był między pięćdziesiątką a sześćdziesiątką. Na stawach i kręgosłupie są ślady świadczące o początkach artretyzmu, ale sądząc po tym fragmencie kości miednicy, raczej miał mniej niż sześćdziesiąt lat.

Ponieważ Nick słuchał w milczeniu, dalej ciągnęła swój wywód.

- Wzrost mniej więcej sto osiemdziesiąt pięć. Waga osiemdziesiąt pięć do stu kilogramów. Wagę trudniej określić niż wiek czy wzrost. Ilość tkanki tłuszczowej nie jest zależna od struktury i stanu kości. Jednak stosuje się przyjęte metody, które na podstawie budowy kośćca, płci, wieku i wyglądu wierzchniej warstwy kości pozwalają dość wiarygodnie to ocenić. Im ktoś jest bardziej wysportowany, tym zewnętrzna powierzchnia jest bardziej porowata. W tych miejscach były przyczepione ścięgna.

- Pokazała Nickowi fragment kości. - Mogę stwierdzić, że ten człowiek jak na swój wiek był w bardzo dobrej formie, może nawet chodził na siłownię. I był praworęczny.

Nick nie patrzył na leżący przed nimi szkielet. Utkwił oczy w Erin. Miał bardzo poważną twarz.

- Dobrze - uciął. - Mów dalej. Przyczyna i rodzaj śmierci?

- Nieokreślona. Zaparło mu dech.

- Jesteś pewna? Erin skinęła głową.
 - Na tym etapie tak. Zdjęcia nie wykazały śladów użycia metalu, nie ma uszkodzeń po kuli. W zasadzie można wykluczyć śmierć spowodowaną przez broń palną. Ale tu, z tyłu, jest pewna drobna rysa, minimalny odprysk. - Odwróciła czaszkę i wskazała miejsce. - Rentgen wykazał, że to uszkodzenie miało miejsce jeszcze przed śmiercią, gdy ten człowiek żył.
 - Ktoś go uderzył w tył głowy - powiedział Nick.
 - Możliwe.
 - Więc czemu mówisz, że przyczyna śmierci jest nieznana?
 - Bo według mnie to nie było aż tak poważne uszkodzenie, by spowodowało śmierć. Jest jednak jeszcze coś. - Pochyliła się nad szkieletem. - Chodzi mi o tę małą kostkę. To do niej jest przytwierdzony język. Środek jest w kształcie litery U, od niego odchodzą dwa wyrostki. Pod silnym naciskiem ta kostka może się zdeformować lub złamać.
- Nick patrzył na nią z napięciem.
- A jak jest tutaj?
 - Z tym jest problem. Z wiekiem, mniej więcej po trzydziestce, te wyrostki zwykle się schodzą, ale nie zawsze. Innymi słowy nie można kategorycznie ocenić, czy to złamanie, czy też właściwość danego osobnika. Nim to ostatecznie stwierdzę, muszę przeprowadzić bardziej szczegółowe badania.
 - To znaczy, że możliwość gwałtownej śmierci nie jest całkowicie wykluczona - zniżonym, napiętym głosem podsumował Nick.
- Jego pozorny spokój rozwiął się bez śladu. Po jego

oczach widziała, że jest szalenie skoncentrowany i całkowicie skupiony na własnych myślach. Wytrzymała jego spojrzenie.

- Wręcz przeciwnie. Gdybym miała duszę hazardzisty, postawiłabym wszystko na jedną tezę: że ten człowiek padł ofiarą morderstwa.

Starannie zamknęła drzwi laboratorium i włączyła alarm. Gdy wyszli z budynku FAHIL, zatrzymali się, by dokończyć rozmowę.

- Jak już zastrzegłam, to dopiero pierwsze wnioski. By je sprecyzować, muszę przeprowadzić dokładniejsze badania. Wtedy poproszę o sporządzenie i dostarczenie spisu osób, które zaginęły w tamtych stronach w ciągu, powiedzmy, ostatnich pięciu do dziesięciu lat. Jeśli to nic nie da, trzeba będzie rozszerzyć krąg poszukiwań. Być może przejrzymy listy zaginionych z terenu całego Chicago.

- A gdyby na podstawie czaszki zrekonstruować twarz? - zapytał Nick.

- Do tego uciekamy się w ostateczności, choć czasami to rzeczywiście okazuje się pomocne.

- Czytałem o takim przypadku. Glinianą rekonstrukcję twarzy zamordowanego przedstawiono w trakcie procesu. Po zakończeniu sprawy kilku sędziów mówiło, że przez cały czas mieli wrażenie, jakby ofiara na nich patrzyła.

Erin spojrzała na niego uważnie.

- Wydali wyrok skazujący?

- Zajęło im to mniej niż godzinę.

- Dlatego zależy ci na tej rekonstrukcji? Nick tylko ściągnął usta.

- Jeśli to mogłoby pomóc, to oczywiście. Niczego nie zaniedbam, by doprowadzić winnego przed sąd.

Zapadający zmrok kładł się cieniem na budynki uniwersyteckie, chłodny wiatr od jeziora targał gałęziami drzew. Erin wzdrygnęła się. W zamyśleniu popatrzyła na Nicka. Jak wiele się zmieniło od chwili, gdy po raz pierwszy wszedł do jej laboratorium. Dopiero co groziło im realne niebezpieczeństwo. Uszli z życiem, ale to wcale nie koniec. Nick zastawia sidła na mordercę, a ona nadal jest w to zamieszana. Czy jeszcze może się z tego wyplątać? I czy rzeczywiście tego chce?

Intuicyjnie wiedziała, że już jest za późno, bo klamka zapadła w chwili, gdy Nick przekroczył próg FAHIL.

- Jadłaś już coś? - zapytał nieoczekiwanie. Erin pokręciła przecząco głową.

- Lubisz chińszczyznę? Znam jedno takie miejsce...

- Uwielbiam - odparła, mimowolnie czując, jak pajęczyna, którą ją oplątywał, zacieśnia się wokół niej coraz bardziej. I że walka z nią na nic się nie zda.

Jak można przeciwstawiać się temu, co nieuniknione?

Podwiózł Erin do domu, by mogła się przebrać, a kiedy do niego dołączyła, przyjrzał się jej z uznaniem. Założyła dzinsy i bladoniebieski bliźniak pięknie pasujący do koloru jej oczu. W tym stroju wyglądała bardzo kobieco. Ledwie się powstrzymał, by nie ściągnąć frotki przytrzymującej splecione w warkocz włosy. Choć tylko raz widział je rozpuszczone, ten widok na zawsze zapadł mu w pamięć. Opadające jedwabistą falą loki śniły mu się po nocach.

Opamiętał się. Włączył migacz i zerknął w tylne lusterko. Stojąca na poboczu ciemna limuzyna wyjechała za nimi na jezdnię.

- Dowiadywałaś się o Roya? - zapytała Erin.

- Widziałem go rano. W nocy odzyskał przytomność. Lekarze mówią, że się wylize. Niestety nic nie pamięta. Nie widział, kto go zaatakował.

- Znaleźli ciało Avery'ego?

- Nie. I nie ma żadnych śladów. Deszcz wszystko zmył.

Popatrzył w lusterko. Czarne auto wciąż jechało za nimi, co jakiś czas przepuszczając przed siebie inne samochody. Wiedział, jak sobie z takimi radzić. Lekko przyśpieszył.

Zadawał sobie pytanie, czy dobrze robi, nie informując policji.

Może nie powinien działać na własną rękę. Wiedział, ile ryzykuje, lecz z drugiej strony chciał mieć pewność. Gdyby na tym etapie wyjawić wiadomość o odnalezieniu szczątków, media natychmiast by to roztrąbiły. A tylko tego mu brakowało.

Szczyście, że żadna z chicagowskich gazet nie napisała o zabójstwie Avery'ego. Dla wielkomijskich dziennikarzy morderstwo w dalekiej głuszy nie było wydarzeniem godnym odnotowania.

- Aż się nie chce wierzyć, że jeszcze czterdzieści osiem godzin temu nasze życie było zagrożone - odezwała się Erin. - Mogli nas zamordować - dodała rzeczowym tonem, jakby mówiła o czymś, co dawno minęło i już nie wróci.

Nick nie podzielał jej zdania.

- Erin, niebezpieczeństwo nadal istnieje - powiedział posepnie. - Powinnaś o tym pamiętać.

Jej spokój rozwiął się natychmiast. W oczach błysnął lęk.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Ktoś, dużo ryzykując, dybał na nasze życie. Uważasz, że przewiezienie szczątków do Chicago coś zmieniło? Że ten ktoś zrezygnował?

- Czy to znaczy, że przyjechał za nami?

- Wszystko za tym przemawia. Skoro poszedł na całość i był gotów wymordować wszystkich, by zapobiec identyfikacji, to z pewnością się nie poddał - skwitował Nick. Widział, że Erin zadrżała.

- Podobny przypadek zdarzył się w Knoxville tuż przed moim wyjazdem - zamyśliła się Erin. - Mieliśmy ekshumować zwłoki trzech mężczyzn pochowanych we wspólnym grobie. Zostali zastrzeleni. Prawdopodobnie należeli do gangu handlarzy narkotyków, doszło do nieporozumień. Chodziły pogłoski, że szef gangu z Miami był bardzo zainteresowany naszymi pracami. Przez cały czas strzegła nas policja. Sytuacja była napięta.

- I jak to się skończyło?

- Dokonaliśmy ekshumacji, zabraliśmy szczątki do laboratorium. Zostali zidentyfikowani, ale z tego, co wiem, nikogo nie aresztowano. Przez jakiś czas miałam wrażenie, że ktoś mnie śledzi. Od tamtej pory zrobiłam się ostrożna.

- Dlatego masz alarm w laboratorium i w mieszkaniu?

Erin skinęła głową.

- I dlatego nauczyłaś się posługiwać bronią? Dziewczyna zawahała się.

- Nie, to było wcześniej, jeszcze gdy studiowałam.

Ktoś włamał się do naszego domu i dokładnie go przetrząsnął. Nie zginęło nic cennego, więc policja stwierdziła, że to chuligański wybryk, ale dla mojej mamy było to ciężkie przeżycie. Mieszkałyśmy same, na nikogo nie mogliśmy liczyć. Dlatego uparła się na kursy samoobrony.

- Bardzo słusznie - pochwalił. Czarny samochód jadący tuż za nimi skręcił w lewo i zniknął w sznurze aut. - Twoja mama nadal mieszka w Knoxville?

Erin odwróciła się od okna.

- Zmarła w zeszłym roku.

- Przepraszam. - Chciał ująć ją za rękę, powiedzieć, jak świetnie ją rozumie, lecz zamiast tego jeszcze mocniej zacisnął palce na kierownicy. - Mój ojciec zmarł dawno temu. Gdyby to była prawda, że czas leczy rany... - dodał z westchnieniem.

- Tak nie jest. Dobrze to wiem. Byliście zżyci?

- Bardzo. - Z trójki braci to on był z Seanem najbardziej związany. John zawsze był niezależny, Tony chodził własnymi drogami. Nick przepadał za ojcem, wyjazdami na ryby, wspólnym oglądaniem transmisji meczów drużyny Niedźwiedzi. Świetnie się czuli w swoim towarzystwie. Może dlatego nigdy nie szukał przyjaźni z rówieśnikami. I gdy Sean zniknął, nie miał oddanego kumpla, na którego mógłby teraz liczyć.

Poczuł na ramieniu lekki dotyk jej dłoni. Popatrzył na Erin, a ona uśmiechnęła się blado.

- Czas mija, ale wcale nie jest łatwiej. Jednak trzeba iść do przodu. Życie jest zbyt krótkie, by trwać w przeszłości.

Wiedział, że to jedyne wyjście. Szedł do przodu, żył

jak inni. Przez te lata bywały dni, tygodnie, a nawet miesiące, kiedy nie wracał myślą do wspomnień, zapominał o pytaniach, na które ciągle nie znał odpowiedzi. Jednak nigdy nie zapomniał o tym, co się stało. To stale tkwiło w nim jak zadra, jak podleczona, lecz ciągle bolesna rana.

Wiadomość o ewentualnym wypuszczeniu O'Roar-ke'a na wolność wszystko zmieniła. Wspomnienia ożyły z dawną siłą. I chociaż wreszcie pogodził się ze śmiercią ojca, nie potrafił spokojnie żyć ze świadomością, że morderca ujdzie karze. Zaparkował i piechotą ruszyli wąską uliczką chińskiej dzielnicy. Znaleźli się w innym, fascynującym świecie. Maleńkie, egzotyczne sklepiki, zatłoczone kafejki i orientalne restauracje, górujące nad głowami barwne pagody.

Był chłodny, pogodny wieczór. W takie noce nachodziła go tęsknota za beztroskimi latami dzieciństwa. Jako chłopcy byli sobie bliscy, lecz potem ich drogi się rozeszły. Po zniknięciu ojca każdy poszedł w swoją stronę. I już nigdy nie było tak samo. Każdy z braci na swój sposób przeżył zniknięcie ojca, lecz jego śmierć, zamiast zbliżyć, rozdzieliła ich. John poczuł się odpowiedzialny za rodzinę, lecz jednocześnie stał się bardziej niezależny. Tony wybrał własną drogę. Wyprowadził się z domu, zerwał kontakty. Dopiero teraz, po ośmiu latach nieobecności, powoli zaczyna odbudowywać rodzinne więzy.

A on sam... Długo opłakiwał ojca, potem rozpacz zmieniła się w głęboki, zapiekły gniew, który przyczał się w nim, ale nigdy nie osłabł. I teraz, gdy wypuszczenie Daniela na wolność stało się prawdopodobne,

nie był w stanie okiełznać gotującej się w nim wściekłości. Jeśli nie zdoła udowodnić, że to Daniel zamordował Seana, jeśli O'Roarke wyjdzie na wolność...

Aż go wstrząsało na tę myśl. Zaciśnął zęby. Lepiej nie myśleć, jak zareaguje, jeśli kiedyś spotka Daniela na ulicy. Może Liam miał rację. Może rzeczywiście chodziło mu tylko o zemstę?

Szli wąską uliczką obok siebie, nie dotykając się nawet ramionami, lecz nagle z ogromną siłą uświadomił sobie obecność Erin. Zwolnił, zdezorientowany własnymi uczuciami. Popatrzył na nią z ukosa.

Było w niej coś, czego nie potrafił określić. Podobała mu się, owszem, ale to nie wszystko. Było w niej coś trudnego do nazwania, coś, co działało na całą jego istotę. Choć wcale tego nie chciał. Nie teraz, kiedy miał do wypełnienia swoje posłannictwo. Nie miał czasu na miłosne uniesienia.

Była wyjątkową kobietą. Budziła w człowieku najbardziej romantyczne uczucia. Całkowicie różniła się od dziewczyn, jakie znał. Stonowana uroda, wyważony sposób bycia, a jednocześnie zmysłowość i intrygująca tajemniczość. Te niebieskie oczy... jak gładka tafla jeziora kryjąca niezmierną głębinię. Ta dziewczyna miała w sobie jakąś magnetyczną siłę, coś, co przyciągało go do niej w sposób, jakiego jeszcze nie doświadczył. Było to bardzo niebezpieczne.

- Coś nie tak? - zapytała z tym swoim śpiewnym południowym akcentem.

Nick lekko potrząsnął głową, jakby chcąc pozbyć się prześladujących go myśli.

- Myślałem sobie tylko, że...

Gdy urwał, popatrzyła na niego pytająco.

- Słucham?

Nick powoli wyciągnął rękę i przesunął nią po jej policzku. Skóra jak jedwab. Tak jak przypuszczał.

Bardziej poczuł niż zobaczył, że Erin zadrżała. To go poruszyło. Zapomniał, że stali na środku zatłoczonego chodnika, nie obchodziło go, że przechodnie przyglądali im się z ciekawością. Nie lubił otwartego okazywania uczuć, lecz Erin wyzwalala w nim emocje, o których istnieniu do tej pory nie miał bladego pojęcia.

Niemal natychmiast cofnął rękę.

- Może lepiej chodźmy - odezwał się cicho. Skinęła głową.

Uśmiech, jaki jeszcze przed chwilą

gościł na jej twarzy, zmienił się w skrywane rozczarowanie.

- Chyba masz rację - powiedziała.

Wysokie oparcia odgradzały stojące na sali stoliki, tworząc kameralny nastrój. Ciepły blask zapalanej świecy rzucał na twarze jaśniejsze refleksy, gdy w milczeniu studiowali podane przez kelnerkę karty dań. Zamówili potrawy.

Nick dyskretnie przyjrzał się towarzyszącej mu kobiecie.

Przytłumione światło łagodziło rysy i różowiło skórę. Oczy wydawały się jeszcze bardziej niebieskie. Pragnienie, by ją pocałować, było jeszcze silniejsze niż przed chwilą na ulicy.

- Wiesz, wciąż myślę o Averym - wyznała nieoczekiwanie Erin.

Jego pochłaniały zupełnie inne tematy.

- Dlaczego?

Zawahała się, jakby wzdrygając się przed mówieniem o zmarłym.

- Było w nim coś dziwnego - zaczęła wolno. - Od

pierwszej chwili nie miałam do niego zaufania. Znam się na ludziach i przeczucie rzadko mnie zawodzi, a on od początku budził podejrzenia. Wtedy, gdy na mój widok natychmiast wyłączył komórkę, od razu wiedziałam, że nie chce, bym usłyszała, z kim rozmawia. A potem, gdy wracaliśmy przez las...

- urwała, wyraźnie speszona.

- Próbował czegoś, tak? Erin zmarszczyła lekko brwi.

- Skąd wiesz?

- Bo znam takich facetów.

Domyślał się, jak to wyglądało. Avery, przyzwyczajony, że dziewczyny tracą dla niego głowę, niedwuznacznie zalecał się do Erin, a ona go spławiła. Tego się nie spodziewał. Wpadł w złość, może nawet przeszedł do rękoczynów. Nick poczuł, że wzbiera w nim wściekłość. Spokojnie, zbeształ się w duchu. Tamten facet już nie chodzi po ziemi, zapomniałeś? Poza tym było jasne, że Erin potrafiła o siebie zadbać.

- Co się tam wydarzyło? - zapytał.

- W sumie nic takiego, ale przez cały czas starał się jak najwięcej ze mnie wydusić. Wypytywał o szczątki, upierał się, że musiałeś mi coś powiedzieć. Ze zasugerowałeś, kto to może być.

To, co mówiła, nie budziło zachwyty.

- Już poprosiłem o dokładne prześwietlenie przeszłości

Avery'ego i Jamie'ego Duncana.

Erin nie kryła zdziwienia.

- Przecież ten rejon nie podlega policji w Chicago. Zamiast odpowiedzi wzruszył ramionami. John, najstarszy, zawsze sztywno trzymał się reguł, natomiast Tony z zasady je odrzucał. On sam był gdzieś

pośrodku. Jeśli u Glassa był jakiś przeciek, to nie spocznie, aż znajdzie osobę, która za to odpowiadała. Bez względu na to, kim ten ktoś się okaże.

Przyniesiono jedzenie. W czasie posiłku rozmawiali niewiele, ograniczając się do uwag na temat potraw i wina. Przy deserze wczytali się w wyciągnięte z ciasteczek wróżby.

- „Strzeż się wysokich, ciemnowłosych nieznajomych” - przeczytała Erin.

W restauracji panował półmrok, lecz Nick dałby głowę, że dziewczyna się zarumieniła.

- „Strzeż się drobnych, bystrych antropolożek” - przedstawił swoją wersję.

- Tam wcale nie jest tak napisane! - obruszyła się Erin i wyciągnęła rękę, by zabrać mu wróżbę, ale Nick odsunął ją daleko. Dopiero gdy kelner przyszedł po kartę i Nick sięgnął po portfel, Erin złapała karteczkę.

„Znajdziesz miłość w najmniej spodziewanym miejscu i czasie”. Blask świecy miękko rozjaśniał twarze obojga, gdy ich spojrzenia się spotkały. Nick gotów był przysiąc, że w zwodniczych, błękitnych oczach Erin mignęło pożądanie. A może widział jedynie to, co pragnął ujrzeć?

W tylnym lusterku uważnie obserwował jadące za nimi auta, ale chyba nikt ich nie śledził. Czarna limuzyna znikła bez śladu, a żaden inny samochód nie zachowywał się podejrzanie.

Wjechał do zatoczki przed domem Erin i wyłączył silnik. Cisza, jaka panowała w aucie, z każdą chwilą stawała się coraz bardziej napięta. Zdawali sobie sprawę z pogłębiającej się fascynacji, lecz nie chcieli się do

tego przyznać. Żadne z nich nie potrafiło zrobić pierwszego kroku. No i te pytania, na które nie zna się odpowiedzi. Nawet nie wiedział, czy był w jej typie. Może dla niej liczyła się tylko inteligencja i wykształcenie i ceniła jedynie naukowców? Czym mógł jej zaimponować zwyczajny gliniarz?

Ale wystarczyło popatrzeć w zamglone oczy Erin, by wszelkie wątpliwości prysły. Podobał się jej. Więcej, pragnęła go. Jeśli pochylił się i odszuka jej usta...

- Dzięki za kolację - powiedziała bez tchu, jakby instynktownie wyczuwając jego zamiary. - Było uroczo. Naprawdę.

Położył rękę na kierownicy i odwrócił się do Erin.

- Przynajmniej tak mogłem się zrewanżować za to, co dla mnie zrobiłaś.

- Wykonuję tylko swoją pracę.

- Cieszę się, że ty to robisz.

- Nick... - Popatrzyła na niego, niewypowiedziane pytanie zawisło w powietrzu. Wzruszyła jedynie ramionami. - Dobranoc. Już miała otwierać drzwi, gdy ujął ją za rękę i delikatnie przyciągnął do siebie. Odwróciła się, spojrzała na niego w ciemności. Łagodnie dotknął wijącego się przy jej skroni pasemka włosów.

Zatrzepotała rzęsami, kryjąc przed nim oczy. Czy naprawdę zadrżała, czy mu się tylko wydawało? Jest zdenerwowana czy też podekscytowana? Może jedno i drugie, tak jak on. Pierwszy raz widział kogoś takiego. Inteligentna, ładna, wybitna specjalistka w swojej dziedzinie, a jednocześnie była w niej jakaś niewinność, chwytająca wprost za serce kruchość. Coś, co nie pozwala jej skrzywdzić.

Los zdecydował za nich. Wcześniej można się było zastanawiać i opierać, teraz było już za późno. Noc spędzona w domku na odludziu, w obliczu grożącego im niebezpieczeństwa, zbliżyła ich i zwyczajna znajomość przekształciła się w zupełnie inną więź. Powoli przyciągnął Erin ku sobie. Poddała się niepewnie, z ociąganiem, jakby i ją dręczyły te same wątpliwości. Lecz wystarczyło, że dotknął ustami jej ust, a wszystkie obawy rozwiały się w tej samej chwili. Przestał się martwić, co przyniesie przyszłość. Liczyła się tylko terażniejszość i Erin w jego ramionach.

Pocałunki oszalały, świat wirował jak oszalały, brakowało tchu. Całowali się w nieskończoność, nieprzytomnie, zatracając poczucie czasu. Erin czuła się jak podekscytowana nastolatka, próbująca zakazanego owocu, nieco speszona, że przekracza granice, a jednocześnie upojona smakiem swobody.

Tak to sobie wyobrażała przed laty, jeszcze w szkole, lecz nigdy czegoś takiego nie przeżyła. Dopiero teraz...

Czy to możliwe, że podobała się tak atrakcyjnemu mężczyźnie? Czy on naprawdę...

Nie zastanawiała się dłużej, bo Nick znowu odszukał jej usta.

Topniała w jego ramionach. Od jego oddechu przesyconego lekką wonią wina kręciło się jej w głowie. Ujął jej twarz w obie dłonie, zanurzył palce we włosach. Całował ją tak, że wstrząsało nią drżenie, słabła w jego ramionach.

Lois miała rację, przebiegło jej jeszcze przez myśl. Nick byłby boskim kochankiem.

Wiedziała o tym, czuła to każdym nerwem. Kochanek, o jakim każda kobieta mogłaby marzyć.

„Strzeż się wysokich, ciemnowłosych nieznajomych”.
Zbagatelizowała wróżbę i z cichym westchnieniem położyła dłoń na szerokiej, mocnej piersi Nicka. Palce rozkoszowały się dotykiem cieplej, gładkiej skóry, czuła bicie jego serca. Jej też biło jak szalone.

Wieczór był rzeński, ale w samochodzie zrobiło się gorąco. Nie odrywając ust od Erin, Nick przyciągnął ją bliżej, sadzając sobie na kolanach. Przeszył ją dreszcz. Poczowała jeszcze, jak jego dłonie wędrują po jej swetrze, sięgają do paska przy dżinsach.

To trochę za szybko, pomyślała, cofając się nieco i niechcący potrącając łokciem klakson. Nieoczekiwany dźwięk przywrócił ich do rzeczywistości.

Nick był tak samo odurzony jak ona.

- Do diabła - wymamrotał.

Czuła się równie mocno poruszona. Nagle tak wiele się wydarzyło.

Nick rozglądał się wokół, jakby nie bardzo wiedząc, gdzie się znajduje.

- Do diabła - powtórzył, tym razem głośniejszym głosem. Erin nie odezwała się. Przesiadła się na swoje miejsce, westchnęła ciężko. Przed sekundą przeżyli ogłuszający wybuch napiętości. Wcale nie czuła się skonsternowana. Ciągle nie mogła uwierzyć, że to się stało naprawdę, że tak się zachowała. Ze zupełnie straciła nad sobą kontrolę. W dodatku na ulicy, z człowiekiem, którego prawie nie знаła. Jeszcze chwila, a zdarłaby z niego ubranie.

Do diabła...

Chrzęknęła.

- Zrobiło się późno. Muszę już iść.

- Może tak będzie lepiej.

Wysiedli z samochodu, Nick odprowadził ją do drzwi. Erin przekręciła klucz w zamku i odwróciła się. Nadal nie mieściło się jej w głowie, jak wiele się wydarzyło od tego wczorajszego, zdawkowego buziaka.

„Strzeż się wysokich, ciemnowłosych nieznajomych”.

To zdanie wciąż pobrzmiwało jej w głowie. Spojrzała na Nicka i uzmysłowiła sobie, że mimo tylu przemawiających przeciw argumentów, marzy, by jeszcze raz ją pocałował. Nie tak jak wczoraj, przelotnie, niemal po bratersku. Marzy, by porwał ją w ramiona, zaniósł do sypialni, by spędzili razem upojną noc.

Takie marzenia były zupełnie do niej niepodobne.

Nieszczęśliwa miłość, przeżyta jeszcze w czasach studenckich, nauczyła ją rezerwy do mężczyzn. Nigdy nie szła ślepo za porywem serca, nie traciła głowy dla każdego napotkanego przystojniaka, ale z Nickiem było inaczej... Nick jest inny. Podobał się jej, ale nie tylko. Wiedziała, że w tym mężczyźnie mogłaby się zakochać.

Co też jest do niej zupełnie niepodobne.

Pożegnali się. Weszła do środka i zamknęła drzwi. Nie mogła się uspokoić. Ogarnęło ją zaskakujące przeczucie, że tak naprawdę wcale siebie nie znała, że to, co do tej pory wyobrażała sobie na swój temat, nagle stało się niewiarygodne. Może chińska wróżba powinna była brzmieć: „Strzeż się samej siebie”.

Nick wszedł do domu, zapalił światło i rzucił kluczyki na stolik w przedpokoju. Gdy zdejmował kurtkę, owionął go delikatny, zmysłowy zapach perfum Erin.

Przez chwilę napawał się tym aromatem, potem zdecydowanym ruchem odwiesił kurtkę do szafy.

Nie jest dobrze, podsumował. Nie była to właściwa pora ani na przelotną miłość, ani tym bardziej na coś poważniejszego. A dziś wieczorem prawie zrobił pierwszy krok w tym kierunku. Jak to się stało, że w ciągu tak krótkiego czasu ta dziewczyna całkowicie opanowała jego myśli? Widział ją, nawet gdy zamykał powieki, jej obraz prześladował go we śnie. Pragnął jej tak, jak jeszcze nie pragnął żadnej kobiety. Co w niej takiego jest? W dodatku wcale do niego nie pasowała. Tak naprawdę nic ich nie łączyło. Lecz ten pocałunek...

Poszedł do kuchni i wyjął z lodówki piwo. Ten pocałunek to rzeczywiście było coś. Erin może nie była olśniewającą pięknoscią czy uosobieniem seksu, ale umiała całować. Ciekawe, co jeszcze potrafiła?

Znow sobie przypomniał, że teraz nie pora na takie rzeczy. Miał przed sobą zadanie, które wymagało całkowitej koncentracji i odstawienia na bok wszystkich innych spraw. Musiał udowodnić, że to Daniel O'Roarke zamordował Seana. I doprowadzić do jego skazania.

Położył się na kanapie, mając pod ręką pistolet i piwo. Zapatrzył się w sufit, próbując zebrać myśli. Powinien obmyślić kolejne ruchy. Jednak daremnie próbował się skupić, ciągle widział przed sobą Erin. Jej twarz, jej zapach. Ten przejmujący pocałunek.

„Znajdziesz miłość w najmniej spodziewanym miejscu i czasie”. Pięknie, pomyślał z ironią. Tylko tego mi teraz potrzeba.

Wstał, sięgnął po kurtkę i kluczyki. Szybko zbiegł do samochodu i ruszył przed siebie. Opamiętał się, dopiero gdy znalazł się pod domem rodziców. W żadnym oknie się nie paliło. Mama, babcia i siostra już dawno poszły spać. Wsiadł z auta, delikatnie zamknął drzwi.

Usiadł na schodkach przed domem, wystawił twarz do wiatru wiejącego od jeziora. Napłynęła fala wspomnień. Jest z ojcem na łódce i Sean uczy go zakładać przynętę. Roześmiana twarz ojca, gdy na szkolnym meczu, siedząc w pierwszym rzędzie, zagrzewa go do walki. Zabiera na pierwsze piwo. Beszta z powodu mandatu za przekroczenie szybkości. Puchnie z dumy, gdy Nick odbiera dyplom ukończenia akademii policyjnej...

Te obrazy były tak wyraziste, tak mocno wryte w pamięć. Aż trudno zwalczyć poczucie, że ojciec stoi tuż przy nim, że jest na wyciągnięcie ręki. Niemal czuł słodki zapach jego odkładanych na specjalne okazje cygar. Powiew wiatru przyniósł tę znajomą woń i w Nicku wszystko zamarło. Podniósł głowę, wbił wzrok w otaczającą go ciemność.

W sąsiedztwie cicho zawarczał pies, jakby czując nadejście kogoś obcego. Ostrzegawcze warczenie stało się głośniejsze i naraz ucichło. Ktoś uspokoił psa łagodnym słowem lub go pogłaskał. Ojciec lubił psy, one też za nim przepadały.

Znajomy zapach cygara delikatnie snuł się w nocnym powietrzu. Nick poczuł, że włosy stają mu dęba.

- Tato?

Nikt nie odpowiedział. Przecież Sean Gallagher od dawna nie żył.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Nazajutrz Nick od rana siedział w biurze. Kolejny raz przeglądał zebrane materiały, daremnie próbując znaleźć punkt zaczepienia. Z danych, jakie mu nadesłano, na razie niewiele wynikało.

Przypuszczenia w stosunku do Jamie'ego Duncana w zasadzie się potwierdziły. Chłopak pochodził z tamtych stron, jego rodzina mieszkała w Webber. Faktów na jego temat zgromadzono niewiele, i nic, do czego można by się przyczepić.

Za to z Clive'em Averym sytuacja była bardziej skomplikowana. W policji Webber pracował od siedmiu lat, a przedtem mieszkał w Chicago. Akademię policyjną ukończył z doskonałą lokatą i przez pięć lat służył w policji, potem jednak został zwolniony. Nick próbował dowiedzieć się czegoś więcej, przede wszystkim dociec powodu zwolnienia, lecz okazało się to niemożliwe. Dane dotyczące Avery'ego zostały utajnione.

Zastanawiające. Oczywiście istnieje możliwość, że Avery miał znajomego obsługującego policyjną bazę

danych i ten wyświadczył mu przysługę. Ale w jakim celu? Czyżby Avery bał się o swoje bezpieczeństwo? Dlaczego zwolniono go z policji? I czy miało to jakiś związek z jego śmiercią?

Być może w Chicago Avery skumał się z rodziną O'Roarke'ów, dał się przekupić. Nie on pierwszy, niestety.

Richard O'Roarke był bezwzględny, twardym facetem, podobnie jak jego syn. Nie cofnie się przed niczym, nawet przed morderstwem, byle tylko wyciągnąć Daniela z więzienia.

Richard O'Roarke miał długie ręce. Spokojnie mógł najpierw skorumpować Avery'ego, a potem, gdy ten już zrobił swoje, zlecił jego zlikwidowanie.

Niepokoił się o Erin. Teraz ona jest kluczem do całej sprawy. Groziło jej wielkie niebezpieczeństwo. Jeśli Richard O'Roarke uzna ją za przeszkodę w uwolnieniu Daniela, bez najmniejszych skrupułów każe ją zabić. Dlatego Nick musi zapewnić jej bezpieczeństwo. Gdyby przez niego coś się jej przydarzyło...

- Nick?

Podniósł oczy. Na progu pokoju stała mama. Patrzyła na niego z lekkim zdziwieniem.

- Chyba gdzieś daleko błądziłeś myślami.

- Tak- przyznał. Otrząsnął się. - Co cię tu sprowadza? Mama uśmiechnęła się i przeciągnęła palcami po krótko obciętych, ciemnych lokach.

- Byłam w pobliżu u fryzjera, więc postanowiłam wpaść i przypomnieć Liamowi o dzisiejszych urodzinach babci. Sam wiesz, że czasem bywa zapominalski.

Obudziła się w nim czujność. Rozmawiała z Lia-mem. Czyżby napomknął jej o znalezieniu zwłok?

Poczuł wyrzuty sumienia. Może nie powinien tego przed nią ukrywać? Jeśli były to rzeczywiście szczątki ojca, co już wkrótce się wyjaśni, czy miał prawo milczeć? A może lepiej wstrzymać się do chwili, gdy ekspertyza będzie gotowa? Gdy jego podejrzenia ostatecznie się potwierdzą.

Jak mama to przyjmie? Wpadnie w rozpacz, czy może odczuje ulgę? Czy jej stosunek do męża nie zmienił się przez te lata?

W ich małżeństwie czasami się nie układało, jednak Nick zawsze wierzył, że rodzice naprawdę się kochają. Czy to możliwe, że się mylił? Że Sean nie został zamordowany, tylko po prostu odszedł, bo miał już dość ciągłych domowych sprzeczek?

John od samego początku to podejrzewał, ale on nie znał ojca tak dobrze jak Nick. Ojciec nigdy by ich nie zostawił, nie zniknąłby bez słowa. Gdyby tak postąpił, byłby to oczywisty dowód, że nic dla niego nie znaczyli. To by zniszczyło wiarę Nicka we wszystko, w co święcie wierzył.

Z trudem przywołał się do porządku. Mama coś mówiła. Ostatnio wyglądała jakoś inaczej, młodziej, i było w niej więcej życia. No i coś zrobiła z włosami.

- Masz nową fryzurę - powiedział.

- Już od paru miesięcy. - Znowu dotknęła dłonią włosów. - Dziś poszłam tylko się uczesać. No i jak? Podoba ci się?

- Tak - rzucił zdawkowo.

Wcześniejsza fryzura wcale nie była zła. Dla kogo tak nagle mama zapragnęła odmiany? Erin widziała ją na przyjęciu z Dawsonem. Czy to dla niego tak się starała?

Zmarszczył czoło.

- Masz chwilę czasu? Chciałbym z tobą o czymś porozmawiać. Czy mu się tylko wydało, czy rzeczywiście przez jej twarz przebiegł dziwny cień? Jakby poczuła się mniej pewnie. Usiadła po drugiej stronie biurka.

- O co chodzi, Nick?

Nie bardzo wiedział, od czego zacząć. Nie powinien się mieszać w jej osobiste sprawy, ale nie miał wyjścia.

- Podobno byłaś na przyjęciu w Hillsboro z Edem Dawsonem. Strzał był celny. I niespodziewany. Na twarzy mamy dostrzegł coś na kształt poczucia winy.

- Na litość boską, skąd o tym wiesz?

- Znam kogoś, kto tam pracuje. Panią antropolog, z którą aktualnie współpracuję. Przedstawiono was sobie.

- Doktor Casey? - Gdy potwierdził skinieniem głowy, Maggie popatrzyła na niego dziwnie. - Co za przypadek, że akurat o niej powiedziałeś.

- Dlaczego?

- Bo właśnie zastanawiałam się, czy nie zaprosić jej na dzisiejsze przyjęcie. Wprawdzie to trochę późno, ale może zechce przyjść. Jak myślisz?

- Nie mam pojęcia - odparł zgodnie z prawdą, zaskoczony nieoczekiwanym obrotem sprawy.

- Pomyślałam, że poproszę twojego kuzyna, Milesa, żeby po nią wpadł.

- Do diabła, po co ci to? - wybuchnął. Maggie popatrzyła na niego z oburzeniem.

- Nie musisz się tak wściekać. I nie życzę sobie takiego słownictwa. Doktor Casey jest w Chicago od

niedawna, z pewnością nie ma jeszcze wielu znajomych. Pomyślałam, że dobrze będzie poznać ją z Milesem, może coś wypali. To wszystko.

- Nic nie wypali - uciał ze skrywaną złością. Erin i Miles. Na samą myśl robiło mu się niedobrze. W dodatku Erin wcale nie była w typie Milesa. - Nie wydaje mi się, by doktor Casey doceniła twoje starania. Chyba nie należy do tych kobitek, które lubią być swatane.

Maggie lekko uniosła brwi.

- Nie wiedziałam, że tak dobrze ją znasz.

Nie zadane pytanie zawisło w powietrzu, ale Nick tylko wzruszył ramionami.

- Nie aż tak dobrze.

- Nie miałam zamiaru jej urazić - rzekła Maggie i nagle rozjaśniła się. - Mam pomysł. Skoro się znacie, to może ty byś ją przywiózł? To nawet będzie zręczniej. A Milesa pozna na przyjęciu. Kto wie, może coś z tego będzie?

Mama jest niemożliwa, pomyślał z podziwem i uznaniem.

Zawsze potrafiła odwrócić kota ogonem. Nie dość, że postawiła na swoim, to jeszcze nie dała mu dojść do słowa. A przecież to on chciał ją przycisnąć.

Maggie podniosła się z miejsca.

- Cieszę się, że to ustaliliśmy. Jedna rzecz z głowy. Lecę, bo Fiona została z babcią, a wiesz, jak babcia zachowuje się podczas swojego święta. Zupełnie jak dziecko. Chodzi i tropi, gdzie są dla niej prezenty...

- Poczekaj - powiedział, gdy już była przy drzwiach. Maggie odwróciła się. Nick wyszedł zza biurka i podszedł do niej. - Czy Ed Dawson też dzisiaj będzie?

Mama zarumieniła się lekko. To zły znak, pomyślał.

- Zaprosiłam go - przyznała.

- Jako swego partnera?

Maggie obronnym gestem podniosła brodę i popatrzyła mu prosto w oczy.

- Masz coś przeciwko temu?

Chciałby mdc zaprzeczyć, ale tak nie było. Więc milczał.

Maggie westchnęła.

- Nick, od tak dawna jestem zupełnie sama. Poczuję wyrzuty sumienia.

- Wiem.

- Często kłóciliśmy się z ojcem, ale wiesz, że naprawdę się kochaliśmy.

- Wiem.

- Jednak osiem lat to kawał czasu. - Wyciągnęła dłoń i pogładziła syna po twarzy. - Wiem, jak mocno przeżyłeś zniknięcie ojca.

- Dla nikogo z nas nie było to łatwe - odparł.

- To prawda, ale tobie było najtrudniej i dlatego najbardziej martwiłam się o ciebie.

To stwierdzenie go zaskoczyło. Popatrzył na mamę.

- Nie o Tony'ego?

- Przez niego mam siwe włosy - powiedziała - ale zawsze wiedziałam, że gdy trafi na właściwą dziewczynę, wyjdzie na prostą. I tak się stało. Eve ma na niego bardzo dobry wpływ. Miał chłopak szczęście. A John zawsze był, jaki był. Sam wiesz.

- Wiem - potwierdził, starając się, by w jego głosie nie zabrzmiała gorycz. Nigdy im się nie układało i tak już pewnie zostanie, a od zniknięcia ojca sytuacja tylko się pogorszyła.

- Twój brat ma dobre serce. W głębi duszy sam o tym wiesz. -
Gdy Nick nie odpowiedział, w jej oczach błysnęły łzy. - Nie
wybaczyłeś mu podejrzania, że ojciec od nas odszedł, prawda?

- A ty? - rzucił ostro.

- Łatwo wpadasz w gniew. - Potrząsnęła głową. - Zawsze
ulegałeś emocjom. To dlatego martwię się
o ciebie.

- Nie musisz.

- Ale tak jest. Chciałabym, żebyś był szczęśliwy... oraz nauczył
się przebaczać i zapominać.

- Czy znowu mdwimy o Johnie? - sposepniał. Maggie coś chciała
powiedzieć, lecz nagle zmieniła
zdanie i odwróciła wzrok.

- Już sobie pjdę.

Gdy szła do drzwi, ogarnęło go jakieś niejasne, trudne do
nazwania przeczucie. Co mama chciała mu powiedzieć? I
dlaczego nie potrafiła patrzeć mu w oczy?

Od samego rana była tak zajęta, że nie miała czasu zejść do
laboratorium ani tym bardziej pomarzyć o Nicku, choć w trakcie
porannych zajęć ze studentami przez chwilę uciekła myślą do
wczorajszego pocałunku. Było to do niej tak niepodobne, że
natychmiast zostało zauważone przez studentów. Dopiero ich
zaciekawione spojrzenia przywołały ją do rzeczywistości.

Pewnie by nie uwierzyli, że tak odurzył ją jeden namiętny
pocałunek. Większość z nich z pewnością pod tym względem
przewyższała ją doświadczeniem

i pewnie uśmialiby się setnie, gdyby im wyznała, że ten
pocałunek całkowicie odmienił jej świat. Oni pewnie wyobrażają
sobie zupełnie inne sceny.

Sama też pozwoliła sobie na takie rojenia, i to w najbardziej nieodpowiednich momentach. Ona i Nick w zgniecionej satynowej pościeli. I nie tylko pocałunki... Gdyby wczoraj posunęli się dalej, gdyby się nie opamiętali... Wiedziała, czym by się to skończyło.

Wychodząc z sali, była tak pochłonięta myślami, że nie zauważyła Lois i prawie na nią wpadła.

- No, no, maleńka! - znacząco zaśmiała się Lois. - Coś mi się widzi... - celowo nie dokończyła.

Erin oblała się rumieńcem.

- Przepraszam, nie patrzyłam przed siebie.

- Nie przejmuj się - odarła Lois. - Zostanie ci wybaczone, jeśli mi wszystko wyśpiewasz. Widziałas się wczoraj z tym apetycznym detektywem, co? Tym, co tu do ciebie przychodził.

- Byliśmy na kolacji - przyznała Erin. - Ale... Lois uciszyła ją ruchem ręki.

- Oczywiście ci błyszczą, że wszystko jest jasne. Powiedz mi tylko jedno. - Przysunęła się. - Kajdanki były w robocie?

Było już dobrze po południu, gdy wreszcie uporała się z bieżącymi sprawami i mogła zjechać do laboratorium. Ledwie stanęła na progu, gdy podbiegł do niej podekscytowany Ross. Zazwyczaj opanowany, teraz z trudem hamował podniecenie.

- Doktor Casey, już ją mamy! Przyszła przesyłka z Freemont. - Wskazał na stojącą w rogu trumnę.

- Aha, widzę! - powiedziała z ożywieniem.

Podczas przygotowywania terenu pod nową inwestycję natknęto się na dobrze zachowaną trumnę. Nic nie świadczyło, by w przeszłości na tym obszarze

mieścił się cmentarz, nie znaleziono też innych trumien. Firma budowlana nie chciała ryzykować. Zaczynają się plotki, ludzie będą się bać i nie kupią mieszkań. Po tym, jak filmy o duchach narobiły zamieszania, lepiej działać ostrożnie. Jak najszybciej zidentyfikować zmarłą, a potem pochować ją w rodzinnym grobie.

Miejscowy historyk ocenił, że trumna pochodzi sprzed około stu lat. Przez okienko w wieku widać było koronkowy welon. Prawdopodobnie to panna młoda. Opieczętowaną trumnę przesłano do FAHIL z nadzieją, że uda się określić tożsamość zmarłej.

- Kiedy ją otworzymy? - zapytał Ross.

- Nie wcześniej jak za parę dni - ostudziła jego zapał Erin. -

Najpierw musimy zakończyć wcześniejsze sprawy - dodała, choć sama też paliła się do rozwikłania nowej zagadki. Lecz inne sprawy miały pierwszeństwo. Zwłaszcza 00-04.

Skrzypnęły drzwi i pokazała się w nich głowa Glorii.

- Doktor Casey - odezwała się, nie wchodząc do środka. Erin

podeszła bliżej, wtedy Gloria zerknęła za siebie. - Ma pani gościa

- rzekła, zniżając głos. - Przeprowadziłam go tutaj.

Sądząc po zachowaniu dziewczyny, to pewnie Nick.

- Niech wejdzie.

. Serce zabiło jej jak szalone. Natychmiast odżyły wspomnienia wczorajszego wieczoru. Lecz zamiast Nicka na progu pojawił się Ed Dawson. Erin poczuła na plecach nieprzyjemny dreszcz.

- Miło mi panią widzieć - odezwał się uprzejmie, ale oczy miał dokładnie takie, jak je zapamiętała, czyli zimne i bez wyrazu.

- Czym mogę panu służyć, komendancie? - zapytała

grzecznie, odruchowo lustrując jego elegancki, kosztowny szary garnitur i starannie zaczesane do tyłu włosy. Lekka woń wody kolońskiej mieszała się z chemicznymi zapachami odczynników. Erin zdecydowanie wolała te drugie.

- Chciałbym rozejrzeć się po pani laboratorium

- powiedział, patrząc na przykryte tkaniną szczątki leżące na stole. Nawet jeśli ten widok podziałał na niego odstręczająco, niczego po sobie nie pokazał. - Nie zdawałem sobie sprawy, że jest aż tak rozbudowane.

- Nie możemy narzekać. Mamy dużo przestrzeni i najnowocześniejsze wyposażenie - odpowiedziała Erin. - Potrafimy to docenić.

- Pan Stanton wspominał, że to zasługa anonimowego sponsora. - Dawson uważnie spojrział na Erin.

- Domyśla się pani, kto jest tym dobrodziejem?

- Nie mam pojęcia - odrzekła szczerze. Nigdy się nad tym nie zastanawiała. - FAHIL powstało, nim tu przyjechałam. Osobiście nie mam z tym nic wspólnego.

- Rozumiem. - Popatrzył na stół. - Domyślam się, że nad tym aktualnie pani pracuje. Chętnie bym się dowiedział czegoś więcej, na własne oczy zobaczyć, jak to wygląda.

Erin zawahała się, wreszcie wzruszyła ramionami.

- Pozwoli pan, że poproszę mojego asystenta. Razem pracujemy nad tą sprawą.

Przedstawiła Rossa i poprosiła, by udzielił komendantowi wyjaśnień.

Ross, słysząc z kim ma do czynienia, lekko uniósł brwi. Przeniósł wzrok z Erin na Dawsona, a potem założył ochronne rękawiczki i zsunął tkaninę okrywającą szkielet.

- Została znaleziona w Chinatown, gdy wyburzano stary dom - zaczął. Zdał relację z dokonanych ustaleń: podał przypuszczalny wiek, rasę, wzrost, ciężar ciała, rodzaj śmierci.

- Nazywała się Nancy Wong - dodał. - Detektyw Stones podejrzewa, że została zamordowana przez męża mniej więcej dziesięć lat temu. On potem wyjechał za granicę.

Wyselekcjonowaliśmy ją z listy osób zaginionych, dopasowując do opisów i czasu zaginięcia. Doktor Casey mogła to zrobić z niemal stuprocentową pewnością, bo tylko ta osoba biegła w maratonach.

Dawson z trudem ukrywał zaskoczenie.

- Stwierdziła to pani jedynie na podstawie kości?

- Zdumiewające, prawda? - uśmiechnął się Ross.

- To mnie bardzo ciekawi - powiedział Dawson. - Jak można poznać coś takiego?

- To tylko domysły, ale oparte na naukowych podstawach. -

Pokazała mu charakterystyczne ślady na kościach w miejscach, gdzie były przyłączone mięśnie i ścięgna, oraz wyjaśniła ich pochodzenie.

- Nie uwierzy pan, ile doktor Casey potrafi wyczytać z nagich kości - z dumą rzekł Ross. - To prawdziwy geniusz. Mamy szczęście, że udało się ją tu ściągnąć.

- Słyszałem bardzo wiele pochlebnych opinii na pani temat - wolno powiedział Dawson, mierząc ją lodowatym spojrzeniem. - I zaczynam wierzyć, że wcale nie były przesadzone.

Gdy podjeżdżał na parking przy FAHIL, nadal myślał o wcześniejszej rozmowie z mamą. Intuicyjnie

czuł, że była bliska powiedzenia mu czegoś istotnego, ale z jakichś powodów nie mogła się na to zdobyć. Co przed nim ukrywa? Czy chciała wyznać, że jej znajomość z Dawsonem to coś ważnego? A może chodziło o coś innego? Coś związanego z ojcem? Może dowiedziała się o odnalezieniu szczątków?

Wiedział, że nie da się długo utrzymać tajemnicy. W lokalnej gazecie w Webber już pojawiła się dokładna relacja na temat morderstwa Avery'ego i znalezionej szkieletu. Wprawdzie jeszcze nie padły ich nazwiska, ale to tylko kwestia czasu.

Wścibscy reporterzy bardzo szybko dotrą do informacji. Wyjdzie na jaw, że osiem lat temu w tamtych stronach w nie wyjaśnionych okolicznościach zaginął Sean Gallagher, i z pewnością zostanie to powiązane z kampanią na rzecz uwolnienia Daniela O'Roarke'a. Lada moment gazety w Chicago będą o tym pisać. Tym bardziej Nick nie może zwlekać. Rodzina powinna się dowiedzieć.

Zaparkował i umieścił przy szybie policyjną przepustkę, by przypadkiem nie wywieziono mu auta. Wysiadł i rozejrzał się wokół siebie. W miejscu, gdzie obowiązywał zakaz parkowania, zatrzymał się czarny mercedes. Przez przyciemnione szyby nie było widać wnętrza, ledwie majaczyła sylwetka kierowcy. Wydawało się, że na kogoś czeka.

Nick przyjrzał mu się uważnie. Nieoczekiwanie samochód powoli ruszył. Gdy mijał parking, kierowca odwrócił się i badawczo popatrzył na Nicka. Potem dodał gazu i znikł.

Nick zapisał jego numer i sięgnął po komórkę. W ciągu paru sekund system zaczął przeszukiwać bazę danych.

Gdy Nick wyszedł z budynku FAHIL, nad miasteczkiem uniwersyteckim zapadał wczesny zmierzch. Okazało się, że mama zdążyła go uprzedzić i Erin już przyjęła zaproszenie. Wydawała się z tego zadowolona, wyraźnie miała ochotę poznać całą rodzinę.

Ciekawe, jak ich wszystkich oceni, pomyślał Nick. Pewnie się rozczaruje. Ma bardzo idealistyczne podejście do rodziny, więc Gallagherowie nie pasują do jej wyobrażeń. Potrafią zewrzeć szeregi, gdy z zewnątrz coś im zagraża, jednak na co dzień każdy żyje własnym życiem. I wcale nie są wolni od wzajemnych animozji, a nawet zawiści.

Ruszył do samochodu. Miał nieprzyjemne uczucie, że ktoś śledzi każdy jego krok. Dyskretnie sięgnął pod kurtkę i odpiął kaburę, ale nie wyjmował pistoletu. Rozejrzał się nieznacznie.

O tej porze prawie nie było tu żywej duszy. Gdzieś przemykał spóźniony student czy śpieszący do domu pracownik. Chodniki, oświetlone latarenkami, tonęły w mroku. Przez chwilę myślał, że to było tylko złudzenie i nikt go nie obserwuje, lecz nagle pod ścianą FAHIL spostrzegł czyjąś sylwetkę. Nieznajomy zrobił krok w jego stronę, potem zerknął do tyłu, odwrócił się nagle i znikł za budynkiem, kierując się w stronę alejki na zapleczu.

Nick ruszył za nim, zerkając za siebie, czy przypadkiem ktoś za nim nie idzie. Gdy doszedł do alejki, było już całkiem ciemno. Lampki na ścianie niczego nie oświetlały. Mężczyzna stał na końcu alejki przy zamykającym ją murze. Nick podszedł bliżej. Powoli zaczynał rozumieć. W cieniu nie widział twarzy mężczyzny, ale miał uczucie, jakby go skądś znał.

- Nikt pana nie śledził - odezwał się nieznajomy, jakby wyczuwając rezerwę Nicka.

Słyszając ten głos, odetchnął z ulgą. Nigdy się nie spotkali twarzą w twarz, ale znali się. Fisher, tajemniczy informator. Dzwonił, gdy miał mu coś do przekazania albo wyznaczał nocne spotkania w odludnych miejscach. Ukrywał swoją tożsamość, co było zrozumiałe. Większość informatorów tak czyniła. Balansowali na wąskiej linii oddzielającej prawo od świata przestępców.

W przeciwieństwie do innych, Fisher nigdy nie chciał pieniędzy.

Niczego nie żądał, co było podejrzane. Nick często się zastanawiał, dlaczego tak postępował. Co mu to dawało?

Poczucie własnej ważności? Świadomość powiązań z policją?

Dla wielu informatorów tylko to się liczyło.

Zrobił krok do przodu, Fisher cofnął się w cień.

- Wystarczy.

- O co chodzi? - zapytał Nick, zastanawiając się w duchu, jak Fisher go tutaj znalazł. Czyżby za nim jechał?

- Interesował pana Clive Avery. - Mówił celowo stłumionym głosem. Nick poczuł się nieswojo.

Skinał głową.

- Skąd wiesz?

- Mam swoje źródła.

Właśnie to było najbardziej niepokojące.

- Wiesz coś o Averym?

- Służył w chicagowskiej policji.

- Jest coś, o czym nie wiem? Fisher nie odpowiedział od razu.

- Osiem lat temu Avery był w wydziale detektywistycznym.

Nick poczuł zimny dreszcz. Osiem lat temu ojciec też służył w tym wydziale. Czyżby zbieg okoliczności?

- Z kim pracował? Fisher wzruszył ramionami.

- Działał głównie na południu miasta. Jego partnerem był Donnelly, ale on już chyba przeszedł na emeryturę. Słyszałem, że przeniósł się do Indiany.

- Dlaczego Avery został zwolniony?

- Wycofał się sam, zanim oficjalnie przedstawiono mu zarzuty, ale chodziły plotki, że brał.

Skorumpowany gliniarz. Tego się spodziewał.

- Kto go kupił? O'Roarke?

- Tego nie mogę powiedzieć, ale na pana miejscu pogadałbym z ludźmi, którzy wtedy z nim pracowali. Mogą coś pamiętać. Z kim był zżyty, komu mógł coś powiedzieć. Może ktoś miał z nim bliższy kontakt. Od tego trzeba zacząć.

- Znałeś Avery'ego? - Nie wiedział na jakiej podstawie, lecz nagle miał niezbitą pewność, że Fisher był kiedyś policjantem. - Czy osiem lat temu byłeś w wydziale detektywistycznym? - Gdy Fisher nie odpowiadał, dodał niemal z gniewem: - Znałeś mojego ojca?

- Na niektóre pytania lepiej nie znać odpowiedzi - ponuro mruknął Fisher.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Bardzo możliwe, że to Avery był wtyczką - powiedział Nick w drodze na urodzinowe przyjęcie.

- Masz jakieś nowe informacje? - zapytała Erin. Nick wzruszył ramionami. Ciągle nie miał pewności, jak rozumieć tajemnicze wypowiedzi Fishera.

- Pojawiło się kilka nowych wątków, siedzę nad nimi. Sprawdzamy też jego pocztę elektroniczną. Okazuje się, że prowadził ożywioną korespondencję.

- Myślisz, że wśród jego korespondentów jest zabójca?

- Na razie trudno coś powiedzieć - odparł. - Jedyne to, że lubił sobie pogadać. W Webber próbują usystematyzować jego przesyłki i namierzyć odbiorców, ale idzie to opornie. Trochę im daleko do nowoczesnej techniki.

- Czyli nadal nie masz żadnych konkretów. Nick zawahał się.

Fakt ożywionej korespondencji drogą elektroniczną mógł być znaczący. Daniel O' Roarke ma w więzieniu dostęp do komputera. Tylko to ostatnie stwierdzenie Fishera... Wyraźne ostrzeże-

nie. By nie zadawać pytań, na które lepiej nie znać odpowiedzi. Co on chciał przez to powiedzieć? I dlaczego zwrócił się akurat do niego? Jest tylu innych detektywów...

Erin poruszyła się w fotelu. Znowu owionął go ten ledwie wyczuwalny zapach używanych przez nią perfum. Na początku, nim jeszcze ją pocałował, ten zapach nie wydawał mu się pociągający, ale teraz działał na niego jak magnes. Głęboki i zmysłowy, niosący w sobie zapowiedź tajemnicy.

Dziś wieczorem Erin przeszła samą siebie. W eleganckiej ciemnoniebieskiej sukience, podkreślającej zgrabną sylwetkę i apetyczne wypukłości, wyglądała prześlicznie, a jej oczy wydawały się jeszcze bardziej błękitne. Z trudem się zmuszał do patrzenia na drogę. I jeszcze te włosy! Aż zaniemówił z wrażenia!

Rozpuszczone, spadające lśniącoymi lokami na ramiona i plecy. Jedyne, czego pragnął, to wsunąć w nie palce, zanurzyć twarz w splecionej masie i sycić się upojnym zapachem.

Przepiękne włosy. Który mężczyzna nie marzy, by tak wyglądała jego wybranka?

I naraz do niego dotarło. Nagle, jak grom z jasnego nieba. Pragnie jej. Teraz i natychmiast. Co tam przyjęcie. Mogliby pojechać do niego...

- Nick?

Po jej tonie zorientował się, że ponowiła pytanie i nadal czeka na odpowiedź. Rzucił spojrzenie na drogę.

- Przepraszam, zamyśliłem się. O co pytałaś?

- O twoją rodzinę. Powiedz mi coś o niej.

- Nie bardzo wiem, od czego zacząć.

- Może od braci - podsunęła. - Służą w policji, prawda?
- Uhm. John jest najstarszy. Parę miesięcy temu awansował na porucznika. Niedawno się ożenił. Jego żona nazywa się Thea, mają córeczkę Nikki. Najmłodszy z nas, Tony, ma dziewczynę. Co ciekawe, Eve też pracuje w policji - dodał zgryźliwie.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Tony jest... - Potarł ręką kark. - Jak to ująć? Powiedzmy, że jest trochę postrzelony, a Eve wprost przeciwnie. Nie ukrywam, że gdy ją poznałem, miałem wiele wątpliwości. Nie wyobrażałem ich sobie razem. A okazało się, że Tony nie mógł lepiej trafić.
- Jaki masz układ z Johnem?
- Jaki mam układ?
- No, czy jesteście zżyci?
- Raczej nie.

Erin westchnęła zawiedziona.

- Szkoda - skwitowała z żalem. - Zawsze bardzo chciałam mieć brata.

Nick popatrzył na nią badawczo.

- Nie masz rodzeństwa?

Nie odpowiedziała od razu. Zapatrzyła się w okno.

- Odkąd umarła mama, nie mam nikogo. Nie zdajesz sobie sprawy, jak dobrze mieć dużą rodzinę. Powinieneś to cenić. Nie masz pojęcia, jak to jest, gdy człowiek jest zupełnie sam. Poczul wyrzuty sumienia. Już nieraz myślał, że powinien pogodzić się z Johnem. Może nadejść taki dzień, że będzie na to za późno. Obaj pracują w policji i wszystko może się zdarzyć...

- Chyba masz rację - rzekł. - Ostatnio dużo myślałem o mojej siostrze. Martwię się o nią.

- Jest chora? - zaniepokoiła się.

Teraz to on się zawahał. Zmarszczył czoło i popatrzył przed siebie. Może lepiej nie wywlekać rodzinnych spraw?

- Zakochała się w kumplu Tony'ego. Zналиśmy go od lat, Tony się z nim przyjaźnił. W każdym razie tak wtedy myśleliśmy. Potem wyszło na jaw, że zamordował trzy kobiety i próbował zrzucić winę na naszego brata. Fiona ledwie to przeżyła. Od tamtej pory... - urwał, nie chcąc brnąć dalej i burzyć jej naiwnych wyobrażeń o szczęśliwej rodzinie.

Odwieczna nienawiść do O'Roarke'ów cementowała

Gallagherów, lecz na co dzień byli tacy jak inni. I jak inni mieli problemy. Rodzinne spotkania zwykle dalekie były od idylli, czasami stawały się tak męczące, że wręcz nie do zniesienia. To urodzinowe przyjęcie raczej też nie odbiegnie od standardu.

Ciekawe, czy po dzisiejszym wieczorze Erin zmieni zdanie na temat rodzinnej sielanki.

Są super! Wszyscy bez wyjątku. Wspaniała, wielka rodzina.

Dokładnie taka, jak sobie wyobrażała.

Popatrzyła po zgromadzonych w obszernym salonie krewnych Nicka. W panującym zgiełku ich głosy niemal zagłuszały skoczną irlandzką muzykę i zlewały się w wesoły gwar. Erin była oczarowana. Nick już zawojował jej serce, a teraz okazało się, że na dodatek miał cudowną rodzinę.

Szacowna jubilatka, starsza pani o olśniewającej cerze i płomiennych włosach, tańczyła ze swoim synem

Liamem, a pozostali członkowie rodziny otaczali ich ciasnym kręgiem, przytupując i klaszcząc do rytmu. Nawet Erin, która nigdy nie uważała się za szczególnie muzykalną, porwana atmosferą, mimowolnie przyłączyła się do zebranych i zaczęła wystukiwać nogą rytm.

Nick jeszcze jej z nikim nie poznał, lecz dzięki wcześniejszym opisom wyłowiła z tłumu niektóre osoby. Najstarszy z braci, John, wirował w tańcu z uroczą dziewczuszką wystrojoną z wizytową żółtą sukieneczkę, a jego piękna żona z pobłażliwym uśmiechem obserwowała roztańczoną parę.

Nonszalancki, zblazowany Tony, ubrany w szpaner-ską skórzaną marynarkę, tańczył z dziewczyną, która na pierwszy rzut oka absolutnie do niego nie pasowała. Oficjalny kostiumik, pończochy, wysokie obcasy... jakby pochodzili z zupełnie różnych światów. A jednak wystarczyło na nich spojrzeć, by zrozumieć, że jest inaczej. Pochłonięci tańcem, szepcząc do siebie czule i zaglądając sobie w oczy, zdawali się nie zauważać reszty. Erin poczuła ukłucie zazdrości. Och, gdyby na nią ktoś patrzył z takim uwielbieniem, gdyby to nią ktoś był tak przejęty... Mieć kogoś takiego, kto, jak John, nie widzi świata poza swoją żoną i córeczką.

Szczęśliwi ci Gallagherowie, pomyślała z goryczą. I nawet nie zdają sobie z tego sprawy.

Po drugiej stronie salonu spostrzegła inną parę. Stali trochę z dala, sprawiając wrażenie nieco zdystansowanych. Dziewczyna miała typowe dla Gallagherów ciemne włosy i niebieskie oczy, ale to stojący obok niej mężczyzna budził w Erin dziwny niepokój. Ciągle czuła na sobie Jego wzrok.

Kto to może być? Jest w nim coś dziwnego, a jednocześnie jakby znajomego...

- Domyślam się, że to ty jesteś Erin - usłyszała obok siebie mile brzmiący głos.

Olśniło ją. To musiała być Fiona, siostra Nicka. Rzeczywiście piękna dziewczyna, a drobne piegi na nosie tylko dodawały jej uroku. Uśmiechała się, lecz w jej oczach czaił się smutek. Erin przypomniawszy sobie, co mówił o niej Nick i natychmiast jej pożałowała. Biedactwo, tak ciężko życie ją doświadczyło! Świetnie ją rozumiała.

- Jesteś siostrą Nicka, prawda? - Wyciągnęła rękę na powitanie.

- Skąd wiesz? - W jej głosie zabrzmiała skrywana czujność.

- Bo jesteś uderzająco podobna do jego babci.

- Gdybym jeszcze miała jej rozsądek - wymamrotała Fiona.

- Słucham?

Fiona wzruszyła ramionami. Nadal wpatrywała się w Erin.

- Jak poznaliście się z Nickiem?

- Robię dla niego ekspertyzę.

- Jesteś antropologiem, prawda? Mama jest tobą wprost oczarowana.

Erin uniosła brwi.

- Naprawdę? Miło to usłyszeć. Ja też od razu ją polubiłam, wiesz?

Fiona uśmiechnęła się lekko.

- Mama naprawdę jest świetna. Wiem, że w dzisiejszych czasach ludzie nie są zbyt blisko z rodzicami, ale gdyby nie ona... -

Urwała i wzruszyła ramionami.

- Przepraszam, nie będę zanudzać cię moją przeszłością. Opowiedz mi o sprawie, nad którą pracujecie. Erin zawahała się.
- Prawdę mówiąc, wolałabym nie. Obowiązuje mnie dyskrecja. Fiona ze zrozumieniem skinęła głową. Widać było, że nie poczuła się urażona.
- W porządku. Ja też o wielu rzeczach wolałabym nie mówić. Mimo woli pomyślała o mężczyźnie, który tak zawiódł Fionę. Trzykrotny morderca, w dodatku próbował obciążyć winą jej brata. Jednak Gallagherowie tylko pozornie są tacy bezproblemowi, prawda była bardziej złożona. Jakby czytając w myślach rozmówczyni, Fiona odezwała się miękko:
 - No, to opowiedz mi o sobie i Nicku. Erin poczuła, że serce bije jej niespokojnie.
 - Nie ma o czym opowiadać. Nick i jak jesteśmy tylko...
 - Przyjaciółmi? Niedawno dokładnie to samo mówiła Thea.
 - Nawet nie. Po prostu pracujemy nad tą samą sprawą - odparła Erin, chcąc od razu wyjaśnić sytuację. Niech no tylko jego rodzina zacznie wyciągać pochopne wnioski i wywierać presję! Natychmiast go to zniechęci.
 - To samo twierdziła Eve. Jak chcesz, nadal w to wierz, ale fakty mówią za siebie. Nick by cię tutaj nie przywiózł, gdyby nie miał poważnych zamiarów. Tylko jeszcze ich sobie nie uświadamia. Moi bracia czasem bywają gapowaci, choć pod tym względem jestem

ostatnią osobą, która ma prawo do krytyki - dodała z autoironią. Wcześniejszy beztroski nastrój Erin prysł bez śladu. Otwartość i bezpośredniość Fiony zbiły ją z tropu. Nie była przyzwyczajona do tego, by tak bez ogródek nazywać rzeczy po imieniu. Być może tak dzieje się w dużych rodzinach? Niczego się nie ukrywa, mówi o wszystkim wprost. Zupełnie inaczej niż ona. Zawsze miała sprawy, o których nigdy nikomu nawet nie wspominała. Fiona uśmiechnęła się.

- Nie chciałam cię speszyć, przepraszam. Po prostu za dobrze znam moich braci. W sprawach zawodowych Nick jest uparty i zawzięty, nie spocznie, dopóki nie dopnie swego, ale gdy chodzi o uczucia, to co innego. Zupełnie brak mu rozeznania. Dlatego czasem trzeba go delikatnie popchnąć.

Czy dlatego zostałam tu zaproszona? Bo Maggie uznała, że powinna syna ukierunkować?

Gdy jednak przesadzą, obróci się to przeciwko nim. Nick nie jest człowiekiem, który pozwalałby sobą manipulować. Ma własne zdanie i nie dopuści, by ktoś nim kierował.

Zerknęła na drugi koniec salonu i napotkała spojrzenie Nicka. Patrzył na nią tak, jak tamtej nocy na ganku rektora. Jakby nie wierzył, że to naprawdę ona.

Potem wolno ruszył w jej stronę. Serce Erin zabiło jak szalone. Był w czarnych dżinsach i w czarnym swetrze, przy którym jego oczy wydawały się jeszcze bardziej niebieskie. Wspaniały, intensywny błękit... Poczwała dreszcz na plecach. Tylko nie to... Przez chwilę, patrząc na zbliżającego się Nicka,

zupełnie zapomniała o stojącej obok Fionie. Jej obecność uświadomiła sobie nagle, gdy usłyszała jej cichy głos:

- Tylko się znacie? Coś mi się widzi, że jest inaczej...

Chciał odciągnąć Erin od siostry, bo Fiona gotowa była naopowiadać jej nie wiadomo co. Poza tym Miles ciągle się na nią gapił... Lepiej ją stąd zabrać.

Nieoczekiwanie Liam stanął mu na drodze.

- Nick, chciałbym zamienić z tobą parę słów. Już miał się wykręcić, ale opamiętał się. Posłał Erin

przepraszające spojrzenie i podążył za Liamem do kuchni.

- No, to czego się dowiedziałeś? - rzeczowo zapytał Liam.

- Nic, co by pozwalało coś wyrokować. - Oparł się o blat i rozejrzał się po pomieszczeniu. Mama zmieniła zasłonki i położyła nowe dywaniki, jednak nadal była to ta sama poczciwa kuchnia, w której całą rodziną zasiadali przy dużym, sosnowym stole. Spędził tu kawał życia.

Odwrócił się do wujka.

- Badania jeszcze trwają, ale wiele wskazuje, że przyczyną śmierci było uduszenie.

- Uduszenie? - Liam nie wierzył własnym uszom. - Tego nie brałem pod uwagę.

- Ja też.

- Cholera! - zaklął Liam. - To oznacza, że nie ma narzędzia zbrodni. Nie ma dowodu.

Już wcześniej doszedł do tego wniosku, ale nie zamierzał łatwo rezygnować.

- Nadal myślę, że Daniel się komuś wygadał. On już taki jest. Język go świerzbi i musi się pochwalić. Znam go, wiem, że długo nie wytrzymał. Za bardzo jest w sobie zadufany.

- Masz jakieś poszlaki? - czujnie podchwycił Liam.

- Może - uchylił się od konkretnej odpowiedzi.

- W więzieniu ma dostęp do komputera. Chcę dojść, z kim się kontaktował.

- Coś mi tu nie gra. Twój ojciec to był kawał chłopca i świetnie się trzymał. Jak taki O'Roarke mógłby go udusić? To się nie trzyma kupy.

Nick wzruszył ramionami.

- Daniel też nie ułomek, a przy tym jest o wiele młodszy. Weź też pod uwagę element zaskoczenia. Myślę, że podkradł się do domku, cichcem podszedł ojca i zadał cios z tyłu. A potem go udusił. Miał nauczkę, gdy po morderstwie Ashley znaleziono nóż. Nie chciał drugi raz popełnić błędu. Nie ma narzędzia zbrodni, nie ma ciała. Trudno coś udowodnić.

- Możesz dowieść, że Sean został zamordowany?

- Liam nie był łatwym przeciwnikiem.

- Jeszcze nie - przyznał Nick. Odwrócił się, zapatrzył w okno wychodzące na ogródek za domem. W ciemności majaczyły nieokreślone kształty. Przypomniawszy sobie wczorajszą noc, ten znajomy zapach tytoniowego-dymu. Ciche warczenie psa. I to przecucie, że ojciec jest w pobliżu. Czyżby to był znak, że był na dobrej drodze? - Ktoś zadał sobie wiele trudu, by uniemożliwić identyfikację zwłok. To mi pachnie morderstwem.

Liam ściągnął usta.

- Może masz rację, ale udowodnienie tego to

trudna sprawa. Znasz O'Roarke'ów. Ci dranie dobrze wiedzą, co robią. Potrafią zacierać ślady.

- Jednak nawet oni nie są niewidzialni. Popełnili też ogromny błąd, zabijając Clive'a Avery'ego.

- Jak mam to rozumieć?

- Prawdopodobnie był z nimi powiązany. Mógł poinformować ich o znalezieniu zwłok i planowanej ekshumacji. Może niechcący, a może celowo, trudno stwierdzić. W każdym razie Avery przed laty służył w Chicago w wydziale kryminalnym. Znałeś go może?

- Chyba nie, w każdym razie nie przypominam sobie takiego nazwiska.

- Podejrzewam, że O'Roarke'owie go opłacali. Gdy Avery został usunięty z chicagowskiej policji, ulokowali go w Webber, by w razie potrzeby go wykorzystać.

- Nick, przyznaję, że oni dużo mogą - skrzywił się Liam - ale nawet oni nie są jasnowidzami. Skąd mogli wiedzieć, że ciało Seana zostanie kiedyś odnalezione?

- Nie wiedzieli. Ale, jak sam powiedziałaś, doskonale wiedzą, jak zacierać ślady.

Liam położył mu dłoń na ramieniu.

- Nick, bądź ostrożny - powiedział poważnie. - Nie chcę cię stracić, tak jak straciliśmy Seana. Czy jak ja straciłem Katie.

Nick zachnął się. Przecież córce Liama nic się nie stało. Ugryzł się w język. Liam już taki jest. Zawzięty i uparty, niezdolny do wybaczenia nawet własnemu dziecku. Skrzywił się w duchu. Ten charakter niepokojąco przypominał mu jego własny.

Jak na ironię, pierwszą osobą, jaką ujrzał po wyjściu z kuchni, była właśnie Kaitlin. Obok niej stał Dylan O'Roarke, jej mąż.

Dom Liama był dla nich nie

odwołałnie zamknięty, ale Maggie rządziła się własnymi prawami i zawsze ich zapraszała. Nick z zasady unikał kontaktów z Dylanem i trzymał się od niego jak najdalej. Niestety oznaczało to również unikanie Kaitlin, choć niegdyś, jeszcze jako dzieci, byli ze sobą bardzo zżyci. I tego było mu żal.

Kaitlin popatrzyła na niego i uśmiechnęła się lekko. Nick odwzajemnił uśmiech, co wyraźnie ją zaskoczyło. Gdy tylko minęło pierwsze zdumienie, Kaitlin wręcz się rozpromieniła. Czuł na sobie nieufne spojrzenie stojącego obok niej Dylana. Niestety, nie potrafił się przemóc. Nie znosił tej rodziny, z założenia wszystkim O'Roarke'om przypisywał złe intencje. Pod tym względem był taki jak Liam. Ta niechęć trwa zbyt długo, by udawać, że nic się nie stało. Żadnemu z O'Roarke'ów nie był w stanie zaufać.

Tuż obok rozległ się cichy głos Nicka.

- No i co? Nie chcesz uciekać stąd, gdzie pierz rośnie?

Gdy był tak blisko, działo się z nią coś dziwnego. Serce biło tak szybko, jakby chciało wyrwać się z piersi.

- Masz wspaniałą rodzinę. Właśnie tak sobie ją wyobrażałam.

W spojrzeniu, jakim ją obdarzył, było coś nowego. Czułość?

- Bo patrzysz na nas przez różowe okulary. Poczekaj, aż poznasz nas trochę lepiej...

Serce zabiło jeszcze mocniej. Aż pozna ich lepiej? Czy to znaczy...? Czy chce jej dać do zrozumienia...? Zaczerpnęła powietrza.

- Nie mogę się tego doczekać - powiedziała, starając się, by jej głos brzmiał normalnie.

- Ja też.

Patrzył na nią z takim napięciem, że wszystko w niej zamarło. Już nie słyszała otaczającego ich zewsząd gwaru. Widziała tylko pociemniałe oczy Nicka, wpatrujące się w nią przeciągle, przeszywające ją na wskroś. Czuł to samo co ona. I podświadomie, z niezbitą pewnością, wiedziała, że o niej marzył. Ta świadomość dodawała jej skrzydeł. Mimowolnie wyciągnęła rękę, dotknęła jego piersi. Ten bezwiedny gest zaskoczył ich oboje. I w jednej chwili zjednoczył.

Nick ujął z czułością jej dłoń. Myślała, że chce unieść ją do ust, ale on pociągnął ją do niewielkiej, mrocznej wnęki pod schodami.

- Erin... - W półmroku jego oczy zdawały się tak ciemne, że niemal czarne. - Nie mam pojęcia, co się stało, co między nami się dzieje... - Urwał, jakby nie znajdując słów, a może dlatego, że nagle ogarnęła go niepewność. To ją wzruszyło. Ktoś taki jak Nick naraz stał się zagubiony i nieśmiały...

- Wiesz, że bardzo cię polubiłem. Podziwiam cię i szanuję. I bardzo mi się podobasz...

Nie przerywaj, błagała w duchu, czując na plecach rozkoszny dreszczyk.

- To samo mogę powiedzieć o tobie - wyszeptała.

- Wiem, że znamy się bardzo krótko. Wystarczająco długo, chciała powiedzieć, ale zamiast tego rzekła:

- No tak.

- Nie chciałem niczego przyspieszać, ale pomyślałem sobie, żeby powiedzieć ci, że... - Wyciągnął rękę,

by dotknąć jej włosów. Na mgnienie przymknął oczy. - O Boże...
- szepnął.

Erin zrobiła krok do przodu i położyła na jego piersi obie dłonie. Nick już nic więcej nie powiedział. Bez słowa objął dłońmi jej głowę, zanurzył palce we włosy, wplątując je w jedwabiste loki. Pochylił ku niej twarz.

Dotyk jego ust, tchnienie oddechu, cały dzisiejszy wieczór, to wszystko, co stało się tak nagle i nieoczekiwanie, otworzyło przed nią całkiem inny świat, sprawiło, że poczuła się wolna i wyzwolona. Zarzuciła mu ręce na szyję, a on porwał ją w ramiona i przytulił. Ich serca zabiły jednym rytmem.

Nie opierała się, nie chciała się opierać. W pocałunek, jaki mu oddała, włożyła całą siebie, skrywane tęsknoty, marzenia, pragnienia. Pieszczotliwie przeciągnęła dłonią po jego twarzy, musnęła kark, wsunęła palce we włosy.

Nie spodziewał się tego. Zaskoczony i oszołomiony, żarliwie pociągnął ją w kąt alkowy i przyciskając do ściany, własnym ciałem osłonił przed nieproszonymi spojrzeniami. Z trudem panował nad sobą, całując ją tak, że z wrażenia niemal zapomniała o bożym świecie.

Chciała być z nim jak najbliżej, poznać nie tylko jego ciało, ale umysł i duszę. I żeby on poznał ją.

To ją otrzeźwiło. Czy naprawdę tego by chciała? Odsłonić się przed nim całkowicie, wyznać swą najgłębszą tajemnicę?

Opowiedzieć mu o swojej rodzinie, nazwisku, jakie kiedyś nosiła?

Jak by na to zareagował? Czy byłby w stanie zrozumieć jej racje, czy może, jako policjant, obciąży ją grzechami ojca?

Z salonu dobiegły dźwięki „Happy Birthday”,

przywracając ich do rzeczywistości. Nick z ociąganiem rozluźnił uścisk.

- Śpiewają dla twojej babci - powiedziała drżącym głosem Erin. - Powinieneś tam być.

- Dobrze - przystał, ale nie poruszył się. Spoglądał na nią z napięciem i tęsknotą. Jeszcze nikt tak na nią nie patrzył. - Nie zostaniemy tu długo - powiedział.

- Wymkniemy się, jak tylko babcia obejrzy prezenty.

Gdy szła za nim do salonu, odczuwała niespokojne podniecenie. I ciągle zadawała sobie pytanie, na które nie знаła odpowiedzi.

Czy dziś wieczorem pożegnają się na progu jej mieszkania, czy może odważy się zaprosić go do środka?

- Nie mogłam się doczekać, kiedy cię poznam.

- Colleen Gallagher miała charakterystyczny irlandzki akcent. Obrzuciła Erin spojrzeniem od stóp do głów.

- Nick, jaka to mała kobietka! Jesteś od niej dwa razy większy!

- Nie jest taka mała - uśmiechnął się Nick. Popatrzył na Erin, dodając jej otuchy. - I potrafi dopiąć swego.

- Nie wątpię - skwitowała, nadal patrząc na Erin badawczo.

Gdyby nie wesołe iskierki w tych nieprawdopodobnie błękitnych oczach, Erin mogłaby się poczuć jak na cenzurowanym.

- Wszystkiego najlepszego, pani Gallagher - odezwała się uprzejmie.

- Mów mi Colleen. Gdy słyszę „pani Gallagher”, czuję się okropnie stara.

Erin nie miała pojęcia, ile lat liczyła sobie Colleen,

lecz skoro miała dorosłe wnuki, pewnie dobiegała osiemdziesiątki. Wyglądała jednak dużo młodziej. Niebieskie oczy błyszczały jak u młodej dziewczyny i promieniały" energią, a włosy ognście płonęły. Przypuszczalnie coś z nimi robiła, ale siwe zupełnie by do niej nie pasowały.

Starsza pani machnęła ręką na Nicka.

- Idź stąd, Nick. Chciałabym trochę pogadać z Erin.

Nick zmarszczył czoło.

- Babciu, właśnie mieliśmy wychodzić. Colleen uniosła brew.

- Chyba poświęcisz kilka minut swojej starej babce? Popatrzył na Erin porozumiewawczo.

- Widzisz, jaka jest? Nagle robi z siebie staruszkę, byle tylko postawić na swoim. No dobrze. - Popatrzył na babcię z uśmiechem, pochylił się i cmoknął ją w policzek. - Zostawiam ci Erin, ale za dziesięć minut po nią przychodzę.

- Ach, jak by się chciało znowu być takim młodym i pełnym życia! - westchnęła Colleen, odprowadzając wnuka wzrokiem.

Otrząsnęła się, wzięła Erin za rękę. - Usiądźmy sobie tutaj.

Wygodnie usadowiły się na kanapie. Colleen popatrzyła na Erin badawczo.

- Twoja twarz wydaje mi się bardzo znajoma. Czy widziałyśmy się wcześniej?

- Raczej nie - odparła Erin. - Dopiero od niedawna jestem w Chicago.

Colleen ujęła dłonią jej buzię, odwróciła ją w jedną stronę, potem w drugą. Rozważała coś w milczeniu, wreszcie powiedziała miękko:

- Jesteś Irish, prawda?

Erin popatrzyła na nią z paniką w oczach. Irish. To można było dwojako zrozumieć. Czy chodziło jej o imię, czy o irlandzkie pochodzenie? Ale to imię... Nikt jej tak nie nazwał od chwili, gdy razem z mamą na zawsze stąd wyjechały.

- Skąd pani wie...? Colleen uśmiechnęła się.

- Masz irlandzką karnację - wyjaśniła. - Tylko Irlandczycy mają taką cerę.

Poczuła, że brakuje jej powietrza. Jak mogła tak opacznie zrozumieć jej słowa? Do tej pory nigdy się jej to nie zdarzyło, nigdy nie myślała o sobie jako o Irish. Takie imię nadano jej rta chrzcie, lecz po wyjeździe z Chicago mama zmieniła ich imiona i nazwiska. Od tamtej pory nazywała się Erin Casey.

Colleen nie przestawała się jej przyglądać.

- Już chyba wiem, dlaczego wydałaś mi się taka znajoma.

Przypominasz kogoś, kogo znałam przed laty.

Nie wiedziała, skąd wzięło się to niepokojące przeczucie, jakie naraz ją ogarnęło.

- Kto to był?

Colleen uśmiechnęła się smutno.

- Człowiek, którego niegdyś bardzo kochałam. Nazywał się James O'Roarke.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

W drodze powrotnej Erin była podejrzenie milcząca i daleka. Z każdą chwilą Nick był coraz bardziej niespokojny. Czyżby Gallagherowie tak bardzo się jej nie spodobali? Czy nie chce mieć z nimi do czynienia?

Jakby wyczuwając jego stan, Erin zerknęła na niego ukradkiem. Ich spojrzenia się spotkały. Dziewczyna pośpiesznie odwróciła wzrok.

Nick podjechał pod dom, zaparkował i wyłączył silnik. Żadne z nich nie przerywało ciszy. Po paru minutach Nick przerzucił ramię przez oparcie jej fotela. Dotknął jej włosów.

- Erin, co się stało?

Nie od razu podniosła na niego oczy. W półmroku nie widział dobrze jej twarzy. Bezradnie poruszyła ręką.

- Chyba jestem zmęczona.

Wiedział, że nie chodzi o zmęczenie. Przed chwilą była namiętą, zmysłową uwodzicielką, przyprawiającą go o bicie serca i budzącą szalone pragnienia, i nagle stała się daleka i niedostępna.

Sposepniał jeszcze bardziej.

- Erin, czy coś jest nie tak? Popatrzyła na niego czujnie.

- Co chcesz powiedzieć?

- Czy może za dużo sobie wyobraziłem? Dziewczyna gwałtownie nabrała powietrza.

- Nie, to nie to. Tylko że...

- Że co?

Wzruszyła ramionami.

- To dla mnie za szybko. Sam powiedziałeś, że znamy się krótko...

- W porządku. - Pochylił się, przesunął palcami po jej włosach i położył dłoń na ramieniu. - To się da naprawić. Możemy umówić się na jutro? Na wieczór.

Zaskoczył ją tą propozycją.

- Chcesz się ze mną umówić na randkę? Nick uśmiechnął się.

- A dlaczego nie? O ile wiem, policjanci nie mają takiego zakazu.

- No... ale skoro pracujemy nad jedną sprawą... pewnie są jakieś przepisy...

- Nic mi o tym nie wiadomo. Przyjadę po ciebie, wybierzemy się na kolację lub do kina, a potem pogadamy, żeby się lepiej poznać.

- A... potem? - W świetle ulicznej latarni jej oczy lśniły niebiesko.

- Potem znowu się gdzieś wypuścimy. I jeszcze gdzieś, aż poznamy się lepiej i nabierzemy do siebie zaufania. Aż będziemy gotowi, by zrobić następny krok. Co ty na to?

- Już dawno się z nikim nie umawiałam - rzekła nieśmiało.

Określił wokół palca kosmyk jej włosów.

- To zupełnie jak z jazdą na rowerze. Niczego się nie zapomina. Zobaczysz, to nic takiego. Zwłaszcza po tym, co przeszliśmy.

- Może przestanę ci się podobać, gdy mnie lepiej poznasz...

- To raczej mało prawdopodobne - zaproponował, przyglądając się jej uważnie i zastanawiając w duchu, dlaczego nagle stała się taka spięta. Jakby to ostatnie stwierdzenie nie odnosiło się wyłącznie do ich znajomości.

Wysiedli, podeszli po schodach do drzwi mieszkania.

- Może przysiadzimy tu sobie na chwilę? - odezwał się Nick. - Jest tak przyjemnie, że nie chce się wracać do domu.

Czuła dokładnie to samo. Też chciała opóźnić moment, gdy znajdzie się sama w pustym mieszkaniu. I przedłużyć ten wieczór, choć w głębi duszy wiedziała, że dla obojga byłoby lepiej, by jak najszybciej go zakończyć. Rozmowa z Colleen obudziła duchy przeszłości i przywołała przykre wspomnienia. Przez całe życie była Erin Casey. I nagle, przez nawiązanie Colleen do dawnych dziejów, odżyła zapomniana postać Irish O'Roarke. To nią wstrząsnęło.

Była oddaną córką, zdolną studentką, została uznanym antropologiem. Zapracowała sobie na uznanie i szacunek. Ale choć minęło tyle lat, ciągle prześladowała ją pamięć o ojcu. Choć nawet nie wiedziała, jak on wygląda.

Jak Nick by zareagował, gdyby wyznała mu prawdę? Gdyby dowiedział się, że jest wnuczką Jamesa

O'Roarke'a, człowieka, którego kiedyś kochała Colleen? Który nielegalną drogą doszedł do władzy i bogactwa?

Oto ironia losu. Czy któreś z nich mogłoby przypuścić, że są ze sobą związani w taki sposób...

Usiedli na najwyższym stopniu. Siedzieli, dotykając się ramionami. Oboje milczeli. Powietrze było rześkie, lecz kurtki chroniły przed chłodem. Wiał lekki wiatr od jeziora. Światła miasta rozjaśniały ciemne niebo, przyćmiewając migoczące gwiazdy. Srebrzysty blask wiszącego nisko księżyca, oblewający świat bladą poświatą, wyczarowywał romantyczną scenerię.

- Nick, dlaczego się jeszcze nie ożeniłeś? - po długim milczeniu zapytała Erin.

Widziała, że to pytanie niezmiernie go zaskoczyło. Wzruszył ramionami.

- Pewnie mógłbym dać rutynową odpowiedź, że nie spotkałem właściwej dziewczyny, ale to nie do końca jest prawdą. Byłem już w poważnych związkach... Czy ja wiem? Może nawet z tego coś by wyszło, gdybym się bardziej postarał?

- To czemu nie spróbowałeś?

- Policjanci niezbyt nadają się na mężów. Moi rodzice ciągle się kłócili, głównie przez pracę taty. Wiem, że się kochali, ale to było trudno wytrzymać. Już wtedy sobie obiecałem, że nie powtórzę ich życia. Moja mama za dużo przeszła.

- Dlatego postanowiłeś być sam? Nick jedynie wzruszył ramionami.

- Nigdy nie czujesz się samotny? - zapytała Erin, a w jej głosie zabrzmiała tęskna nuta.

Nick odwrócił się i popatrzył na nią. Po jego oczach widziała, że czuje to samo co ona.

- Teraz się tak czuję - powiedział cicho. Serce zatrzepotało jej w piersi.

- Dlaczego? - wyszeptała ledwie słyszalnie. Nie odrywał od niej oczu.

- Bo wydawało mi się, że między nami coś się zaczyna, że może coś z tego będzie. I nagle to umknęło, coś się zmieniło. Choć nie mam pojęcia, dlaczego tak się stało. - Przerwał i głęboko spojrzał jej w oczy. - Powiedz, czy rzeczywiście tak jest?

Nie mogąc znieść jego wzroku, opuściła powieki.

- Nie wiem. Mam nadzieję, że nie.

- Ja też mam taką nadzieję.

Poczuła, że dotknął dłonią jej twarzy i szybko otworzyła oczy.

Nick wsunął palce w jej włosy, odwrócił ją ku sobie. Powoli pochylił głowę i odszukał jej usta. Pocałunek jak muśnięcie motyla.

Erin zadrżała, przepełniło ją tyle uczuć, że nie mogła ich ogarnąć. Wiedziała tylko jedno: na pewno jest w nim zakochana.

- Nie chcę, by to nam umknęło - wyszeptała, wodząc dłonią po jego policzku. - Nie chcę cię stracić.

Przez kilka długich sekund wpatrywał się w nią bez słowa. Potem uniósł do ust jej dłoń i drobnymi pocałunkami zaczął obsypywać palce dziewczyny. Serce zabiło jej szaleńczym rytmem. Wtedy Nick wstał i podał jej rękę.

Przepełniało ją radosne, drżące oczekiwanie. Czas zatrzymał się w miejscu, byli tylko oni. Spojrzała na jego opalony muskularny tors. I nagle ogarnął ją lęk. A jeśli mu się nie spodoba? Jest drobna, nie uprawia sportów. Teraz tego żałowała. W porównaniu z nim była słaba i krucha.

Ale wystarczyło, że położył ręce na jej ramionach, a wszystkie obawy rozwiały się jak dym.

Patrzył na nią z zachwytem. Rozpuszczone włosy spływały aż na plecy, jak połyskliwy, płynny jedwab. Jest cudowna, nieprawdopodobna. I pełna zmysłowej pasji. Jak łatwo się w niej zakochać. Ale to nie jest dobry czas na miłość, próbował się opamiętać. Daremnie.

Za oknem budził się świt, gdy przytulona do Nicka Erin poruszyła się, powoli przypominając sobie wydarzenia wczorajszej nocy. Czułaby się szczęśliwa, gdyby nie ta dręcząca myśl, że powinna wcześniej wyznać mu prawdę o swojej rodzinie. Ta noc to było coś więcej niż seks. Poczucie bliskości i ogromnego zaufania, otwarcie się na drugiego człowieka, nowe perspektywy i nadzieja na przyszłość...

Odetchnęła głęboko. Nick jest cudowny, oszałamiający. Czuły, wrażliwy, delikatny. Topniała w jego objęciach, rozpływała się pod jego spojrzeniem. I to poczucie absolutnego porozumienia, niesamowitej bliskości i zaufania. Nic przed nią nie ukrywał, do końca był szczery. Może sobie na to nie zasłużyłam, przemknęło jej przez myśl.

- Muszę ci coś wyznać - powiedziała stropiona. Poczwała, że się nieco spiął.

- Chyba nie to, że masz gdzieś męża?

Nie jest tak bardzo daleki od prawdy, pomyślała gorzko.

- Nie. Tylko chyba powinnam ci powiedzieć, że kiedyś nie nazywałam się Erin Casey.

- Co ty opowiadasz?

- Po rozwodzie mama oficjalnie zmieniła nasze nazwisko na inne.

- Dlaczego?

Erin wzruszyła ramionami.

- Obawiała się byłego męża. Miał kryminalne skłonności, ujmując to delikatnie.

- Groził wam? - Nick opiekuńczym gestem przyciągnął dziewczynę ku sobie. To ją wzruszyło.

- Mama czuła się zagrożona, ale to nie był jedyny powód. Chciała odciąć mnie od jego wpływu.

- To mogę zrozumieć - mruknął Nick. - Ojciec nie próbował cię odszukać?

- Raczej nie, w każdym razie nic o tym nie wiem. Rodzice zawarli umowę. Mama mogła mnie wziąć pod warunkiem, że zrzeknie się praw do mojego brata. - Przełknęła gorycz. Nawet po latach te słowa z trudem przechodziły jej przez gardło. Jak pogodzić się ze świadomością, że własny ojciec jej się wyrzekł? I choć powinna się cieszyć, że jej losy tak się potoczyły, to w głębi duszy czuła się zraniona. Jak mała dziewczynka, której ojciec odmówił miłości.

Westchnęła ciężko. Nick objął ją i mocno przytulił.

- Absolutnie nie potrafię sobie wyobrazić, że ktoś mógł cię opuścić.

Jego tkliwość łagodziła ból.

- Zawsze umiesz znaleźć właściwe słowa?

- Bardzo rzadko - odrzekł. - Nie nadaję się do dyplomacji. Mój brat by to potwierdził.

- Dlaczego nie jesteście ze sobą zżyci? Coś się stało? - Gdy nie odpowiadał, uniosła się na łokciu i popatrzyła na niego. -

Przepraszam, nie chciałam być wścibska. Zaczęłam tę rozmowę, żeby... żebyś wiedział o moim pochodzeniu, bo może... - Urwała.

- Pomyślałam, że to może coś między nami zmienić.

- Dlaczego?

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Mój ojciec był przestępcą, twój pracował w policji. Ty też jesteś policjantem.

Nick odgarnął jej z twarzy kosmyk włosów.

- Nie odpowiadasz za to, kim był twój ojciec.

- Wiem, tak podpowiada zdrowy rozum. Jednak...

- Erin, nikt nie jest wolny od wątpliwości.

- Nawet ty?

Nick skrzywił się lekko.

- Zaskoczyłem cię? Dlaczego?

- Bo zawsze wydajesz się pewny swego. Zawsze taki opanowany.

- Nie zawsze. - Przeciągnął dłonią po jej nagiej skórze.

Przeszył ją przyjemny dreszczyk. Wiedziała, co ma na myśli. Tej nocy oboje stracili nad sobą kontrolę. Nigdy nawet nie śniła, że jest zdolna do takiego szaleństwa. Oboje się przed sobą odsłonili. Teraz wszystko zależy od nich samych - albo się jeszcze bardziej zbliżą, albo ich drogi się rozejdą na zawsze.

Nick przez chwilę milczał.

- Kilka lat temu mój ojciec został zamordowany, ale jego ciała nie odnaleziono. John uznał, że może wcale nie doszło do zbrodni, może ojciec po prostu nas zostawił.

- I tego nie możesz mu darować?

- Tak. Byłem z ojcem bardzo związany, bardziej niż John. I wiem, że nigdy by tak nie postąpił. Choć czasami... - Nie dokończył zdania.

- Czasami zaczynasz się nad tym zastanawiać? - zapytała cicho Erin.

- Tego nie powiedziałem - rzucił niemal ostro.

Erin odsunęła się nieco, oparła na łokciu, by lepiej widzieć Nicka. W słabym świetle brzasku jego twarz zdawała się spięta i gniewna.

- Sam dopiero mówiłeś, że każdemu zdarza się wątpić - przypomniła.

- Mogę mieć wątpliwości na swój temat, to prawda. - Gdy Erin milczała, popatrzył na nią ponuro. - Nie mogę jednak wątpić we własnego ojca. Był dla mnie bohaterem, wzorem do naśladowania. Gdyby rzeczywiście nas zostawił, gdyby był do tego zdolny... - urwał, zapatrzył się na sufit. - To jak by to świadczyło o mnie?

- Nie odpowiadasz za czyny ojca, tak jak ja za swojego. Jej słowa chyba do niego nie docierały.

- Przedwczoraj w nocy miałem dziwne wrażenie, że on nie umarł. I że jest w pobliżu. Wtedy mnie tknęło, że być może John miał rację. Wiem, że to wariactwo, że on nie żyje. Ale w tamtym momencie...

Erin przerwała mu cicho:

- Nieraz mi się zdarza, że biorę słuchawkę i zaczynam wykręcać numer mamy. I dopiero wtedy uświadamiam sobie, że jej już nie ma. Nie myślę, że to jest obłąd. Po prostu ciągle mi jej brak.

Nick wyciągnął rękę i pogładził dziewczynę po włosach.

- Dotąd nikomu tego nie mówiłem. Dobrze jest się otworzyć.

To wyznanie wzruszyło ją do głębi. Nie oponowała, gdy przyciągnął ją bliżej. Oparła głowę na jego piersi, wsłuchała w rytmiczne bicie serca. Ten miarowy dźwięk uspokajał, kołysał do snu. Tak jak świadomość, że po raz pierwszy od bardzo dawna nie obudzi się sama na świecie.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Gdy się przebudziła, Nicka już nie było. Na szczęście zostawił na poduszce karteczkę. Obiecywał, że zadzwoni później i spotkają się wieczorem. I ten podpis: „Uściski, Nick”. Zrobiło jej się ciepło na sercu.

Przeciągnęła się radośnie. Czuła się trochę jak Scarlett O'Hara z „Przeminęło z wiatrem” po nocy pełnej miłosnych uniesień.

Wyciągnęła się wygodnie i z rozmarzeniem wspominała chwile z Nickiem. Minęło dobre kilka minut, gdy uprzytomniła sobie, że przecież spóźni się do pracy. Wyskoczyła z łóżka.

Rześki, słoneczny poranek dodawał energii. Lubiła takie dni, gdy jesień pokazywała się od najlepszej strony. Może to nie jesień, a wczorajsza noc tak pozytywnie usposobiły ją do świata? Szła sprężystym krokiem, na jej ustach błąkał się tajemniczy uśmiech. Postanowiła skorzystać z pogody i iść na piechotę.

Nick. Nie mogła przestać o nim myśleć. Wyznała mu bolesną prawdę o swoim pochodzeniu, a on wcale się tym nie przejął. I zapewniał, że nie ponosi odpowiedzialności za czyny ojca.

Otworzył się przed nią,

powiedział o własnych obawach. Stali się sobie bliscy. To nie jest układ, który trwa jedną noc. To chyba początek czegoś wyjątkowego. Czegoś, co tak niespodziewanie im się przydarzyło. Zakochali się w sobie. I ona, zawsze tak powściągliwa, z trudem hamowała pragnienie, by wykrzyknąć tę miłość na cały głos. Niech wszyscy się o tym dowiedzą.

- Kocham Nicka Gallaghera - wyszeptała, zwracając uwagę przechodzących studentów. Pewnie pomyśleli, że to klasyczny przykład roztargnionego profesora gadającego do siebie.

Zatrzymała się na światłach. Na ławce po drugiej stronie ulicy ktoś siedział i czytał gazetę. Weszła na pasy i zauważyła, jak pochłonięty lekturą mężczyzna na mgnienie podniósł wzrok i popatrzył na nią. Znow wrócił do gazety, lecz Erin poczuła panikę. Ten człowiek wydał się jej dziwnie znajomy.

Była w połowie przejścia. Powtarzała sobie, że przesadza, że pewnie widziała go na uniwersytecie. Nic jej nie grozi. Jest dzień, godziny szczytu, wszędzie pełno ludzi.

Ale zaledwie kilka dni temu ktoś zamordował Avery'ego, a potem usunął zwłoki.

Uniosła lekko głowę, dodając sobie odwagi. Czowała na sobie wzrok nieznanego. Dochodziła do chodnika. Mężczyzna podniósł się z ławki i stanął, blokując Erin przejście. Ogarnął ją jeszcze większy lęk. Choć z drugiej strony kosztowny garnitur i porządnie przycięte jasne włosy nie pasowały do wizerunku gangstera. I te niebieskie oczy. Tak jasne jak jej...

- Witaj, Irish - powiedział, uśmiechając się.

- Skąd pan... Już się gdzieś widzieliśmy - wydusiła,

wbijając w niego wzrok i gorączkowo przypominając sobie, gdzie mogła go widzieć. Naraz ją olśniło. - Wczoraj na przyjęciu u Gallagherów. Mężczyzna wyciągnął rękę.

- Nazywam się Dylan O'Roarke, jestem mężem Kaitlin Gallagher.

- O'Roarke? - wybąkała, nie wierząc własnym uszom.

- Jestem twoim kuzynem - uśmiechnął się szerzej.

- Nie wiedziałam, że mam kuzyna - odparła, nie mogąc otrząsnąć się z szoku. - Wczoraj nic nie powiedziałaś.

- To nie było właściwe miejsce ani pora — odparł nieco zmienionym głosem. Ujął ją za ramię. - Usiądźmy na chwilę. -

Nie zaoponowała. Pozwoliła poprowadzić się do ławeczki.

Usiedli. Nie odrywali od siebie oczu. - Wyglądasz mniej więcej

tak, jak sobie wyobrażałem - z wyraźnym zadowoleniem

powiedział Dylan. - Nieraz się zastanawiałem, jaka jesteś.

- Znałeś mnie? - Zbił ją z tropu. - Przykro mi, ale ja sobie ciebie nie przypominam.

- Byłaś niemowlęciem, gdy wyjechałaś z mamą. Miałem wtedy dwa lata, jak Daniel.

Nieoczekiwanie łzy napłynęły jej do oczu. To wzmianka o bracie tak ją poruszyła.

- Jak on się miewa? I gdzie jest?

Dylan popatrzył badawczo, wyraźnie zaskoczony. Sposepniał.

- Chcesz powiedzieć, że nie wiesz, co się z nim stało? Serce zatrzepotało jej w piersi.

- Czy on... - nie mogła dokończyć.

- Daniel żyje - uciał zmienionym tonem. - Jeśli

można to nazwać życiem. Nie bardzo wiem, jak ci to powiedzieć. Daniel jest w więzieniu. Od prawie ośmiu lat siedzi w celi śmierci.

Zmroziło ją. Nie mogła wydusić słowa. Jeszcze nigdy nie doświadczyła tak głębokiego bólu.

- W celi śmierci? - wyszeptała. - O Boże... Dylan popatrzył na nią z powagą.

- Erin, on cię potrzebuje. Twoja rodzina cię potrzebuje.

- Mnie? - spytała z powątpiewaniem. - A co ja mogę zrobić?

- To znaczy, że chcesz pomóc? Przeszywał ją wzrokiem. Poczowała się nieswojo.

- Przecież nawet nie wiem, co się stało. Nie wiem, dlaczego został skazany. W ogóle go nie znam. Dlaczego uważasz, że w jakiś sposób mogłabym mu pomóc?

Dylan nie odrywał od niej oczu.

- Słyszałaś o Ashley Dallas?

Nazwisko obilo się jej o uszy. Czy to nie o niej opowiadała Mary Alice Stanton? Ashley została zamordowana, a zabójcę skazano na karę śmierci. Od kilku lat siedzi za kratami. I być może teraz zostanie zwolniony.

Zabrakło jej powietrza. Popatrzyła na niego. Skinął głową.

- Widzę, że o niej słyszałaś. Jestem adwokatem Daniela i zamierzam zrobić wszystko, by wyciągnąć go z więzienia.

- Nawet jeśli jest winny?

- Nie jest winny.

- Skąd możesz mieć taką pewność? - zaprotestowała żarliwie. - Dostał karę śmierci, tak? Więc chyba musiały być jakieś dowody przeciwko niemu?

- Och, oczywiście. - Skrzywił się z goryczą. - Odpowiednio spreparowane. Irish, Daniel został wrobiony w to morderstwo.
 - Nie nazywaj mnie tak - prychnęła rozzłoszczona. - Mam na imię Erin.
 - Dla nas zawsze byłaś Irish. Rzuciła mu ostre spojrzenie.
 - Dla nas? To znaczy dla kogo?
 - Dla wujka Richarda, Daniela, dla mnie. Tylu nas zostało z rodu O'Roarke'ów. No i ty.
 - Nie jestem O'Roarke. Nazywam się Casey - rzekła chłodno.
 - Popatrz tylko w lustro... Erin. I powiedz mi, że nie mam racji. To chyba jakieś halucynacje, pomyślała. Niemożliwe, by to się działo naprawdę. Przez całe lata wyobrażała sobie daleką rodzinę, zastanawiała się, jacy są, a teraz stoi twarzą w twarz z kuzynem, o którego istnieniu nie miała pojęcia.
 - Twierdzisz, że Daniel został wrobiony - rzekła wolno. - Możesz tego dowieść?
- Nie odpowiedział. Widać było, że coś głęboko rozważa.
- Chyba powinienem zacząć od początku, cofnąć się w przeszłość. Nie wiem, co mama powiedziała ci o naszej rodzinie, ale to... powiedzmy, barwna historia. Nasz dziadek, James O'Roarke, wyemigrował z Irlandii i osiadł w Chicago. To było siedemdziesiąt lat temu.
 - Owszem, słyszałam o tym - oświadczyła Erin. - Mama opowiedziała mi o nim, a także o jego przestępczej działalności. Dylan lekko uniósł brwi.

- Opowiedziała ci też o Gallagherach?
- O Gallagherach? A niby skąd mogłaby ich znać?
- Bo wyszła za O'Roarke'a. Nasz dziadek i William Gallagher przybyli z Irlandii do Chicago. Byli przyjaciółmi, ale rozdzieliła ich miłość do tej samej kobiety.

Erin przypomniła sobie rozmowę z Colleen i smutek, jaki odmalował się w jej oczach, gdy starsza pani wspomniła tego, którego kiedyś darzyła wielkim uczuciem. Jamesa O'Roarke'a.

- Co było dalej?
- Zareczyła się z naszym dziadkiem, ale potem uległa namowom Williama i wyszła za niego.

Erin domyślała się, że prawda była bardziej złożona.

- Czy William Gallagher był oficerem policji?
- Tak.
- A nasz dziadek kryminalistą. Czy to dlatego jego narzeczona zdecydowała się wyjść za Gallaghera?
- Nie twierdzę, że nasz dziadek miał chlubną przeszłość, ale nie wydaje mi się, by ktokolwiek z nas miał prawo go osądzać. My nie doświadczyliśmy tego co on. Nie wiemy, co znaczy głód. I co człowiek czuje, gdy głodują jego najbliżsi. Gdy matka umiera przy porodzie, bo nie ma pieniędzy na lekarza. Gdy mały brat traci wzrok, bo rodziny nie stać na operację.
- To jeszcze nie usprawiedliwia tego, co robił przez całe życie - powiedziała z zaciśniętym gardłem.
- Nie. Ale znając kontekst, łatwiej go zrozumieć. Nasz dziadek nie był z gruntu zły, miał w sobie wiele ciepła i życzliwości. I zawsze najpierw myślał o rodzinie, o tym, by zapewnić jej dobre warunki. Myślę, że też byś go lubiła.

Erin opuściła powieki. Nie chciała tego słuchać. Za

późno, by teraz rewidować wypracowane przez lata poglądy. Za późno, by wrócić na łono rodziny.

- Od zawsze byliśmy z Gallagherami na wojennej stopie - ciągnął Dylan. - Wiele powodów na to się złożyło. Wyrosłem w przeświadczeniu, że każdy Gallagher jest naszym wrogiem.

„Zawsze nas nienawidzili” - nieoczekiwanie przypomniała sobie gorzkie stwierdzenie Nicka. O Boże. Nic dziwnego, że odkąd go ujrzała, instynktownie czuła, że ich znajomość nie rokuje nic dobrego, że niesie jakieś niejasne zagrożenie.

- Ale kiedy poznałem Kaitlin - rzekł Dylan i głos mu złagodniał - to...

- Zakochałeś się? - zapytała, za późno gryząc się w język.

- To była miłość od pierwszego spojrzenia - potwierdził. - Ale nie od razu pogodziłem się z tym, że to dziewczyna z rodziny Gallagherów. Miałem ogromne opory. Wpojono mi, że oni tylko czyhają na nieostrożny ruch z naszej strony, że chcą nas zniszczyć. Ale Kaitlin nie jest taka. Za to jej ojciec...

Urwał. Erin przerwała ciszę.

- Co stało się z Danielem?

- Znalazł się w nieodpowiednim miejscu o nieodpowiedniej porze. On też wojował z Gallagherami. Często ścinał się z Tonym. Widziałaś go wczoraj, może pamiętasz. Daniel postanowił odbić mu Ashley. To miała być zemsta za zło, jakie nam wyrządzili. Może nawet myślał, że w ten sposób pomści dziadka. Tak czy inaczej tamtej nocy, kiedy Ashley została zamordowana, widział się z nią. Prawdopodobnie powiedziała mu, że zerwała z Tonym. To była woda na jego młyn.

Poszedł za nią na przyjęcie i tam wdał się w bójkę z Tonym. Ashley zdenerwowała się i wyszła. Parę godzin później znaleziono jej ciało.

- A Daniel?

- Tak się pięknie złożyło, że w zaroślach pod domem znaleziono nóż, czyli narzędzie zbrodni, a na nim odciski palców Daniela. Nóż znalazł Sean Gallagher.

„Był dla mnie bohaterem. Wzorem do naśladowania”, przypomniała sobie słowa Nicka. Popatrzyła na Dylana z przerażeniem.

- Chcesz powiedzieć, że w jakiś przemyślny sposób umieścił tam odciski Daniela? Jak? I dlaczego?

- Abstrahując od faktu, że Daniel nazywa się O'Roarke? - W jego tonie zabrzmiała dziwna, trudna do określenia nuta. - Te odciski znaleziono dużo później, gdy Daniel już został aresztowany.

Erin, istnieją sposoby na przeniesienie takich śladów na dowolny przedmiot. Sama o tym wiesz.

Nadal nie była przekonana.

- Ale po co Sean Gallagher miałby to robić? Po co miałby narażać swoją reputację?

- Bo jego syn też był na tym przyjęciu. Ashley przed wyjściem ostro pokłóciła się z Tonym, który niedługo potem gdzieś znikł. Później twierdził, że poszedł na górę i siedział w pokoju kuzyna. Było ciemno, bo zasłonił okno. Nikt nie mógł tego potwierdzić, nikt go nie widział. Nie miał alibi na czas morderstwa. Tyle że tej informacji nie dołączono do raportu ze śledztwa.

Poczuła, że krew zaczyna pulsować jej w skroniach. -To za dużo jak na jeden raz. I po wczorajszej nocy...

- Chcesz powiedzieć, że to Tony Gallagher zamordował Ashley?

- Tego nie wiem - odparł. - Twierdzą jedynie, że Sean Gallagher i Ed Dawson dopilnowali, by istotne dla sprawy dowody nie weszły do zebranych materiałów. Być może Sean chciał chronić własnego syna, ale w efekcie zaniechano dalszych poszukiwań. Znaleźli kozła ofiarnego i oskarżyli Daniela o morderstwo, którego nie popełnił.

Oparła się wygodniej, w milczeniu przetrawiając usłyszane rewelacje. Czy Dylan naprawdę uważa, że Daniel jest niewinny? Czy może tylko gra, licząc na jej łatwowierność?

- Nawet jeśli to prawda, czemu przychodzisz z tym do mnie? - zapytała podejrzliwie. - Nic przecież nie mogę tu zmienić.

- Już to mówiłaś.

- Bo tak jest. Nie mam z tym nic wspólnego.

Po raz pierwszy w czasie tej rozmowy zobaczyła, jak wzbiera w nim gniew. To nieoczekiwanie przypomniało jej Nicka.

- Jak możesz mówić, że nie masz z tym nic wspólnego?

Rozmawiamy o twoim bracie. Na litość boską, jesteś O'Roarke!

Podniosła się z ławki.

- Już nie. Zapomniałeś, że mój ojciec się mnie wyrzekł?

Dylan wstał raptownie.

- To twoja matka zabrała ciebie, a zostawiła Daniela. Uważasz, że to się na nim nie odbiło? Że nie cierpiał?

Erin zawahała się.

- Ojciec wybrał jego. Interesował go tylko syn.

- A twoja matka wybrała córkę, porzucając syna. W każdym razie tak to odbierał Daniel.

Zaskoczył ją. Przez długą chwilę nie mogła się

otrząsnąć. Przez te wszystkie lata, kiedy myślała o swoim bracie, nigdy nie zastanawiała się, jak on przeżył rozstanie z mamą i siostrą. Miał wtedy dwa latka. Mógł czuć się porzucony i odtrącony.

A teraz ona chce go zostawić na pastwę losu...

Potarła pulsujące skronie.

- To dawna historia. Oboje zostaliśmy doświadczeni przez życie. Przykro mi, jeśli miał takie smutne dzieciństwo jak ja. Przykro mi z powodu wielu rzeczy. Ale co się stało, to się nie odstanie. Nie da się odwrócić przeszłości. I nie mogę zmienić losu mojego brata.

Nieoczekiwanie Dylan pochwycił ją za ramię.

- Nieprawda, możesz.

- Jak to?

Chciała się cofnąć, ale on ścisnął ją mocniej.

- Erin, powiedz mi, dlaczego przyjechałaś do Chicago?

- Zaproponowano mi świetną pracę... - urwała, widząc wyraz jego oczu.

- To twój ojciec wybudował FAHIL, a potem zaaranżował wszystko tak, by cię tu ściągnąć. Przedstawić taką ofertę, byś nie mogła odmówić.

- Dlaczego? - Serce biło jej jak szalone. Nie zauważała mijających ich aut i ciekawych spojrzeń przechodniów. Nie odrywała oczu od Dylana.

- Bo chciał, żebyś tu wróciła. Do miasta, gdzie jest twoja rodzina. Chciał cię odzyskać. Po śmierci twojej mamy pomyślał, że wreszcie otwiera się przed nim szansa...

- Wiedział o śmierci mamy?

- Wie o tobie wszystko. Jak dorastałaś, do jakich

szkół chodziłaś. O twoim pierwszym chłopaku. Ten profesor z college'u - sprecyzował miękko. Zasłoniła usta dłonią.

- O Boże. Przez cały czas mnie śledził? Deptał mi po piętach?

- Chronił cię. Pilnował, by nic złego cię nie spotkało. Jest z ciebie bardzo dumny.

Nie chciała już tego słuchać. Nie mogła.

- Nie wierzę ci. Przysłał cię, bo czegoś ode mnie chce. Powiedz, o co chodzi?

Przez chwilę wyglądało, że pragnie zaprzeczyć, lecz odezwał się rzeczowym tonem:

- Interesują go szczątki znalezione w Wisconsin. Serce skoczyło jej do gardła. Ogarnął ją lęk.

- Skąd o nich wiecie?

- Erin, Richard to potężny człowiek, ma niesamowicie rozległe kontakty.

- Ktoś z posterunku w Webber musiał go zawiadomić - bardziej stwierdziła niż zapytała. Dylan nadal milczał. - Dlaczego te szczątki tak go obchodzą?

- Nie to jest ważne. Najważniejsze jest teraz to, co ty o nich sądzisz.

Wlepiała w niego niedowierzające spojrzenie.

- Chyba nie myślisz, że wyjawię mu wyniki badań? Naprawdę na to liczysz? Boże, jeden człowiek już stracił życie! O mały włos nas też by zamordowano. Czy to z polecenia mojego ojca?

Teraz Dylan wydawał się zdezorientowany.

- Jak możesz tak myśleć?

- Jak mogę tak myśleć? - odparła chłodno. - Jest przestępcą, nie zaprzeczysz. Brutalnym, bezwzględnym facetem, który zrobi wszystko, by wyciągnąć

z więzienia jedynaka. Dlatego zadał sobie trud, by mnie odszukać, prawda? I namówić, bym odpowiednio spreparowała dane i wystawiła ekspertyzę zgodną z jego oczekiwaniami. Przemawiającą na korzyść Daniela.

- Erin, źle mnie zrozumiałaś. Jedyne, na czym nam zależy, to żebyś nie uległa żadnym naciskom.

- Możesz wyrazić się dokładniej?

- Chodzi o twoją znajomość z Nickiem Galla-gherem.

- On nie ma tu nic do rzeczy - prychnęła. - To dwie zupełnie niezależne sprawy.

- Absolutnie się z tobą nie zgadzam. - Dylan nagle spochmurniał.

- Nick siedzi w tym po uszy i traktuje to bardzo osobiście. Z całej rodziny Gallagherów właśnie on jest najbardziej na nas cięty. I zrobi wszystko, by Daniel nie wyszedł na wolność.

- Nie wierzę.

- Erin, Sean Gallagher dopilnował, by niewygodne dowody nie znalazły się w raporcie ze śledztwa. Uważasz, że jego syn nie pójdzie tą drogą?

- Jak możesz zadawać takie pytania? Przecież sam go znasz.

Wszedłeś do jego rodziny.

- Mam żonę z ich rodu - sprostował - ale wciąż nazywam się O'Roarke. Tak jak ty, Erin. Choćbyś nie wiadomo jak się tego wypierała.

Nick wszedł do gabinetu Liama i od razu poczuł skurcz w żołądku. Mama i Ed Dawson. Ich twarze mówiły same za siebie.

Wszystko jasne - Liam powiedział im o znalezionych szczątkach.

- Siadaj, Nick - rzekł Liam. - Musimy o czymś porozmawiać.

Nie usiadł, tylko podszedł do okna. Mijając siedzącą matkę, delikatnie dotknął jej ramienia. Maggie podniosła na niego oczy i uśmiechnęła się smutno. Bał się, że w jej spojrzeniu ujrzy cierpienie i żal, ale tak się nie stało. To go zdziwiło. Wydawała się tylko nieco spięta.

Stojący obok niej Dawson nie okazywał żadnych uczuć. Jak zwykle chłodny i opanowany, jak zwykle również w stroju bardziej odpowiednim dla prawnika lub bankowca niż policjanta. Z premedytacją, jakby odcinając się od swojej funkcji, nie nosił munduru. To podejście nie przysparzało mu sympatii wśród podwładnych.

Chłodno skinął głową na powitanie.

- Sporo się wydarzyło - powiedział.

- Opowiedz, co się stało w ciągu ostatnich dni - znużonym tonem odezwał się Liam. Popatrzył na Maggie. - Przepraszam, że nie poinformowałem cię natychmiast, jak tylko się dowiedziałem. Obaj z Nickiem powinniśmy od razu do ciebie przyjść.

- Więc czemu tego nie zrobiliście? - spytał Dawson. Nick spostrzegł, że Liam zacisnął usta. Doskonale wiedział, o czym myśli. Zostało mu kilka lat do emerytury. Nie może teraz zadzierać z szefem.

- Pomyślałem, że lepiej się wstrzymać - odezwał się Nick. - Poczekać, aż z całą pewnością będziemy mogli stwierdzić tożsamość ofiary. Na razie jeszcze jej nie znamy.

Dawson rzucił mu ostre spojrzenie.

- Dlaczego?

- Doktor Casey nadal prowadzi badania. Jest za wcześnie na wyciąganie ostatecznych wniosków, ale to, co do tej pory udało się ustalić, potwierdza moje podejrzenia.

- Zrobiono testy DNA? - zapytał Dawson.
- To będzie następny etap - odparł Nick. Popatrzył na mamę. Miała pobladłą twarz. Nabrała powietrza i chwyciła za rękę Dawsona.
- A przyczyna śmierci? - zapytała cicho. Nick zawahał się.
- Wstępne wyniki dają podstawę do stwierdzenia, że ten ktoś został zamordowany.

Po tych słowach w pokoju zapadła głucha cisza. Nick w milczeniu przyglądał się wpatrzonym w niego twarzom. Wszyscy wydawali się nieco zaskoczeni, co go dziwiło, bo przecież takiego orzeczenia się spodziewano. Od lat podejrzewano, że Sean Gallagher padł ofiarą zabójstwa, tylko że do tej pory nie było na to żadnego dowodu.

- Chciałbym być informowany o postępie prac doktor Casey - przerwał ciszę Dawson. - Nick, ta sprawa dla mnie również jest bardzo istotna.

- Wiem - rzekł krótko.

Zamyślił się. Nigdy nie przepadał za Dawsonem, tym bardziej teraz, gdy między nim a mamą zaczynał się jakiś związek. Ale jest faktem, że on też poniósł bolesną stratę. Nie jest mu łatwo. Ashley, którą kochał jak własną córkę, została zamordowana i jeśli temu w porę nie zapobiegną, jej zabójca wkrótce wyjdzie na wolność.

Po raz pierwszy postawił się na jego miejscu. Komendant policji, najważniejszy policjant w Chicago, miał związane ręce, bo o wszystkim decydował sąd.

- Dam znać, jak tylko będę coś wiedział - zapewnił. Mama podniosła się z krzesła.

- Chciałabym zamienić z Nickiem parę stów, jeśli pozwolicie, w cztery oczy.

Dawson popatrzył na nią tak, jakby chciał zaproponować, ale nic nie powiedział. Wychodząc, musnął jej ramię i razem z Liamem wyszedł na korytarz.

Mama podeszła do stojącego przy oknie syna. Przez chwilę oboje niewidzącym wzrokiem patrzyli przez zakurzoną szybę. Maggie zdawała się opanowana, ale intuicyjnie czuł, że w głowie jej aż huczy od niespokojnych myśli.

- Jak sobie z tym wszystkim radzisz? - odezwała się cicho.

Nick wzruszył ramionami. Wzrok nadal miał utkwiony w parking przed budynkiem.

- Jakoś idzie. W końcu to tylko potwierdzenie tego, o czym już dawno wiedzieliśmy.

- Jeszcze nic nie jest pewne. To może wcale nie jest ojciec.

Nick popatrzył na matkę ze zdziwieniem. Czyżby nadal tliła się w niej nadzieja, że Sean jednak żyje?

- Jak przed chwilą mówiłem, generalnie wszystko zaczyna się składać. Fizyczny opis ofiary, fakt, że szczątki znaleziono w pobliżu naszej chaty... to już coś jest, mamó.

- W tych lasach już odnajdywano czyjeś zwłoki - z uporem powiedziała Maggie.

- Testy DNA jedynie potwierdzą to, o czym od dawna wiemy. -

Popatrzył na nią uważnie. - Nie możesz pogodzić się z myślą, że to szczątki taty? Myślałem, że będzie ci na rękę, gdy wszystko ostatecznie się wyjaśni.

Popatrzyła na niego zdziwiona.

- O czym mówisz?

- O Dawsonie. - Starał się, by jego głos zabrzmiał normalnie, ale mama za dobrze go знаła.

Zmarszczyła czoło. Wzięła jego rękę w obie dłonie.

- Nikt nigdy nie zastąpi twojego ojca. Nick prawie się uśmiechnął.

- Mamo, nie mam dziesięciu lat. Wiem. Wiem też, że coś ci się należy od życia. Cieszę się, że ci się układa.

- Nick... - Puściła jego rękę, odwróciła się i podeszła do biurka Liama.

Przez długą chwilę stała odwrócona tyłem. Gdy wreszcie popatrzyła na syna, w jej oczach było coś, co sprawiło, że poczuł się niewyraźnie. Tak jak wczoraj, gdy instynktownie czuł, że mama chce mu coś powiedzieć i bije się z myślami. Wiedział, że coś ją gryzie. Podeszedł do niej, położył ręce na jej barkach.

- Mamo, o co chodzi? Co cię dręczy? Nieoczekiwanie łzy przepełniły jej oczy.

- Nick, Nick... - Poglądziła go po policzku. - Gdy sobie przypomnę, jak bardzo ty i Sean byliście ze sobą zżyci... Poczuł, że dławi go w gardle.

- Już dobrze, mamo. To, co było, już nie wróci. Maggie na chwilę zamknęła oczy.

- Sean bardzo nas kochał. Wszystko robił dla nas. Zawsze starał się nas chronić.

- Wiem, mamo.

- Pamiętaj o tym - wyszeptała. - Tego się trzymaj, Nick. Bez względu na wszystko.

Gdy wreszcie wstała z ławki i ruszyła w kierunku FAHIL, miała uczucie, że ktoś ją obserwuje. Czyżby

Dylan śledził ją z ukrycia? Albo jej ojciec lub któryś z jego ludzi? Przypomniała sobie, jak kilka dni temu Ross zaklinał się, że widział podejrzenie zachowującego się nieznajomego. Wtedy się tym nie przejęła, ale teraz dało jej to do myślenia. Może to był człowiek ojca, donoszący mu o jej poczynaniach? Skoro przez całe życie była śledzona...

Chociaż czy rzeczywiście tak było? Czy jest gotowa uwierzyć, że przez te lata naprawdę mu na niej zależało? I dlatego nie spuszczał jej z oka? Dla niej wybudował laboratorium?

Bardziej prawdopodobne, że zainteresował się nią dopiero teraz, gdy mogła przysłużyć się uniewinnieniu Daniela. Jeśli stwierdzi, że odnaleziona szczątka nie należą do Seana Gallaghery lub że to nie było morderstwo, wtedy są duże szanse, by Daniel wyszedł na wolność.

Z każdym uderzeniem serca narastał w niej lęk. Ojciec ma potężne wpływy, a zgodnie z tym, co mówiła mama, jest zimny i bezwzględny. Czy to on zaaranżował śmierć Avery'ego? Nick wspominał, że Avery kiedyś służył w Chicago. Może już wtedy zetknął się z Richardem O'Roarkiem? Może został przez niego kupiony?

Nie mogła zapomnieć słów Nicka. Kołatały się jej po głowie natrętnie, bez ustanku: „Spełnił swoją rolę i został zlikwidowany, by nie było dowodów”.

Dylan zarzekał się, że Nick jest ich najzacieklej szym wrogiem i że zrobi wszystko, by zatrzymać Daniela za kratami.

Najchętniej zasłoniłaby uszy rękami, by nic nie słyszeć. By zagrozić dostęp rosnącym wątpliwościom. Ale wiedziała, że to nic nie da, że to daremne.

„Sean celowo usunął z raportu obciążające zeznania. Czy Nick nie postąpi podobnie?”.

„Zrobię wszystko, by morderca poniósł karę”.

„Zawsze pozostanę O'Roarkiem. Tak jak ty, Erin. Choćbyś nie wiem jak się tego wypierała”.

„Myślałem, że między nami coś się zaczyna. Ale teraz się boję, że gdzieś to zgubiliśmy”.

- Cześć, Nick. Mam informację, o którą prosiłeś. Nick podniósł głowę znad papierów. Stojący na progu Donald Glock, specjalista od komputera, pomachał zadrukowaną kartką.

- Podalesz mi numery rejestracyjne jakiegoś auta.

W jednej chwili przypomniał sobie czarnego mercedesa stojącego pod budynkiem FAHIL. Zamknął teczkę i gestem zaprosił Donalda do środka.

- Udało ci się je namierzyć?

Donald rozsiadł się wygodnie. Zaokrąglona figura jednoznacznie świadczyła o słabości do pączków.

- Jak wczoraj mówiłem, samochód jest zarejestrowany na korporację Wellstone Limited.

- Tak. To jakaś firma handlowa. Donald potwierdził skinieniem głowy.

- Owszem, ale to tylko część większej korporacji, Emerald Isle Enterprises, EIE. Mają między innymi własne statki i ciągle idą w górę. Na oko niby wszystko w porządku, podatki się zgadzają itd. Ale zacząłem drażnić. I co się okazuje? Zdobyłem skład zarządu i od tego momentu zaczyna robić się ciekawie.

Nick popatrzył na niego czujnie.

- To znaczy?

- Prezesem rady nadzorczej jest nikt inny jak Richard O'Roarke. Poczul, jak adrenalina zaczęła krążyć mu w żyłach. Może teraz w śledztwie nastąpi przełom. Może wreszcie znalazł ten upragniony dowód. Czarny mercedes stał pod FAHIL, gdy w laboratorium znajdowały się tajemnicze szczątki. I dałby głowę, że dwa dni temu jechało za nim to samo auto.

O'Roarke'owie stracili czujność lub też poczuli się niepewnie i działają na oślep. Prędzej czy później z czymś się zdradzą, a wtedy on wkroczy do akcji. Może za jednym zamachem dopadnie i Daniela, i Richarda. Wtedy przyskrzynią ich na dobre.

Ale teraz musi zatroszczyć się o Erin. O'Roarke'owie doskonale wiedzą, jak wiele zależy od jej opinii. Avery już stracił życie. Nick nie może dopuścić, by również Erin znalazła się na tej liście. Gdy cała sprawa szczęśliwie znajdzie swój finał i rachunki z O'Roarke'ami zostaną wyrównane, przyjdzie czas na własne życie. Życie, w którym Erin odegra kluczową rolę. Oczywiście, jeśli też tego zapragnie.

Jednak po wczorajszej nocy wierzył, że tak będzie. Na samo wspomnienie serce zabiło mu mocniej. Próbował zająć myśli czymś innym, lecz okazało się to niewykonalne. Nie mógł doczekać się chwili, gdy ją zobaczy. Gdy znów weźmie ją w ramiona. Gdy wyzna, co do niej czuje.

Kochał ją. Kochał całym sercem. I tak było chyba od pierwszej chwili, gdy tylko ją ujrzał. Gdy zobaczył, jak jest oddana pracy. Gdy zrozumiał, jak jest wspaniała i wyjątkowa.

Ale najważniejsza jest pewność, że może jej zaufać. Bo dla gliniarza zaufanie znaczy wszystko.

Weszła do gabinetu, zamknęła drzwi i usiadła przy biurku. Dlaczego tak bardzo się tym przejmuję? Skąd Nick mógłby się dowiedzieć, kim naprawdę jestem? Nie mam żadnego związku z O'Roarke'ami. Żadnych zobowiązań w stosunku do nich. Gdy ostatni raz widziała Daniela, miała dziewięć miesięcy. Ojciec wybrał syna, a o niej zapomniał.

„Nie ponosisz odpowiedzialności za czyny swojego ojca”. Sam tak powiedział. Jednak... Poczła skurcz w żołądku. Dylan ma rację. W jej żyłach płynie krew O'Roarke'ów. I nic tego nie zmieni.

Włączyła komputer, weszła do Internetu. Nie przypuszczała, że znajdzie aż tyle na temat Seana Galla-ghera. Zawęziła krąg, dopisując Ashley Dallas.

Po godzinie wiedziała wystarczająco wiele. Zapatrzyła się przed siebie.

Nic dziwnego, że od pierwszej chwili miała dziwne przeczucia w stosunku do Nicka. Są ze sobą związani w sposób, jakiego żadne z nich nie podejrzewało. A może on wiedział?

Czy to możliwe, że celowo zwrócił się do niej, bo jakimś cudem dowiedział się o jej prawdziwym pochodzeniu? Że się nią posłużył? A może ta wczorajsza noc była z góry zaplanowana? Nie, to bez sensu. Przecież od samego początku upierał się, że zależy mu na wiarygodnej opinii. Gdyby wiedział, kim jest, nigdy by się do niej nie zwrócił

o pomoc. Jej pokrewieństwo z O'Roarke'ami postawiłoby jego oskarżenie w fatalnym świetle.

Oskarżenie przeciwko jej bratu.

Zakryła usta dłonią. Kłębiło się w niej tyle myśli, że nie mogła się pozbierać. Jak teraz powinna się zachować? Powiedzieć o wszystkim Nickowi i zrezygnować z prowadzenia badań? Ale jeśli on - czy ktokolwiek inny - dowie się, jak brzmi jej prawdziwe nazwisko, jej wiarygodność może zostać nieodwołalnie podważona, co może oznaczać koniec kariery zawodowej. A praca jest dla niej wszystkim.

A jeśli zachowa milczenie? Od lat nazywa się doktor Erin Casey, co jest urzędowo potwierdzone. I jeszcze coś. Jej ekspertyza będzie całkowicie obiektywna i zgodna z prawdą. Z jednego prostego powodu - kości nie kłamią.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Po pracy Dylan czekał na nią na tej samej ławeczce co rano. Gdy go zobaczyła, w pierwszej chwili chciała zawrócić, ale przemogła się. Wszystko się w niej buntowało. Dziś rano tak wiele się zmieniło. Wcześniej mogła powiedzieć Nickowi, że kiedyś nazywała się O'Roarke. Nie przyszłoby jej to łatwo, ale było możliwe. Teraz już nie. Nie dość, że stawiało to ją i jej wiarygodność w innym świetle, dobijała ją świadomość, jak daleko idące konsekwencje pociągnie jej ekspertyza. I że może być przedmiotem manipulacji. Ale czy to możliwe, by Gallagherowie aż tak nienawidzili jej rodzinę?

Nie może dać się zwariować. Nie może pozwolić, by insynuacje Dylana zaćmiły jej ostrość widzenia. Nie powinna dopuszczać wątpliwości na temat intencji Nicka i jego rodziny. W końcu zna go lepiej niż Daniela. Z tego co wie, Daniel może być mordercą. Dlaczego miałyby dla niego stawiać wszystko na jedną kartę? Bo rozpaczliwie chcę wierzyć, że Daniel jest niewinny, uświadomiła sobie nieoczekiwanie. Ale nawet jeśli

będzie przekonana o jego niewinności, Nick nigdy się z tym nie pogodzi. Jej brat - i jej prawdziwe nazwisko

- zawsze będą ich dzielić.

Dylan powstał na powitanie.

- Jak się masz? - zagadnął uprzejmie.

- A jak myślisz? - odpowiedziała ironicznie. - Jak mogę się czuć po tym, czym rano mnie zastrzeliłeś?

- Domyślam się, że to dla ciebie trudna sytuacja.

- Jak ty to robisz? - zapytała z desperacją. Dylan uniósł brwi.

- Co robie?

- Jesteś O'Roarkiem, a żonę masz z Gallagherów. Potrafisz być lojalny w stosunku do obu stron? Czy to jakoś rozdzielasz?

- Czasami muszę. - Zamilkł. - Masz na myśli Nicka? - Gdy nie odpowiadała, dodał miękko: - Kochasz go?

Erin smętnie pokręciła głową.

- Nie wiem. Może. Zależy mi na nim. Ale nie wiem, jak by zareagował, gdyby się dowiedział, kim jestem... kim byłam.

- Chcesz powiedzieć: kiedy się dowie?

- Po co miałyby to wiedzieć? - odparła niemal gniewnie. - Już dawno nazywam się Erin Casey.

- Ile razy powtarzałaś to sobie przez lata? Naprawdę w to uwierzyłaś?

- Słuchaj, czego ty naprawdę ode mnie chcesz?

- zapytała cierpko. - Czego chce ode mnie mój ojciec?

Dylan uśmiechnął się szeroko. Uśmiech O'Roar-ke'ów. Tak samo ona uśmiechała się na zdjęciach.

- Chciałby cię zobaczyć.

- Aha...

Brama otworzyła się automatycznie i czarny mercedes bezszelestnie wjechał na teren posiadłości. Erin zerknęła przez ramię na zamykającą się bramę. Poczowała, że ogarnia ją panika. Dlaczego zgodziła się tu przyjechać? Dlaczego uległa Dylanowi i dała się namówić na widzenie z ojcem? Człowiekiem, który przez całe dzieciństwo był dla niej uosobieniem zła, który budził wręcz paniczny lęk. Ogarnęło ją poczucie winy. Mama nie byłaby zadowolona, gdyby ją teraz widziała.

Miała wrażenie, że Madeline siedzi na tylnym siedzeniu i szepcze jej w ucho ostrzegawczo, powtarzając dobrze znane słowa: „Twój ojciec to wcielenie zła. Tak jak i jego ojciec. Na szczęście jesteś od niego daleko”.

Do domu wiodła droga wysadzana dorodnymi dębami. Jesiennie przebarwione liście różowiły się brzoskwińowo, płonęły oranżami i czerwienią. Prawdziwa uczta dla oczu. Po chwili drzewa nieco się przeredziły i przez gałęzie zamajaczyły kontury domu. Widziała go po raz pierwszy. Zachodzące słońce odbijało się w szybach, nadając mu nieco surrealistyczny wygląd. Dom był większy, niż go sobie wyobrażała, ale nie epatował formą. Wyważone proporcje, zielony bluszcz oplatający ściany z czerwonej cegły. Miał w sobie nieco staroświecki urok i sprawiał miłe wrażenie. Nie było to mauzoleum, jak zawsze myślała.

Ten dom siedemdziesiąt lat temu wybudował dziadek James za pieniądze z przemytu alkoholu. Za następne, też z lewych interesów, urządził ogrody i skompletował kolekcję dzieł sztuki o muzealnej wartości, jak kiedyś powiedziała mama.

Richard, starszy syn, odziedziczył dom. Rozbudowana

korporacja licznych firm handlowo-przewozowych została sprawiedliwie rozdzielona między obu synów, czyli Richarda i nieżyjącego już Michaela, ojca Dylana.

Im bardziej zbliżali się do domu, tym bardziej uświadamiała sobie, jak wiele wiedziała na temat O'Roarke'ów. Mama nigdy nie wykręcała się od odpowiedzi, tylko w podtekście kryła się przestroga: trzymaj się od nich jak najdalej.

Gdy rozmowa schodziła na Daniela, twarz Madeline łagodniała, ale w jej oczach malowało się tyle smutku i żalu, że Erin szybko nauczyła się nie pytać o brata. Nie wspominała jego imienia, udawała, że nikt taki nie istnieje. Przychodziło jej to z łatwością, bo przecież go nie знаła, był dla niej kimś obcym. Mieli tylko tych samych rodziców.

Z upływem czasu mama stawała się coraz bardziej melancholijna i oddalona. I choć do końca były sobie bliskie, Erin dobrze wiedziała, że jakaś część świata mamy jest dla niej na zawsze zamknięta. Nie miała do niej dostępu.

Pod koniec college'u, gdy jeszcze mieszkały razem, nocą często słyszała cichy płacz. Mama pewnie myślała, że Erin już śpi. Dopiero teraz wiele rzeczy zaczynało się wyjaśniać. Pewnie dowiedziała się o oskarżeniu Daniela i wyroku śmierci. Nie mogła sobie darować, że nie zdołała go ocalić przed złym wpływem ojca.

Znów powróciły wspomnienia z tamtych lat. Wyrzucała sobie, że nigdy nie próbowała nawiązać kontaktu z bratem. Wtedy wmawiała sobie, że postępuje zgodnie z wolą mamy, lecz zaczynało do niej docierać, iż prawda jest bardziej złożona, a prawdziwa przyczyna tkwi głębiej. Podświadomie miała do niego żal, że to on został

wybrany, a ona odrzucona. Przez te lata nieraz zastanawiała się, czy mama, gdyby miała możliwość wyboru, wzięłaby ją czy Daniela.

Mercedes zatrzymał się, szofer otworzył drzwi. Dylan ujął Erin za ramię.

- Denerwujesz się? Wzruszyła ramionami.

- A powinnam? - Choć, oczywiście, tak było. Nic nie powiedział, tylko poprowadził ją schodami

ku szerokim podwójnym dębowym drzwiom i nacisnął dzwonek.

Drobna, jasnowłosa pokojówka powitała ich uśmiechem.

- Pan O'Roarke czeka w gabinecie. Poprowadziła ich przez wyłożony tekową posadzką

hol i korytarz ozdobiony obrazami w złoconych ramach.

Zatrzymała się przed szerokimi drzwiami, uchyliła je i cofnęła się, robiąc przejście.

- Życzą sobie państwo coś do picia? - zapytała.

- Ja dziękuję - z miejsca odmówiła Erin. Za to Dylan uśmiechnął się czarująco.

- Ja nie odmówię filiżanki twojej herbaty, Meghan. Dziewczyna z powagą skinęła głową.

- Czy coś jeszcze?

- To na razie wszystko, dziękuję, Meghan. - Z gabinetu dobiegł miły męski głos.

Była pewna, że w pomieszczeniu nikogo nie ma. Gdy weszli, jej uwagę zwróciły ciągnące się wzdłuż ścian półki wypełnione po brzegi bezładnie poupychanymi książkami. Widać było, że ktoś trzyma je tu nie dla efektu, lecz z pasją oddaje się lekturze.

Dlatego nie zauważyła siwowłosego mężczyzny siedzącego w skórzanym fotelu przy kominku.

Podniósł się. Wysoki, postawny, o jasnoniebieskich, przejrzystych oczach. Oczy O'Roarke'ów, przemknęło jej przez myśl.

Sama nie wiedziała, czego się właściwie spodziewała. Że ujrzy Marlona Brando z „Ojca chrzestnego”? Jamesa Cagneya z filmów gangsterskich? Czy też Roberta DeNiro?

Richard O'Roarke w niczym ich nie przypominał, kojarzył się raczej z poważnym profesorem żyjącym w świecie książek.

Nie od razu zdała sobie sprawę, że zaskoczona jego wyglądem, przygląda mu się zbyt obcesowo. Pośpiesznie odwróciła wzrok, kolejny raz zapytując się w duchu, po co zgodziła się tu przyjechać.

- Wujku, to Erin - przedstawił ją Dylan.

Ujął ją za ramię, ale nim zdążyła zrobić krok, Richard podszedł do przybyłych. Poruszał się płynnie, bez śladu wahania. Jak ktoś, kto nie szuka poklasku, lecz jednocześnie nie traci rezonu w obliczu zainteresowania, jak człowiek świadomy własnej wartości. Wyciągnął ręce i serdecznie ujął dłoń Erin. Przez moment nie wiedziała, co o tym myśleć. Czyżby mama przesadzała? Przecież on wcale nie wyglądał na potwora. Przeciwnie, był ujmujący. Lecz gdy uśmiechnął się do niej, czar prysł. Miał w twarzy, w linii ust, w sposobie, w jaki na nią patrzył, jakiś przebłysk zła i arogancji. Wilk w owczej skórze. Cofnęła rękę. Ojciec zmarszczył brwi. Ciekawe, czego się spodziewał, przebiegło jej przez myśl. Że ją *i* oczaruje? Że jednym uśmiechem wymaże z jej pamięci i układ zawarty z mamą?

- Usiądźmy przy kominku - odezwał, się niemal

oficjalnie. - Dylan, mógłbyś na chwilę zostawić nas samych?
- Z przyjemnością. Już się szykowałem na herbatę do Meghan -
odparł pogodnie.

Chciała ucześcić się jego ramienia i nie pozwolić mu odejść, ale
nim zdążyła to zrobić, Dylan już zamykał drzwi. Po raz pierwszy
od prawie trzydziestu lat znalazła się sam na sam z ojcem.

Wzięła głęboki oddech i odwróciła się. Richard zasiadł w fotelu.
Ciepły blask płonącego ognia łagodził jego rysy. Może tylko się
jej wydawało, że w jego twarzy dostrzegła jakiś okrutny rys?
Chyba jednak nie.

Z ociąganiem usiadła w drugim fotelu.

- Wyglądasz jak O'Roarke - ojciec przerwał przedłużającą się
ciszę. - Ale karnację masz po mamie. Maddie zawsze miała
piękną cerę.

Maddie? Tak nazywał mamę? Mówi o niej z takim ciepłem...

„Nie daj mu się zwieść” - usłyszała ostrzegawczy głos mamy.

- Dlaczego chciałeś mnie zobaczyć? - zapytała wprost.

W jego oczach błysnęło coś, czego nie potrafiła nazwać.

- Jesteś moją córką.

- Jestem nią od dwudziestu dziewięciu lat - zare-plikowała - ale
wcześniej jakoś nie zależało ci na kontakcie ze mną.

- Zobowiązałem się do tego wobec twojej matki. - Jeśli w jego
głosie była nuta żalu, to Erin jej nie dosłyszała.

- Wiem o waszej umowie. Zgodziłeś się na rozwód

pod warunkiem, że zostawi ci Daniela. W zamian za to zrezygnowałeś z praw rodzicielskich do mnie.

- Twoja mama potrafiła działać nieracjonalnie i pochopnie - powiedział z żalem.

Erin popatrzyła na niego przenikliwie. Ten zewnętrzny urok to tylko maska, za którą kryje się serce okrutne i zimne jak gład.

- Zachowała się nieracjonalnie? A jaki miała wybór? Postawiłeś sprawę jasno: rozwód za syna. Miałeś władzę i pieniądze, jak mogła z tobą wygrać? Postanowiła uratować przynajmniej jedno dziecko, to, na którym ci nie zależało. To było nieracjonalne? - Zmierzyła go chłodnym spojrzeniem. - Mama nigdy nie myślała o sobie, zawsze tylko o innych. Nie znam drugiej takiej osoby jak ona.

- Jednak odeszła od swojego dziecka, i nawet się za siebie nie obejrzała.

Wezbrała w niej złość. Podniosła się i spojrzała gniewnie na ojca.

- Jak śmiesz w ten sposób mówić o mojej mamie? Nie mam zamiaru tego słuchać. W ogóle mam dość tej rozmowy. Nie interesuje mnie, co masz mi do powiedzenia. - Odwróciła się z furią i już ruszała do wyjścia, gdy następne słowa ojca zatrzymały ją w miejscu.

- Nawet jeśli to może ocalić twojego rodzzonego brata?

Na mgnienie zamknęła oczy. Odwróciła się do niego.

- Nie mogę mu pomóc. Nie mogę nic dla niego zrobić.

- Mylisz się, Irish. Tylko ty możesz go uratować. Przepełniająca ją złość nagle się rozviała. W mil-

czeniu wpatrywała się w ojca, rozważając w duszy wcześniejsze rozterki. Wyrosła w przeświadczeniu, że ojciec jest uosobieniem zła i że w imię miłości do syna jest zdolny do wszystkiego, nawet do poświęcenia własnej córki. Czyżby zlecił dokonanie morderstwa, by chronić Daniela? Czy to on odpowiadał za śmierć Avery'ego?

Poczuła ciarki na plecach. Wzdrygnęła się.

Ojciec wstał z fotela i podszedł bliżej. Zrobił gest, jakby chciał wziąć ją w ramiona, lecz Erin w porę się cofnęła. W jego niebieskich oczach zobaczyła dziwny cień. Ma takie same oczy jak ja, pomyślała, czując ukłucie w sercu.

- Do jakich doszłaś wniosków, badając te szczątki?

- Obowiązuje mnie dyskrecja.

Richard, słysząc to oświadczenie, machnął ręką. Jego cierpliwość najwyraźniej miała swoje granice.

- Możesz udowodnić, że Sean Gallagher został zamordowany? - zapytał stanowczym, rzeczowym tonem człowieka świadomego swojej władzy i możliwości. I umiejącego je wykorzystać.

Erin znowu się wzdrygnęła.

- Moja ocena będzie całkowicie obiektywna i zgodna z prawdą - rzekła z naciskiem. - Nie ulegnę niczym wpływom.

Richard popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Nawet jeśli mogłabyś uratować własnego brata?

- Jeśli jest winny, powinien zostać w więzieniu.

- Ale on nie jest winny. Już raz został wrobiony przez

Gallagherów, a teraz chcą to powtórzyć. Dziewczyno, czy ty naprawdę tego nie rozumiesz?

Uniosła wyżej brodę.

- Niby dlaczego mieliby to robić?
- Może po to, by ocalić kogoś ze swoich, lub żeby jeszcze bardziej nam dopiec. Co z upodobaniem czynią od lat - prychnął.
- Co mogliby wam zrobić, gdybyście nie mieli nic na sumieniu? - zareplikowała z jawną ironią.

Richard popatrzył na nią badawczo.

- Jak widzę, Maddie nieźle cię nastawiła...
- Powiedziała mi prawdę o rodzinie - odparła Erin. - Chciała, bym nigdy nie znalazła się w waszym kręgu.
- I postawiła na swoim, co? - mruknął z goryczą. Zwiesił ramiona, zapatrzył się w ogień. - Od wielu lat nasze firmy działają zgodnie z prawem.

Szczerze w to wątpiła.

- Ale nie zawsze tak było, prawda? - spytała chłodno. - Dziadek zarabiał nielegalnie.

- Twój dziadek wyemigrował z Irlandii bez grosza przy duszy. Był najstarszym z rodzeństwa, rodzice umarli. Młodszy mogli liczyć tylko na niego. Dziwisz się, że robił, co mógł, by nie umarli z głodu?

- Dlatego został kryminalistą?

Czy to smutek przemknął po jego twarzy? Nie była pewna. Zresztą trwało to ledwie krótką chwilę. Mimo to pożałowała ostrych słów. Dziadek już dawno nie żyje, a ona nawet go nie знаła. Nie miała prawa go oceniać.

- Przepraszam - powiedziała cicho. - Nie powinnam mówić w ten sposób o twoim ojcu.

Richard popatrzył na nią z gorzkim uśmiechem.

- Założę się, że dużo gorsze rzeczy mówiłaś o własnym ojcu. Ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Było jej przykro nie

tylko z powodu tego cierpkiego stwierdzenia. Żałowała, że tak demonstracyjnie się cofnęła, gdy chciał ją przytulić. Nie pamiętała, czy kiedyś to uczynił, lecz teraz, stojąc przed nim i dobrze wiedząc, jakim jest człowiekiem, marzyła tylko o tym, by znaleźć się w jego ramionach. Odczuć to głębokie porozumienie możliwe jedynie między ojcem a córką. Dławiło ją w gardle.

- Czy to naprawdę ty zbudowałeś FAHIL? Richard zacisnął usta.

- Dylan niepotrzebnie ci o tym powiedział.

- Dlaczego? Potrząsnął głową.

- To był mój prezent dla ciebie. To, że o tym się dowiedziałas, wszystko popsuło.

- Myślisz, że samodzielnie nie dostałabym podobnej pracy?

Zaskoczyła go. Był szczerze zdumiony.

- Ależ skąd! Jesteś świetnym fachowcem, więc świat stoi przed tobą otworem. Każde laboratorium przyjmie cię z radością. Po prostu chciałem, abyś wróciła do Chicago. Po śmierci mamy zostałam przecież zupełnie sama. Mógłbym okazać się przydatny. Ogarnęła ją fala zaskakujących uczuć. Ledwie powstrzymała łzy, upominając się w duchu, że nie po to tu przyszła. I że sama jakoś sobie radzi. Przynajmniej jak dotąd...

- Sama nie wiem, czy powinnam ci wierzyć - powiedziała wolno.

- I czy mogę ci wierzyć. Ale wiem jedno. Nikt i nic nie jest w stanie wpłynąć na moją opinię o tych szczątkach. To wykluczone. Nie zrobię tego dla ciebie ani nawet dla Daniela.

- A co z Nickiem Gallagherem? Zamurowało ją.
- Co masz dla myśli?
- Czy dla niego nie pójdziesz na kompromis? Popatrzyła na niego ze smutkiem.
- To, że zadałeś takie pytanie, dowodzi jedynie, jak bardzo mało mnie znasz.

Potężny czarny mercedes wjechał do zatoczki pod domem Erin. Kierowca otworzył drzwi. Erin wysiadła, by pożegnać się z Dylanem. Czowała się jak Alicja w Krainie Czarów. Dylan pocałował ją w policzek.

- Dziękuję, że zgodziłaś się na to spotkanie. Przynajmniej się przekonałaś, że twój ojciec nie jest taki zły, jak myślałaś. Prawdę mówiąc, jeszcze nie wyrobiła sobie zdania na temat ojca. Chwilami był czarujący i miły, a zaraz potem chłodny i apodyktyczny. Trudno powiedzieć, na ile obiektywna była ocena mamy. Z pewnością czuła się zawiedziona i rozczarowana, co mogło rzutować na jej przekonania. Wiadomo - rozwód, utrata syna, bolesne przeżycia. Mogła trochę przejaskrawiać. A może nie. Sama musiała wyrobić sobie opinię.

- Do zobaczenia niedługo?

Zamiast odpowiedzi wzruszyła ramionami. Dylan wsiadł do auta i samochód ruszył z miejsca.

Przez chwilę stała, poddając twarz chłodnym powiewom znad jeziora i przyglądając się smugom kreślonym przez światła przejeżdżających aut. Naraz po drugiej stronie ulicy trzasnęły drzwiczki samochodu. Serce zabiło jej mocniej.

- Nick? - zapytała, czując jak rośnie w niej radość.

Lecz gdy podszedł bliżej i w świetle latarni ujrzała jego twarz, intuicyjnie wiedziała, że coś jest nie tak.

- Gdzie byłaś, Erin? - pytał niby normalnie, lecz w jego głosie zabrzmiała dziwna, budząca niepokój nuta.

Powoli zaczynało do niej docierać.

- Słucham?

- Pytałem, gdzie byłaś. I z kim. Próbowała zbagatelizować sprawę.

- Czy to przesłuchanie, Nick?

- Nie. - Podszedł bliżej. W słabym świetle latarni jego twarz nie była dobrze widoczna, tym trudniej było z niej coś wyczytać. -

Chciałem ci zadać tylko dwa pytania. Skąd znasz Dylana O'Roarke'a? I co robiłaś w samochodzie Richarda O'Roarke'a?

Czyli o wszystkim wie. Popatrzyła na niego, dopiero teraz uświadamiając sobie konsekwencje. I reakcję Nicka, jakiej wcześniej nie przewidziała.

- Nick, Richard O'Roarke jest moim ojcem.

Na jego twarzy odmalował się szok, potem niedowierzanie, wreszcie gniew.

- To prawda? Powoli skinęła głową.

- Mama wywiozła mnie, gdy byłam niemowlęciem. Wczoraj w nocy mówiłam ci, że urzędowo zmieniła nasze imiona i nazwiska.

- Z obawy przed twoim ojcem. Erin potwierdziła skinieniem głowy.

- W takim razie co masz z nim wspólnego? - Wyciągnął rękę, lecz zaraz ją opuścił. - Skoro wierzysz w to, co mówiła ci mama, dlaczego byłaś w jego samochodzie?

- Pojechałam zobaczyć się z nim. On nadal jest moim ojcem -
dodała cicho. - Czy to coś złego, że byłam ciekawa?

- Nie. - Popatrzył na nią uważnie.

Jeszcze niedawno byliśmy sobie tak bliscy, przemknęło jej przez
myśl, a dziś dzieli nas odległość nie do przebycia. Tylko dlatego,
że urodziłam się jako O'Roarke. I pojechałam spotkać się z ojcem.

- Mam tylko pretensję, że nic mi nie powiedziałaś.

- Może wejdziemy do domu? - zaproponowała Erin. - Chyba
powinniśmy porozmawiać.

Nick podążył za nią bez słowa. Otworzyła drzwi, weszła do
środka, zapaliła światło i wyłączyła alarm. Macavity wynurzył
się z ciemności i zamrugał, oślepiony światłem. Zaczął ocierać
się o nogi pani, domagając się pieszczot. Erin z czułością
pogładziła kota po łebku, a potem wyprostowała się i spojrzała na
Nicka.

Miał kamienną twarz. Stał nieruchomo, z rękami w kieszeniach.
Jakże inaczej było wczoraj!

- Przepraszam, że ci nie powiedziałam - zaczęła - ale daję słowo,
że nie wiedziałam, iż to ma dla ciebie takie znaczenie. Teraz
nazywam się Erin Casey. Aż do dzisiaj rano nic nie wiedziałam o
wojnie, jaką od lat toczą nasze rodziny. Nie wiedziałam, że mój
brat siedzi w więzieniu. Ani o tym, że te znalezione szczątki
mogą należeć do twojego ojca. Dlaczego mi tego nie
powiedziałeś?

- Bo chciałem, by nic nie wpłynęło na twoją ekspertyzę. Teraz
wszystko przepadło - rzekł z goryczą.

- Przepadło? Nick, kości nie kłamią. Rezultaty badań nie zależą
od spraw zewnętrznych. Nie ma znaczenia, kim jest mój ojciec i
mój brat, ani kim był twój ojciec, a także wielopokoleniowa
walka naszych

rodzin. To, że urodziłam się jako O'Roarke, niczego nie zmienia.

- Zmienia dokładnie wszystko. Erin, przecież nie jesteś aż tak naiwna. Chyba zdajesz sobie sprawę, że w takiej sytuacji twoja wiarygodność zostanie podważona. I to zarówno przez obrońcę, jak i prokuratora.

- Możesz wziąć drugiego antropologa.

- Za późno. Jesteś włączona do sprawy od samego początku. Nie powiedział tego wprost, ale jego intencje były oczywiste.

- Wątpisz w moją bezstronność? Sugerujesz, że mogłabym dopuścić się nierzetelnej oceny czy sfałszowania dowodów? Nick potarł twarz rękami.

- Erin, nie widzisz, co się dzieje? Przez to, co się stało wczorajszej nocy, oboje znaleźliśmy się w bardzo dziwnym i niejednoznacznym położeniu.

Zaskoczył ją tym stwierdzeniem.

- Jeszcze wczoraj mówiłaś, że nie ma żadnej przeszkody, byśmy się spotykali, bo praca nie ma wpływu na naszą znajomość.

- Wtedy nie wiedziałem, kim jesteś.

- Nick, jaki jest prawdziwy problem? - zapytała cierpko. -

Możliwość, że z twojego oskarżenia nic nie wyjdzie, czy to, że kiedyś nazywałam się O'Roarke?

Nie odpowiedział. Energicznie podszedł do okna, zapatrzył się w ciemność. Wreszcie zerknął na nią z ukosa. Miał ponurą minę.

- Erin, twój brat jest mordercą. Zamordował Ashley i mam wszelkie powody, by sądzić, że zamordował również mojego ojca. Rozumiesz to, prawda?

- Rozumiem, że to skomplikowany przypadek. Odwrócił się do niej.

- Skomplikowany?

- Nick, chcę cię o coś zapytać. - Urwała, szukając właściwych słów. - Na czym opierasz pewność, że to Daniel zamordował twojego ojca? Nie masz na to żadnych dowodów, prawda?

- Nie - przyznał. - Jeszcze nie mam.

- Jak mam rozumieć owo „jeszcze”? - Była na siebie zła. Dylan zasiał w niej wątpliwości i nie mogła o nich nie myśleć. Bo między Bogiem a prawdą, jak dobrze znała Nicka?

Wystarczająco dobrze, by go pokochać, przypomniał wewnętrzny głos.

- Erin, zawsze są jakieś dowody. Nie istnieje coś takiego jak morderstwo doskonałe.

- Ale osiem lat to kawał czasu.

- Morderstwo jest morderstwem. Dopadnę tego, kto zabił mojego ojca - oznajmił z mocą. Poczowała ciarki na plecach. - Nawet jeśli to zajmie kolejne osiem lat.

„Nick jest z nich wszystkich najbardziej zawzięty. Zrobi wszystko, by Daniel nie wyszedł na wolność”.

- A jeśli się mylisz? - zapytała cicho. - Jeśli Daniel nie zabił twojego ojca? Jeśli to nie on zamordował Ashley?

Ruszył raptownie przez pokój, złapał jej ręce w swoje dłonie. Miał pociemniałe oczy. Ciemne i groźne.

- Co przez to próbujesz powiedzieć?

- Niektóre zeznania zostały wyłączone z materiału ze śledztwa, prawda? Może było w nich coś na korzyść Daniela?

- Nie było.

- Skąd możesz to wiedzieć? Nikt nie widział, że to on zamordował Ashley.
- Na narzędziu zbrodni były tylko jego odciski.
- Mogły tam zostać przeniesione.
- Przez kogo? - Gdy Erin nie odpowiadała, popatrzył na nią zwięzonymi oczami. Mocniej ścisnął jej rękę.
- Przez kogo, Erin?
Wzruszyła ramionami.
- Nikogo nie oskarżam, staram się jedynie zebrać fakty. Z tego, co słyszałam, twój brat miał taki sam motyw jak Daniel. Widziała, że musiał użyć całej siły woli, by nie wybuchnąć. Zacisnął zęby, puścił jej rękę.
- Przekabacili cię, co?
- Nikt mnie nie przekabacił - odparła gniewnie.
- Jestem dorosłą osobą i sama wyciągam wnioski. W sprawie przeciwko Danielowi było wiele uchybień, o czym wiesz. Chcę tylko, byś popatrzył na to obiektywnie i sprawiedliwie.
- A było sprawiedliwe, że twój brat zadźgał Ashley na śmierć? I zamordował mojego ojca?
- Skąd masz tę pewność, że on naprawdę to zrobił?
- zapytała z desperacją.
Nick przeszył ją spojrzeniem, odwrócił się i ruszył do wyjścia. Już przy drzwiach rzucił przez ramię:
- Bo on jest O'Roarkiem, Erin. To wystarczy.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Wiedziała, że nie zmruży oka. Wzięła prysznic, przebrała się, wsiadła do samochodu i pojechała na uczelnię. Im prędzej zbada przypadek 00-04, tym dla wszystkich będzie lepiej. Nick zapewne zechce jak najszybciej przetransportować szczątki do innego laboratorium. W głębi duszy rozumiała go i nie miała o to pretensji, nie mogła tylko pogodzić się z tym, że zakwestionował jej uczciwość i rzetelność. A przecież nic nie zmieni jej podejścia, nie ma mowy o żadnym kompromisie. Nie zrobi tego nawet dla własnego brata.

Nawet dla Nicka.

Puste, milczące korytarze były pogrążone w mroku. Wjechała na drugie piętro. Czowała się coraz bardziej nieswojo. Nie powinna tu była przyjeżdżać. Jeszcze tydzień temu wcale by się nad tym nie zastanawiała. Tyle razy samotnie pracowała do późnej nocy. Ale po śmierci Avery'ego stała się dużo ostrożniejsza. Tak jak wcześniej w Knoxville.

Choć w laboratorium jest pewnie bardziej bezpieczna niż gdziekolwiek indziej. Zajęta pracą przestanie

myśleć o Nicku, a także o tym, jakie będą dalsze losy ich znajomości.

Nick nie może mieć do niej pretensji, że urodziła się jako O'Roarke. To byłoby śmieszne. Jednak ciągle brzęczały jej w uszach słowa Dylana. Zarzekał się, że z całej rodziny Nick jest najbardziej zawzięty.

Jeśli tak jest, to powinna czym prędzej o nim zapomnieć. Ale sytuacja była bardziej złożona. Wprawdzie wychowała się z dala od O'Roarke'ów, jednak już dzisiejsza rozmowa z ojcem otworzyła jej oczy na wiele spraw. I obudziła nowe uczucia. Również poczucie rodzinnej lojalności. Podświadomie chciała wierzyć w niewinność brata. Rozumiała racje Nicka, sama była wrogo nastawiona do ojca i reszty rodziny, lecz jeśli Daniel rzeczywiście został wrobiony w morderstwo, którego nie popełnił...

Czy właśnie dlatego tu przyjechałam? - pomyślała. Bo jakaś część mnie rozpaczliwie pragnie dowieść, że Daniel jest niewinny? Bo mimowolnie wierzę, że Gallagherowie, czy może jeszcze ktoś inny, spróbują tak przedstawić raport z badań szczątków, by Daniel nie miał szans?

Wysiadła z windy i podeszła do włącznika alarmu. Był wyłączony, czujniki ruchu też. Albo ktoś zapomniał włączyć, albo ktoś jest w laboratorium.

Zawahała się, zaskoczona. Poczła się jeszcze bardziej nieswojo. Jednak nie ma wyjścia - odpowiadała za laboratorium, musiała sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, czy nic się nie stało. Lecz nie uszła kilku kroków, gdy gdzieś za nią rozległ się jakiś dźwięk. Odwróciła się przerażona, przycisnęła rękę do piersi. Ralph, nocny strażnik, wynurzył się z niewielkiego

pokoiku gospodarczego mieszczącego się tuż obok windy. Na widok Erin uśmiechnął się szeroko.

- Doktor Casey! Ale mnie pani nastraszyła! Nie wiedziałem, że ktoś tu jest.

Wyglądał jak człowiek wyrwany z głębokiego snu. Może w tym pokoiku ma składane łóżko, przemknęło jej przez myśl.

- Przyszłam, bo mam coś pilnego do zrobienia - powiedziała. - Zaniepokoiłam się, bo alarm jest wyłączony.

Ralph podszedł bliżej, podrapał się po głowie.

- Prawdę mówiąc, był wyłączony, jak tu zszedłem na obchód. Wcześniej był tutaj doktor Quay. Pomyślałem sobie, że zapomniał go włączyć, jak szedł do domu.

Erin zmarszczyła czoło. Russell został w laboratorium po godzinach? Powinien wcześniej to zgłosić, ale nie zrobił tego. Nie jest to dobry przykład dla reszty personelu. Co gorsza, wychodząc, nie włączył alarmu. Taki podwładny wystawia jej marne świadectwo.

Być może o to mu właśnie chodziło. Celowo chciał zdyskredytować jej kwalifikacje jako szefa.

- Już dobrze, Ralph - odezwała się. - Pójdę tylko sprawdzić, czy wszystko jest jak należy.

Strażnik kiwnął głową.

- W razie czego jestem na górze. Przejdę się po pokojach. Do zobaczenia.

Począł, aż Erin włoży klucze do zamka, machnął na pożegnanie i wszedł do windy. Erin otworzyła drzwi i weszła do środka. Nie zapaliła światła. Znała laboratorium jak własną kieszeń.

Wciągnęła powietrze. W znajomej woni odczynników i środków odkażających wyczuła jakąś obcą nutę.

Poczuła ciarki na plecach i sięgnęła do włącznika. Przez chwilę jej oczy przyzwyczajały się do jasnego światła. Naraz zaparło jej dech. Na podłodze leżał Russell Quay. Ze skroni ciekła mu krew.

- Doktorze Quay! Russell! - Serce waliło jej jak oszalałe. W dwóch skokach znalazła się przy leżącym. Nie ruszał się. Była przekonana, że nie żyje, ale gdy wzięła go za rękę, Russell jęknął.
- Quay, słyszysz mnie? Co się stało?

Russell jęknął ponownie, ale nadal był nieprzytomny. Erin poderwała się i pobiegła do telefonu. Kątem oka spostrzegła, że drzwi do pomieszczenia z rentgenem są otwarte na oścież. Zatrzymała się, czując ogarniającą ją panikę. Instynktownie wiedziała, że poza nią i Russellem w laboratorium jeszcze ktoś jest.

Nie zdążyła nabrać powietrza, gdy z ciemności wynurzyła się jakaś postać. Przybliżyła się w jej kierunku. Mężczyzna z kanistrem w ręce. Rzucił go w kąt, ciszę przerwał metaliczny dźwięk. Patrzyła na niego rozszerzonymi oczami. Miał pistolet. Jego zamiary były jasne: rozlał benzynę, czyli chciał spalić laboratorium. I szczątki Seana Gallaghery.

- Wybrałaś niewłaściwy wieczór, Erin - odezwał się Dawson. Krew dudniła jej w uszach. Przeniosła wzrok z wymierzonego w nią pistoletu i popatrzyła w zimne jak stal oczy.

- Co pan tu robi? Co się stało Russellowi? Uśmiechnął się nieprzyjemnie.

- Niepotrzebnie tak się o niego martwisz. Nie miał o tobie najlepszego zdania. Przeciwnie, bardzo krytycznie ocenił twoje umiejętności jako szefa FAHIL.

- Wpuścił pana do laboratorium?

- I to bardzo chętnie.

Starła się powstrzymać paraliżującą ją panikę, odepchnąć natrętną myśl, że ma do czynienia z człowiekiem niespełna rozumu, szaleńcem opętanym obłądną ideą. Dawson nie wyglądał na takiego. Przeciwnie, sprawiał wrażenie skoncentrowanego na swoim zadaniu profesjonalisty. Człowieka, który nie cofnie się przed niczym, by zapewnić sobie bezpieczeństwo. Przed czym on się tak bronił?

- Co pan tu robi? - ponowiła pytanie.

- A jak myślisz? - prychnął. - Usuwam dowody. Wszystko, co mogłoby świadczyć przeciwko mnie, co przemawia za moim udziałem w zabiciu Seana Gallaghery.

Przeraziła się nie na żarty. Ed Dawson zamordował ojca Nicka? Komendant chicagowskiej policji jest mordercą?

- Nikt by na to nie wpadł, gdyby nie te szczątki

- rzekł ponuro. - I gdyby nie pani, doktor Casey. Że też musiało trafić na taką specjalistkę! Nie spocznesz, póki nie odkryjesz prawdy, co? - skrzywił się szyderczo.

- Będiesz się w tym grzebać aż do skutku, aż dojdiesz po nitce do kłębka. I domyślisz się, że to ja zastrzeliłem Seana Gallaghery. Zastrzelił Seana? Na chwilę zapomniała o strachu. Nic nie wskazywało, że ofiara została zastrzelona. Ślady przemawiały za uduszeniem. Czyli to nie są szczątki Seana. Dawson nie wiedział o jej przypuszczeniach, wtajemniczyła jedynie Nicka.

Prawdopodobnie kierował się miejscem odnalezienia szczątków i założył, że ofiara została zastrzelona z broni palnej, bo sam się nią posłużył.

- Dlaczego pan go zabił? - zapytała, starając się, by jej głos zabrzmiał spokojnie. Liczyła, że może uspi jego czujność i przedostanie się do wyjścia...

Dawson chyba odgadł jej intencje, bo powoli zaczął się do niej zbliżać. Patrzył na nią szyderczo.

- Chciał się do mnie dobrać. Zdemaskować mnie. A w każdym razie coś podejrzewał.

Wiedziała, że jej chwile są policzone. Dawson nie wypuści jej żywej. Przychodząc tu, wydała na siebie wyrok. Martwa nie będzie stanowić dla niego zagrożenia. Dlatego Dawson tak chętnie wszystko jej mówi. Nie zdawał sobie jednak sprawy, że martwi też potrafią przemówić, dzięki czemu prawda wyjdzie na jaw. Tylko że dla niej i dla Russella już będzie za późno.

- To ty zabiłeś Ashley - odezwała się, strzelając w ciemno, ale po jego twarzy od razu poznała, że domyśliła się prawdy. - I zamordowałeś Clive'a Avery'ego.

Złość wykrzywiła jego rysy.

- Ashley robiła ze mnie głupca. Udawała, że jej na mnie zależy, a przez cały czas zadawała się z innymi, z tymi chłopakami! - prychnął z obrzydzeniem. - Mogliby być moimi synami.

Natomiast Avery zobaczył mnie i rozpoznał. Musiałem go zabić - dodał rzeczowo.

Poczuła ciarki na plecach.

- Jak umieściłeś na nożu odciski palców Daniela? Dawson popatrzył na nią zwięzonymi oczami.

- Tamtego wieczoru O'Roarke przyszedł do nas zobaczyć się z Ashley. Gdy poszedł, na krześle leżał nóż. Wypadł mu z kieszeni. Widziałem, jak patrzy na Ashley, jak płoną mu oczy, gdy ona go dotyka... - Urwał, minęła chwila, nim się opanował. - Ta diablica nie miała dla mnie litości, chciała mnie zniszczyć.

Straszyła, że powie matce, że... że się do niej dobierałem. A przecież sama przez cały czas się o to prosiła.

O Boże! Teraz wszystko było jasne. Molestował dziewczynę, a gdy zagroziła, że o tym powie, zasztyletował ją nożem Daniela. Te jego zimne, penetrujące oczy. Ledwie parę godzin temu sądziła, że to jej ojciec jest zimny i może nawet okrutny. Jak gorzką dostaje lekcję!

Odwróciła się impulsywnie i rzuciła do drzwi. Nie zdążyła otworzyć, Dawson był pierwszy. Z całej siły uderzył ją pistoletem w tył głowy. Cios był tak silny, że poczuła tylko potworny ból i bez słowa osunęła się na podłogę.

Zadzwoił jeszcze raz. Znowu cisza. Gdzie ona mogła pójść? Nie minęło nawet pół godziny. Tyle co jazda do domu i szybki powrót. Przemyślał tę ostatnią rozmowę i zrozumiał, że musi walczyć, że nie może przekreślać ich znajomości.

Co się z nią stało? Naprawdę się zaniepokoił. Po wydarzeniach w Wisconsin powinni mieć się na baczności, a on osobiście był odpowiedzialny za jej bezpieczeństwo. Zamiast tego zaczął kwestionować jej uczciwość i morale, choć nie dała mu ku temu żadnych powodów. Poza jednym - że należała do O'Roarke'ów.

Znowu odżyły dręczące go pytania. Dlaczego nie powiedziała mu wcześniej? Czy naprawdę dowiedziała się dopiero dziś rano? Nie miała pojęcia o odwiecznej waśni między ich rodzinami?

i nie zdawała sobie sprawy, że jest w stanie oczyścić brata z zarzutów o morderstwo Seana?

Daremnie próbował przestać o tym myśleć, natrętne

pytania dręczyły, nie dawały spokoju. Fakty są faktami. Z racji pochodzenia jej ekspertyza przestaje być wiarygodna. Tym samym odpada możliwość wniesienia oskarżenia przeciwko Danielowi.

Zacisnął usta. Nie powinien był tutaj przyjeżdżać. Posunął się za daleko, podważając prawość i obiektywizm Erin, ale też bez sensu zakładał, że uda się pogodzić sprzeczne interesy. Tylko się łudził. Bez względu na dalszy rozwój wydarzeń, nigdy nie będzie pewny jej lojalności. Ani tego, że sporządzając swą ekspertyzę, oparła się wpływowi swojej rodziny.

I jeśli morderca ojca ujdzie sprawiedliwości...

Rozpoczęta myśl urwała się nagle, bo znad miasteczka uniwersyteckiego buchnęły płomienie ognia, a na niebie zajaśniała czerwona luna. W jednej sekundzie ogarnęło go przerażenie. Usłyszał pierwsze syreny.

Erin ocknęła się w całkowitej ciemności. W głowie czuła pulsujący ból. Wyciągnęła rękę, by dotknąć rany, i zawadziła dłonią o coś twardego. Podniosła dłonie i natychmiast poczuła opór. Z przerażeniem uzmysłowiła sobie, że leży w czymś podłużnym i wąskim. To chyba była trumna...

W domku na odludziu miała podobny sen.

Musiała użyć całej siły woli, by zdusić rosnący w niej krzyk.

Wmawiała sobie, że to tylko koszmarny sen, a ona nie może się obudzić. Dopiero wtedy dotarło do niej, że to nie sen, lecz jawa.

Zmartwiała.

Wiedziała, gdzie się znajduje. Gdy była nieprzytomna, Dawson wrzucił ją do przywiezionej dwa dni temu trumny ze szczątkami dziewiętnastowiecznej panny młodej. Może nawet nie wyjął jej szkieletu.

Nie bała się nagich kości. Lata pracy zrobiły swoje, zdążyła się oswoić.

Co innego budziło w niej lęk. Jeśli zabraknie powietrza... Już i tak oddychała z trudem. Ciężkie, gorące powietrze dławilo w gardle, rozsadzało płuca.

Czuła zapach spalenizny. I dym. Podczas prac budowlanych trumna prawdopodobnie została uszkodzona przez koparkę. Przez drobne nieszczelności do środka przenikał dym. Bała się, że jeszcze trochę, a zacznie się dusić.

Spróbowała podważyć ciężkie wieko, ale nie miała siły. Nie wyjdzie stąd, nie uwolni się. Jest w pułapce bez wyjścia. Spłonie razem z laboratorium. I nigdy nie pozna tajemnicy przypadku 00-04.

Czy jej szczątki też nie zostaną rozpoznane? Czy komuś przyjdzie do głowy zajrzeć do tej trumny? Czy jej popioły będą uznane za resztki dziewiętnastowiecznej nieznajomej?

Nie, pocieszyła się w duchu. Nick nie dopuści do tego. Będzie jej szukać i nie spocznie, póki nie znajdzie. Nawet jeśli ona nazywa się O'Roarke i powinni być sobie wrogami, nawet jeśli już jej wcale nie wierzy...

- Nick! - zawołała, starając się krzyczeć jak najgłośniejsze. - Nick, pomocy!

- Erin?! Gdzie jesteś?

W pierwszej chwili była przekonana, że to tylko imaginacja, lecz niemal natychmiast ktoś uniósł wieko i poczuła, jak chwytają ją mocne ramiona. Powietrze było gęste od dymu. Zaczęła kaszleć. Jej wybawca postawił ją na podłogę.

- Umiesz otworzyć awaryjne wyjście? Tędy najłatwiej byłoby nam uciec.

Skinęła głową. Dym gęstniał coraz bardziej, zacierał obraz. Mimo to wiedziała, że to nie Nick. Wprawdzie głos był podobny... lecz to ktoś inny.

- Kim jesteś? - wydusiła z trudem.

- Chodźmy - powiedział. - Nie mamy czasu. Pomógł jej dojść do drzwi. Erin, osłoniwszy połą koszuli usta i nos, wybrała kod. Mężczyzna pchnął drzwi, a podmuch świeżego powietrza uderzył ich w twarz. Gdzieś z tyłu rozległ się głośny krzyk.

- Erin! O Boże, jesteś tam?

Tym razem był to na pewno głos Nicka. Chciała zawołać, ale głos z trudem wydostawał się z piersi.

- Tutaj! - wychrypiała bez nadziei, że ją usłyszy. Przeciąg rozdarł na chwilę zasłonę dymu. Ujrzała biegnącego Nicka. Porwał ją na ręce i wybiegł na zewnątrz. Przez otwarte drzwi wydobywały się kłęby dymu.

Biegł wąską alejką, trzymając dziewczynę w ramionach. Słysząc było wyjące syreny.

- Russell tam został - wydusiła, krztusząc się dymem.

Nick delikatnie położył ją na ziemi.

- Został tam? Jesteś pewna?

- Był nieprzytomny...

Nim skończyła, już pędził w stronę płonącego laboratorium.

Widziała, jak znika w środku i serce jej zamarło. Jeśli teraz coś mu się stanie, jeśli przez nią...

Wynurzył się z kłębow dymu, ciągnąc nieprzytomnego Russella. Erin, chwiejąc się, wstała i niepewnym krokiem ruszyła w ich stronę.

- Żyje - rzucił Nick. - Ale nie jest z nim dobrze.

- A twój ojciec? - wybąkała.

- Szczątki strawił ogień - rzekł posepnie.

- Nie o nich mówiłam. - Gwałtownie złapała go za ramię. - To on mnie uratował. Twój ojciec mnie ocalił. Był w środku.

- Erin, jesteś w szoku - powiedział, otulając ją swoją kurtką. - Usiądź obok Russella, a ja pobiegnę po lekarza.

Chwyciła go rękami za koszulę, przyciągnęła do siebie.

- Nick, widziałam go - powiedziała żarliwie. - Przysięgam. Twój ojciec żyje.

Nie miał wątpliwości, że Erin jest w szoku i wymaga fachowej opieki, ale dziewczyna nie chciała o tym słyszeć. Z determinacją odpychała sanitariusza, próbującego założyć jej maskę tlenową. Bez przerwy powtarzała swoje. W końcu medyk zniechęcił się i przyłączył do kolegi zajętego Russellem.

Erin usiadła i zrzuciła z ramion kurtkę.

- Nick, musisz mnie wysłuchać. Wiem, kto zabił Ashley. To nie Daniel. On został w to wmanewrowany.

- Erin...

- Nie! - Złapała go za rękę i ścisnęła mu palce tak mocno, że aż się skrzywił.

- Wiem, kto jest mordercą! Podpalił laboratorium i prawie mnie zabił! To Dawson. Ed Dawson. Wszystko mi opowiedział. Nie mógł uwierzyć. Powtarzał sobie, że Erin jest w szoku, ale już wzbierał w nim paraliżujący lęk. Spojrzał jej w oczy. Patrzyła na niego z przejęciem.

- Nick, znam całą prawdę. Dawson zabił Ashley nożem Daniela, dlatego na nożu były odciski Daniela, a do śledztwa wyznaczył twojego ojca, bo wiedział, że

będzie Daniela ścigać do upadłego. Jednak twój ojciec miał wątpliwości i zaczął podejrzewać Dawsona. Dlatego Dawson go zastrzelił. Zastrzelił, słyszysz? A w tych szczątkach nie było śladu po kuli. To nie był twój ojciec. Sean Gallagher żyje. Widziałam go... Złapał ją za ramiona, oczy mu płonęły.

- On nie żyje. To niemożliwe. - W oczach dziewczyny błysnął lęk. Nick szybko rozluźnił uścisk, przeklinając w duchu swoją popędliwość. - Przepraszam.

- Nie szkodzi - powiedziała cicho. - Rozumiem cię. Może to było tylko przywidzenie. Jakaś halucynacja. Ale Dawson był tam naprawdę. Chciał mnie zabić.

- Moja mama miała się z nim dzisiaj zobaczyć - powiedział, starając się odepchnąć od siebie niepokój. - Pewnie teraz z nim jest.

Kilka miesięcy temu Dawson wyprowadził się z położonego nad jeziorem Michigan domu, gdzie mieszkał z drugą żoną, i przeniósł do szykownego bungalowu w pobliżu Lincoln Park. Maggie była tu wcześniej tylko raz, ale mniej więcej pamiętała rozkład. Nie zapalając światła, mijała puste pokoje, kierując się do sypialni.

Musi być jakiś dowód, niemożliwe, by czegoś nie znalazła. Tyle poświęceń, tyle lat rozłąki - czy możliwe, by to wszystko poszło na marne? Nawet nie chciała myśleć w ten sposób.

Dawsonowi udało się przez osiem lat uniknąć odpowiedzialności za popełnione czyny, ale teraz poniesie karę. Musi tylko znaleźć obciążający go dowód. Jakieś potwierdzenie, że zamordował nie tylko Ashley, ale...

Ktoś delikatnie zapukał w tarasowe drzwi. Znieruchomiała, lecz po chwili poznała skrytą w mroku sylwetkę. Podbiegła do drzwi i rozsunęła je. Wysoki, mocno zbudowany mężczyzna wszedł i uścisnął ją na powitanie. Wraz z nim do pokoju wpadł ciężki zapach dymu.

- Co się stało? - wyszeptała Maggie. - Czuję dym.

- Nie denerwuj się - uspokoił ją Sean. - Podpalił laboratorium, ale nikomu nic się nie stało.

Maggie przeraziła się.

- A Erin?

- Nic jej nie jest, ale widziała mnie. A teraz znikajmy stąd jak najszybciej.

Pociągnął ją do wyjścia, lecz nim doszła do korytarza, mocna ręka złapała ją za szyję. Błysnęło światło lampy.

Sean zamrugał gwałtownie i sięgnął po broń, ale zimny głos Dawsona zatrzymał go w pół ruchu.

- Nawet tego nie próbuj, Sean. Rzuć broń. Sean zawahał się.

Dawson wzmocnił uścisk. Maggie zobaczyła mrok przed oczami.

- Rób, co mówię! - krzyknął. - Bo inaczej zaraz ją zabiję.

Pistolet Seana upadł na podłogę. Dawson rozluźnił uścisk i Maggie gwałtownie nabrała powietrza.

- Pięknie, Maggie - szyderczo powiedział Dawson.

- Widzę, że miałaś swoje własne plany.

- Chyba nie myślałeś, że się w tobie zakochałam

- wydusiła.

Przyciągnął ją nieco mocniej.

- Trochę na to liczyłem, ale byłem też pewien, że jesteś wdową. -

Przeniósł wzrok na Seana. - Chyba nie

muszę mówić, że twój widok jest dla mnie niemiłym zaskoczeniem.

Sean zaśmiał się nerwowo.

- Wyobrażam sobie. Osiem lat czekałem, by zobaczyć twoją minę.

- W takim razie długo czekałeś tylko po to, by umrzeć po raz drugi - powiedział Dawson. Wymierzył pistolet w pierś Seana, a pod Maggie ugięły się kolana.

Nick zaparkował samochód przecznicę od domu Dawsona. W ciemności popatrzył na Erin.

- Dobrze się czujesz? Może lepiej zawiozę cię do szpitala.

- Nic mi nie jest - zapewniła go. - Teraz najważniejsza sprawa to znaleźć twoją mamę.

Nick skinął głową.

- Dobrze. W takim razie zostań tu i zablokuj drzwi.

- Może jednak wezwać posiłki? - odezwała się, woląc nie myśleć o tym, co może go spotkać. Wystarczy, że sama była twarzą w twarz z Dawsonem.

- I co im powiem? Że według mnie komendant policji jest mordercą? Kto w to uwierzy? I kto zechce mnie wesprzeć? Trudno było odmówić mu racji.

- No dobrze, ale bądź ostrożny. - Gdy już prawie wysiadł, złapała go za rękę. - Nick?

Odwrócił się, Erin wzruszyła ramionami.

- Co takiego? - uśmiechnął się nieznacznie. Rozbroił ją tym uśmiechem.

- Przepraszam, że nie powiedziałam ci prawdy.

- Ja też cię przepraszam za wiele rzeczy, Erin. Ale teraz nie pora na wyjaśnienia.

- Wiem.

Pochylił się i musnął ustami jej usta.

- Zablokuj drzwi.

Odszedł, nim zdążyła nabrać powietrza.

Z tarasowego okna z tyłu domu na ogród padała jasna poświata.

Nick, kryjąc się w cieniu przy murze, podkradł się bliżej. Ze środka dochodziły stłumione głosy. Ostrożnie zbliżył twarz do okna, zajrzał do wnętrza i zmartwiał.

W głębi pokoju stał Dawson. W jednej ręce miał pistolet, drugą przytrzymał za gardło Maggie. Nick zacisnął palce na pistolecie. Strzał był ryzykowny, mama stała zbyt blisko Dawsona.

Gdyby odsunęła się choć odrobinę dalej. Przesunął się ostrożnie na drugą stronę drzwi, by wycelować pod innym kątem. I wtedy zorientował się, że w pokoju jest jeszcze ktoś. Naraz serce załomotało mu w piersi. Niewidoczny od zewnątrz człowiek odezwał się. Rozpoznał ten głos.

- Wszystko podejrzenie łatwo składało się w całość - mówił Sean.

- W pierwszym momencie dałem się na to złapać. Wiedziałeś, że jestem cięty na O'Roarke'ów i z największą chęcią przymknę Daniela. Ale po jakimś czasie przyszło otrzeźwienie. Czułem, że coś jest nie tak, coś mi się nie zgadzało. Zacząłem przypuszczać, że być może był ktoś, komu jeszcze bardziej zależało na uciszeniu Ashley. Nie miałem żadnych dowodów, wyłącznie wewnętrzne przeświadczenie, że aresztowałem nie tego człowieka. Pamiętasz, przyszedłem z tym do ciebie i Liama. Po tamtej rozmowie zaczęły się telefony z pogrózkami na temat moich synów, a ktoś

przysłał zdjęcie Fiony pociętej nożem tak jak Ashley.

Wmawiałem sobie, że to robota O'Roarke'ów. Postanowiłem pojechać na ryby, by w spokoju jeszcze raz wszystko przemyśleć. Ty i Liam też mieliście jechać. Tylko że ty nie chciałeś, bym się zastanawiał. Bałeś się, że wpadnę na twój ślad.

Dawson wzruszył ramionami.

- Pojechałem za tobą. Za dobrze cię znałem, wiedziałem, że nie spoczniesz, póki nie dojdiesz prawdy. Zaczaiłem się w pobliżu, a gdy wyszedłeś z domu, strzeliłem. Dostałeś fachowo, prosto w pierś. Przestałeś oddychać - powiedział z nie ukrywanym niedowierzaniem. - Nie żyłeś. Wykopałem dół i cię pogrzebałem. Byłem pewien, że już nigdy cię nie zobaczę. I nagle Roy zadzwonił z informacją, że koło domku znaleziono szczątki. To miało być to, co z ciebie pozostało. - Urwał, twarz mu sposepniała. - Lecz widzę ciebie, całego i zdrowego. Czyli w jakiś sposób wydostałeś się z własnego grobu, Sean. I gdzie się podziewałeś przez te lata? Rodzina uważała cię za zmarłego, a ty nie dałeś znaku życia. Co z ciebie za człowiek?

Nick stał jak osłupiały. Z wrażenia wirowało mu w głowie, nie mógł się pozbierać. Serce waliło jak oszalałe. Podniósł rękę, otarł nią oczy. Ojciec żyje. Przez tyle lat myślał... Tak bardzo rozpaczał, tak za nim tęsknił...

- Przez długi czas balansowałem na krawędzi śmierci - odezwał się Sean. - Potem udało mi się przedostać za granicę. Kumpel w Kanadzie zajął się mną. Powoli się pozbierałem. Zacząłem prywatne śledztwo. Przeczucie mnie nie zawiodło. Byłem pewny, że to nie Daniel zamordował Ashley, a jej morderca nadal był na

wolności i nie obawiał się niczego, bo był przekonany, że mnie zlikwidował. Gdyby dowiedział się, że żyję, zrobiłby wszystko, by mnie dopaść, a moja rodzina byłaby zagrożona. Trzech synów w policji. Na ulicy łatwo dostać śmiertelną kulę. Fionie przysyłano listy z pogrózkami. Musiałem się przyczaić, póki nie znajdę mordercy. Nie przypuszczałem tylko, że zajmie mi to aż osiem lat.

- A ty? - Dawson mocniej ścisnął Maggie za szyję. Oczy lśniły mu złowieszczo. - Jego widok nie zaskoczył cię aż tak bardzo jak mnie.

- Od dawna wiem, że Sean żyje - powiedziała cicho.

Nick zamknął oczy. Mama o wszystkim wiedziała i przez te lata nic nie powiedziała. Kazała mu żyć w przekonaniu, że ojciec nie żyje...

„Nick, tata nas kochał. I wszystko, co robił, robił dla naszego dobra. By nas chronić”.

Teraz pora na niego. Nie czas na gniew i żal. Mocniej ścisnął pistolet.

- Przykro mi, Maggie. Naprawdę mi przykro, ale muszę to zrobić - odezwał się Dawson, kładąc palec na spust.

W tej samej sekundzie Nick rzucił się do przodu, a w przejściu za Dawsonem wyrosła Erin. Dawson odwrócił się gwałtownie, a Maggie wyrwała się z jego uścisku i padła na podłogę. Nick trafił go pierwszym strzałem.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Nick znużonym wzrokiem omiótł salonik Maggie. Od śmierci Dawsona minęły trzy dni i przez ten czas nie miał ani chwili dla siebie. Przez pierwszą dobę był non stop przesłuchiwany, przez kolejne dwa dni składał oświadczenia i udzielał nie kończących się wyjaśnień, daremnie próbując unikać prześladowających go reporterów. Jego zdjęcia były na pierwszych stronach gazet. Wiedział, że nie ucieknie przed rozgłosem, ale w najgorszych przypuszczeniach nie spodziewał się takiego szaleństwa. Choć z drugiej strony trudno się było dziwić. Media prześcigały się w opisach, ale przecież nie co dzień zdarzała im się taka historia. Główny komendant policji zastrzelony przez podwładnego i oskarżony o morderstwo. Do tego cudownie zmartwychwstały ojciec detektywa, również policjant, potwierdzający wszystkie zarzuty. Zaczerpnął powietrza. Niełatwo zebrać myśli, ogarnąć to, co się stało. Może nigdy tego do końca nie pojmie. Ojciec nie zginął, a mama wiedziała o tym od

co najmniej dwóch lat. I nigdy się z tym nie zdradziła.

Przypomniał sobie niedawny wieczór, gdy w nocy siedział na schodkach, rozmyślając nad życiem. Jak niewiele brakowało, by zobaczył ojca. I jak wręcz namacalnie czuł wtedy jego obecność. Ktoś położył mu rękę na ramieniu. Odwrócił się.

- Jak sobie radzisz?

Po raz pierwszy od tych trzech dni byli sami. Popatrzył na Johna. Przez lata miał do niego tyle żalu, tyle niechęci - a teraz okazuje się, że to wszystko było bez sensu.

- Wiedziałeś, że on żyje, prawda?

John pokręcił przecząco głową, oczy mu pociemniały.

- Nie miałem zielonego pojęcia. Tak jak ty o niczym nie wiedziałem.

- Nie zachowałem się - mruknął niechętnie Nick. - Przepraszam, stary.

John uśmiechnął się ze smutkiem.

- Wszystkim nam było trudno, ale nie warto oglądać się na przeszłość.

- Pewnie masz rację - odparł. - Tyle że osiem lat to szmat czasu. Nie tak łatwo zapomnieć. Za dużo tego było.

- Jasne. — Skinął głową. - Ale czy my na jego miejscu postąpilibyśmy inaczej? Nie wiem. Wiem tylko jedno: wszystko, co zrobił, zrobił dla nas. I zawsze był w pobliżu, zawsze czujny.

- Jako Fisher - potwierdził Nick. John uśmiechnął się szeroko.

- To musisz mu przyznać. Był świetnym informatorem.

Nick również się rozjaśnił.

- I świetnym gliniarzem.

- Nadal nim jest. W końcu to on namierzył Daw-sona. Z twoją pomocą.

- I z pomocą mamy.

- A także Erin. A skoro o niej mówimy, co z nią? Nie widział jej przez te trzy dni. Próbował, ale wyraźnie go unikała. Nie oddzwaniała, nie było jej w domu. Nie miał pojęcia, co się z nią dzieje. Domyślał się tylko, że chciała dać mu czas na oswojenie się z tym, co się stało. Czy na pewno? Uważał jej brata za mordercę, był gotów na wszystko, byle zatrzymać go w więzieniu. Może dlatego nie chciała go widzieć? Może uważała, że był tak bardzo zaślepiony, iż nie był w stanie przyjąć prawdy?

Może Erin ma go serdecznie dość? Nie byłoby w tym nic dziwnego...

- No cóż... - John klepnął go po plecach. - Jesteśmy, jacy jesteśmy.

W jesienny dzień zmrok zapadał szybko, ale Erin nie poruszyła się. Stała zapatrzona w spalone resztki FAHIL. Jej ukochane laboratorium.

Pozostała jedynie kupa gruzu i popiołu. FAHIL może zostać odbudowane, ale już nic nie wskrzesi szczątków 00-04. A ktoś może czeka, może nadal wygląda zaginionego bliskiego.

Odwróciła się. Nie zdziwił jej widok podjeżdżającego mercedesa. Drzwi otworzyły się, wysiadł Dylan. Podszedł i wziął ją za rękę.

- Jak się masz, Irish?

Nie poprawiła go. Dla niego i ojca pewnie już zawsze będzie Irish O'Roarke. Przez te trzy dni trochę

ich poznała. Niech im będzie, byle tylko uszanowali również jej nowe imię i nazwisko.

- Widziałaś się z Nickiem? - zapytał.

- Nie.

- Nie bądź taka. Spróbuj się z nim dogadać.

Nie była przekonana, czy to w ogóle możliwe. Daniel został oczyszczony z zarzutów, ale... Ta odwieczna, bezsensowna wojna ich rodzin. Zawsze będzie między młotem a kowadłem.

- Pogadaj z nim - nalegał Dylan.

- Dobrze.

Dylan skinął głową.

- Jest ze mną ktoś, kto chciałby cię zobaczyć. Erin zerknęła w stronę auta.

Z samochodu wysiadł wysoki, bardzo szczupły, młody mężczyzna. Wiatr rozwiewał jasnobrązowe, nieco zbyt długie włosy. Podniósł wzrok na Erin. Serce w niej stopniało.

- Daniel?

Podszedł do niej powoli.

- Minęło tyle czasu - odezwał się miłym, głębokim głosem.

- Cała wieczność - rzekła i wpadła w jego ramiona.

Nick czekał na schodach jej domu. Gdy wyłoniła się z za rogu, podniósł się na powitanie. Od razu ogarnął ją niepokój. Przez ostatnie dni tak wiele się wydarzyło...

Ponieważ jednak Nick również miał niepewną minę, poczuła się nieco lepiej. Wsunął ręce w kieszenie, spojrzał na nią.

- Właśnie widziałam się z moim bratem - odezwała

się. - Wiem od Dylana, że ty i twój ojciec stanęliście na głowie, by jak najszybciej wyciągnąć go na wolność. Nick wzruszył ramionami.

- Przynajmniej to mogliśmy zrobić. Wierz mi lub nie, ale cieszę się, że już jest wolny. Zawsze chodziło mi tylko o sprawiedliwość.

- Wiem.

- Wiesz? - Popatrzył na nią badawczo. - Przepraszam cię, Erin, nie powinienem był w ciebie wątpić. Nie zasłużyłaś na to. Jesteś jedną z najszlachetniejszych osób, jakie znam.

Serce zabiło jej jak szalone.

- Rozumiem twoje wątpliwości - powiedziała. Objęła się ramionami, bo wiatr znad jeziora smagał chłodem. - Tyle rzeczy zdarzyło się jeszcze przed naszym urodzeniem. Ta wojna między naszymi rodzinami... nie jest łatwo wyzwolić się z przeszłości.

Nick wyciągnął rękę, dotknął jej włosów.

- Zawsze myślałem, że to niemożliwe. I nigdy nawet przez myśl mi nie przeszło, by mieć jakąkolwiek styczność z kimś z O'Roarke'ów.

- A teraz?

- Teraz nie wyobrażam sobie, by być z kimś innym. - Ujął jej twarz w obie dłonie. - Erin, kocham cię.

Łzy napłynęły jej do oczu.

- Jesteś pewien? Nazywam się Casey, ale urodziłam się jako O'Roarke. I nic tego nie zmieni.

Uśmiechnął się do niej z czułością.

- Tak, ale mam nieśmiałą nadzieję, że może niedługo zechcesz zmienić nazwisko na Gallagher.

Caroline Burnes

Miłosne intrygi

Kołysanka dla Dawida

Podczas pewnego eleganckiego przyjęcia małżeństwo wziętych waszyngtońskich prawników znajduje w ogrodzie porzucone niemowlę. Policja wszczyna śledztwo, a jej działania bacznie śledzi Lily, wschodząca gwiazda dziennikarstwa. Na pozór banalna sprawa przeradza się w potężną aferę, toteż porucznikowi Haskinowi spieszy na pomoc niezwykle detektyw.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Znakomita orkiestra, galowe stroje, połyskująca w świetle kryształowych żyrandoli biżuteria... Co za nastrój! Brakowało mi tego. Zewsząd dobiegają rozmowy, przerywane salwami perlistego śmiechu. Zgromadziła się tu dziś cała śmietanka Waszyngtonu. Nie żebym chciał się przechwalać, ale to prawdziwa galeria wybitnych postaci. Kilka kroków ode mnie stoi sam George Stephanopoulos. O, a tam w rogu kolejny krezus - George Will. Ale co tam, nie będę przecież wymieniał wszystkich znanych nazwisk, jako że ta lista wprost nie miałaby końca. Najważniejsze, że udało się przegonić reporterów. Przynajmniej dziś nie krążą tu jak sępy, a trzeba przyznać, że mieliby z kim pogadać. No, choćby z ministrem finansów albo z sędzią sądu najwyższego. Takim jak oni wszyscy chętnie zadają trudne pytania. Ale nie tym razem. Owszem, widziałem wozy transmisyjne zaparkowane przed bramą wjazdową, lecz żadnemu z tych obrzydłych dziennikarzy nie udało się przedrzeć do środka. To prawdziwy sukces. Mam też nadzieję, że żaden z nich nie

przyczał się gdzieś w krzakach. Całymi godzinami będą sterczeli na zewnątrz, filmując wjeżdżające i wyjeżdżające samochody. Władza, prestiż i smakowite jedzenie, to zawsze przyciąga jak magnes. Jeszcze jedno udane przyjęcie u Prestona i Rose Johnsonów. Wprost wymarzona atmosfera, aby spędzić kilka szalonych godzin z... zuchwałą, słodką kocicą. A skoro mówię już o pięknych kociakach, to gdzie jest Klotyl-da? Tak długo już stoję na tarasie i czekam, żeby powitać moją miłość, a ona nie przychodzi. Jakie to kocie. Choćby na moment powinienem oderwać wzrok od bramy wjazdowej. Od tego wypatrywania zaczynają mi łzawić oczy. Niech no jeszcze raz popatrzę na zgromadzone przekąski. Długie stoły na sali wprost uginają się od tych wspaniałości. Udało mi się zdobyć całkiem niezły łup. Menu jest imponujące. Mam wędzonego łososia... Według mnie trochę za słony, ale Klotyl-da go uwielbia. Ślimaki... To fascynujące, co czosnek i odrobina masła mogą zrobić ze ślimakiem. Miseczka kawioru... Kiedy zwijałem ją ze stołu, kelner o mało mnie nie zabił wzrokiem. Zachowywał się co najmniej tak, jakby te kuleczki były ze złota. Parę plastrów wołowiny, soczysta pieczeń wieprzowa i kilka gatunków sera. Nieźle, co? A jeśli chodzi o deser, to mam w planie zupełnie coś innego... To cudowne, cały taras będzie należał tej nocy do nas! Jest dosyć chłodno, więc z pewnością wszyscy goście pozostaną w środku, na sali. Już to widzę: piękna muzyka płynąca z wnętrza domu, rozmyte w szybie, rytmiczne ruchy tulących się w tańcu par i my - sam na sam uczujący na tarasie. Tylko we dwoje. I nikt, ale to nikt nie przeszkodzi nam w tym romantycznym wieczorze. Po ostatniej sprawie

w Nowym Orleanie naprawdę cieszę się, że wróciłem do domu. Chyba powinienem zrobić sobie małą przerwę w pracy. Zmęczyło mnie tropienie cudzych występków. Myślę, że kilka tygodni z Klotyldą uczyniłoby cuda.

Ale... co to? Czy ja źle widzę? Może to jakieś omamy? Ale przecież nic nie piłem... Ktoś przełaził przez płot okalający ogród Prestona. No, żeby tak się pchać na ekskluzywne przyjęcie bez zaproszenia? Wygląda na to, że to kobieta. Czyżby najsprytniejsza reporterka świata? Nie, ona taszczy ze sobą wielki koszyk i cały czas bacznie się rozgląda. Najwyraźniej nie chce być zauważona. Może to jakaś niespodzianka dla gospodarzy? Ale ma nogi! Takich nie powstydzilaby się nawet Marlena Dietrich. Długie i cholernie zgrabne. Trzeba przyznać, że wdrapała się na to trzymetrowe ogrodzenie jak rasowa kocica. Do tego z koszem i to najwyraźniej ciężkim. Postawiła go na werandzie i odeszła. Kosz-niespodzianka. Kosz pełen smakołyków. Na wszelki wypadek upewnię się, czy nie zawiera czegoś nieświeżego... Skosztować każde podejrzané żarcie, to w końcu moja robota i mój koci obowiązek. Poczekam jeszcze chwilę. Niech no tylko ta kobieta-widmo zniknie z pola widzenia. Znowu zgrabnie przeskoczyła przez płot. Zajrzyjmy więc do tego prezentu... Może to przepyszna wędzona szyneczka, a ja niepotrzebnie tak się zamartwiam? Musiałaby być jednak wyjątkowo duża. Zaraz, zaraz... w tym koszu coś się rusza. O rety! Ta kobieta zostawiła w prezencie... dziecko! Trzepie na wszystkie strony rękami i nogami, na pewno zaraz zacznie beczeć. To nie żarty, to mały człowiek!

Bambino. Berbec. Niemowlak. Naprawdę mały! Nawet nie jest w stanie dojrzeć wujka Kumpla, opartego o rant koszyka. Przecież jest o wiele za zimno, żeby mógł tu zostać. Na szczęście nadchodzi już Klotylda. Wystarczy, że rzuci okiem i zaraz wymyśli jakiś rozsądny plan. Wprawdzie wszyscy wiedzą, że Rose i Preston od lat pragną dziecka i na pewno byliby kochającymi rodzicami, którzy zapewniliby maleństwu to wszystko, o czym by tylko zamarzyło. Ale to przecież cudze dziecko, należące do tej przedziwnej kobiety, która przełaziła przez płot. O, nie mówiłem, już zaczyna płakać... Dobrze, że jest tu Klotylda. No proszę, znalazła jakąś kartkę. Zdaje mi się, że czym prędzej powinienem odszukać Eleonorę. Co za brak odpowiedzialności! Jak można coś podobnego zrobić? Tak po prostu wyrzucić małego szczeniaka, kociaka, czy niemowlę... i pielęgnować w sobie bezpodstawną nadzieję, że ktoś, kto odnajdzie zawiniątko, zaopiekuje się bezradnym stworzeniem. To podłe i obrzydliwe. Wiem z własnego doświadczenia, co to znaczy być wyrzuconym na bruk, choć dla Klotyldy to najwyraźniej dar od Boga. Jednak nie dla mnie. Ta piękna, długonoga pani już niedługo będzie miała ze mną do czynienia. O, widzę Eleonorę. Ona z całą pewnością wie, co zrobić, żeby ta kruszyna przestała płakać.

Mel Haskin stał oparty o ścianę i rozglądał się dookoła. Stoły wręcz uginały się od wykwintnego jedzenia. Starczyłoby go dla całej armii. W kubelkach z lodem chłodziła się nieprzebrana ilość butelek szampana. I wszystko na darmo. To wspaniałe przyjęcie skończyło się wcześniej, nim naprawdę zdążyło się

rozkręcić. Powodem było oczywiście owo małe zawiniątko, które ktoś podrzucił Johnsonom. Wśród gości wybuchła wielka konsternacja i oburzenie. Eleonora, która miała własne dzieci, przewinęła maleństwo i podała je Rose. Czekwały, aż podejdzie do nich Peter Curry.

- O co chodzi? Jestem weterynarzem, a nie pediatrą - zachnął się zdenerwowany. - Wszystko, co mogę powiedzieć, to że ma raptem kilka dni i jest w dobrym stanie.

Eleonora schyliła się i podniosła kartkę, leżącą w koszyku. Spojrzała na Mela.

- O tu, panie poruczniku! Jest jeszcze kartka - rozłożyła ją i przeczytała na głos. - „Ma na imię Dawid, a siły tyle, że pokona Goliata. Chrońcie go przed jego wrogami i dbajcie o niego. Gdy będzie ku temu pora, przypominajcie mu o mnie. Niech wie, jak bardzo go kochałam i jak bardzo musiałam się dla niego poświęcić”.

- Boże... - wzruszyła się Rose. - Oczywiście, że będę o niego dbała. - Mówiąc to, przytuliła zawiniątko do piersi. Ze łzami w oczach spojrzała na swojego męża.

Na znak akceptacji powoli skinął głową.

- Ależ Rose! Zostało popełnione przestępstwo. Nie możesz tak po prostu zatrzymać tego dziecka! - wykrzyknęła Eleonora.

- A właśnie że mogę. - Rose usiadła na miękkiej sofie z maleństwem w ramionach. Przecudnej urody kocica, pomrukując, przycupnęła obok niej. - Widzisz, nawet Klotylda jest zdania, że to słuszna decyzja.

Mel wciąż przyglądał się kartce.

- Niestety, miało ją w rękach sporo osób - zwróciła się do niego Eleonora, jakby chcąc przeprosić Haskina.

- Kiedy Kumpel znalazł małego, wszyscy byliśmy bardzo podekscytowani, więc karteczka wędrowała z rąk do rąk. Nikt z nas nie pomyślał, że może stanowić dowód w rozprawie sądowej.

- Czy ktoś widział, jak to się stało? - zapytał Mel. Starał się trzymać jak najdalej od tej małej istoty. Nie dlatego, że nie lubił dzieci, co więcej, sam planował co najmniej dwójkę. Jednak w swojej pracy często stykał się z dziećmi, które były ofiarami przestępstw. To było odrażające. Nie zasługiwały na taki los. Nie dość, że nic nikomu nie zawiniły, to jeszcze były kompletnie bezbronne. Tak jak i to maleństwo. Co z tego, że nazwano je imieniem biblijnej postaci, której udało się pokonać Goliata? Na co liczyła matka, podrzucając je pod drzwi zamożnego domu? Jakie miało znaczenie, że Preston i Rose całym sercem byli gotowi zaopiekować się małym? Dla niego to się nie liczyło. Zbyt często spotykał się z podobnymi sytuacjami. To jedna z wielu tego typu historii, lecz motyw był zawsze taki sam. Młoda dziewczyna zachodziła w niechcianą ciążę i rodziła dziecko, a następnie podrzucała je pod cudze drzwi lub zostawiała w szpitalu. Bała się kłopotów, nie czuła się na siłach przyjąć odpowiedzialności za życie istoty, którą nosiła w swym łonie. Dla Mela było to poważne przestępstwo, które zamierzał obnażyć, a sprawcę ukarać.

- Miau!!! - Kocie pazury boleśnie wbiły się w jego łydkę. Syknął, odwrócił głowę i napotkał wyraziste spojrzenie zielonych oczu.

- Miau! Miau!

- Co? - Rozejrzał się dookoła, upewniając się, czy nikt nie widzi, że rozmawia z kotem.

Kot, ku jego zaskoczeniu, obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni, w mgnieniu oka znalazł się przy koszyku i zaczął trącać go łapką, cały czas patrząc na porucznika. Mel podniósł kosz do góry i obejrzał go ze wszystkich stron. Wziął do ręki kocyk, w który owinięte było niemowlę.

- Miękki, bardzo miękki... - mruknął pod nosem.

- Czyżby był z kaszmiru? I ten koszyk też nie jest taki całkiem zwyczajny. Z pewnością został robiony na zamówienie.

Po wnikliwych oględzinach dostrzegł nazwę firmy. A więc miał jakiś ślad. Dyskretnie odłożył kocyk do środka.

- Chciałbym zatrzymać te przedmioty jako dowody rzeczowe - powiedział.

- Wolałabym, żeby pan tego nie robił - błyskawicznie odparła Rose Johnson. - To biedactwo tylko tyle ma po swojej matce - dodała po chwili.

- Chciałabym przechować te rzeczy i dać mu je, kiedy będzie duży.

Mel westchnął. Czekala go zatem niezła przeprawa. Nie dość, że sprawa zdawała się być śmierdząca, to Jeszcze musi się liczyć z oporem tej kobiety. W myślach pani Johnson zaadoptowała już dziecko i planowała Jego przyszłość.

- Przykro mi to mówić, ale dziecko powinno być zabrane do szpitala. - Starał się być delikatny, by nie zranić Rose. - Takie jest prawo, proszę pani.

- Na pewno można tę sprawę załatwić inaczej, panie poruczniku - odezwał się Preston. - Jesteśmy gotowi przejąć za... Dawida całkowitą odpowiedzialność. Jeśli to w czymś pomoże, zatrudnimy do niego

pielegniarkę. - Spojrzał na żonę i mocno przytulił ją do siebie.

- Jestem przekonany, że bylibyście państwo najwspanialszymi rodzicami na świecie, ale niestety nie ja o tym decyduję. Muszę się ściśle trzymać ustalonych procedur.

Twarz Prestona wykrzywił nieprzyjemny grymas. Mel wiedział, że ten człowiek nie podda się łatwo. Był bardzo zamożny, miał wysoką pozycję w społeczeństwie i mógł sobie na wiele pozwolić.

- Nie chciałbym podważać pańskiego autorytetu - Preston starał się zachować absolutny spokój - ale czy nie obrazi się pan, jeśli zadzwonię do sędziego Patter-sona? To chyba on zajmuje się takimi sprawami? Przyjaźnimy się od lat - dodał. - Być może poczułby się pan zwolniony z odpowiedzialności, gdyby sędzia pozwolił nam zatrzymać dziecko do... powiedzmy, poniedziałku.

Zwykle taka uwaga doprowadziłaby Mela do wściekłości, ale tym razem wiedział, że musi być ostrożny. Poza tym czuł, że Johnsonom naprawdę bardzo zależy na porzuconym niemowlaku.

- Owszem, sędzia Patterson może zadecydować w tej sprawie. Gdyby to ode mnie zależało, z miłą chęcią zostawiłbym to dziecko u państwa.

Preston uśmiechnął się pojednawczo.

- Zatem, pozwoli pan, że zadzwonię. A w międzyczasie zechce pan się napić kawy... - Przywołał wzrokiem kelnera. - Chętnie zaproponowałbym szampana, ale rozumiem, że jest pan na służbie.

- Dziękuję, kawa wystarczy w zupełności - powiedział Mel.

Najchętniej wróciłby do biura. Zostawił na biurku nieuporządkowany stos papierów, dotyczący skomplikowanej sprawy, którą właśnie zakończył. Podwójne morderstwo. To mówi samo za siebie. Marzył już od dawna o jednej spokojnej nocy. Z rozmyślań wyrwały go dziwne hałasy, dobiegające od wejściowych drzwi. Nikt nie zwrócił na nie uwagi, gdyż wszyscy zgromadzeni skoncentrowani byli na niemowlęciu. Kierowany detektywistyczną ciekawością, po cichu wymknął się na korytarz.

Przy drzwiach stał służący i rozmawiał z jakąś kobietą.

- Przepraszam panią - dotarło do jego uszu - ale nikt z prasy nie ma prawa wejść. Nie sądzę, żeby państwo Johnsonowie chcieli zrobić dla pani wyjątek.

- Chcę tylko wiedzieć, czy to prawda, że ktoś podrzucił tu dzisiaj dziecko?

Mel poznał ten głos od razu. To była Lily Markey. Spośród wszystkich reporterów w Waszyngtonie jej właśnie obawiał się najbardziej. Nie dlatego, by była pozbawiona skrupułów lub też zdolna do nieetycznych zachowań. To właśnie szczerść i otwartość powodowały, że stawiała się wprost nie do zniesienia. Miała reputację dziennikarki twardej, ale sprawiedliwej, a każdy jej artykuł był tego dowodem. W mieście, w którym mediom zarzucano kłamliwość i manipulację, przed Lily wszyscy czuli respekt. Swoją drogą ciekawe, skąd wiedziała o dziecku?

- Proszę pani, najlepiej niech pani zadzwoni w poniedziałek do biura pana Johnsona. Na pewno zechce z panią porozmawiać. - Służący dwoił się i troił, żeby Jakoś się jej pozbyć.

- Przecież dziś jest dopiero sobota. Nie mogę czekać do poniedziałku - powiedziała Lily słodko. - Dostałam godzinę na dostarczenie tej informacji, dlatego muszę natychmiast porozmawiać z panią lub panem Johnson.

- Już powiedziałem, to niemożliwe - uniósł się w końcu służący. - Jeśli pani nie opuści posesji, będę musiał podjąć odpowiednie kroki.

Mel westchnął, podszedł do drzwi i powiedział:

- Zajmę się tym.

Służący z wdzięcznością skinął głową. Najwyraźniej bardzo mu ulżyło.

- Mel? - Lily była szczerze zdziwiona. - Czy z tym małym wszystko w porządku?

- Masz niezłe przecieki. Nie wspominałem w departamencie o płci dziecka.

- Ups... - przygryzła dolną wargę i zaczerwieniła się. To prawda, miała bardzo wysoko usytuowane wtyczki, co było jej zawodową tajemnicą, lecz zdaje się, że Mel ją zdemaskował.

- Domyślam się, od kogo masz te informacje.

- To bardzo wątpliwe - rzuciła szorstko. - Lepiej powiedz coś o chłopcu. Johnsonowie chcą go zatrzymać? No, nie patrz tak na mnie, wszyscy wiedzą, że od lat marzą o dziecku... Niemal cały Waszyngton mówi o tym, więc nie udawaj - syknęła i lekceważąco machnęła ręką.

- Nawet reporter działu politycznego „Washington Post”? - spytał sarkastycznie Mel.

- No i co z tego? Nie jestem do reszty pozbawiona uczuć. Mogę zrozumieć pragnienie posiadania dziecka.

Ton głosu Lily spowodował, że Mel zaczął się

zastanawiać, czy przypadkiem nie uderzył w jej czuły punkt.

- Myślałem, że w kręgach dziennikarskich trzeba pożreć co najmniej trójkę spośród swoich młodych, by udowodnić, jakim się jest twardzielem.

Ku jego zdziwieniu roześmiała się.

- Mówisz o starych czasach. Dziś są już inne wymagania. Musimy połknąć w całości przynajmniej trzech detektywów!

- Ach tak? To świetnie! - roześmiał się. - Na co więc czekasz?

W jej oczach dostrzegł wesoło tańczące ogniki. Wyglądała łagodniej niż zwykle. Te jej rudawe włosy i zielone oczy przywoływały raczej obraz irlandzkiej dziewczyny ze wzgórz niż znanej wielkowiejskiej reporterki.

- No więc co będzie z dzieckiem? Zatrzymają je?

- O tym zadecyduje sąd. - Mel ponownie wślizgnął się w swoją oficjalną rolę.

- Co ty tu właściwie robisz? - zapytała nagle. - Przecież zwykle zajmujesz się sprawami kryminalnymi.

- A co to jest, jak nie poważne przestępstwo? Przecież chodzi o porzucenie własnego dziecka.

- Porzucenie? - Zdziwiła się, a widząc jego czujny wzrok, dodała: - Myślałam, że ktoś je zostawił podczas przyjęcia...

- Może nie jest to klasyczne porzucenie, na zimnie czy w śmietniku, ale z pewnością i tak mamy do czynienia z przestępstwem kryminalnym.

- Błagam, rozwiń trochę swą myśl. - Ponownie przygryzła wargę.

Zdawało mu się, że coś przed nim ukrywa.

- Lily, powiedz, dlaczego traktujesz tę sprawę tak bardzo osobiście? - Takie miał przecucie, a właśnie dzięki intuicji uchodził za jednego z trzech najlepszych detektywów w Waszyngtonie.

- Bo to świetna historia - próbowała się ratować.

- Sądziłem, że zajmujesz się polityką. - Teraz był już pewien, że trafił w dziesiątkę.

- Johnsonowie to polityka! - wykrzyknęła.

- No tak, ale historyjka o niechcianym dziecku nie należy do twojej branży. Dawniej nie splunęłabyś nawet w jej kierunku. Powiedz prawdę, dlaczego tu przyszłaś?

- OK, widzę, że nie mam wyjścia. Dostałam tę informację od bardzo bliskiej osoby. Poproszono mnie, abym zajęła się tą sprawą w ramach przyjacielskiej przysługi, że tak powiem.

Coś to wyjaśniało, ale nie do końca.

- Przecież tu na razie nie ma jeszcze żadnej szczególnej historii, Lily. O czym ty mówisz?

- Jest dziecko, prawda? - Nie udało jej się ukryć niepokoju.

- To fakt, ale z niemowlakiem jest wszystko w porządku. Póki co, Johnsonowie zadzwonili po lekarza, a ten przebadał małego i nic nie znalazł. Wygląda na to, że ta istotka wygrała los na loterii. Będzie miała wszystko, o czym zamarzy. No, przynajmniej przez kilka następnych dni.

- Co masz na myśli? Więc nie chcą go zatrzymać?

- Może dobrze znasz Johnsonów, ale przepisów na pewno nie. Ktoś, kto znajdzie dziecko, nie może go po prostu zatrzymać. To sprawa karna i musi zająć się tym policja.

- Ale oni byliby doskonałymi rodzicami...
- O tym zadecyduje sąd. Obawiam się, że to maleństwo spędzi kilka pierwszych miesięcy swego tycia w domu dziecka. Takie historie zawsze tak się kończą. - W jego głosie słycać było rozgoryczenie. I Lily dobrze je słyszała. Spojrzała na niego przeciągle, jakby błagalnie, potem spuściła głowę, ale nie powiedziała nic.
- To co, będę mogła porozmawiać z Johnsonami? - zapytała po chwili.
- Daj mi swoją wizytówkę. Przekażę ją, ale na twoim miejscu nie liczyłbym na nic. W chwili obecnej zainteresowani są tylko dzieckiem.
- Dobrze wiedzieć. - Uśmiechnęła się.
- Tak, to zawsze jakaś pociecha.

Wziął z jej ręki wizytówkę i patrzył, jak schodzi po wchodach. Wysoka, smukła, długonoga... O tak, pomyślał, na punkcie takiej kobiety nietrudno oszaleć. Odwrócił się i o mało nie nadepnął na kota, który przyczał się u jego stóp. Nie był więc sam. Kot zamiauczał przeciągle, wpatrując się swoimi ogromnymi, zielonymi oczami w oddalającą się reporterkę. A zatem nie on Jeden miał jakieś dziwne przeczucia w tę zimną, marcową noc.

ROZDZIAŁ DRUGI

Lily szła powoli w stronę bramy wjazdowej. Wprawdzie głowę miała podniesioną, ale ile ją to kosztowało, wiedziała tylko ona. Co za pech! Czy musiała natknąć się na Mela Haskina? Dlaczego akurat jemu powierzono tę sprawę? Przecież on jest z wydziału zabójstw, więc czemu zachowywał się tak, jakby go to wszystko bezpośrednio dotyczyło? Z wściekłością zatrzasnęła za sobą drzwi samochodu. Zrobiło się bardzo zimno, dużo zimniej niż trzy godziny temu, kiedy zjawiała się tu dziś po raz pierwszy. Zamknęła oczy i opadła znużona na oparcie siedzenia. Próbowwała rozmasować dłońmi zeszywniały kark. Zrobiła to, co po pierwsze obiecała, a po drugie uważała za najlepsze rozwiązanie dla Dawida i jego matki. W dużym, ciepłym i zamożnym domu Johnsonów, wśród kochających ludzi, mały był całkowicie bezpieczny. I o to przecież chodziło. Wiedziała, że Johnsonowie nigdy nie zrobiliby mu najmniejszej krzywdy. Zacisnęła palce na kierownicy. Już dobrze, pomyślała, najważniejsze, że dziecko jest bezpieczne. Ale co będzie z jego matką? Czy ta przerażona

kobieta, która powierzyła jej w pełnym zaufaniu swoje maleństwo, ma szansę na normalne, spokojne życie?

Kiedy Mel powrócił do salonu państwa Johnsonów, natychmiast dostrzegł radość na twarzy Prestona. Domyślił się, że sędzia Patterson zezwolił, by dziecko zostało w ich domu.

- Sędzia się zgodził - zakomunikował Preston z uśmiechem na ustach. - Zaznaczył jednak, że to chwilowa decyzja. Ale każda godzina, którą mały spędzi z nami, zwiększa nasze szanse. Nie sądzi pan?

Mel nie chciał tego komentować. Wiedział, że prawo jest nieubłagane i nie rządzi się ani logiką, ani sercem. Gdyby to on miał decydować w tej sprawie, po tym, co zobaczył, nie zastanawiałby się ani chwili i przyznałby prawa rodzicielskie Johnsonom. Nie leżało to jednak w jego gestii. Był jedynie małą płotką w wielkim akwarium pełnym rekinów.

- Sędzia Patterson będzie oczekiwał nas w sądzie w poniedziałek rano - kontynuował Preston. - Oczywiście pojawimy się tam. Prawda, kochanie? - zwrócił się do żony.

- Naturalnie. - Rose wstała. - Dziękujemy panu, panie poruczniku. A gdyby udało się panu odnaleźć matkę Dawida, może mógłby pan przekazać jej, że... - Zawiesiła głos.

Mel wiedział, co chciała powiedzieć Rose. Ze dołożą wszelkich starań, by dziecku niczego nie brakowało i zrobią wszystko, by dobrze je wychować i zapewnić mu wspaniałą przyszłość.

- Oczywiście. Zrobię, co będzie w mojej mocy. Będę z państwem w kontakcie. Żegnam.

Przed wyjściem rozejrzał się po salonie. Wszyscy zdawali się być całkowicie pochłonięci niezwykłym wydarzeniem, nawet dwa urokliwe koty zachowywały się tak, jakby sam Mały Książę spadł im z nieba. Wyglądało na to, że istnieją jeszcze domy, w których ludzie kochają zarówno dzieci, jak i zwierzęta. Wszedł. Na zewnątrz panowała nieprzenikniona, lodowata ciemność. Musiał wrócić do biura, gdyż czekała tam na niego masa roboty. Chciał też wykonać kilka telefonów. Przez długie lata pozyskał sporo informatorów, może pomogą mu również i w tej sprawie. Przecież jakaś kobieta gdzieś urodziła to dziecko i musiały pozostać po tym wydarzeniu ślady. Intuicyjnie czuł, że malec ani nie pochodził z biednej rodziny, ani też nie był dzieckiem małej, opuszczonej dziewczyny. Chłopczyk był czysty, odpowiednio ubrany i ciepło okryty. A poza tym koczek z kaszmiru, kosz i w ogóle wszystkie rzeczy były w dobrym gatunku, nowe i z pewnością drogie. O co więc chodziło? Ta sprawa zaczynała go coraz bardziej intrygować.

Lily weszła do pokoju i usiadła na krześle obok łóżka Susie Bishop. Położyła dłoń na jej czole i odczekała z ulgą. Dziewczyna nie miała już gorączki. Przynajmniej tyle dobrego, pomyślała. Wiedziała jednak, że w tej chwili nic ani nikt nie może zmniejszyć bólu, który malował się na jej twarzy.

- Zatrzymali moje dziecko? - Głos Susie załamał się na ostatnim słowie.

Oczy Lily wypełniły się łzami. Ona, taka twarda reporterka, i łzy? Gdyby któryś z chłopaków z redakcji teraz ją zobaczył, ze zdziwienia zamieniłby się w słup soli.

- Nie tylko zatrzymali, ale od razu się w nim zakochali. Oczywiście sprawy w sądzie trochę potrważą...
- zawiesiła głos.

W czasie wypełniania tej misji pomyliła się już dwukrotnie: po pierwsze zaniósła dziecko podczas przyjęcia, a po drugie nie liczyła się z tym, że Johnsonowie powiadomią policję. Sądziła, że przyjmą dziecko jak swoje i nikomu nie powiedzą ani słowa.

- Stało się coś złego? - zapytała zaniepokojona Susie, widząc w oczach Lily łzy.
- Nie, wszystko przebiegło zgodnie z planem. Mulisz się teraz skoncentrować na tym, żeby dojść szybko do siebie i... czym prędzej opuścić miasto.

Susie uniosła się na chwilę na łokciach.

- Dokąd pojedę? On mnie i tak wszędzie znajdzie - powiedziała zrezygnowana. - Tak powiedział.
- Może sobie mówić, co chce, ale wierz mi, nie jest wszechmocny. Cały świat nie należy do niego, nie kontroluje wszystkiego i wszystkich. - Lily ogarnęła wściekłość. - Wywiozę cię stąd gdzieś, gdzie będziesz bezpieczna.
- Nie znasz go. On ma swoich ludzi dosłownie wszędzie. Opłaca połowę policji w Waszyngtonie. Lily poczuła zimny dreszcz. Mel Haskin? Powszechnie się mówi, że jego nie można kupić. Ale, nie oszukujmy się, wszystko zależy od ceny. Jeśli Mel dowie się, kim Dawid jest w rzeczywistości, katastrofa będzie nieunikniona.
- Nie zamartwiaj się, Susie, błagam cię. Muszę teraz iść do redakcji, bo mam do skończenia reportaż. **A** ty odpoczywaj i... zbieraj siły. Jak wrócę, przyniosę COŚ do zjedzenia. Nie zapominaj o tym, co powiedziała

położna: musisz się ruszać. Albo nie, lepiej poczekaj z tym na mnie. Dobrze?

- Dlaczego to robisz? Jeśli Wayman odkryje, że mi pomogłaś, zamieni twoje życie w piekło... - Głos Susie znowu się załamał. - Lily, on cię zabije!

- Nie dowie się. - Starła łzę, spływającą po policzku Susie.

Strasznie było jej żal tej dziewczyny. Wyglądała na kompletnie wyczerpaną i załamaną. Na jej twarzy wciąż jeszcze widniały ślady pobicia. Cała była w siniakach. Nie dalej jak dwa tygodnie temu Wayman Bishop brutalnie skatował swoją żonę, będącą w dziewiątym miesiącu ciąży, ponieważ podała mu zbyt chłodną kawę.

- To bardzo zły człowiek... Uważaj na siebie, Lily - ostrzegła ją raz jeszcze.

- Jeśli muszę, to i ja potrafię być zła - próbowała pocieszyć zrozpaczoną przyjaciółkę. Poglaskała ją delikatnie po głowie. - W końcu trenowałam judo i karate, no i wygrałam mistrzostwa w kick boxingu. Susie uśmiechnęła się słabo.

- Chciałabym choć w części być taka odważna jak ty jesteś.

- Jesteś, Susie. Uratowałaś swoje dziecko! Nie każdego byłoby na to stać, a ty dałaś mu szansę na normalne życie, płacąc największą cenę, jaką można sobie wyobrazić: aby je uratować, musiałaś je stracić. Nie łudź się, że Wayman by je oszczędził. Maltretowałby Dawida tak samo jak ciebie, no i ukształtowałby go na swoje podobieństwo. Nie rób sobie żadnych wyrzutów, gdyż nie było innej drogi. Nie zadrezczaj się i spróbuj zasnąć. Będę za jakieś dwie godziny.

Johnsonowie wraz z przyjaciółmi byli zajęci wieczorną krzątaniną. Wszyscy domownicy udawali się

na Usłużony odpoczynek. Nawet Klotylda ziewała, ale dobrze wiedziałem, że o czymś jeszcze rozmyśla. Kot to takie dziwne stworzenie: jeśli go raz coś zainteresuje, Ole ma takiej siły, która mogłaby mu przeszkodzić w dotarciu do sedna sprawy. Tylko głupim ludziom się udaje, że mają nad kotem władzę i że mogą go wytresować. Wracając jednak do Klotyldy, z jej zachowania wnioskuję, że snuje jakieś plany.

- Klotyldo, kochanie, o co chodzi? Martwisz się o ludzkie dziecko i o jego przybranych rodziców? Ze ktoś odbierze im to maleństwo? Co mam zrobić? Słucham? O rety! Dopiero co zakończyłem poprzednią sprawę, a już mam się brać za następną?

Och, te kocice! Ona chce, żebyśmy odszukał matkę Dawida, ale to wcale nie będzie łatwa sprawa. Na ogół kobiety, które porzucają dzieci, zdecydowanie nie chcą być odnalezione. A poza tym mamy przecież już jednego Jamesa Bonda, który zajmuje się tą historią. Tak swoją drogą, dziwne ma do tego wszystkiego podejście... Patrzył na to dziecko, jakby był jego ojcem. Najwyraźniej detektywi też mają swoje czułe punkty. A może wcale nie chciał się tym zająć? Może to degradacja dla kogoś z wydziału zabójstw? Jeśli chodzi o mnie, to zdecydowanie nie lubię nieboszczyków. Ale, ale... kto powiedział, że matka tego dziecka żyje? Kurczę, a jeśli najpierw ją zabito, a potem podrzuciono tego niemowlaka? Och, ta Klotylda. Coś mi się zdaje, że czyta w moich myślach. Nic jej nie umknie... Ludzie twierdzą, że jestem nieprzewidywalny, ale ona potrafi wniknąć do mojej głowy, jakby kartkowała książkę.

- Więc co o tym sądzisz, mój drogi? Mówiłeś coś?

- Nic, nic, kochanie. Właśnie myślałem, jak znaleźć mamę Dawida. - Nie powinienem przy niej rozmyślać o moich wątpliwościach. Muszę być czujny. Koszyk i kocyk to niezłe wskazówki, ale James Bond też je zauważył i do tego zabrał ze sobą. Jeżeli uda mi się zagrać na zwłokę, odwali za mnie część roboty. - Ależ skarbie... Chcesz, żebym zaczął już dzisiaj? Koniecznie? Zanim na dobre dobierze się do tego policja? Pomożesz mi... - Jasny piorun. Wpadka na całego. Dlaczego czuję się jak Petyś z Balbiną? Z Balbiną, która nagle postanowiła pomóc Ptysiowi w jego spektakularnej karierze? No cóż, taki los... Trzeba się ślicznie uśmiechać i robić swoje. W końcu życie to teatr. - Będziemy zatem pracować razem, łeb w łeb. Kumpel i Klotylda. To cudownie!

- Masz rację, kochanie. To naprawdę doskonały pomysł i jak to wspaniale brzmi: Kumpel i Klotylda! Ale wpadłem, jak śliwka w kompot.

- Zatem zacznijmy, skarbie, od ogrodu. Może znajdziemy tam jakieś dodatkowe wskazówki.

- To był długi dzień - westchnął ciężko Mel, zamykając ostatnią z teczek leżących na biurku. Obdzwonił wszystkie szpitale w Waszyngtonie. To fakt, nie dysponował zbyt dużą ilością danych, ale znał imię dziecka, jego ciężar i długość oraz przybliżoną datę urodzin. A to było już coś. Jednak mimo wszystko nie udało mu się trafić na żaden, choćby najmniejszy ślad. Może w takim razie poród odbył się w prywatnej klinice albo w domu, pod nadzorem położnej? Bogaci ludzie tak właśnie postępowali. A może wręcz przeciw

nie... Tani hotelik i kobieta do pomocy... E, nie... Jakoś mu to nie pasowało do całości. Czuł, że ta sprawa będzie ciągnęła się w nieskończoność i opuścił go zapal, żeby ją rozwikłać. Właściwie w czym problem? Dziecko znalazło wspinały dom, w którym jest chciane i kochane. Gdyby tylko prawo choć w najmniejszym stopniu kierowało się logiką, już wkrótce mały nazywałby się Dawid Johnson i był oczkiem w głowie zakochanych w nim rodziców. Może lepiej zostawić tę sprawę... Przeszył go nagły dreszcz. Przed oczami stanął mu obraz, który tak bardzo chciał wyrzucić ze swojej pamięci: on siedzący przy starym, pokiereszowanym stole, a wokół niego z pięćdziesięciu jemu podobnych chłopców. Głodni nie byli nigdy, nawet w najtrudniejszych czasach jadaliby trzy razy dziennie, choćby owsiankę. Ale nie chodziło przecież o jedzenie. Najgorsze były noce, kiedy umierał ze strachu i nie mógł zasnąć. Całymi godzinami zastanawiał się, czy matka wróci po niego. Obiecała przecież, że niedługo się pojawi. Lecz mijały tygodnie i miesiące, a potem lata. Nie ujrzał jej już nigdy więcej. Pozostały mu tylko wspomnienia: wysoka, szczupła kobieta, znikająca na końcu długiego holu. W uszach wciąż jeszcze rozbrzmiewał mu stukot jej wysokich obcasów. Bardzo dobrze pamiętał ten moment. Szła szybko, jakby chciała uciec, a na końcu korytarza biegła. Ku nowemu życiu, bez dziecka. Czuł się opuszczony i niechciany. Jakie to było trudne... Nie, nie mógł zostawić tej sprawy. Po prostu nie mógł.

- Cześć, Mel. Co słychać? - Sonny Caruso rzucił płaszcz na krzesło obok biurka.

— Nic takiego.

- Na pewno? Wyglądasz, jakbyś pracował nad jakimś precyzyjnym planem. Zdradza cię ta bruzda na czole. - Spojrzał znacząco w jego kierunku.

Mel zmusił się do uśmiechu. Lubił tego faceta. Był naturalny, bezpośredni i czarujący, a przy tym obdarzony niezwykłą intuicją, jaką zazwyczaj posiadają wyłącznie kobiety. Nie chciał jednak, by Sonny grzebał się w jego przeszłości.

- Porzucone dziecko - skwitował krótko. - A ty nad czym pracujesz? - Mel oparł się o krzesło i próbował się rozluźnić.

- Na pewno spodobałoby ci się. Zakatowana na śmierć kobieta, znaleziona na peryferiach miasta. Su-perelegancka garsonka, wysokie obcasy... To dziwny przypadek. Nie bardzo wiemy, jak się do tego zabrać. Daliśmy anons w prasie, i zgadnij, kto się pojawił?

- Nie mam pojęcia.

- Prawa ręka burmistrza, cholerny Wayman Bishop. Próbował wściubić ten swój parszywy nos dosłownie wszędzie.

- Żartujesz? - Mel był autentycznie zaintrygowany tą informacją.

Zapomniał już o swoim bólu z dzieciństwa. Wayman Bishop! Przecież to główny doradca burmistrza Waszyngtonu. Nigdy nie interesował się sprawami kryminalnymi. Ba, był nimi mniej przejęty niż wywózką śmieci. W ogóle go nie obchodziło, kto zginął i kiedy. Chyba, że była to sprawa polityczna.

- Węszył jak pies i wypytywał o każdy najmniejszy szczegół tej, jak ją nazwał, ohydnej zbrodni.

- Nie chcę być cyniczny, ale wygląda na to, że burmistrz Torrell szykuje jakąś kampanię przeciwko

przemocy. No wiesz, zbliżają się wybory... Musi złapać, gdzie się da, jeszcze kilka punktów.

Nadarzyła mu się rzeczywiście niezła okazja i pewnie postanowił ją wykorzystać. Spryciarz. Łatwo potępiać przemoc i wygłaszać na ten temat burzliwe mowy, ale dużo trudniej jest jej zapobiegać.

- Myślałem dokładnie o tym samym - podsumował Sonny i spojrzał na swój kubek stojący na biurku. Wziął go ręką, obejrzał, po czym wrzucił do kosza na śmieci. - Moja żona powiedziała, że powinienem kupować wyłącznie kubki jednorazowego użytku, bo nigdy ich nie myję. Chyba coś w tym jest.

- A właśnie, jak się ma Lovann? - Mel szczerze lubił żonę swego współpracownika.

- W porządku. Pracuje jak szalona. Wierzę, że kiedyś się przebije.

- Świetnie rysuje. Na pewno jej się uda - odparł Mel, ale jego myśli krążyły wokół zbrodni, o której opowiedział mu Sonny. Zastanawiał się, jaki związek może mieć burmistrz z tym wydarzeniem i dlaczego zaangażował w to Waymana. - Masz jeszcze jakieś konkrety w sprawie tego morderstwa? Czego właściwie chciał Wayman? Zrobić burmistrzowi zdjęcie z denatką, czy co?

- Muszę przyznać, że masz trochę makabryczne poczucie humoru. Nic takiego. Powęszył, rzucił okiem na ofiarę, coś zanotował i się zmył.

- Jacyś podejrzeni?

- Póki co, jak zwykle: współmałżonek, narzeczony, kochanek, sąsiad, alfons, niezadowolony klient... czyli na razie nikt. Niestety.

- To teraz ja opowiem ci coś ciekawego. Podczas przyjęcia ktoś podrzucił Johnsonom dziecko.

- Słucham? Jaja sobie ze mnie robisz? - Spojrzał na Mela z niedowierzaniem.
 - Nie.
 - To dzieciak dobrze trafił. Kupa forsy i w ogóle. Ale pewnie nie zechcą podrzutka.
 - Zaskoczę cię, bo bardzo chcą, choć nie wiadomo, czy dostaną zgodę. W tej sprawie zastanawia mnie tylko jedno: skąd matka tego małego wiedziała, że Johnsonowie chcą dziecka? Im dłużej nad tym myślę, tym bardziej jestem przekonany, że zostali dokładnie sprawdzeni i wybrani na przyszłych rodziców. To nie był przypadek. Podrzucone niemowlę pochodziło z zamożnej rodziny.
 - Czy mi się wydaje, czy fakty zaczynają do siebie pasować? - spytał niespodziewanie Sonny.
 - Na to wygląda. Niech no ja dorwę tylko matkę tego noworodka... Nie chciałbym być na jej miejscu.
 - Odwrócił się i napotkał zdziwione spojrzenie przyjaciela. Zdał sobie sprawę, że jego ton był stanowczo zbyt ostry. Podniósł się z krzesła, wziął płaszcz i powiedział:
 - Przepraszam cię, muszę jeszcze sprawdzić parę rzeczy. Przyjrzyj się temu morderstwu. Powodzenia, stary.
 - Dzięki. - Sonny machnął ręką, po czym usiadł przed komputerem i wziął się do pracy.
- Mel czuł się w pewnym sensie przegrany. Wiedział, że sprawdzenie wszystkich prywatnych klinik w okolicy Waszyngtonu zajmie mu co najmniej kilka dni, poza tym wątpił, czy jego zwierzchnicy poprą go w tej sprawie. Powiedzą, że to przypadek jak tysiące innych. Mógł więc liczyć wyłącznie na siebie. Wsiadł do samochodu i nie wiedząc dlaczego, postanowił od-

wiedzić siedzibę jednej z największych ogólnokrajowych gazet, czyli „Washington Post”.

Zaparkował.

Lily Markey właśnie zbierała się do wyjścia, gdy usłyszał za plecami głos szefa:

- To kiedy możemy się spodziewać tej ekscytującej historii z wyższych sfer?
- Pracuję nad nią - odparła krótko, wkładając kalendarz do torebki. Nie lubiła rozmawiać o nie dokończonych artykułach.
- Jakież przeszkody?
- Czekam na wywiad. - Trochę nerwowo zerknęła w kierunku Billa i napotkała jego zdziwione spojrzenie.

Tak bardzo pragnęła powiedzieć mu całą prawdę, była ona jednak zbyt niebezpieczna. Nie mogła ryzykować. Susie i tak znajdowała się w opałach. Łatwo można się domyślić, co zrobiłby Wayman Bishop, gdyby ta historia ukazała się w prasie.

- Coś się dzieje? - zapytał Bill.

Wiedziała, że jej szef jest nie tylko diabelnie przystojny, ale również cholernie inteligentny. Trudno było coś przed nim ukryć.

- Może i tak, ale najpierw muszę skończyć historię. Znasz mnie.
- W porządku. Pytam, bo wyglądasz tak, jakbyś miała kłopoty - powiedział i przeszył ją wzrokiem.
- Wybacz, Bill, ale muszę spadać - powiedziała /. lekkim uśmiechem. - Zdobędę ten wywiad. I wierz mi, że będzie to coś w rodzaju czekoladowej polewy na ciasto - zablefowała.
- Dobrze. O nic już nie pytam. Nie musisz się spieszyć, ale proszę cię o jedno: bądź ostrożna, to

znaczy... uważaj na siebie. Czuję, że coś kombinujesz. Nie sparz się.
Nie skomentowała słów Billa, tylko szybko wyszła z biura. Po drodze wstąpiła do marketu, żeby zrobić zakupy dla Susie. Była zmęczona. Tak bardzo zmęczona, że nie dostrzegła szarego samochodu, który cały czas jechał za nią na zgaszonych światłach.

ROZDZIAŁ TRZECI

Lily skręciła w ulicę Cedrową. Znajdowała się ona w najpodlejszej dzielnicy Waszyngtonu. Szaro, brudno i ponuro - oto kwintesencja tego, co ją w tej chwili otaczało. Natrafienie na jakieś choćby połamane drzewo czy najmniejszy trawnik, graniczyło z cudem. Ulica Cedrowa była betonową pustynią. Wyglądała tak, jakby przeszedł przez nią huragan. Wszędzie wałały się połamane płytki chodnikowe, śmiecie i poodrywane, barierki łańcuchy, a w każdym zakamarku piętrzyły się puszkami po piwie i potłuczone butelki. Gdyby nie migoczące w brudnych oknach ekrany telewizorów, można by pomyśleć, że to miejsce zostało opuszczone przez Boga i ludzi.

Machinalnie spojrzała we wsteczne lusterko i zobaczyła w nim samochód powoli sunący jej śladem. Zdała sobie sprawę, że przed sklepem też go widziała. Zesztywniała i z przerażenia tak mocno zacisnęła ręce na kierownicy, że zbieleły jej palce. Wiedziała zbyt dobrze, że nie wolno popadać w panikę. Zablokowała drzwi i zatrzymała się na chwilę przy krawężniku.

Pojazd za nią również zwolnił, lecz już po chwili dodał gazu i zaparkował tuż przed nią. Spojrzała na kierowcę i ogarnęła ją wściekłość. Dlaczego Haskin ją śledził? Nie mogła sobie wybaczyć, że nie upewniła się, czy nikt za nią nie jedzie. Gdy poszedł do niej, odkręciła okno.

- Mam nadzieję, że masz jakiś poważny powód, dla którego nie spuszczasz mnie z oka. Albo przynajmniej pozwolenie na przeszukanie...

Nie spieszył się z odpowiedzią, tylko obrzucił spojrzeniem wewnątrz samochodu. Jakże była zadowolona, że zakupy włożyła do bagażnika.

- To bardzo niebezpieczna okolica, Lily. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę. Musisz mieć jakiś szalenie ważny powód, skoro tu przyjechałaś.

Zaskoczył ją. Po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu.

- Osobisty. A co ty tutaj robisz? Może powinnam zwracać się do ciebie „panie detektywie Haskin”? - zapytała ostro.

- Śledzę cię.

Na chwilę ją zamurowało. Czyżby wiedział już wszystko? Jakże miał zamiary?

- Słucham? - powiedziała w końcu. - A co, może jechałam za szybko? - Postanowiła zgrywać idiotkę.

- Spróbuj jeszcze raz...

- Już wiem, nie zapłaciłam za bilet wstępu na bal policjantów! - wykrzyknęła z udawaną lekkością.

- Pudło. To co, jeszcze raz? - Mel bawił się sytuacją.

- A może sam wyjawisz mi tę tajemnicę? - mówiła coraz głośniej.

- Po prostu zachowujesz się podejrzanie - powiedział spokojnie.

- I to wystarczy? Chyba mam prawo poruszać się Wm, gdzie chcę? Nie życzę sobie, żebyś deptał mi po piętach.

- Dziennikarze zawsze sądzą, że im wszystko wolno. - Cały czas zachowywał się bardzo spokojnie, choć chwilami musiał toczyć ze sobą niezłą walkę.

- Dobra. Dostyc tego. Daję ci ostatnią szansę. Albo mnie zostawisz w spokoju, albo powiadomię twojego szefa. Powiem, że mnie śledziłeś i napastowałeś.

- Nie ma sprawy, zrób to. A przy okazji wyjaśnisz, Co robiłaś o tak późnej porze w tej części miasta. Czyżbyś przyjechała tu w odwiedziny? - dodał złośliwie. - A może ma coś z tym wspólnego sprawa Johnsonów?

Serce Lily przyspieszyło swój rytm. Musiała uspić czujność tego człowieka.

- Pracuję nad pewną historią - powiedziała jakby nigdy nic.

- Nad historią o podrzuconym dziecku? A co do tego dziennikarce z działu politycznego? Rozumiem, że to śliczna bajka z happy endem, ale nigdy cię takie rzeczy nie zajmowały. Skąd ta nagła przemiana? Zapędził ją w kozi róg. Była przerażona, z jaką łatwością mu to przyszło. Trochę pochlebiały jej słowa Mela, ale z drugiej strony nie była tak twarda i pozbawiona skrupułów, za jaką ją uważano.

- Przyznaję, że chętnie czytuję twoją rubrykę - ciągnął dalej. - Z tego co piszesz wynika niezbicie, że zdecydowanie wolisz występować w roli egzekutora niż dobrej wróżki. Czyżbyś do tej pory tak skrzętnie skrywała swoją romantyczną naturę?

Jego słowa zabolowały ją. Zacisnęła ręce na kierownicy.

Wiedziała, że to prowokacja, ale nie potrafiła się pohamować.

- To wierutna bzdura i kłamstwo! - syknęła. - Nie jestem żadnym egzekutorem! Opisuję po prostu podłych ludzi, ich okrucieństwo i parszywe uczynki. A ty tych samych ludzi wsadzasz do pudła.

Robimy podobną robotę, Mel. O co więc chodzi? - Otworzyła szeroko drzwi, zmuszając go, by się odsunął, i wysiadła z samochodu. Była wściekła. Nie posądzała go o takie stereotypowe myślenie.

- Nie wiedziałem, że jesteś taka przewrażliwiona...

- Czego chcesz? Ciężko pracuję na mój sukces. Staram się wydobyć spod ziemi najlepsze historie. Nikogo nie oceniam bezpodstawnie i nie wymyślam faktów. Są dostatecznie plugawe. Gdy siadam do pisania, zawsze mam niezbite dowody. Chodzi ci może o to, że na bandziorach nie zostawiam suchej nitki... adwokat się znalazł...

- Już dobra, ale co ma z tym wspólnego dziecko?

- Tu nie chodzi o dziecko, ty... - Ugryzła się w język.

- Więc o co chodzi? W jaki sposób jesteś powiązana z tą sprawą? Bo że jesteś, to pewne.

Ciężko odetchnęła. Wiedziała, że musi teraz uważać na każde słowo. Ten człowiek był niebezpieczny.

- Moim zadaniem jest napisać o tym historię, a nie mogę tego zrobić, nie mając w ręku większej ilości faktów. Nie ukrywam, że czas mnie nagli, a ty mi przeszkadzasz. Dlaczego więc nie zajmiesz się swoimi sprawami i nie zostawisz mnie w spokoju?

- Myślę, że wiesz więcej, niż można by sądzić. Nie bardzo mi się chce wierzyć, że tak nagle zmieniłaś

front. Zbyt dużo wyrzeczeń i harówy kosztowało cię zdobycie pozycji w dziale politycznym... i szczerze mówiąc, nie sądzę, abyś chciała wracać do łzawych historyjek. Musisz mieć jakiś powód, skoro to robisz. No cóż, był niezły.

- To wciąż jeszcze nie tłumaczy, dlaczego snujesz Się za mną po nocy - obstawała przy swoim.

- Ja też zajmuję się tą sprawą, z urzędu. Sama więc rozumiesz, że jestem ciekaw, co planujesz?

- Przestań mnie napastować, bo zrobię z tego aferę. Sam dbaj o swoje interesy. To nie moja rzecz, ułatwiać Ci życie! - Cholera, jeszcze chwila i przycisnie ją do muru. Co za trudny facet!

- Aferę możesz zrobić, ale wiesz dobrze, że ani mój, ani twój szef nie potraktują tego poważnie. Więc już daj spokój z tym straszaniem.

- Nie lubię, gdy mi ktoś przeszkadza w pracy.

- Powiedz w takim razie, co wiesz na temat tego tajemniczego dziecka, i natychmiast zniknę.

Lily była coraz bardziej sfrustrowana. Straciła już co najmniej dwadzieścia minut, a Susie czekała na nią i na pewno bardzo się martwiła.

- Drogi panie poruczniku! Mam przed sobą bardzo pracowitą noc, więc zechce pan przełożyć nasze miłe spotkanie na inny termin - spróbowała przejść na zabawną nutę.

Lecz Mel nie kupił żartu, tylko zacisnął dłoń na jej ramieniu.

- Co ty tu robisz? - Wskazał ruchem głowy na tę straszną ulicę, która nie była już tak kompletnie opustoszała, jak przed chwilą.

Za załomem najbliższego budynku majaczyły cztery

cienie. Czterej mężczyźni stali tam i czekali, jak wilki gotowe do ataku. Przebiegł ją nieprzyjemny dreszcz. Okolica była wyjątkowo niebezpieczna. Zdecydowała, że zabierze stąd Susie, choć wiedziała, że jest to jedyne miejsce w Waszyngtonie, do którego nie sięgają długie ręce Waymana: sparszywiła enklawa wielkiego miasta, kontrolowana przez wyrosłe z nędzy gangi przestępcze, gdzie ani prawo, ani miłosierdzie nie miały czego szukać.

- Mówiłam ci przecież, że pracuję nad tą historią - powtórzyła Lily.

- Ryzykujesz swoje życie. Mam nadzieję, że twoja historia jest tego warta.

- Dzięki za wsparcie. Będę bardzo uważała. Powinieneś jednak wiedzieć, że ci faceci nie są wcale bardziej niebezpieczni niż sala konferencyjna wypełniona politykami.

Ku jej zaskoczeniu Mel roześmiał się głośno. Jego gromki śmiech wypłoszył również mężczyzn czających się za murem. Znikli, jak za dotykaniem czarodziejskiej różdżki.

- Strzał w dziesiątkę, Lily. Jest jednak pewna drobna różnica: politycy mogą zrujnować twoją karierę, a ci faceci nie będą mieli skrupułów, żeby cię zabić, jeśli przyjdzie im na to ochota.

Popatrzyła mu w oczy. Była to krótka chwila, a zdawało jej się, że trwała wieczność. Odpłynęła w nieznany sobie świat, o wszystkim na moment zapominając.

- A gdyby tak miało się stać, byłaby to niepowetowana strata... - dobiegły jej uszu słowa Mela.

Nie spodziewała się takiego komplementu. Odetchnęła głęboko, by wrócić do równowagi. O rety, muszę szybko się pozbierać, pomyślała, zaskoczona iwoją reakcją.

- Dobra, to ja już polecę. Mam jeszcze coś do załatwienia. - Zdała sobie sprawę, że Mel był szalenie

przystojnym facetem. Trzymał się jednak zwykle na dystans i przez to wydawał się nieosiągalny. Aż do dzisiejszego wieczora.

- Idź do domu - powiedział miękko, ale z jakąś dziwną determinacją. - Twoja historia może poczekać do jutra.

- Oczywiście... - Wsiadła do samochodu. W środku było wilgotno i lodowato. Nieprzyjemny, zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. Uchyliła okno. - Proszę cię, przestań mnie śledzić. Nawet nie wiesz, ile najadłam się przez ciebie strachu.

- Wracam do biura. Mam nadzieję, że sama masz na tyle rozumu, że zrezygnujesz z włączania się po nocy po tej dzikiej dzielnicy.

- Dziękuję za pańskie rady, detektywie. - Odpaliła silnik i ruszyła z miejsca.

Skreśliła w prawo, w stronę głównej ulicy tej części miasta. Cały czas jechała prosto, oddalając się tym samym od tego niebezpiecznego miejsca. Przez dobrych kilka minut w swoim wstecznym lusterku widziała światła samochodu Mela. Kiedy znikł z pola widzenia, zwolniła i zatrzymała się na pobliskim parkingu. Odczekała jakiś czas, by sprawdzić, czy Mel przypadkiem nie wyrośnie gdzieś spod ziemi. Potem ruszyła z powrotem w kierunku ulicy Cedrowej, do Susie. Cały czas patrzyła we wsteczne lusterko. Nie mogła pozwolić, by ten człowiek wytropił kryjówkę przyjaciółki.

I tak już coś przeczuwał. Musiała czym prędzej wywieźć stamtąd Susie Bishop. Mel skierował się z stronę domu. Postanowił dać sobie spokój z deptaniem Lily po piętach. Była na to zbyt bystra. Nie mógł jednak przestać się zastanawiać nad tym, co miała wspólnego z tą całą sprawą. Dlaczego tak bardzo się nią interesowała? Od początku miał przeczucie, że była w nią zamieszana. Ale w jaki sposób? Nigdy nie bawiła się w sentymenty. Raczej wręcz przeciwnie - była znanym twardzielem w spódnicy. Zaparkował przed wejściem. Dom kupił kilka lat temu, ot, dobra inwestycja i tyle. Był dla niego zbyt wielki, zawsze pusty i zimny. Nie lubił do niego wracać. To jeden z powodów, dla których tak dużo pracował. Przez moment przyszło mu na myśl, że nie byłoby źle coś zjeść, ale właściwie nie wiedział, na co ma ochotę. Kolacja czy śniadanie? Nie mogąc się zdecydować, zajrzał do sypialni. Wtedy poczuł, jak bardzo jest zmęczony. Zaczął się rozbierać i wkrótce doszedł do wniosku, że pragnie tylko o jednego: by jak najprędzej zasnąć. Nadal jednak nie mógł przestać myśleć o tej kobiecie. Przypomniawszy sobie ich pierwsze spotkanie. Było to podwójne zabójstwo. Członek gabinetu prezydenta zabił swoją żonę, a potem odebrał sobie życie. Ponura historia. Kupa krwi... Ale Lily była twarda, nawet twardsza od niektórych chłopaków. Przez te wszystkie lata ich drogi krzyżowały się kilkakrotnie. Dotarło do niego, że szczegółowo pamięta każde z tych spotkań. Kasztanowe włosy i zielone, kocie oczy za nic nie dawały się zapomnieć. Uśmiechnął się. Przypomniawszy sobie, jak kiedyś chłopcy przywitali ją w komisariacie.

Pogwizdywaniom nie było końca. Dobrze pamiętał, jak ją to wkurzyło. Co za temperament... To wspomnienie rozbawiło go jeszcze bardziej. Ale co miała wspólnego z historią podrzuconego dziecka? Czuł, że skrzętnie coś przed nim ukrywała, a miał dobrego nosa. Na pewno w jakiś sposób łączyło się to z jej pracą. Czyżby Dawid był dzieckiem jednego ze znanych polityków? - pomyślał nagle. Wyciągnął się na łóżku i próbował zasnąć. Jednak wiedział, że nie będzie to proste, gdyż kołaczące się w jego głowie myśli nie dawały mu spokoju. Kolejna noc z pytaniami bez odpowiedzi. Lily Markey... Poczul nagłe, wszechogarniające pożądanie.

- Wierz mi, Susie, wszystko jest w porządku - pocieszała Lily swoją przyjaciółkę. Poszła do kuchni i rozpakowała zakupy. Otworzyła rosół w puszcze, podgrzała go, po czym wróciła do pokoju. - Chcę, żebyś to zjadła.

- Martwiłam się o ciebie. Nie było cię tak długo i myślałam...

- Musiałam pojechać do biura i nadziałam się na szefa. Nie chciał mnie wypuścić - wpadła jej w słowo Lily.

Postanowiła nie wspominać o spotkaniu z Melem Haskinem, bo Susie i tak była wystarczająco przerażona. Niełatwo było zdobyć jej zaufanie. Dobrze pamiętała, ile trudu musiała sobie zadać, by jej uwierzyła. Długie tygodnie wielogodzinnych rozmów.

- A co z Dawidem?

Lily zawahała się. Susie musiała wbrew sobie oddać swoje dziecko, żeby ratować je przed brutalnym ojcem. Co powinna powiedzieć, by pomóc jej zaakceptować tę niewyobrażalnie trudną sytuację?

- Ma się naprawdę dobrze - powiedziała w końcu. Nie znalazła w sobie na tyle siły, by udawać obojętną. Mogłaby powiedzieć, że nie miała czasu zainteresować się dalszym rozwojem sytuacji i że teraz mają ważniejsze rzeczy na głowie. Było przecież w niezaprzeczalnie dobrych rękach. - A teraz jedz. Potem pomogę ci wstać i trochę się przejdziemy. Musisz stąd jak najszybciej zniknąć.

- Ale dokąd mam iść? - Oczy Susie stały się okrągłe z przerażenia.

- Gdzieś, gdzie będziesz bezpieczna. Tutaj jest naprawdę strasznie, wszędzie kręcą się jakieś szumowiny. Dziś też natrafiłam na kilka podejrzanych typów. Przestraszyli mnie. Nie chcę, żebyś była tu sama, a Pati też nie powinna tu przychodzić.

Susie spojrzała na talerz z zupą.

- Wielu ludzi ryzykuje, żeby mi pomóc. Dlaczego? Lily wiedziała, że nie ma racjonalnej odpowiedzi na

to pytanie. Nie umiałyby wytłumaczyć, dlaczego ryzykowała swoją karierę, a może nawet życie.

- Bo to jedyne słuszne, co należy w takiej sytuacji zrobić. Jest jeszcze trochę porządných ludzi na tym świecie. Ludzi przez duże „L”.

- A ja w to już nie wierzyłam. Sądziłam, że Waymanowi wszystkim udało się przestraszyć lub przekupić, a w razie oporu zlikwidować.

Lily wiedziała, że jest to zdanie, które wyraża całą tragedię sytuacji, w której już od dłuższego czasu znajdowała się Susie. Większość społeczeństwa nie miała najmniejszego pojęcia, jak straszne jest życie pod rządami przemocy i jak bezradne są kobiety opanowane przez swoich mężów - tyranów.

Wiedziała też, że te

właśnie słowa wykorzysta w przyszłych wywiadach i artykułach. Obawiała się, że Susie nigdy nie uwierzy, by kiedykolwiek jeszcze mogła być bezpieczna. Sądziła, że piętno wyciśnięte przez niewypowiedzianą brutalność męża na zawsze zdeterminuje jej dalsze życie.

- Nie przejmuj się Waymanem. Za kilka godzin będziesz daleko stąd.

- A Dawid? Czy jest bezpieczny?! - Susie prawie krzyczała.

- Oczywiście. A teraz coś zjedz. Inaczej nic więcej Ci nie powiem. - Lily usiadła przy niej, na brzegu łóżka.

Susie wzięła posłusznie do ręki łyżkę.

- Będę jadła, a ty mów.

- Johnsonowie rozmawiali już z sędzią Pattersonem. W poniedziałek będą przesłuchiwani w sądzie.

Jestem więcej niż pewna, że dostaną tymczasową opiekę nad Dawidem, a wtedy sprawa będzie praktycznie przesądzona. Tak więc twój syn będzie rósł w cudownym, ciepłym domu. Za kilka tygodni sprawa przycichnie i nikt już nie będzie pytał, jak się tam znalazł. - Właściwie nie była to prawda, a raczej pobożne życzenie. Ale przecież tego potrzebowała Susie. Tylko to mogło dać jej siłę.

- Jest taki śliczny... - Wytarła łzy toczące się po policzkach. - Masz rację, Lily, tam wyrośnie na mądrego i dobrego chłopca. Będzie miał to wszystko, czego ja nie mogłabym mu ofiarować. - Usiadła na łóżku i spuściła nogi na ziemię. - Jestem już gotowa, możemy zrobić próbę. Ach, miałam cię zapytać, czy wiesz, co z moim paszportem?

Lily była pod wrażeniem. Co za kobieta, pomyślała.

- Na jutro będzie gotowy. Masz zarezerwowany

bilet na nowe nazwisko. Tylko że do jutra musimy cię gdzieś przechować. - Nagle przyszło jej coś do głowy. - Pojedźmy do mnie.

- Nie, to nie jest najlepsze rozwiązanie. Siedzisz w tej historii po szyję. Nie chcę, żeby Wayman zrobił ci jakąś krzywdę. - Spróbowała wstać, po jej twarzy przebiegł grymas bólu. Zachwiała się, lecz szybko złapała równowagę.

Nie jest najgorzej, pomyślała Lily.

- Posłuchaj, do twojego odlotu mamy mniej niż dwadzieścia cztery godziny. W moim mieszkaniu jest na pewno dużo bezpieczniej niż tutaj. Najważniejsze, że znikniesz z ulicy Cedrowej. - Odwróciła się i włączyła telewizor. - Przegapiłam wieczorne wiadomości.

Lokalna stacja pokazywała wydarzenia dnia i Lily natychmiast pożałowała tego, co zrobiła. Na ekranie pojawiła się twarz Waymana Bishopa, a potem kamera przeniosła się na ciało przykryte czarnym plastikowym workiem.

- O Boże! - wykrzyknęła z przerażeniem Susie i zaczęła się osuwać na podłogę.

Lily złapała ją w ostatniej chwili i ułożyła na łóżku. Obie wpatrywały się w telewizor.

- Za chwilę doradca burmistrza Ala Torrella wygłosi do państwa przemówienie - powiedział dziennikarz.

- Burmistrz Torrell stanowczo sprzeciwia się przemocy w stosunku do kobiet i zamierza z całą determinacją tępić jej wszelkie przejawy. - Odwrócił się i wskazał na zwłoki. - Ta kobieta jest ofiarą, lecz zostanie pomszczona!

Lily szybko wyłączyła telewizor, ale wiedziała, że

I tak jest już za późno. Nie liczyła się z tym, że trafi na COŚ podobnego.

- Co on kombinuje? - Błada jak śmierć Susie siedziała na łóżku.

- Jutro o tej porze będziesz bezpiecznie lądować w Anglii. W tej chwili musisz myśleć tylko o tym.

Słyszysz? - Lily była bardzo zdenerwowana.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Zakwitają żonkile, a zatem bezsprzecznie idzie wiosna. Mrrau... Klotylda opowiedziała mi, że Rose od rana surfuje po Internecie, żeby zamówić odpowiednie ubranko dla Dawida, które mogłaby mu włożyć w poniedziałek na przesłuchanie do sądu. Dzieciaczek pojawił się wprawdzie zadbany i przyzwoicie odziany, ale bez wyprawki. No a dziś, w niedzielę, sklepy są zamknięte. Co to będzie, jeśli Preston i Rose nie będą mogli zatrzymać tego maleństwa? Sytuacja jest trudna, chyba wtedy się załamają. Lecz wracając do Internetu, to naprawdę świetna rzecz. Bez trudu można odnaleźć wszystkich producentów koszy wiklinowych dla dzieci. Zrobiłem małe, prywatne dochodzenie i okazało się, że jest jeden niewielki sklepik, który specjalizuje się właśnie w takich koszykach. Umówiliśmy się z Klotyldą, że pójdziemy tam dzisiaj, aby trochę powęszyc. Sklep jest wprawdzie zamknięty, ale to w niczym nam nie przeszkodzi. Potrzebuję tylko przejrzeć rejestry. Ciekawe, jak Klotylda zniesie jazdę środkami masowego transportu? Będziemy musieli uważać, by nie na

trafić na ludzi o miękkich sercach, którzy, gdy tylko Widzą samotnie spacerujące zwierzę, natychmiast chcieliby je zabrać do siebie. Ale także i na tych zimnych i okrutnych, którzy opuszczonym zwierzętom nie szczędzą kopniaków. Ja, jako prywatny detektyw, miałem już z podobnymi rzeczami nieraz do czynienia, ule Klotylda nie ma o nich najmniejszego pojęcia. Być może powinienem ją uprzedzić. Lecz jak jej to wytłumaczyć? Czy się nie przerazi? Ale przecież bardzo jej zależy, żebym odnalazł matkę Dawida, a raczej upewnił się, że nie zamierza wziąć tego małego z powrotem. Swoją drogą, co to za matka, która porzuca swoje dziecko? Czegoś takiego Klotylda z pewnością nie rozumie. Jej rodzice mieli cudownych, starszych opiekunów, a dzień, w którym się urodziła wraz ze swoimi braćmi i siostrami, był najszcześniejszym dniem w życiu tych ludzi. Każde z kociąt było chciane. A zanim je komuś oddali, trzy razy upewniali się, że trafią nie tylko w dobre, ale w wyjątkowo dobre ręce. Niestety życie nie zawsze jednak chce być takie słodkie. Nawet po wielu latach mieszkania u Petera i Eleonory, niechętnie myślę o mojej młodości. Nigdy nie znałem swojego ojca, a co do mojej matki... Od dnia, w którym przyszła na świat, jej państwo nienawidzili jej. Nie chcieli, by Ich kotka miała młode, ale nie zadali sobie trudu, żeby zadbać o zapobieganie niepożądaney ciąży. Tak więc gdy piękna Tash nieco podrosła, wywieźli ją za miasto I tam porzucili. To imię wybrała sobie zresztą sama, gdy była już dorosła, bowiem ci ludzie nie zadali sobie nawet trudu, by jakoś ją nazwać. Była drobna, jedwabista i przeurocza, ale przy tym bardzo delikatna. Twarde życie na ulicy dało jej nieźle popalić. Wkrótce

urodziła mnie. Miałem jeszcze dwie siostry, ale nie przeżyły. Były ode mnie znacznie słabsze, a ciągle brakowało nam jedzenia. Nie wiem, jak przez pierwsze tygodnie mamie udało się mnie wykarmić. Którejś nocy nie wróciła do domu. Znalazłem ją następnego dnia na ulicy. Nie żyła, potrącona przez samochód. Ludzie nie zatroszczyli się nawet o to, by ją pochować. Od tej pory musiałem radzić sobie sam. Byłem na tyle duży, że umiałem już znaleźć coś do jedzenia, kopiąc w górach śmieci. Postanowiłem jednak przenieść się do lepszej części miasta. Tam bacznie się rozglądałem, obserwując zamożnych ludzi i ich życie. Jakość śmieci była o wiele lepsza, ale trudniej było się do nich dostać. Na początku myślałem, że ci bogatsi są lepsi i ktoś z nich mnie zechce. Jak bardzo się pomyliłem, wiem tylko ja. Rzucali we mnie kamieniami, kiedy próbowałem dostać się do śmietnika. Sami byli syci i nawet nie przyszło im do głowy, że nie mam co jeść. Żeby już nie przedłużać tej historii, powiem tylko, że wreszcie złapano mnie i umieszczono w laboratorium, w którym robiono doświadczenia na zwierzętach. Wcześniej myślałem, że życie na ulicy było piekłem, ale jakże się myliłem. Na szczęścia nie zdążyli mnie skrzywdzić. Widząc, co się święci, uciekłem przy pierwszej nadarzającej się okazji. Jakiś czas włóczyłem się jeszcze po świecie, aż w końcu spotkałem Eleonorę. Ale dość tych wspomnień. Odnalazłem swoje miejsce na ziemi, jestem kochany, jak chyba żaden inny kot na świecie. No i mam moją Klotyldę, bez której dziś nie wyobrażam sobie życia. Mam więc nadzieję, że potrafię uchronić ją przed strasznym światem, pełnym niechcianych psów i kotów. Dobra, ja tu sobie gadu, gadu, a czas leci. Pora

wyruszyć w drogę, a zatem idę po Klotyldę. Dzięki temu, że w domu Johnsonów pojawiło się dziecko, moja luba będzie miała więcej wolności. Zapewne jej część zechce mi ofiarować.

Mel zaparkował przed butikiem i czekał w samochodzie na właścicielkę, Annie Unluck. Powinna zaraz otworzyć sklep. Zbyt wiele nie zdradził jej przez telefon. Powiedział tylko, że chciałby się z nią zobaczyć oraz że chodzi o kosz, który prawdopodobnie niedawno został u niej kupiony. O porzuconym dziecku nie wspomniał ani słowem. Odwrócił się, gdyż usłyszał głośny stukot obcasów po trotuarze. Annie Unluck była drobną kobietą, lecz szła szybkim i zdecydowanym krokiem, (idy wyjęła z torebki klucze i zaczęła otwierać drzwi, podszedł do niej, przedstawił się i oboje weszli do sklepu. Kątem oka dostrzegł dwa koty wślizgujące się za nimi. Może to jej, pomyślał. Zdziwiło go jednak, że pozwalala im buszować po tak ruchliwych ulicach. W każdej chwili mogły wpaść pod pędzący samochód. Już miał zagadnąć ją na ten temat, gdy zapytała:

- Jaki to był kosz? Czy mógłby mi pan pokazać jakiś podobny? Może wówczas przypomnę sobie, o kogo chodzi. Te kosze robione są ręcznie i zazwyczaj na zamówienie, dlatego na ogół pamiętam, kto je kupił.

Mel rozejrzał się niepewnie po półkach. Do głowy by mu nie przyszło, że może być tego aż tyle.

Mnóstwo modeli o różnych kształtach, kolorach i rozmiarach. A wszystkie prześliczne.

- To był raczej spory koszyk, taki z rączką... - powiedział trochę bezradnie.

- A, nosidełko. Nie ma pan dzieci, prawda?

- Nie, nie mam. Podeszła do jednej z półek.

- Coś takiego?

- Tak. Jest dokładnie taki sam.

- W tym roku sprzedałam tylko sześć takich koszy, więc z ustaleniem nabywców nie będzie problemu.

Mel przyjrzał się jeszcze raz koszykowi. Kiedy dostrzegł cenę, aż go zatkało. Prawie czterysta dolarów. Czterysta dolców za kosz!

Właścicielka zaczęła przeglądać rachunki.

- Musi pan wiedzieć, że czasem takie kosze kupowane są na prezent, więc osoba, która za niego płaci, niekoniecznie musi go posiadać. O, mam... Ostatni został kupiony dwa tygodnie temu. Płacono gotówką. - Ze zdziwienia uniosła brew.

Mel zajrzał jej przez ramię.

- Zapisała może pani, kto to był?

- Zawsze spisuję nazwisko i adres. Na wszelki wypadek, gdyby były jakieś reklamacje. Sam pan rozumie... Ale tym razem tego nie zrobiłam. Jednak dobrze pamiętam tę kobietę. Racja, przecież stanowczo nie życzyła sobie, bym zapisywała jej dane.

Nic dziwnego, skoro planowała porzucić swoje dziecko, pomyślał Mel, ale nie powiedział ani słowa.

- To była bardzo intrygująca kobieta - kontynuowała właścicielka sklepiku. - Rudowłosa, z olbrzymimi zielonymi oczami. Mówiła, że to dla kogoś na prezent.

W tym momencie Mel zauważył czarnego kota, siedzącego za koszem pełnym pawich piór. Zwierzak przysłuchiwał się tej rozmowie i Mel miał wrażenie, że rzeczywiście rozumie każde wypowiedane słowo.

- Czyli ta kobieta nie była w ciąży? - zapytał, żeby się upewnić. Obraz wysokiej rudowłosej i zielonookiej kobiety już niemal na stałe zagnieździł się w jego umyśle. Wciąż przewijała się przez tę historię. - Czy była to Lily Markey?

- Lily Markey... Lily Markey... No właśnie, tak mi się zdawało, że gdzieś już ją widziałam, ale gdy zapytałam o to, zrobiła się trochę nieprzyjemna i zaraz zmieniła temat.

- Bardzo pani dziękuję, pani Unluck. To chyba wszystko. Niezwykle mi pani pomogła. Do widzenia - wyrzucił z siebie jednym tchem i pospiesznie wyszedł ze sklepu.

Nie tylko Lily Markey ma rude włosy i zielone oczy, próbował sobie wyperswadować Mel. Na próżno. Był przekonany, że to była ona. Jakimś przedziwnym zbiegiem okoliczności bezustannie trafiał na jej ślad w tej historii. Chyba nadszedł czas, żeby przycisnąć ją trochę do muru.

- Dobra, Klodydo, teraz my ruszamy do akcji. Słyszałaś, co tu się święci? Temu detektywowi wreszcie chyba udało się połączyć fakty w pewną całość i coś mi się zdaje, że sprawa ruszy do przodu. Cieszę się, bo myślałem, że już nigdy niczego się nie domyśli. Oczywiście, że Lily Markey jest w to zamieszana. Jestem zdania, że to ona tamtego wieczoru podrzuciła dziecko, ale Dawid nie jest jej synem. Chemia się nie zgadza. Tylko jeśli nie ona, to kto? Oto jest pytanie... Jej siostra, przyjaciółka, współpracowniczka? Spójrz, tam leży książka telefoniczna. Możemy znaleźć adres Lily... O tu, widzisz?

Mam! 1414 Juniol Street. Wiem, gdzie to jest. Nic się nie martw, że mną zaznasz czegoś więcej niż tylko nudnej jazdy na tylnym siedzeniu rolls-royce'a. O kurczę, pani Annie nas zauważyła. Uważaj, zaraz będzie chciała cię adoptować. Znam ten wyraz twarzy. Szybciej! Chodu!

Lily z satysfakcją przyglądała się paszportowi.

- Su Bristol - przeczytała na głos, - Tak brzmi twoje nowe nazwisko.

Dochodziła dziewiąta rano. Wyglądało na to, że rzeczywiście Susie Bishop wreszcie uwolni się od swoich kłopotów. Już wkrótce będzie siedziała w samolocie do Londynu. Odebrać ją miała przyjaciółka Lily, która obiecała, że zajmie się Susie i pomoże jej jakoś ułożyć sobie życie.

- Boję się - wyznała Susie. - Wayman ma na pewno swoich ludzi na lotnisku. Domyśla się, że będę próbowała uciec.

- Ale nie spodziewa się, że uciekniesz do Europy - uśmiechnęła się tajemniczo Lily.

- Może i tak... Dowiedz się jeszcze, czy z Dawidem wszystko w porządku.

Lily pokręciła głową.

- Nie, lepiej nie ryzykować - ucięła krótko. - Jestem pewna, że ma się dobrze. Teraz za wszelką cenę musisz wziąć się w garść. - Czy uda się jej kiedykolwiek zapomnieć o tych strasznych chwilach? O porzuconym dziecku? Z całą pewnością nie. Ze współczuciem patrzyła na łzy spływające po policzkach Susie.

- Nie sądziłam, że będzie to aż takie trudne - szlochała w rozpacz.

Lily położyła dłonie na jej ramionach.

- Zobaczysz, wszystko będzie dobrze. Potrzebujesz tylko trochę spokoju.

- Dziękuję ci, Lily. Tak wiele dla mnie zrobiłaś. Nigdy tego nie zapomnę.

- Twój samolot odlatuje o czwartej. Schowaj to dobrze. - Wyciągnęła w kierunku Susie rękę, w której trzymała paszport i bilet. - Jestem pewna, że wszystko ołę uda. Głowa do góry.

Omam nie upuściła biletu i paszportu na podłogę, gdy usłyszała pukanie do drzwi. Nikogo się nie spodziewała. Prędko zaprowadziła przyjaciółkę do sypialni.

- Kto tam?

- Mel Haskin.

Zamknęła oczy, próbując naprędce wymyślić jakąś taktykę postępowania. Wsunęła bilet i paszport do szuflady.

- Mel? Chwileczkę. - Raz jeszcze przebiegła wzrokiem po pokoju. Nigdzie nie dostrzegła śladów zdradzających obecność Susie.

- Mam nadzieję, że to coś ważnego - rzuciła ostrzegawczo, otwierając drzwi.

Ich spojrzenia spotkały się. Nieoczekiwanie przez Jej ciało przebiegł niezwykle dreszcz.

- Niepokoi mnie kilka rzeczy - wyrecytował Mel, opierając się o futrynę.

- Jestem teraz zajęta. Być może w tygodniu uda nam się spotkać, by wyjaśnić twoje wątpliwości. -

Chciała zatrzaskać drzwi, ale powstrzymał ją ręką. - O co ci chodzi?

- To ty kupiłaś ten koszyk, w którym podrzucono dziecko. W butiku Annie Unluck.

Poczuła, jak ogarnia ją strach. Przecież zapłacała

gotówką i nie podała swoich danych. Jak to możliwe? Niepotrzebnie uległa namowom Susie. To ona koniecznie chciała kupić dla Dawida coś wyjątkowego, by jego nowi rodzice od razu domyślili się, że jest szczególnym dzieckiem. Było już jednak za późno na wyrzuty sumienia.

- Nie próbuj nawet zaprzeczyć. Właścicielka sklepu poznała cię.

- No i co z tego? - powiedziała hardo Lily. - Jakieś błędne wnioski?

- Chyba nie muszę ci mówić, że grasz w bardzo niebezpieczną grę?

O rany, pomyślała z przerażeniem, przecież Susie słyszy każde ich słowo. Cofnęła się o krok w głąb korytarza i potknęła się o czarnego kota, wślizgującego się do jej mieszkania.

- Rety! Co to? - wykrzyknęła, gdy przed jej oczami przemknął drugi, tym razem biały kot. -

Przyszedłeś tu z obstawą, czy co?

- O ile się nie mylę, to te same koty, które widziałem w domu Johnsonów i dziś w butik - wyrwało mu się. - Pomogę ci je złapać.

Słyszając to, omal nie zatrzasnęła mu przed nosem drzwi.

- Żartowałam, są moje. Zostaw je w spokoju.

- Mógłbym przysiąc, że to te same koty...

- W takim razie śledzą cię... - Posłała mu porozumiewawcze spojrzenie. - Ale poza tym wszystko w porządku? Dobrze się czujesz?

- A co z tym koszem? Zaprzeczasz, że go kupiłeś?

- Oczywiście, że kupiłam, ale w prezencie dla znajomych. No i co z tego? Istnieje może jakieś prawo

zabraniające zakupu koszy dla niemowląt? Coś, o czym nie wiem? - Zbliżyła się o krok i poczuła zapach jego wody kolońskiej. - Chyba chce mnie pan w coś wrobić, detektywie - powiedziała ostro i spojrzała na niego wyzywająco.

- Z całą pewnością jesteś w to zamieszana. Tylko Jeszcze nie wiem jak. - Patrzył jej prosto w oczy.

- Pozwól, że cię o coś zapytam, Mel. Dlaczego koniecznie chcesz zrobić z tego sprawę? Masz ku temu Jakieś szczególne powody? Widziałam to maleństwo. Ma się dobrze. Szczęśliwie trafiło do ludzi, którzy natychmiast je pokochali. Wygląda na to, że się czepiasz. Dlaczego?

- To nie jest takie proste, droga Lily. Popołniono przestępstwo przeciw bezbronnemu dziecku.

Wyjaśnianie takich spraw i ochrona poszkodowanych to moja praca.

- Kogo chcesz ukarać? Matkę? - Przez twarz Mela przemknął prawie niedostrzegalny grymas bólu. Czyżby trafiła w jego czuły punkt?

- Tu nie chodzi o mnie. - Na moment przeszedł do ofensywy. - Ten, kto to zrobił, zapłaci za swój uczynek. Mogę ci przysiąc! - wykrzyknął, nie potrafiąc dłużej się powstrzymać.

Rozpierała go złość. Widząc, że wiele nie wskóra, odwrócił się i odszedł sztywno wyprostowany, z głową wysoko uniesioną do góry.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Uspokoił się dopiero w samochodzie. Usiadł za kierownicą i przez dobrych kilka chwil próbował zebrać myśli. Dlaczego ta kobieta tak bardzo zachodziła mu za skórę? Zwykle nie traktował prowadzonych przez siebie spraw osobiście, jednak Lily swoim sposobem bycia wyprowadzała go z równowagi. Bezsprzecznie podobała mu się. Te zielone, lśniące oczy... i rozwiane włosy. Ale co to miało do rzeczy? W Waszyngtonie było mnóstwo pięknych kobiet. Musiało być więc coś jeszcze... Zamyślił się. W sumie wiele ich łączyło. Lily bardzo angażowała się w pracę i nigdy nie traktowała ludzi przedmiotowo. Nie chodziło jej o słowa, lecz o prawdę. Nie pojmował, co taką kobietę mogło skłonić do zajęcia się historią o podrzuconym dziecku. Nie chciał, aby ta sprawa wymknęła mu się z rąk. Jeśliby złożyła na niego zażalenie, będzie się musiał nieźle tłumaczyć, tym bardziej, że nie był dziś na służbie. Każą mu napisać raport i przeniosą sprawę do odpowiedniego wydziału. Dobrze wiedział, że ta historia nie należy do kompetencji wydziału zabójstw. Odbiorą

mu śledztwo i już nigdy nie dowie się, co Lily miała, tym wszystkim wspólnego. Zdecydował, że pojedzie do biura i napisze raport.

Usadowił się przy komputerze. Nie, nie będzie bawił się w żadne domysły i niedomówienia. Trzeba to wreszcie wyjaśnić. Lily musi być przesłuchana. Zapisał raport na dyskietce i położył ją na biurku szefa. Stary przeczyta to w poniedziałek rano, pomyślał, i wydał jakieś oficjalne dyrektywy. Działania na własną rękę nie miały większego sensu.

Postanowił pójść na śniadanie. Nadal czuł się dziwnie. Wybrał „Emeralds Café”, jedno ze swoich ulubionych miejsc. Dochodziło południe. Po drodze kupił gazetę i siedział teraz z kubkiem gorącej kawy w poszukiwaniu artykułu Lily Markey, jednak ku swemu zdziwieniu nie znalazł nic. Nie pamiętał, kiedy ostatnio coś podobnego się zdarzyło. Zamknął gazetę i zaczął się zastanawiać. Wtedy dopiero dostrzegł na pierwszej stronie jej zdjęcie i zapowiedź serii reportaży o przemocy w małżeństwie. Żołądek ścisnął mu się jeszcze bardziej. Łapczywie czytał dalej: „Moje badania wskazują, że kobiety w Waszyngtonie są całkowicie ignorowane przez system ochrony społecznej. Są zastraszane i terroryzowane przez swoich mężów, ba, nawet maltretowane fizycznie. I nie ma znaczenia, z jakiej warstwy się wywodzą. To problem ponad społecznymi podziałami”. Czyżby Lily zmieniła swoje zainteresowania? Mel znał to na wylot: skatowane, poranione kobiety, odmawiające zeznań przeciwko swoim mężom, bowiem wprost umierały ze strachu, że mogłyby w ten sposób sprowokować swych oprawców do jeszcze większej agresji. Tu byłaby potrzebna

zmiana systemu prawnego. Można by do tego wykorzystać ostatnie zabójstwo i nagłe zainteresowanie burmistrza ochroną kobiet. Mel odłożył gazetę i dopił kawę. Na śniadanie stracił ochotę. Miał bardzo złe przeczucia. Musiał jakoś zdystansować się od tematu, spojrzeć na wszystko chłodnym okiem.

Najlepiej mu to wychodziło, kiedy biegał. Energicznie wstał i ruszył w stronę samochodu.

Lily zapakowała walizkę do bagażnika. Wróciła na górę. Susie była praktycznie gotowa. Przebranie zapewniało jej całkowitą anonimowość. Miała na sobie elegancki, granatowy garnitur, a na głowie blond perukę. Siniaki udało się zręcznie zatuszować make-upem. W niczym nie przypominała zastraszonej żony potężnego polityka.

- Nie wiem, czy sobie poradzę... - powiedziała Susie, patrząc na swoje odbicie w lustrze.

- Musisz - odparła Lily z przekonaniem. - Pamiętaj, że będę przy tobie cały czas, niemal do chwili, kiedy wejdiesz na pokład.

- Ale...

Lily przygarnęła ją do siebie.

- Nie może być żadnego „ale”. Jest już za późno, by się wycofać. Nie ma innego wyjścia.

- Wiem, rozmawialiśmy o tym tyle razy. Ale boję się. Czasami myślę, że to wszystko jakiś zły sen.

Kiedy byliśmy zaręczeni, Wayman traktował mnie jak królową. Każdego dnia przysyłał mi róże i obsypywał prezentami. Bywaliśmy w teatrach i na koncertach, chodziliśmy na przyjęcia... no i te cudowne weekendy... Dlaczego tak zupełnie się zmienił? Jak to się stało? Czy

to było tylko kłamstwo, które miało zwabić mnie W pułapkę?

- Susie, on już nie jest częścią twego życia - przypomniała jej Lily. - Zaczynasz wszystko od nowa, z nową tożsamością. Jeszcze będziesz szczęśliwa...

- Czasami wydaje mi się, że wymyśliłam sobie te wszystkie okropieństwa. Jakbym była szalona.

- Oglądałaś swoją kartę zdrowia? Bo ja ją widziałam. Dwa złamane nadgarstki, pęknięta szczęka, złamany nos i kilka pękniętych żeber. Czyżbyś sobie to wszystko wymyśliła?

Susie potrząsnęła głową.

- Dlaczego mi się to przytrafiło? Przecież nie pochodzę z domu, w którym zdarzałyby się przemoc.

Zanim spotkałam Waymana, świetnie sobie radziłam. Byłam zastępcą szefa agencji reklamowej, dobrze zarabiałam, miałam cudownych przyjaciół i piękne mieszkanie. Krok po kroku wszystko mi odebrał. Kiedy się pobraliśmy, nie zostało mi już wiele. Potajemnie spotykałam się jeszcze z przyjaciółmi, i właśnie za to pierwszy raz mnie uderzył. Przestałam więc odbierać telefony i po jakimś czasie zostałam kompletnie sama, zdana na tę bestię. Jak to możliwe?

- Nie wiem - powiedziała miękko Lily. - Każdej z nas mogło się to zdarzyć, ale na pewno nie było w tym twojej winy. Musisz w to wierzyć.

- Skoro wydarzyło się raz, może się powtórzyć - kontynuowała Susie z przerażeniem w oczach. - Przeprowadzę się na inny kontynent i zacznę nowe życie po to tylko, żeby przekonać się, iż z jakiejś niewytłumaczalnej, tkwiącej w mojej psychice przyczyny takie traktowanie jest mi potrzebne...

Lily nie mogła wydobyć z siebie ani słowa, tylko mocno przytuliła Susie. Po chwili udało jej się pozbierać.

- Tak nie będzie. Sama zobaczysz, jestem o tym absolutnie przekonana. Moi przyjaciele ci pomogą. A teraz musimy już iść. Chcę być wcześniej na lotnisku, żeby dokładnie zbadać teren.

- Wiem, ile ryzykujesz. Nie rozumiem, jak zdobyłaś się na taką odwagę?

- Nonsens, chodźmy już.

Na chwilę zatrzymała się w salonie. Na sofie leżały dwa urodziwe koty. Jakby nigdy nic, spały przytulone do siebie. Poznała je. Z całą pewnością widziała je już u Johnsonów. Nie miała jednak czasu zastanawiać się, jakim cudem się tutaj znalazły. Może przyjechały z Melem... Kiedy wróci do domu, powiadomi Prestona i Rose. Będzie to dobra okazja, by zapytać o dziecko. Lecz gdy tylko otworzyła drzwi, nim zdążyła się zorientować, oba koty czmychnęły w dół korytarza.

- Widziałaś je? - zwróciła się do Susie.

- Nie są twoje?

Lily potrząsnęła głową.

- Nawet nie wiem, do kogo należą. Trzeba jednak przyznać, że sprytu im nie brakuje.

- Dziwne. - Susie uśmiechnęła się niepewnie. Lily wzięła walizkę i obydwie zeszły do samochodu.

Wreszcie zaczynam rozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. Sądzę też, że i Klotyldzie coś powoli świta. A więc Dawid nie jest niechcianym dzieckiem, tylko biedna Susie nie miała innego wyjścia. Źle ją na początku oceniłem. Musiała oddać małego w dobre ręce, żeby go chronić przed własnym ojcem. Ależ

ludzie potrafią być okrutni, nawet w stosunku do własnych dzieci! Klotylda oczekuje ode mnie, że postąpię rozsądnie, ale historia jest bardziej zawiła, niż myślałem. Najpierw trzeba wrócić do domu, aby upewnić się, że mały jest bezpieczny. Coś mi się nie wydaje, żeby Wayman Bishop zrezygnował z odnalezienia żony i dziecka. Jestem pewien, że przeczesa całe miasto, dzielnicę po dzielnicę, budynek po budynku. Na szczęście Susie już wkrótce będzie daleko stąd. Tam ma szansę na normalne życie, bez strachu. A co będzie z Dawidem? Bo przecież to jest największy problem Klotyldy. Z całą pewnością Rose i Preston będą z każdym dniem coraz mocniej związani ze swoim przybranym synkiem. Już teraz szaleją na jego punkcie. Ale tak naprawdę Susie wcale nie chciała go zostawić. Czy kiedyś powróci, by go odzyskać?

Na to pytanie nawet kot-detektyw Kumpel nie znał odpowiedzi. Co wówczas zrobią Preston i Rose? To ich zabije! Kumpel poczuł się bezradny. Nie miał pojęcia, co należało uczynić w tej sytuacji. Zauważył jednak z niesmakiem, że jego czarne, eleganckie futro jeżyło się, gdy myślał o Johnsonach. Podejrzana sprawa. To prawie tak, jakby kocia intuicja podpowiadała mu, że Już niedługo wydarzy się coś złego.

Zwykle bieganie go uspokajało, dzisiaj jednak było inaczej. Gdy wrócił do domu, jego myśli nadal nerwowo krążyły wokół tej dziwnej historii. Wziął prysznic, ubrał się i zszedł do samochodu. Jakaś niewytłumaczalna siła pchała go do przodu, w kierunku dzielnicy, w której mieszkali Preston i Rose. Nie, nie chodziło o nich, ale o dziecko. Nie mógł się uwolnić od

dręczącego przekonania, że nie jest to zwykła, banalna historia, z jakimi miał do tej pory do czynienia. Dobrych ludzi umiał wyczuć na kilometr. A więc czemu krążył wokół domu Johnsonów jak sęp? Nie miał pojęcia, lecz jego intuicja podpowiadała mu, że będzie tam potrzebny. Było to niczym nieoparte przecucie, głos wewnętrzny, który zdawał się przeczyć wszelkiej logice. Nie wiedzieć dlaczego Mel zaparkował przed ich domem, lecz wszystko wydawało się być w absolutnym porządku. Jeszcze raz ruszył w dół ulicy, zastanawiając się, dlaczego przed chwilą czuł się tak, jakby miał wyskoczyć z własnej skóry?

- Klotyldo, spójrz! Mel Haskin!

Czego szuka tu ten detektyw? Czemu krąży po okolicy? Oj, coś mi się wydaje, że ten facet wpakuje się w poważne kłopoty. Poprosiłem Klotyldę, żeby weszła do środka. Z jaką gracją się porusza i jakie lśniąca ma futerko... Świetnie! Znikła za drzwiami biblioteki. Tam jest bezpieczna. Sam zostałem jednak na zewnątrz. Mam jakieś złe przecucia. Ale, ale... dlaczego z takim impetem zatrzęsła drzwi? Czy słyszałem trzask przekręcanego klucza w zamku, czy mi się coś przyśniło? Uwaga, wchodzę! Ale jak? Drzwi są przecież zamknięte, a przez szybę niewiele widać. O rany! A to co? Czemu ten facet ma na twarzy maskę i trzyma pistolet wymierzony w Rose?

Lily cały czas bacznie obserwowała halę lotniska i otaczających ich ludzi. Trzymały się blisko siebie. Jak zwykle panował tu tłok i harmider. Na szczęście kolejka do odpraw międzynarodowych była krótsza niż

w dni powszednie i wszystko poszło jak z płatka. Susie nawet nie zająknęła się, wypowiadając swoje nowe nazwisko. A teraz stała już po drugiej stronie. Lily była z niej dumna. Dochodziła trzecia. Za chwilę będą wzywać pasażerów do wyjścia. Czuła, jak sztywnieje jej kark i ramiona. Była zdenerwowana. Marzyła o tym, by mieć to już za sobą. Doskonale wiedziała, że Wayman wszędzie ma swoje macki i że jednym ruchem ręki mógłby zniszczyć i ją, i Susie. Dopiero teraz obleciał ją strach. Może dlatego, że nie było przy niej już Susie i nie musiała grać roli tej silniejszej. Jeszcze raz spojrzała na przyjaciółkę. Susie zdawała się być zajęta oglądaniem wiadomości na ekranie jednego z telewizorów. Dopiero po chwili dostrzegła przerażenie malujące się na jej twarzy, a potem usłyszała przerażający krzyk. Co sił w nogach pobiegła w jej kierunku. Spojrzała na ekran. Natychmiast poznała dom Johnsonów. Obraz skakał przed oczami, gdyż operator biegł z kamerą za jednym z policjantów. W tle widać było z tuzin innych gliniarzy, gotowych do oddania strzału. Zauważyła też Mela Haskina. Stał na samym środku podjazdu, a jego twarz wyrażała troskę. Podniósł do ust megafon:
- Dom jest okrążony! Nie macie szans! Proszę wyjść na zewnątrz z podniesionymi rękami!
W odpowiedzi do uszu Lily dobiegła szybka seria z pistoletu.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Klotyldo! Uciekaj! Ten potwór cię zabije! - Muszę dostać się jakoś do środka. Już wiem, wskoczę przez okno. - Miaaaau! - Dźwięk tłuczonego szkła i moje dzikie miauknięcie zwróciły uwagę zamaskowanego mężczyzny. Najważniejsze, że jestem już w środku. Wygrzebałem się spod kawałków szkła i pobieżnie rzuciłem okiem na moje futro. Na szczęście nic poważniejszego mi się nie stało. Może by tak wczepić się w udo napastnika? Będę zbyt blisko, żeby zdecydował się do mnie strzelać. Mam go! Niech zakosztuje moich zębów i pazurów! Udało się! Zawył z bólu, a teraz tańczy jak szalony na jednej nodze. Ale ja nie popuszczę, o nie! - Masz za swoje, ty zbóju! - miauknąłem z satysfakcją. W tej chwili dostrzegła mnie Klotylda. Zrozumiałem, że chce mi ruszyć na pomoc. - Nie! - syknąłem. - Zostań tam, gdzie jesteś... - Ale było już za późno. Jak tygrysica wbiła się w jego drugie udo. O rany, co za kotka... - A teraz chodu, prędko pod sofę! Ale co to? Ten zbój to zwykły tchórz. Patrzcie go, jak ucieka! O, już biegnie przez ogród. Gliny strzelają do

niego, ale jakoś im to nie wychodzi. Ups! Przeskoczył przez płot i zniknął. Najważniejsze, że mojej Klotyldzie nic się nie stało. Dobra, idę poszukać Rose i dziecka. Co to za huk? Aha, to nasz detektyw wpadł jak strzała przez frontowe drzwi. Trzyma przed sobą wyciągnięty pistolet i rozgląda się uważnie. - Miau! - trochę za późno.

Mel machnął ręką na policjantów stojących przed domem. Z salonu dobiegło go ciche łkanie. Wszedł do Środka. To Rose siedziała na sofie z twarzą ukrytą w dłoniach i płakała. Po napastniku nie było już śladu.

- Czy jest pani ranna?

- Nie, wszystko w porządku... dzięki Kumplowi I Klotyldzie. - Podniosła głowę i wskazała na koty. - To one go wypłoszyły.

Spojrzał w kierunku otwartych do ogrodu drzwi. Właśnie wchodzili przez nie dwaj oficerowie.

- Przeskoczył przez mur. Jim i Stan pobiegli za nim.

- Jeśli ucieknie... - Nie skończył zdania. Nie musiał tego robić. Dobrze wiedzieli, co ich wtedy spotka.

- Gdzie jest dziecko? - zwrócił się do Rose. Wzięła głęboki oddech i wyprostowała się.

- Preston pojechał z Dawidem do doktora McAdamsa. Chcieliśmy, żeby zbadał Dawida przed jutrzejszym przesłuchaniem w sądzie. Kevin McAdams jest naszym przyjacielem.

Więc dziecko było bezpieczne. Mel poczuł wyraźną ulgę. Dopiero teraz spokojniej rozejrzał się po mieszkaniu. Obejrzał wybite okno. Czarny kocur siedział na podłodze i wylizywał sobie łapę.

- A okno? - zapytał nagle.

- To Kumpel wpadł przez nie jak kula armatnia - powiedziała Rose z wyraźnym uwielbieniem w głosie.

- Uratował nas! Klotyldę i mnie. Ten wariat strzelał do mojej kotki. Krzyczał, że zabije najpierw ją, a potem mnie! - Rose zaczęła płakać.

Mel spojrzał zaskoczony na oba koty. Przecież jeszcze godzinę temu były po drugiej stronie miasta. Wiedział, że nie należały do Lily, ale jakim cudem zdążyły tutaj dotrzeć? Jeszcze jeden dziwny element tej historii. Usiadł obok Rose i ujął jej lodowatą dłoń.

- Już go nie ma. Proszę się uspokoić. Jeśli mamy go złapać, potrzebujemy pani pomocy.

- Oczywiście.

- Zadzwoń do pani męża?

- Nie, proszę tego nie robić. W sumie nic mi nie jest. Zaraz się pozbieram.

- Dobrze, na chwilę zostawię panią w spokoju. Podszedł do policjantów, oczekujących na rozkazy i polecił przeszukać resztę domu. Potem wrócił do Rose.

- Czy napastnik był sam?

- Tak. To tylko czysty przypadek, że nie pojechałam z Prestonem i z Dawidem do lekarza. Miał się tu zjawić dekorator wnętrz. Kiedy więc zadzwonił dzwonek, zamiast zapytać, kto przyszedł, po prostu otworzyłam drzwi. Wiem, to było bardzo głupie z mojej strony.

- Z przerażeniem dotknęła ręką ust.

- Ale kto może przypuszczać, że w niedzielne popołudnie wtargnie do jego domu uzbrojony napastnik? - próbował podtrzymać ją na duchu Mel. - Proszę mi dokładnie opowiedzieć, jak to się stało.

- No więc, tak jak mówiłam, ktoś zadzwonił do drzwi, a ja, nie pytając co i jak, otworzyłam. Był zamaskowany i popchnął mnie tak mocno, że się

przewróciłam. A potem zamknął za sobą drzwi na klucz.

Rose miała szczęście. Tacy przestępcy zwykle nie przejmowali się nawet tym, że właściciele są w domu. Zupełnie nie szanowali ludzkiego życia. Jeszcze raz zerknął na liżącego futerko kota. Dałby sobie głowę uciąć, że to ten sam, którego widział u Lily. Przez moment zdawało mu się, że kocur spojrzął na niego jakoś... porozumiewawczo. Powrócił do rozmowy z panią Johnson.

- Czy ten człowiek odezwał się do pani? Byłoby łatwiej trafić na jego ślad, gdybyśmy wiedzieli, czego chciał. Ukradł coś?

- Ukradł? - Rose popatrzyła na niego ze zdziwieniem. - To nie był złodziej. Przyszedł tu po Dawida.

- Po Dawida? - Mel poczuł, jak żołądek zawiązuje mu się w supeł. Od początku ta historia z dzieckiem wydawała mu się bardzo zagmatwana.

- Od razu zapytał: „Gdzie jest dziecko?”.

- I co mu pani powiedziała? - Starał się opanować drżenie głosu. Przez moment sądził, że nie zdawała sobie sprawy, jak ważne było to, co mu już przekazała.

- Zapytałam, o jakie dziecko mu chodzi.

Miał ochotę ją uściskać. Zadziałał tu matczyzny Instynkt. Dawid miał szczęście w nieszczęściu, że trafił do tych właśnie ludzi.

- Świetnie! A co stało się potem?

- Złapał mnie za włosy i zaczął krzyczeć. - Oczy Rose wypełniły się łzami. Wzięła głęboki oddech i udało jej się nad sobą zapanować. - Wrzeszczał, żeby oddać mu dziecko, i że jeżeli tego nie zrobię, to mnie zabije, a dziecko i tak zabierze.

- Co pani mu na to powiedziała?

- Powiedziałam, że nie ma tu żadnego dziecka, i że jak chce, może przeszukać cały dom. Na szczęście po Dawidzie nie było żadnych śladów, bo pan przecież zabrał kosz i kocyk. Tak więc nie znalazłby nic, co wskazywałoby na to, że Dawid w ogóle tu kiedykolwiek był.

- Przeszukał dom?

- Przyłożył mi do pleców pistolet i kazał oprowadzić się po całym domu.

Mela wypełniła nagła wściekłość. Nie chciał zrobić niczego, co mogłoby dodatkowo przerazić Rose, ale wiedział, że tego gościa, gdy tylko dostanie się w jego ręce, czeka marny los.

- Zatem jest pani pewna, że nie znalazł żadnego śladu obecności dziecka?

Po raz pierwszy się uśmiechnęła.

- Żadnego. - Lecz już za chwilę uśmiech znikł z jej twarzy. - Upierał się, że dziecko było w tym domu i że zniszczy mnie i tych wszystkich, których kocham, jeżeli nie powiem mu, gdzie jest mały.

- Znał jego imię?

Rose zamyśliła się na chwilę.

- Nie, raczej nie. Wyglądało na to, że nawet nie wie, czy to dziewczynka, czy chłopiec.

- Interesujące... A zatem napastnik najpewniej nie znał płci dziecka. To cenna wskazówka. - Dzięki Bogu, anielska Lily nie opublikowała jeszcze żadnego artykułu na temat tego wydarzenia.

Spojrzał na Rose, która wciąż nie mogła się pozbierać. Podeszedł więc do barku i nalał jej małą szklaneczkę bourbona.

- Proszę to wypić. Tak dla kurazu. - Uśmiechnął się. Naprawdę podziwiał Rose, była zupełnie wyjątkową kobietą. - A co było później?

- Byliśmy tutaj w salonie z moją kotką Klotyldą. To Ca biała. - Wskazała na koty siedzące na podłodze. - Ten człowiek kazał nam tu wejść, a potem zatrzasnął za sobą drzwi. Wycelował w Klotyldę i powiedział, że ją zastrzeli, Jeśli natychmiast nie powiem, gdzie jest dziecko.

Mel nie musiał dalej pytać. Wiedział, że nie pisnęła ani słówka.

- Nic nie powiedziałam, więc zaczął strzelać. A potem nagle rozległ się huk i Kumpel, ten czarny, wpadł przez okno jak pocisk i uczeplił się nogi tego faceta.

- Pani Johnson, czy te dwa koty były tutaj cały dzień? - zapytał, choć zdawał sobie sprawę, że brzmi to dość dziwnie. Utwierdziło go w tym zaskoczone spojrzenie Rose.

- Myślę, że tak. A dlaczego pan pyta?

Milczał. Nie bardzo wiedział, jak to wytłumaczyć. Jeszcze raz przyjrzał się kociej parze. Wokół czarnego kota widoczne były ślady krwi. Wstał i podszedł do niego.

- Powinniśmy zająć się Kumplem. Krwawi - powiedział najspokojniej, jak potrafił.

- O Boże! - wykrzyknęła Rose, podbiegając do kota. - Proszę podać mi telefon. Właściciel Kumpla jest weterynarzem. Mieszka obok.

Mel wyciągnął w jej kierunku rękę z komórką i po chwili Rose była już pochłonięta krótką opowieścią na temat całego zajścia. Poprosiła weterynarza, żeby natychmiast przyszedł.

- Już idzie - wyrzuciła z siebie z ulgą.

- Miau... - mruknął Kumpel.
- Duża jest ta rana? - zwróciła się do Mela.
- Tego nie wiem. Może lepiej go nie dotykać, skoro za chwilę zjawi się lekarz. - Schylił się jednak, by wstępnie ocenić sytuację. - Wygląda na to, że to rana cięta, a nie od kuli. Jak na tak szaleńczy skok, prawie mu się upiekło.
- Dzięki Bogu i za to - powiedziała Rose, wychodząc z pokoju. Po chwili wróciła z kilkoma czystymi ściereczkami. - Może uda się zatamować krwawienie, zanim przyjdzie Peter. - Wzięła Kumpla delikatnie na ręce i ułożyła sobie na kolanach. Klotylda wskoczyła na sofę i poczęła lizać pyszczek swojego przyjaciela. - Ona dobrze wie, kto uratował nam życie. - Mówiąc to, niepewnie zerknęła na Mela.

W innej sytuacji zapewne nie brałby tych słów poważnie, ale zachowanie kotów było co najmniej nietypowe. Wyglądało na to, że wszystko rozumieją, a ten czarny był wprost zadziwiający. Mel dałby sobie uciąć prawą rękę, że Kumpel z całą premedytacją staranował szybę w oknie, a lewą, że były to te same koty, które widział w mieszkaniu Lily Markey. Tak więc przemierzyły miasto wzdłuż i wszerz w ciągu kilku godzin. To wprost niesłychane!

- Te zwierzęta są po prostu niesamowite! - dodał z przejęciem.
- Tak, panie poruczniku. Nawet nie zdaje sobie pan sprawy, jak bardzo.

Już o tym wiedział, lecz nie było czasu na dalszą wymianę poglądów, bo do pokoju wpadł właśnie Peter Curry.

A więc tak to jest, być rannym bohaterem. Wpraw-

dzie rana trochę boli i szczypie, ale w sumie nic Wielkiego mi się nie stało. Nie będę jednak psuł sobie zabawy, zwłaszcza że jest wyśmienita. No i jak mnie wielbi Klottylda! Za chwilę chyba już nic nie zostanie z mojego pyszczka... I te słodkie pomrukiwania... Jakaż to cudowna muzyka dla moich uszu. Czuję się co najmniej jak John Wayne, filmowy bohater. Szkoda, że zaraz się wyda, iż nie jestem w poważnym niebezpieczeństwie i cały czar pryśnie. A potem zabiorą mnie do domu i będę miał zakaz wychodzenia na dwór. Już to widzę. Mam nadzieję, że Peter nie wpadnie na pomysł, by założyć mi szwy. Nienawidzę tego. Zresztą, kto to lubi? Wszyscy czekają z prawdziwym niepokojem na werdykt mojego pana. Nawet detektyw jest zmartwiony. A można by pomyśleć, że to taki twardziel. Chyba niełatwo go rozgryźć. Świetnie, Peter stwierdził, że nie zdechnę. Wielka mi nowina. Sam to wiedziałem. Ale co to, zbzikował? Nie chcę tego kłującego lekarstwa! Au, boli! Ale nie wypada mi się wyrywać. To zepsułoby przecież mój wizerunek bohatera. Peter uśmiechnął się do mnie. Dobrze wie, że tego nie lubię. Wykorzystuje niedogodną dla mnie sytuację, wiedząc, że inaczej dawno już bym zwiął. Policzę się z nim później. A teraz niech wreszcie powiedzą coś o tym zamaskowanym potworze. Mam nadzieję, że go złapali. Nie życzę mu, żeby dostał się w moje pazury... W końcu strzelał do mojej kobiety!

Przyciskając gaz do dechy, Lily pobiła przypuszczalnie wszystkie dotychczasowe rekordy w przekraczaniu dozwolonej prędkości. Obok niej siedziała zrozpaczona Susie. Była o krok od utraty zmysłów.

- To wszystko moja wina! Jak mogłam porzucić mojego synka i uciec? - zawodziła nieustannie.

Na początku Lily próbowała z nią dyskutować, lecz w końcu zrezygnowała. To nie miało sensu. Gdy dojeżdżały, rzuciła jednak twardo:

- Ty nie możesz tam wejść. Wiesz o tym.

- Chcę zobaczyć moje dziecko! - łkała Susie.

- Nie! Nie ma mowy - rzuciła szorstko Lily. - Wejdę do środka i zobaczę, co się stało - powiedziała już nieco łagodniej. - Masz. - Podała jej swój telefon komórkowy. - Zadzwoń do ciebie, gdy tylko będę coś wiedziała. Z pewnością wszystko jest w porządku i niepotrzebnie się denerwujemy.

Jednak tak naprawdę wcale nie była tego taka pewna. Co mogło spowodować atak na dom Johnsonów, jeśli nie historia z Dawidem? Ten drań jakimś cudem odkrył ich plan i wysłał kogoś, żeby odbił dziecko. Skąd miał pewność, że Dawid jest jego synem?

Lily zaparkowała samochód.

- Susie, odjedź kilka ulic dalej i czekaj. Zadzwoń do ciebie.

- Dobrze - powiedziała i wślizgnęła się za kierownicę.

- Mogę na ciebie liczyć? - zapytała jeszcze raz Lily, obawiając się, że przyjaciółka mogłaby zrobić coś nieprzewidywalnego.

- Tak. Zrobię, co powiedziałaś, ale jeżeli Dawidowi coś się stanie, zabiję tego drania. Lily, ja go zabiję! Zastrzelę go jak psa. Dawno już powinnam była to zrobić.

- Uspokój się, małemu na pewno nic się nie stało. Zobacz, ile tu policji.

Cały teren był obstawiony. Na szczęście Lily miała swój identyfikator, dzięki któremu wmieszała się w tłum reporterów. Z tego, co zdążyła się zorientować, wynikało, że do środka nie udało się wejść

żadnemu z nich. Lecz ona musiała się tam jakoś dostać. Przy drzwiach zatrzymał ją policjant, który nawet nie chciał iłuchać jej wyjaśnień.

- To niemożliwe. Otrzymałem wyraźny zakaz wpu-izczania kogokolwiek. Inaczej porucznik Haskin urwie mi głowę.

- Mel jest w środku? - Ta informacja wręcz ją sparaliżowała.

- Oczywiście. Zajmuje się tą sprawą.

- Proszę, powiedz mu, że Lily Markey czeka na niego - zdecydowała nagle. - Znam tę sprawę i mogę mu pomóc.

Policjant spojrział na nią z niedowierzaniem.

- Nie, nie, nic z tych rzeczy - wyjaśniła Lily. - Zaczekam przed domem i nie będę nawet zaglądać przez drzwi, a jeśli Mel nie wyrazi zgody, grzecznie stąd odejdę.

Zerknął raz jeszcze na nią spod oka, potem na zgraję reporterów, którzy przypominali watahę dzikich, wygłodniałych wilków i wszedł do środka, mówiąc:

- Dobrze, zapytam go.

Czekała w napięciu, nerwowo zastanawiając się, co powinna mu powiedzieć, a co zachować dla siebie. Ku jej zaskoczeniu po chwili w drzwiach pojawił się Mel.

- Sądziłem, że zrezygnowałaś z tej historii.

- Go z dzieckiem? - Nie potrafiła udawać chłodnej reporterki.

Milczał jakiś czas i już była pewna, że nie powie ani słowa, gdy nagle jego twarz złagodniała, a na ustach zagościł niemal niedostrzegalny uśmiech. Poczowała dziwny

związek z tym facetem, choć przecież prawie wcale go nie znała.

- Wszystko w porządku - odparł krótko.

- Możesz mnie wpuścić? Proszę... Zauważyła, że się waha. Zaskoczył ją, gdy po chwili uchylił drzwi i zaprosił do środka. Zanim stłoczeni dziennikarze zdążyli wykonać choćby najmniejszy ruch, szybko znów je zamknął.

- Z pewnością będę musiał za to zapłacić - rzucił Mel z nieukrywaną pretensją w głosie. — Ale, jak się domyślasz, oczekuję czegoś w zamian - dodał, wprowadzając ją do salonu. Miał już gotowy plan.

- Ciekawe, co to będzie...

Spojrzała na Rose Johnson, siedzącą na sofie obok weterynarza. Ach, to Peter Curry. Był tu wtedy, przypomniała sobie Lily. Na kolanach trzymał dużego, czarnego kota, owiniętego bandażem.

Mel położył jej rękę na ramieniu.

- Rozegramy to tak: uznamy sprawę za zwykłe włamanie. Złodziej wdarł się do środka, zastraszył właścicielkę i chciał ukraść wszystko, co wartościowe. Ani słowa o dziecku. Żaden z tych dziennikarzy nie ma prawa ąię o nim dowiedzieć. Musisz przyrzec...

- Jasne. - Kiwnęła głową. To było rozsądne rozwiązanie. - Masz moje słowo. Nikomu nawet nie wspomnę o Dawidzie.

Ręka Mela spoczywała wciąż na jej ramieniu, a teraz nagle się zacisnęła. Spojrzał jej prosto w oczy.

- Chcę, żebyś powiedziała mi prawdę. Wiesz dużo więcej, nie udawaj więc głupiej. Powiedz, zanim będzie za późno, zanim stanie się coś strasznego. Nie masz prawa działać na własną rękę, stawka jest zbyt

wysoka. - Wiedział, że trafił w czuły punkt. Dostrzegł w jej zielonych oczach strach i poczucie winy.

- Co się tutaj właściwie stało? - zapytała, próbując ukryć zmieszanie.

- To nie nadaje się do druku. Pamiętaj - uciał krótko.

Nigdy nie ufał reporterom, lecz wiedział, że Lily pyta nie jako dziennikarka. Była zaangażowana w tę sprawę osobiście. Opowiedział jej z grubsza, co zaszło, a na osłodę dodał niezwykłą historię o kocie.

- Wiesz, to są te same koty, które widziałem dzisiaj rano w twoim mieszkaniu.

I ona je rozpoznała.

- Ale... jak one się tu dostały?

- Myślałem, że może ty znasz odpowiedź na to pytanie.

Pokręciła głową.

- To coś, czego naprawdę nie rozumiem.

Ujął ją pod ramię i poprowadził korytarzem w stronę biblioteki.

- Dawid jest bezpieczny. Nie musisz się obawiać. A teraz oczekuję kilku informacji od ciebie. Nie masz prawa milczeć, bo od tego może zależeć życie tego dziecka.

Lily rozejrzała się po pokoju. Nie było drogi ucieczki. Mel zachęcającym gestem wskazał kanapę.

- Usiądź, porozmawiamy sobie.

- Nie mam ci nic do powiedzenia — syknęła, ale grzecznie usiadła.

- Nie masz, czy raczej nie chcesz?

- A co to za różnica? Mogę zadzwonić?

- Nie żartuj sobie. Oczekuję, że odpowiesz mi na

kilka pytań. - Ależ ona potrafi być bezczelna. Teraz zachciało jej się telefonować.

- Proszę, tylko na moment. To bardzo ważne.

- Ale krótko...

Patrzył, jak przemierza pokój. Była piękną kobietą, a do tego poruszała się jak bogini. Podniosła słuchawkę, po czym spojrzała na niego błagalnie.

- Mogłabym zostać sama?

Miał ochotę odmówić, ale doszedł do wniosku, że również w jego interesie będzie, jeśli wyjdzie.

- Zobaczę, może pani Johnson proponuje nam drinka.

- Wspaniale.

Wyszedł z pokoju, ale nie udał się do Rose. Stał pod drzwiami i słuchał. Rozumiał każde słowo.

- To ja - powiedziała. - Dawid jest bezpieczny. Nie było go w czasie napadu w domu. Czeka na mnie.

Zanim stąd wyjdę, zadzwonię do ciebie. Podjedziesz po mnie. - Zawiesiła na chwilę głos. - Wszystko jest w porządku. Ktoś się po prostu włamał, ale nie martw się. Nikomu nic się nie stało. Przysięgam!

Zaczekaj w samochodzie. - Odłożyła słuchawkę.

Mel pospieszył do salonu, aby przygotować obiecane drinka. A więc jeszcze ktoś martwił się o małego. I tym razem była to z pewnością jego matka. Osoba, której szukał.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Mel właśnie nalewał do szklaneczek bourbona, gdy poczuł na nodze ostre kocie pazury. Spojrzał w dół. Czarny kot wlepił w niego swoje nieprzeniknione, Zielone oczy.

- O co chodzi? - zapytał Mel, bacznie się przy tym rozglądając, czy nikt nie widzi, że rozmawia z kotem. Wyglądało na to, że ten dziwny zwierzak potrafi czytać w Jego myślach. Był zupełnie jak nie z tego świata.

- Miau...

Jego głos zabrzmiał jak skarga lub może pretensja. W Melu obudziło się poczucie winy. Był niemal pewien, iż Kumpel wiedział, że podsłuchiwał rozmowę Llly.

- To moja praca, stary. Jeżeli oczywiście o to ci chodzi. Sam rozumiesz, jakie to ważne. Ona nie powinna w tej sprawie niczego przede mną ukrywać, bo to może nas wszystkich wiele kosztować. Za wszelką cenę muszę wyciągnąć z niej te informacje. - Jeszcze raz rozejrzał się dookoła. Co za idiotyczny pomysł, żeby rozmawiać z kotem.

Kumpel cały czas nie spuszczał go z oczu. W końcu powolnym ruchem pokręcił głową, jak gdyby chciał powiedzieć „nie”. Mel otrząsnął się. Musiał mieć jakieś zwidy. Zdecydowanie potrzebował drinka. Bardziej od Lily. Skierował się w stronę drzwi. Rose i weterynarz pochłonięci byli rozmową, a w korytarzu dwóch policjantów pobierało odciski palców. Sytuacja zdawała się być w pełni opanowana.

Lily, do której przytulona była biała kotka, spokojnie siedziała na sofie. Wyglądała jak uosobienie niewinności. Patrzył na nią, zauroczony tym widokiem. Dostrzegł na jej zielonych tęczęwkach drobne brązowe plamki.

- Czemu tak mi się przyglądasz?

Mel odwrócił wzrok i zauważył, że czarny kot wsunął się za nim do pokoju.

- Przepraszam - wyjąkał. - Ja tylko... - Nie mógł przecież powiedzieć, że na moment utonął w głębinie jej oczu. - Ja tylko zastanawiałem się po raz kolejny, dlaczego tak bardzo interesujesz się tą sprawą. Tłumaczyłby cię trochę fakt, że Preston jest wziętym prawnikiem, ale... jakoś mnie to nie przekonuje. Jego nazwisko nigdy nie pojawia się na łamach prasy politycznej.

- Nie wiem, dlaczego tak się czepiasz? To też nie jest typowa historia dla ciebie.

- Po dzisiejszym ataku na panią Johnson, jak najbardziej.

Jej twarz nagle spoważniała. Wiedziała dużo więcej, niż się spodziewał. Musiał to z niej wyciągnąć, im prędzej, tym lepiej. W przeciwnym razie ta afera naprawdę skończy się jakimś morderstwem.

- Powiedz, czy napastnik groził pani Johnson?

- Pozwól, że to ja zapytam pierwszy. Jesteś tu jako dziennikarka, zajmująca się tą historią, czy też z jakiegoś innego, osobistego powodu? - Chciał wreszcie poznać motyw jej działania. - Jaki masz w tym Interes? Czy chodzi ci o Johnsonów? - Zawiesił na chwilę głos. - Czy może o Dawida, co zresztą wydaje mi się bardziej prawdopodobne... Dlaczego interesujesz się właśnie tym dzieckiem? Co zresztą dowodzi jednego, a mianowicie, że jest to bardzo szczególne niemowlę.

Widział, jak się zastanawia. Przez ułamek sekundy łudził się, że wreszcie dowie się prawdy. Lecz gdy spojrzała na niego, poczuł zimny dreszcz.

- Pracuję nad pewnym tematem - powiedziała z namysłem. - Jeszcze nie wiem, czy w ostatecznym opracowaniu wykorzystam te zdarzenia, choć wcześniej miałam taki zamiar. Wybacz, ale nie mogę ci więcej wyjaśnić.

Był rozczarowany, choć w gruncie rzeczy nie liczył, że Lily wyzna mu całą prawdę. To tak, jakby wierzył w świętego Mikołaja.

- Musisz obiecać, że żaden ze szczegółów, o których się tutaj dowiedziałas, nie wydobędzie się poza mury tego domu.

- Jasne. Obiecuję.

Kiwnął głową. Wiedział, że mógł wierzyć jej słowom. Kątem oka dostrzegł, że i kocur, jakby z aprobatą, kiwa głową. Czyżby ten cholerny zwierzak zgadzał się z nim?

- Uporządkujmy więc szczegóły - zaczął, ignorując kota. - Napastnik wdarł się do domu i zażądał

pieniędzy oraz cennych przedmiotów, co miało związek z niedawno emitowanym programem telewizyjnym na temat kolekcji dokumentów historycznych, która jest w posiadaniu Johnsonów.

- OK, nie ma sprawy.

- Jednak dokumenty są w sejfie bankowym - kontynuował Mel - a kiedy pani Johnson poinformowała o tym napastnika, zaczął się miotać, stał się brutalny i krzyczał, że ją zabije. Wtedy zjawiliśmy się my, a bandyta przestraszył się i uciekł.

- Miau! - Głośne i przeciągłe mruczenie przerwało jego wywód. Czarny kot stał obok urodziwej kotki i łapą głaskał ją po pyszczku.

- Co się dzieje? - spytała zdziwiona Lily.

- Miaaau! - ponownie rozległo się przeciągłe miauczenie, któremu natychmiast zawtórowała biała kotka.

- A no tak, zapomniałem o najważniejszym. Kiedy napastnik strzelał do kocicy, czarny kot o imieniu Kumpel wskoczył do środka przez zamknięte okno, rozbijając przy tym szybę, i rzucił się na napastnika, czym spowodował ucieczkę drania. - Poczul się jak idiota, gdy zrozumiał, co powiedział. Wyglądało na to, że wierzył, iż kot mógł zachować się w taki właśnie sposób. Niby okno rzeczywiście zostało wybite i Rose Johnson zaklinała się na wszystkie świętości, że tak właśnie było, lecz Mel jakoś nie potrafił przekonać się do tej wersji. Nie wierzył w kocich ratowników, świętego Mikołaja, zajączki wielkanocne i w kobiety, które działają bez planu.

- To niesamowite... - Lily delikatnie podniosła czarnego kota i posadziła go sobie na kolanach.

Zwierzę polizało ją po dłoni, a potem szturchnęło nosem. - No,

tak... - Uświadomiła sobie, że popełniła błąd i szybko schyliła się po białą kotkę. - Ona też jest bohaterką, prawda?

- Na serio wierzysz, że kot mógł coś takiego zrobić? - zapytał zaskoczony Mel. To niemożliwe, aby tak rzeczowa kobieta, za jaką miał Lily, brała poważnie podobne banialuki.

- Oczywiście, że wierzę. Koty są niezwykle inteligentne. Wbrew obiegowym opiniom, kiedy są naprawdę bardzo przywiązane, potrafią być także niezwykle lojalne. A one najwyraźniej szczerze kochają Rose.

- Miau... - zamruczała Klotylda miękko.

- Tak, a ja jestem kotem w butach. - Mel wzruszył ramionami.

- Wierzysz czy nie, fakty są faktami. Dlaczego on ma na sobie ten bandaż? Ten drań go postrzelił?

- Nie, zranił się, przeskakując przez okno, ale na szczęście to nic poważnego. Na dodatek jego właściciel jest weterynarzem.

- Prawdę mówiąc, już same koty są doskonałym materiałem na ciekawą opowieść, jeżeli...

- Jeżeli ktoś jest pisarzem lub poszukiwaczem sensacji - pozbawił ją złudzeń.

- To właśnie miałam na myśli - powiedziała z uśmiechem. - Gdybym nie zajmowała się polityką, na pewno wykorzystałabym ten materiał. A tak naprawdę, czego ten napastnik chciał? Co mówił?

Doskonale zdawał sobie sprawę, że pragnęła całym sercem, by ten łajdak okazał się pospolitym rabusiem. Chodziło jej wyłącznie o bezpieczeństwo małego Dawida. Musiał dobrze rozegrać tę partię.

- Nie rób z siebie idiotki. Doskonale wiesz, że to

nie był zwyczajny napad rabunkowy. - Zobaczył, jak cała krew odpływa jej z twarzy. - Chodziło o podrzucone dziecko. Za wszelką cenę ktoś chciał odebrać małego Dawida.

- Czy... - głos Lily załamał się. - Czy Rose byłaby w stanie zidentyfikować napastnika?

- Miał na twarzy maskę.

- Czy wyraźnie mówił o dziecku, czy to tylko domysły?

Zobaczył w jej oczach paniczny strach. Współczuł jej. Teraz miał całkowitą pewność, że to nie przyszły artykuł sprowadził ją do tego domu.

- Chodziło mu wyłącznie o dziecko. Groził, że jeśli Rose go nie odda, pozabija wszystkich, których kocha, a na końcu załatwi ją. Na dowód zaczął strzelać do kota.

- Do diabła... - Lily opuściła głowę. Po chwili uniosła ją do góry. W jej oczach znowu zagościła nadzieja. - Ale twoi ludzie złapią go?

Mel zacisnął dłonie w pięści.

- Nie wiem. Przeskoczył przez płot i zniknął. Myślę, że jest dobrze kryty. Na pewno miał wspólnika. To poważna sprawa, Lily, dlatego lepiej byłoby, gdybyś podzieliła się ze mną swoimi informacjami. Wiem, że sporo ukrywasz przede mną.

Niemal bezwiednie podała mu prawie nienaruszonego drinka.

- Muszę porozmawiać z Rose, a potem znikam.

- Mam nadzieję, że nie do redakcji - powiedział Mel z nutą niepewności w głosie.

- Nie, przecież dałam ci słowo.

- A nad czym teraz pracujesz? Dziecko z nieprawego łóżka któregoś z polityków?

Zaskoczyło go ostre spojrzenie, które mu posłała.

- Moja historia będzie o kobietach, a nie o politykach. O kobietach poniżanych i okrutnie traktowanych, które w jakimś momencie swego życia znajdują się w sytuacji bez wyjścia.

- Czyżbyś chciała zasugerować, że istnieją takie powody, dla których matka mogłaby porzucić swoje dziecko? I co, może uważasz jeszcze, że to jest w porządku? - Natychmiast opuściły go wszystkie ciepłe

uczucia, jakie miał dla tej kobiety.

Nie miała zamiaru bronić swoich racji. Nie teraz. Za to ogarnęła ją prawdziwa wściekłość.

- Tak właśnie uważam! Na pewno w ciągu tych wszystkich lat spędzonych na ulicy zdołałeś dostrzec, że zdarzają się takie sytuacje. Pomyślałeś kiedyś, że może robi to dla bezpieczeństwa dziecka, a także by uratować siebie?

- Widziałem kobiety, które nie chcą wziąć odpowiedzialności za swoje dzieci, bo przeszkadzają im w łatwym życiu. Nie toleruję takich zachowań. Jeśli zdecydowały się urodzić dziecko, nie mają prawa pozbywać się go w ten sposób. Nie mogę zaakceptować takiego rozwiązania.

Lily patrzyła na niego, jakby był przybyszem z Marsa. W oczach miała lęk oraz bezgraniczne zdziwienie i rozczarowanie. Jego także zaskoczyła i rozwścieczyła własna reakcja. Powinien był nad sobą panować. Cholera, dał się sprowokować. Pewnie w ten sposób Lily zdobywała materiały do swoich niezwykłych historii. A może ma gdzieś ukryty magnetofon? Ale dał się zrobić!

- Jakiś czas temu pytał pan, co mnie w tej sprawie

tak bardzo interesuje. A może siebie powinien pan zapytać o to samo? - zasyczała.

- Powiedzmy, że mam do czynienia z całą zgrają złych ludzi: złodziejami, mordercami, narkomanami. Moim zadaniem jest powstrzymać zło, zapobiec mu, jeśli to możliwe, lub przynajmniej schwytać sprawcę przestępstwa. Chciałbym, żeby tego typu zachowania nie miały miejsca, ale nie jestem władny, by to spowodować. Po wielu latach z trudem zaakceptowałem fakt, że ludzie dorośli nawzajem siebie krzywdzą, ale nigdy nie pogodzę się z tym, że krzywdzone są także małe dzieci. I nie wytłumaczysz mi, że tak być musi. Zawsze jest jakieś inne wyjście. Porzucenie dziecka, ba, noworodka, jest dla mnie przestępstwem. Nie może tu być mowy o jakimkolwiek zapewnieniu bezpieczeństwa. To naiwne i głupie.

- Dlaczego jesteś taki... - pokręciła głową. Nie potrafiła ubrać w słowa tego, co w tej chwili czuła.

- Życzę ci, abyś zrozumiał pewnego dnia, że nie zawsze istnieje lepsze wyjście. Czasami matka, porzucając dziecko, kieruje się wielką miłością i na długie lata ma z tego powodu złamane serce.

- Bardzo w to wątpię, by taki dzień kiedykolwiek nastąpił. - Mel podniósł się. - Wybacz, ale muszę iść do pracy. - Odwrócił się i wyszedł, pozostawiając ją samą.

Gdy tylko zniknął za drzwiami, złapała za słuchawkę telefonu. Susie natychmiast odebrała.

- Z Dawidem wszystko w porządku?

- Tak, już ci to mówiłam. Zaraz stąd wychodzę. Czekaaj na mnie na czwartej ulicy od domu Johnsonów w kierunku zachodnim.

- Dobrze, już tam jadę.

Odłożyła słuchawkę i w pośpiechu udała się do salonu, gdzie Rose nadal prowadziła ożywioną rozmowę ze swoim sąsiadem, Peterem Currym. Mela nie było. Nadszedł więc dobry moment, żeby zniknąć.

- Przepraszam, pani Johnson. Czy mogę liczyć na to, że gdy tylko dowie się pani czegokolwiek o napastniku, zadzwoni pani do mnie?

- Tak - odpowiedziała Rose. - Oczywiście. Domyślam się, że media będą interesowały się tą sprawą. Doceniam pani pracę i uczciwość.

- Dziękuję bardzo. Nie chcę dłużej przeszkadzać. Chyba będzie lepiej, jeśli już pójdę.

Szybko się wycofała, zanim ktokolwiek zdążył zareagować lub zadać jej jakieś pytanie. Targały nią sprzeczne uczucia. Zrobiła coś niewybaczalnego, wręcz niedopuszczalnego... Niemalże zaufała Haskinowi. Jeszcze chwila i powiedziała mu prawdę. Chciała wszystko wyznać, bo liczyła na to, że im pomoże. Lecz po tym, co powiedział, nie mogła spodziewać się po nim niczego dobrego. Zbyt dobrze pamiętała historię swojej siostry, Babs. Dziewczyna leżała w szpitalu z połamanymi kośćmi policzkowymi, trzema wybitymi zębami i ponad setką szwów na całym ciele. A to wszystko dzięki swojemu mężowi, oficerowi policji Bobiemu Raynoldsowi. Kiedy później próbowała wystąpić do sądu, gdy rozpaczliwie szukała pomocy, żaden z policjantów nie przyszedł jej w sukurs. Nie chcieli zeznawać przeciwko swojemu kumplowi. Przynajmniej tak się tłumaczyli. Lily otrzymała wtedy pouczającą lekcję na całe życie. Nie mogła zaufać

Melowi i dobrze, że mu nic nie powiedziała. Nauka sprzed lat kosztowała ją niemal życie siostry. Drugi raz nie chciała ryzykować, bo nauczyła się, że szczerść nie zawsze płaca. Sobie sama poradzi. Wiedziała już, że może liczyć wyłącznie na siebie. I będzie lepiej, jeśli cały czas będzie o tym pamiętać. Ciężko westchnęła. Wszystko się skomplikowało: Susie nie wyjechała do Anglii, a Dawidowi groziło wielkie niebezpieczeństwo. Nie miała pojęcia, co dalej robić. Nie było żadnej prostej odpowiedzi. Niezauważona wymknęła się z domu Johnsonów i szła w dół ulicy, w kierunku umówionego miejsca. Muszą gdzieś zniknąć na jakiś czas, by opracować nowy plan działania. Domyślała się, że Susie nie będzie chciała wyjechać teraz z Waszyngtonu. Niebezpieczeństwo mogło czaić się za każdym rogiem. A więc Wayman wiedział już o dziecku. Facet, który zaatakował Rose, był nasłany przez niego. Skręciła w małą uliczkę i zobaczyła swój samochód, a w nim Susie. Przyspieszyła kroku i otworzyła drzwiczki. Wsunęła się do środka, lecz czuła jakieś dziwne mrowienie na całym ciele, jakby ją ktoś obserwował. Jeszcze raz dokładnie rozejrzała się dookoła. W oddali stał zaparkowany samochód. Wyglądało jednak na to, że nikt w nim nie siedzi. Choć trudno było to ocenić, bo miał przyciemniane szyby.

- Co jest? - zapytała Susie z zaniepokojeniem. - Ktoś cię śledzi?

Zaprzeczyła ruchem głowy. Ale nie zdążyła nic powiedzieć. Nagle zza kasztanowca wyłonił się jakiś czarny kształt i wskoczył na tylną część kabrioletu.

- O Boże! - krzyknęła Lily. - Ten kot śmiertelnie mnie przeraził. - Przyłożyła rękę do serca.

- Czy na pewno wszystko jest w porządku?

- Tak, już dobrze. Znikajmy stąd jak najszybciej. Tu aż roi się od glin.

Susie przekręciła kluczyk w stacyjce i z piskiem opon ruszyła z miejsca. Tak mocno ścisnęła kierownicę, że aż pobieleły jej palce.

- Co ja teraz zrobię? Muszę odzyskać Dawida. Po co ja go oddawałam? Boże, Wayman pozabija nas wszystkich!

- Nie przypuszczam - ucieła, choć sama nie była tego taka pewna. Co zdarzyłoby się w domu Johnsonów, gdyby był tam Dawid? Może Rose i Preston już by nie żyli? - Chodziło mu tylko o dziecko - dodała po chwili. - Strzelał, by przestraszyć panią Johnson.

Susie kierując się w stronę obwodnicy, spytała.

- Dokąd jedziemy?

Oto był dylemat. Lily bała się wracać z Susie do swojego mieszkania. Jeżeli Wayman wiedział o dziecku i o Johnsonach, to z całą pewnością wiedział również, że ktoś pomógł Susie. Domyślała się, że niejeden polityk, któremu wcześniej dała się we znaki, ucieszyłby się, gdyby znikła z horyzontu. Zmienacka poczuła na plecach lekkie muśnięcie. Odwróciła się. Siedział tam czarny kot i wlepił w nią ogromne oczy. Z pyszczka wystawał mu kawałek papieru.

- No co, bohaterze? - Wzięła kartkę do ręki. Była to ulotka jakiejś nowo otwartej restauracji. Miała się specjalizować w potrawach z owoców morza. Po krótkim zastanowieniu rzuciła do Susie:

- Jedź w stronę rzeki.

Sama nie mogła uwierzyć w to, co przed chwilą powiedziała.

- W kierunku rzeki? - Susie nadal była zupełnie ogłupiała i trzęsła się ze strachu.
- Tak. Kot chce, żebyśmy pojechały nad wodę. Susie odwróciła się i spojrzała na tylne siedzenie.
- Kot?
- Miau... - zamruczał Kumpel.
- On ma rację. Musimy coś zjeść i spokojnie porozmawiać.
- Nie możemy jechać gdzieś bliżej? Nie chcę opuszczać tej dzielnicy - westchnęła Susie.

Lily delikatnie dotknęła jej dłoni.

- Nie możemy tu zostać, dobrze o tym wiesz. Wayman na pewno ma tę część miasta pod kontrolą. Jedź nad rzekę. Proszę. - Odwróciła się do tyłu i podrapała Kumpla po łepku. - Nie jestem tego pewna, ale sądzę, że on próbuje nam coś ważnego przekazać. Nieraz zdołał już udowodnić, że ma rację.
- Chcesz przez to powiedzieć, że nasz los jest w rękach kota? Przepraszam, w łapach?
- To nie jest taki zwykły kot - zapewniła ją Lily. - Pozwól, że opowiem ci, co wydarzyło się u Johnsonów. Jest prawdziwym bohaterem. Posłuchaj tylko...

Mel siedział w samochodzie i obserwował całą sytuację przez lornetkę. Razem z Lily była jakaś kobieta, ale nie rozpoznał jej. W zaroślach ukrywał się jednak jeszcze ktoś. Wyglądało na to, że jakiś fotograf, gdyż co chwila pstrykał zdjęcie. Mel miał wrażenie, że ten gość nie spuszcza Lily z oka. Śledzi ją, czy co? Na początku zamierzał jechać za kobietami i wreszcie wytropić, o co w tym

całym zamieszaniu chodzi, jednak ten gość zachowywał się nader podejrzanie. Po krótkim namyśle porucznik doszedł do wniosku, że Lily zawsze Jakoś uda mu się odnaleźć, a facet może mu zwiąć 1 już nigdy nie dowie się, kim był.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Coś mi się wydaje, że Susie potrzebuje anioła stróża. I to nie byle jakiego. Sądzę, że taki na czterech łapkach i o lśniącym futerku będzie w sam raz. Chyba nie przesadzę, jeśli powiem o sobie, że jestem istotą inteligentną, zaradną i przewidującą. No cóż, lubię moją pracę. W każdym razie zdecydowanie wolę to, niż gnuśnić w domowym zaciszu. Jednak tym razem nie będzie to łatwy orzech do zgryzienia, bowiem moje podopieczne są w dużym niebezpieczeństwie. Johnsonów będą po tym zamachu strzec jak oka w głowie, z całą pewnością Mel Haskin zadbał już o to, ale co poczną Lily i Susie? Zdaje się, że muszą zdać się na mnie. Postanowiłem, że im pomogę, jednak Klotyldzie poradziłem, żeby została w domu. Była ostatnio przemęczona. Wytłumaczyłem jej, że powinna być teraz blisko swoich państwa i mieć na wszystko oko. Nieźle ją tym dowartościowałem. Ach, ta Klotylda... Prześliczna, urocza i niezwykle pociągająca. A do tego cóż za inteligencja! Ale, ale, wróćmy do rzeczywistości. Może to nieładnie, lecz podsłuchałem rozmowę między Me-

lem i Lily. Trochę jestem tym zdziwiony, ale pan Haskin bardzo osobiście traktuje sprawę z podrzuconym dzieckiem. Wygląda na to, że nie docierają do niego argumenty drugiej strony. Powoli wszystkie fragmenty tej układanki zaczynają wreszcie pasować do siebie. Ta biedna Susie chyba rzeczywiście nie miała innego wyjścia. To nie był ani egoizm, ani wygodnictwo z jej strony. Ale kto zdoła przekonać o tym Mela? Całe szczęście, że przynajmniej Lily właściwie odczytała mój zamiar i jedziemy teraz w stronę przystani. Mam nadzieję, że wstąpimy tam do restauracji ze świetnie przyrządzonymi owocami morza. Ale przecież nie o to tak naprawdę chodzi. W jednym z doków stoi jacht należący do Eleonory i Petera. Dobrze pamiętam to miejsce. Ono pomogło mi przetrwać najcięższe czasy. Mam nadzieję, że również Susie przyniesie szczęście, którego tak bardzo potrzebuje. Wreszcie jesteśmy. Chwileczkę, niech się rozejrzę. Nie, nie widzę za nami żadnego „ogona”. A wyglądało to już mało ciekawie. Ten fotograf był na serio podejrzanym... Nie robił przecież zdjęć ptaszkom. Zaraz, co to tak terkocze? No tak, telefon. Lily sięgnęła do torebki.

- Tak? - odezwała się zrezygnowana. Była zaskoczona, gdy usłyszała głos swojej siostry.

- Zostawiłam dla ciebie wiadomość w redakcji - jak z procy wypaliła Babs. - Dlaczego się nie odzywasz? Co Jest grane?

Mogła liczyć na siostrę, ale nie chciała, by się martwiła. Babs najlepiej wiedziała, czym może skończyć się ucieczka od brutalnego męża.

- Nic, po prostu jestem bardzo zajęta - powiedziała Lily.

- Rozmawiałam z twoim szefem. Nie miał pojęcia, gdzie się podziewasz. To zupełnie niepodobne do ciebie. Zawsze traktowałaś pracę niezwykle poważnie. Powiedz mi prawdę! Co się dzieje?
 - Ależ Babs, niepotrzebnie się tak przejmujesz. Jestem zabiegana i faktycznie nie bywam regularnie w redakcji.
 - Nie oszukasz mnie, wiem, że coś jest nie tak. W takim razie przyjeżdżam do Waszyngtonu.
 - Nie! - Ostatnią rzeczą, której Lily chciała, to mieszać Babs w sprawę Susie. Nie po tym, co sama przeszła.
 - Wsiadam w pociąg i będę u ciebie dziś wieczorem.
 - Posłuchaj, zadzwonię później i wszystko ci wytłumaczę. Jestem cholernie zaganiana. I tak nie będę ci mogła poświęcić ani chwili. Nie przyjeżdżaj.
 - No dobra, tylko na pewno zadzwoń. Martwię się o ciebie.
 - Zadzwonię. - Lily wyłączyła telefon i spojrzała niepewnie na Susie.
 - Przepraszam, że wciągnęłam cię w takie bagno. Lily, czy ty mi kiedykolwiek wybaczysz?
 - Nie żartuj. Zobacz, tutaj jest skręt w stronę przystani. Pewnie zaraz się dowiemy, o co tak naprawdę Kumplowi chodziło. - Odwróciła się i podrapała kocura za uchem. - Jest cudowny, prawda?
 - Nie da się ukryć - zgodziła się Susie. - Chciałabym wiedzieć, czy z Dawidem jest na pewno wszystko w porządku.
- Lily ciężko westchnęła.
- Właśnie nad tym myślałam. Na razie nie powinnam pokazywać się u Johnsonów, ale chyba mam

niezły pomysł. Kumpel należy do ich sąsiadów. Mogłabym zadzwonić z wiadomością, że znalazłam Kumpla, a przy okazji zapytać o małego.

Na twarzy Susie malowała się ulga. Skręciła w małą uliczkę prowadzącą do przystani i zwolniła.

No, to chyba jesteśmy na miejscu. Kocur przeciągnął Się leniwie. Kilkadziesiąt metrów przed nimi, na nabrzeżu, widniał napis: „Tu zjesz najświeższe i najsmaczniej przyrządzone owoce morza w całym mieście”.

- Miau! - Kumpel oparł łapy na przednim siedzeniu. - Miau, miau.

- Coś mi się wydaje, że jest głodny - podsumowała Susie.

- Nic dziwnego. Ciężko się napracował, a zatem czas na nagrodę.

Mel siedział w nieoznaczonym samochodzie patrolowym i obserwował Lily. Wciąż nie rozumiał, jaki miała związek z tą historią, wiedział jednak, że była w nią poważnie zamieszana. Zarówno ona, jak i jej towarzyszka.

Nagle wzrok Mela przeniósł się mimowolnie na Itęste zarośla ponad chodnikiem. Zza krzaków wyłonił się facet z aparatem. Lily tak bardzo była pochłonięta rozmową, że nie zauważyła intruza.

Mężczyzna bacznie nią rozejrzał, po czym ruszył w kierunku samochodu, w którym siedział porucznik. Gdy był już blisko, Mel jednym susem wyskoczył na ulicę.

- Policja! Stać!

W odpowiedzi padły dwa szybkie strzały, na szczęście oba niecelne. A zatem oprócz aparatu ma także broń, i to z tłumikiem. Interesujące. Mel rzucił się na

trawnik i w tym momencie usłyszał, jak samochód stojący przed nim odjeżdża z piskiem opon. Wyciągnął pistolet i uniósł głowę. Nie wolno mu było strzelać bez uprzedzenia, ale na to i tak było już za późno. Facet zniknął właśnie między domami. Mel wyjął pospiesznie z kieszeni radiotelefon, by wezwać posiłki i rzucił się w pogoń za uciekającym. Nie był to łatwy przeciwnik. Miał fantastyczną kondycję, bez trudu przeskakiwał ogrodzenia i pokonywał wszelkie wyrastające na drodze przeszkody. Zatrzeszczało radio. Więc nie był już sam. Mógł liczyć na pomoc swoich ludzi.

- Chcę mieć tego człowieka! - zaryczał do odbiornika, nie przerywając pogoni. - Wyślijcie ludzi na Cherry Lane! Odetnijcie mu drogę! Sprowadźcie helikopter. Muszę go mieć!

Ku zaskoczeniu Mela, facet nagle zmienił kierunek ucieczki, jakby usłyszał jego słowa. Czyżby miał podsłuch? Kto to jest, do cholery! Poczł skurcz żołądka. Dlaczego Lily nie powiedziała mu prawdy? W co ta dziewczyna się wpakowała? Znowu usłyszał strzał, kula świsnęła mu tuż obok głowy. Kątem oka dostrzegł, że facet znowu w niego mierzy. Zdażył uskoczyć w bok i schować się za wyłomem domu. Najwyraźniej drań nie przejmował się, że może przy okazji zranić jakiegoś przechodnia. Mel nie mógł sobie na to pozwolić. Biegł coraz szybciej. Chciał go zmusić, by skierował się na Cherry Lane, gdzie czekał na niego już kordon policji. Udało się. Złapał więc za radio i krzyknął:

- Biegnie na was! Jest uzbrojony! Zgarnijcie go! Jednak zanim dopowiedział ostatnie słowo, facet wykonał ostry skręt w prawo... A więc zawracał. Teraz Mel był już pewien, że odbierał na ich częstotliwości.

Zanim policja zdąży się przemieścić, facet będzie siedział w domu przed kominkiem. Sam musiał sobie radzić. Na moment drań zniknął mu z pola widzenia. Mel przyspieszył i znowu miał go przed sobą. Nagle facet potknął się i przewrócił. Natychmiast jednak podniósł się z ziemi i zniknął za drewnianym budynkiem, przylegającym do olbrzymiego kompleksu basenów. Na chodniku leżał aparat fotograficzny. W wyniku upadku zerwał mu się pasek. Mel zwolnił, nie podniósł jednak aparatu. Wiedział, że w każdej chwili może po niego wrócić. Od zbiega dzieliło go jakieś pięćdziesiąt metrów, gdy ten niespodziewanie skręcił w Plum Avenue. Do uszu Mela dobiegł głośny pisk opon. Olbrzymia czarna limuzyna z przyciemnianymi szybami zatrzymała się tuż przed uciekającym facetem. Otworzyły się drzwi i gość wskoczył do środka. Z rykiem silnika popędzili w dół ulicy. Mel zdążył jedynie zauważyć, że tablice rejestracyjne były zakryte. Zatrzymał się i zacisnął zęby. Ile jest takich czarnych limuzyn w Waszyngtonie? Bez liku. I co teraz? Wyjął radio i zarządził pościg za samochodem. Wiedział Jednak, że nic z tego nie wyjdzie. Raz jeszcze udało się draniowi wystrychnąć policję na dudka. Nie działał tam, to jasne. Sprawa zataczała coraz szersze i coraz bardziej tajemnicze kręgi. Co to za niezwykle dziecko? Mel wrócił na miejsce, gdzie leżał porzucony aparat fotograficzny. Być może uda się zdjąć odciski palców, pomyślał. Facet nie nosił rękawiczek. Podniósł aparat z Ziemi, chwytając za zerwany pasek. Jeszcze raz musiał to wszystko przemyśleć. Po pierwsze - włamanie do Johnsonów i ucieczka napastnika; po drugie - jakiś facet udający fotografa, podejmuje karkołomny bieg

z przeszkodami i strzela na oślep... A może to ten sam gość? To by było interesujące rozwiązanie. Jakim cudem udało mu się tak łatwo wymanewrować policję? Mel dobrze znał odpowiedź, ale sam przed sobą nie chciał się do tego przyznać. Wiedział, że drań musiał mieć dostęp do policyjnych informacji. Porucznik był wściekły i rozgoryczony. A co z bajką o solidarności w policji? Czyżby byli wśród nas tacy, którzy torpedują pracę kolegów? Niżej chyba nie można już upaść. Zrozumiał, że mają w swoim gronie zdrajcę lub zdrajców. A co z Lily? Przecież również o nią tu chodziło. Dłuższą chwilę przyglądał się aparatowi. Był to profesjonalny sprzęt wysokiej klasy. Może przy jego pomocy uda mu się dotrzeć do sprawcy. Poza tym w środku był film, być może bardzo cenny, bo zawierający materiał dowodowy. Zdecydował, że sam zanieśie go do laboratorium. Niech chłopcy sprawdzą, co da się zrobić. Za kilka godzin będzie miał jakąś odpowiedź.

- Co jest z tym kotem? - spytała Susie, patrząc w osłupieniu, jak Kumpel wskakuje na jeden z jachtów.

- Nie mam pojęcia. - Lily zdążyła się już do tego przyzwyczaić, że był to niezwykle zwierzak. Od jakiegoś czasu niemal instynktownie zaczęła traktować go jak partnera.

Byli po pysznym obiedzie. Kumpel pochłoniął taką ilość jedzenia, jakby od lat nic nie miał w pyszczku. Teraz patrzyła z zainteresowaniem, jak wskakuje na dach jachtu, a potem znika za jakimiś drzwiami. Po chwili wrócił, a z pyszczka wystawał mu klucz.

- Myślę - powiedziała Lily, zastanawiając się, czy

przypadkiem nie zwariowała - że Kumpel chce, abyśmy tu zostały.

- Chyba żartujesz! - rzuciła sceptycznie Susie.

- Przecież przyniósł nam klucz.

- Może uważa, że powinni nas aresztować? - W jej głosie zabrzmiał sarkazm. - Co w takim razie robimy?

Nie było się nad czym zastanawiać, nie miały wszak lepszej propozycji. Niby mogły przenocować w hotelu, ale istniało bardzo duże prawdopodobieństwo, że Way-man natychmiast dowiedziałby się o tym. Z pewnością uruchomił wszystkie znajomości i gdzie tylko mógł, porzysyłał zdjęcia. Każdy, kto by Susie rozpoznał, miał obowiązek go o tym poinformować, i na pewno by to zrobił. Jemu na ogół nikt się nie sprzeciwiał.

- Zostajemy na jachcie.

Susie wciąż nie była pewna, czy chce tam wejść.

- Chodź i popatrz! Tu jest super. Kumpel ma wielu zamożnych przyjaciół - powiedziała Lily z entuzjazmem. Pogodne brzmienie jej głosu zadziwiło nawet ją samą. - Z pewnością ta łódź należy do kogoś, kogo on dobrze zna.

- Miau! - wpadł jej w słowo Kumpel.

- Widzisz? Potwierdza to. Chodź, Susie, to chyba rzeczywiście najlepsze rozwiązanie. Nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby nas tu szukać.

- Miau! - Kocur ocierał się o nogi Susie, wykonując przy tym zgrabne ósemki.

Lily pociągnęła za sobą przyjaciółkę. Otworzyła drzwi i po omacku natrafiła na kontakt. Wnętrze było świetnie urządzone, można by tu mieszkać nawet przez dłuższy czas. Szczególnie luksusowa była kuchnia. Niebiesko-żółte kafelki sprawiały, że wyglądała bardzo

radośnie. Kumpel wskoczył na blat i uporczywie stukał łapą w jeden z kafelków. Lily podeszła bliżej i przeczytała wyryty na nim napis: „Dla Eleonory, z całego serca - Peter”. Poglądziła dłonią wygrawerowany kafelek. Jak dawno już przestała wierzyć w prawdziwą miłość pomiędzy mężczyzną i kobietą?

- Co się stało? - zapytała Susie.

- Ach, nic. Chyba możemy się rozgościć?

Mel jeszcze raz przyjrzał się zdjęciom, choć znał je już na pamięć. Musiał przyznać, że Lily wyszła na nich naprawdę nieźle. Jedwabiste, rude włosy rozwiane przez jesienny wiatr i ta krótka spódniczka, odkrywająca jej długie, niezwykle zgrabne nogi. To wspaniała kobieta. Prawdziwy ideał, pomyślał. Mądra, piękna i zdeterminowana. Spojrzał na drugą kobietę. Jasne blond włosy przysłaniały do połowy jej twarz, którą do końca zakrywały duże, słoneczne okulary. To typowe zdjęcia pstrykane przez prywatnych detektywów, aby komuś udowodnić brak lojalności, niemoralność lub przestępstwo. Ale przecież Lily była znaną postacią, a jej twarz ukazywała się często na łamach gazet i w telewizji. O co więc chodziło temu człowiekowi? O tę drugą kobietę? Przywołał do siebie dwóch detektywów, ludzi, z którymi pracował od lat. Był pewien, iż może im w pełni zaufać. Wiedział, że powinien zachować najwyższą ostrożność.

- Możecie mi zidentyfikować tę kobietę?

- Dlaczego nie zapytasz Lily Markey? Przecież ona musi ją znać.

- Genialna uwaga, tylko problem polega na tym, że panna Markey jakoś nie chce puścić pary z gęby. Mężczyźni spojrzeli jeszcze raz na zdjęcia.

- Trudna sprawa, ale spróbujemy ją namierzyć.

- O to właśnie chodzi.

i Zerknął na zegarek. Za parę minut ma skontaktować

się z laboratorium kryminalnym. Sięgnął po słuchawkę. Nie miał cierpliwości dłużej czekać.

- Macie te odciski palców z aparatu? W słuchawce zapanowała cisza.

- Tak. I nawet udało nam się je zidentyfikować. Głos technika brzmiał bardzo poważnie. Mel wy-
czuwał w nim także pewną obawę.

- Wal, stary.

- To jeden z naszych. Jim Lavert. Mel miał nadzieję, że źle zrozumiał.

- Jak to jeden z naszych?

- Teraz jest oddelegowany do ochrony burmistrza. Mam przed sobą jego akta.

- Jesteś pewien, że to jego odciski?

- Absolutnie.

Mel odłożył słuchawkę.

Trudno mu było pogodzić się z prawdą. Jim Lavert... Przecież się znali, a mimo to strzelał do niego,
chciał go zabić. Wziął zdjęcia do ręki. No cóż, przyszedł czas, by

o wszystkim dowiedział się szef, pomyślał. To wyjątkowo brudna historia, a na dodatek zakreślała
coraz szersze kręgi. Nic dziwnego, że napastnikowi za każdym razem udawało się uciec. Znał przecież
policyjne zamiary

i miał dostęp do wszelkich danych. Zanim wylądował u burmistrza, pracował w wydziale zabójstw. A
to dobre.

Na policji, pomimo iż było to niedzielne popołudnie, panował wielki ruch. Drzwi do pokoju prze-
słuchań niemal się nie zamykały. Bez przerwy wchodzili tam kolejni świadkowie i podejrzani.

Mel wszedł do gabinetu szefa i zrezygnowany położył na jego biurku teczkę.

- Trzeba wezwać na przesłuchanie Jima Laverta - zaczął niechętnie. - Strzelał do mnie.

- Słucham?! - zapytał Laster Bennett z niedowierzaniem. - Jim służy od piętnastu lat w policji. Jesteś pewien, że to on?

- Zdjęto jego odciski palców z aparatu fotograficznego.

Bennett pokiwał głową. Było widać, że nie może się z tym pogodzić.

- To nie postawi nas w dobrym świetle. Wiesz o tym.

- Wiem.

- Czy ktoś mógł go zrobić?

- Nie widzę takiej możliwości. On jako ostatni miał w ręku ten aparat. Zgubił go w czasie ucieczki. Z całą pewnością to on do mnie strzelał i zrobił zdjęcia Lily Markey oraz tej drugiej kobiecie. Zastanów się, co będzie, jeśli je dopadnie.

- Powinienem zadzwonić do burmistrza, ale nie lubię niepokoić go w domu.

- Nie powinienes mieć takich oporów, bo to zabrnęło za daleko. Napad na dom, strzelanina w jednej z najlepszych dzielnic Waszyngtonu... Nie możemy sobie pozwolić na opieszałość. Sytuacja wymknęła się spod kontroli. Nie wiem, co się dzieje, ale myślę, że on będzie mógł nam udzielić odpowiedzi na kilka pytań. Chciałbym je poznać, zanim będzie za późno. Zanim ktoś zginie. A na to się zanoszą.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

No wreszcie! Wreszcie zdecydowały się wejść na łódź. Jestem pewien, że moi państwo nie mieliby nic przeciwko temu. Oj, prawie bym zapomniał. Umówiłem się z Klotyldą, że będę w domu przed północą. Martwię się o nią. Nie chciałbym, żeby komukolwiek przytrafiło się coś złego. Johnsonowie bardzo chcą zatrzymać dziecko, ale nie jestem pewien, czy to dobry pomysł. Dzisiaj o mało nie straciłem życia przez tego wariata z pistoletem. On naprawdę chciał zabić moją ukochaną koteczkę. Chyba jeszcze nigdy w życiu nie czułem się taki bezradny, a teraz jestem rozdarty. Serce wyrywa mi się do przecudnej Klotyldy, a obowiązek wzywa mnie do opieki nad tymi zagubionymi kobietami. Koty mają dużo lepiej wykształcony instynkt samozachowawczy niż ludzie, świetnie potrafią unikać katastrof. Zupełnie nie mam pojęcia, jak powstrzymać męża Susie od popełnienia czegoś strasznego. Moje pazury nie zawsze okazują się skuteczne i polegać tylko na nich byłoby wielką naiwnością. Niestety mogę być do tego zmuszony, chyba że uda mi się jakoś przekonać

Mela Haskina, by pomógł obu paniom. No tak, ale nawet jeśli mi się to uda, jak przekonam Lily, że może mu zaufać? Holender, czeka mnie niełatwe zadanie. Dlaczego ci ludzie zachowują się tak irracjonalnie? Widziałem wyraz twarzy Lily, gdy zobaczyła napis wyryty na kafelku. Najpierw była promienna, lecz już po chwili zamarła. Oj, coś mi się wydaje, że romantyczką to ona nie jest. Ktoś ją pewnie kiedyś bardzo zranił. Tak bardzo, że nie mogła się z tego otrząsnąć. Podobne reakcje mają zawsze swoje przyczyny. Złe doświadczenia... Pewnie nie wierzy w miłość. Musiała kiedyś kochać do szaleństwa, a potem doznać wielkiego zawodu. Otoczyła się więc ochronną skorupą i nie chce słyszeć o miłości. A może dostajemy od życia to, czego oczekujemy? No, powiedzmy ja. Pragnę, aby kociczki miały mnie za inteligentnego, seksownego kocura, któremu nie można się oprzeć. I jeszcze nigdy się nie pomyliłem. Po prostu spełnia się to, czego oczekuję. Albo weźmy taką Susie. O niej też wiem sporo. Agresywny, wpływowy mąż, pnący się coraz wyżej po drabinie kariery. Dałbym sobie głowę uciąć, że nie odpuści sobie, nim jej nie znajdzie, wszystko jedno, żywej czy umarłej. To akurat dla niego bez większego znaczenia. W każdym razie zrobi wszystko, by dorwać małego. Swoją drogą ciekawe, jak wytropił, że Dawid jest jego dzieckiem? No, ale starczy już tych dywagacji, w końcu nie jestem psychoanalitykiem, tylko detektywem. Panie się nieco zadomowiły, czas zatem sprawdzić, co słychać u Klotyldy. A jutro pierwsza rzecz, którą muszę zrobić, to usiąść i pogadać z Melem. Ale żeby taki dobry detektyw nie znał kociego języka? Myśli, że daleko zajdzie z tym swoim angielskim.

Naiwniak. A przecież nikt rozsądny, kto ma choćby blade pojęcie o śledczym fachu, nie zaneguje wyższości kotów nad ludźmi. Spadam! Czeka mnie długa droga ha Mulberry Road. Niewykluczone, że użyję jakiegoś wybiegu, by znaleźć nieco wygodniejszy transport do domu niż własne łapy. Może autostop?

Lily przysłuchiwała się przez moment równemu oddechowi Susie. To dobrze, że zasnęła. Była całkowicie wyczerpana. Nic dziwnego, sam poród by już wystarczył, a co dopiero ten stres. Lily przewracała się z boku na bok. Jej umysł pracował na najwyższych obrotach.

- Cholera jasna - zaklęła pod nosem.

Zapomniała zadzwonić do siostry. Jeśli jej nie powstrzyma, Babs gotowa była wsiąść w pociąg i przyjechać do Waszyngtonu. Lily była z niej dumna. Na szczęście potrafiła znaleźć w sobie tyle siły, by jakoś z tego wyleźć, choć co prawda zabrało jej to pięć długich lat, wypełnionych uciążliwymi terapiami i operacjami. Za to teraz została szefem małej agencji reklamowej i spokojnie sobie żyła. Nie to, co wcześniej. Pięć lat temu była przerażonym i zastraszonej kłębkiem nerwów. Tak, Bob był wyjątkową świnią. Dowartościowywał się, kiedy poniżał kobiety.

Lily wstała z łóżka i wyszła z kabiny. Wystukała numer i czekała. Było już późno, ale po chwili Babs odezwała się.

- A już myślałam, że będę musiała przyjechać - powiedziała karcącym głosem.

- Wszystko jest w porządku, możesz mi wierzyć. Żeby ci wyjaśnić, co tu się dzieje, potrzebowałabym dużo czasu. A co u ciebie?

- Lepiej niż mogłabym się spodziewać - odparła miękko Babs. - Poznałam kogoś. Kogoś absolutnie cudownego!

Lily poczuła się tak, jakby uderzył w nią podmuch lodowatego wiatru.

- Co?

- Spotkałam mężczyznę. Jest wspaniały: miły, kochający, czuły i ciepły. To pisarz. Chciałabym, żebyś go poznała.

Przed oczami Lily stanęły natychmiast obrazy z przeszłości. Poraniona twarz, połamane kości policzkowe, naderwane ucho. Ogarnęło ją przerażenie.

- Lily, jesteś tam?

- Tak, tak... - Aż się prosiło, żeby zapytać ją, czy niczego się w życiu nie nauczyła. Boby też był na początku księciem z bajki. Wszystko się zmieniło, gdy zamiast komplementów użył pięści.

- Wiem, że cię to przeraża - odezwała się w końcu Babs. - Przeżyłaś tę historię chyba jeszcze bardziej niż ja, ale Lukę jest inny. Musisz mi uwierzyć, bo to prawda.

- Jesteś pewna?

- Całkowicie. Jednak chciałabym, żebyś go poznała i powiedziała, co o nim sądzisz.

- Czyżby tym razem moje zdanie miało być wzięte pod uwagę? - zapytała Lily ostro. Nie panowała już nad swoim rozdrażnieniem i strachem. - Kiedy mówiłam ci, że Boby jest kłamcą i pozerem, stwierdziłaś, że jestem wariatką.

- Przez ostatnie lata wiele się nauczyłam. - Głos Babs był spokojny i opanowany. - Zmieniłam się, Lily. Nie jestem już tą samą kobietą, co kiedyś. Nigdy

więcej nie pozwolę, by mężczyzna podniósł na mnie rękę. Chciałabym, żebyś i ty w to uwierzyła. Czy potrafisz?

Pytanie zabrzmiało niezwykle poważnie. Lily wiedziała, ile czasu zajęło Babs dochodzenie do równowagi. Rozumiała też, jak wielkie znaczenie miało dla jej siostry, aby i ona uwierzyła w przemiany, jakie w niej zaszły. Babs ciężko nad tym pracowała. Uczyła się życia na nowo.

- Obiecaj mi tylko, że nie będziesz postępować pochopnie.

- Z pewnością nie. Chciałabym przyjechać z nim w przyszłym tygodniu. Odpowiada ci to?

- Mam nadzieję, że do tego czasu wszystko się wyprostuje - odparła, starając się nadać swojemu głosowi lekkości. - A jeśli nie... no cóż, to złożycie mi wizytę w więzieniu.

- Oj, wygląda na to, że znów dorwałaś się do jakiegoś soczystego kawałka. Bądź ostrożna. Wiesz, jak bardzo martwię się o ciebie. Zawsze musisz tak się narażać? A poza tym... wybacz, ale muszę ci to powiedzieć. Martwię się, że nie dopuszczasz do swojego świata żadnego mężczyzny.

Lily nie mogła temu zaprzeczyć. Nie była to zbyt przyjemna uwaga. Cieszyła się jednak, że jej siostra wreszcie pokonała swoje uprzedzenia. Miała za sobą naprawdę długą drogę.

- Cieszę się, że poznam Luke'a i kocham cię.

- Ja też cię kocham. Trzymaj się.

Lily wyłączyła telefon i oparła się o ścianę kabiny. Noc była gwieździsta. Wokół słychać było kojący chłupot wody. Taki jacht to niezwykle romantyczne

miejsce, pomyślała. Peter Curry i jego żona na pewno spędzili tutaj cudowne chwile. Jej myśli niespodziewanie powędrowały do Mela Haskina. Podobał się jej. Potrafiła być na tyle szczerą, by przyznać się do tego przed sobą. Ale także obawiała się go. W końcu był gliną i w obecnej sytuacji nawet nieświadomie mógł zranić Susie albo nawet jej zaszkodzić. Gdyby nie to, może spróbowałyby go uwieść. Ale w tej chwili nie wolno jej było nawet o tym myśleć. To zbyt ryzykowne. Jego podejście do całej tej historii drażniło ją i powodowało, że w chwili obecnej był tylko wrogiem.

Mel obudził się nagle. Wyciągnął rękę, ale nie znalazł nikogo. Tylko chłód prześcieradła... W końcu zdał sobie sprawę, że Lily nie było przy nim. Cóż za realistyczny sen! Wstał i poszedł nago do kuchni. Wiedział, że nie uda mu się teraz zasnąć. Był poniedziałkowy poranek, dochodziła piąta. Wstawił kawę i zajrzał do lodówki. No cóż, wiele w niej nie znalazł. Nie miał zielonego pojęcia, gdzie podziała się Lily ze swoją przyjaciółką. Wsiąkły jak kamień w wodę. Miał jednak nadzieję na owocne spotkanie z Jimem Laver-tem. Liczył na to, że siedzi już pod kluczem. Takie wydał polecenie: zamknąć i przetrzymać dwadzieścia cztery godziny. Noc spędzona we wspólnej celi z narkomanami, pijakami i złodziejaskami potrafiła zdziałać cuda. Wiedział, że jego szef nie odnosił się do pomysłu aresztowania oficera policji zbyt przychylnie, ale tym razem Mel się uparł. Kiedy przedstawił mu wszystkie dowody przeciwko Lavertowi, Laster Bennett nie miał innego wyjścia. Musiał się zgodzić. Mel, nie wypuszczając z ręki kubka z kawą, zszedł

na dół po gazetę. Zaczął ją prędko wertować w poszukiwaniu artykułu Lily. Nic jednak nie udało mu się znaleźć. Ta kobieta zupełnie zapanowała nad jego myślami. Na chwilę rozmarzył się, lecz już po chwili stał pod prysznicem i nie upłynął nawet kwadrans, kiedy opuszczał dom. Skierował się w stronę apartamentu Lily Markey. Nie było jej w domu. W pierwszym momencie ogarnęło go przerażenie, lecz szybko się otrząsnął. Przecież Lily miała dużo oleju w głowie. Była szalona, przebojowa, twarda, ale nie głupia, o czym dobrze wiedział. Z pewnością gdzieś się ukrywała... Mądra dziewczynka, pomyślał. Miał też świadomość, że gdyby było to konieczne, dzięki swoim układom, mógłby ją bez trudu znaleźć. Kim była jednak ta druga kobieta? Był przekonany, że to właśnie ona jest kluczem do całej historii. Opowiadki, nad którą pracowała Lily. Tak podpowiadała mu intuicja. Co prawda przecucia i intuicja nie stanowiły dla sądu żadnych dowodów, ale on przez lata pracy nauczył się im ufać. Ta kobieta na fotografii była matką Dawida. Jeśli ją odnajdzie, sprawa sama się rozwiąże. Jakoś trudno było mu uwierzyć, że Lily brała czynny udział w tak nagannym postępku, jakim jest podrzucenie dziecka. Oprócz tego, że chciała pomóc matce, nic nie wiedział o motywach tego przestępstwa. Jeszcze dziś dowie się, o co w tym wszystkim chodzi. Mimo że była dopiero siódma, Mel pojechał na posterunek. Gdy tylko wszedł do środka, wiedział już, że coś jest nie tak. Jakieś przedziwne napięcie emanowało z każdego kąta. Kiedy przy swoim biurku zobaczył Lastera Bennetta, domyślił się, że sprawa musi być bardzo poważna. Szef poprosił go do swojego biura. Siedziało tam dwóch

mężczyzn w bardzo wykwintnych i drogich garniturach. Mel był zaskoczony takim obrotem sprawy.

- Panowie są z biura ochrony burmistrza - rzucił Laster. Wprost buchał wściekłością.

- Czyżby burmistrz ogłosił dzisiaj święto? Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział? - próbował żartować Mel.

Nie zrobiło to żadnego wrażenia na gościach.

- Zaginął jeden z najbardziej cenionych pracowników burmistrza. Podejrzewamy, że ma pan z tym coś wspólnego - wyjaśnił spokojnie jeden z mężczyzn.

- Tak. Pracowałem jako asystent Davida Copper-fielda - wyrwało mu się. Dostrzegł torpedujący wzrok swojego szefa. - Więc kto zaginął?

- Jim Lavert.

Zapanowała krepująca cisza.

- Wiemy, że pan go szukał.

Melowi nie podobała się ta rozmowa. Tych dwóch sztywniaków w eleganckich garniturach oskarżało go o nieczystą grę.

- To prawda, że dwóch policjantów szukało Laver-ta na mój rozkaz. - Nic więcej nie powiedział. Nie miał ochoty dostarczać im dodatkowych informacji.

Widział, jak Laster kiwnął głową na potwierdzenie.

- Dlaczego szukał pan Laverta?

- Rozumiem, że mówimy o poruczniku Lavercie?

- Nie mógł się pohamować. Tych dwóch facetów irytowało go. - Z kim mam właściwie przyjemność?

- spytał nagle Mel. - Chyba nie dosłyszałem nazwisk.

- Był wściekły, ale wiedział, że musi za wszelką cenę powstrzymać się od wybuchu. - A więc z kim mam przyjemność?

- Staples i Crenshaw - powiedział jeden z nich.

- Och, wasze nazwiska tak łatwo wpadają w ucho. Nie myśleli panowie o założeniu jakiejś firmy? Wywożenie śmieci albo tresowanie psów? - Kątem oka dostrzegł, że jego szef z trudem hamuje wybuch śmiechu.
- Panie Haskin...
- Detektywie Haskin lub poruczniku Haskin. Lepiej będzie, jeśli nasza rozmowa pozostanie na poziomie służbowym.
- A więc, poruczniku Haskin - zaczął jeden z nich z udawaną cierpliwością - pan burmistrz chciałby się dowiedzieć, gdzie się znajduje oficer Lavert? Jeżeli coś panu na ten temat wiadomo, byłibyśmy zobowiązani, gdyby zechciał pan nas o tym poinformować. To bardzo ważne dla burmistrza, a jestem przekonany, że ani pan, ani pana szef nie chcielibyście go urazić czy też odmówić współpracy z nami...
- No dobra, chłopcy. Tak naprawdę liczyłem, że Laverta znajdę dziś rano w tym budynku, jako że chciałem zadać mu kilka pytań. - Rzucił spojrzenie w kierunku Lastera Bennetta.
- Kilku moich ludzi szukało go dzisiejszej nocy, ale z tego co zdążyliśmy się zorientować, nie nocował w domu i nikt ze znajomych go nie widział. Jego żona jest bardzo zaniepokojona - dodał niespodziewanie Bennett.
- Mel rzucił mu zdziwione spojrzenie. Nie spodobała mu się ta informacja. Lavert musiał się domyślać, że został zidentyfikowany i uciekł. Ponieważ doskonale orientuje się w systemach operacyjnych policji, praktycznie będzie nie do namierzenia.
- Dlaczego jesteście panowie aż tak bardzo zainteresowani osobą porucznika Laverta? - zapytał nagle

jeden z mężczyzn. - Czyżby dopuścił się jakiegoś karygodnego uczynku?

Mel nie spieszył się z odpowiedzią. Czekał, aż jego szef zajmie w tej sprawie stanowisko. Laster był dużo sprytniejszym politykiem niż on.

- Chcieliśmy zadać mu kilka pytań w związku ze sprawą, którą się ostatnio zajmował.

- Przecież on nie dostał żadnej sprawy. Był oddelegowany do ochrony burmistrza.

- Tak, tak - powiedział Bennett gładko. - Ale od czasu do czasu brał dodatkową robotę. Jakieś niewielkie dochodzenia, żeby nie wyjść z wprawy, i tak się złożyło, że nasze drogi się skrzyżowały. Ma informacje, które dotyczą naszego śledztwa. Sądzę, że będzie szczęśliwy, jeśli zdoła nam pomóc, prawda? Cieszy się przecież tak nienaganną opinią w departamencie - zakończył. Podniósł się z krzesła, dając tym samym do zrozumienia, że uważa rozmowę za skończoną. - Dziękuję panom. Ma się rozumieć, że jeśli znajdziemy porucznika Laverta, natychmiast się z panami skontaktujemy. Wierzimy też głęboko, że jego nagłe zniknięcie nie wróży żadnej tragedii, lecz związane jest z pracą, którą aktualnie wykonuje. Z pewnością też zachce się wkrótce skontaktować ze swoją rodziną. Dwóch garniturowych sztywniaków wstało.

- Gdybyście panowie zobaczyli Laverta przed nami, proszę poinformować go, że burmistrz chce z nim porozmawiać - odezwał się jeden z nich.

- Będę szczęśliwy, jeżeli zdołam przekazać mu tę informację - odparł Laster.

Mel patrzył z ulgą, jak wychodzą. Kiedy usłyszał trzaśnięcie drzwi na korytarzu, zwrócił się do szefa:

- Gdzie jest Lavert?

- Przepadł - powiedział Laster, marszcząc brwi i rozkładając ręce.

- Czyli faktycznie przyznał się do winy. A co z jego rodziną? Rzeczywiście o niczym nie wiedzą? Rozmawiałaś z żoną?

- Tylko przez telefon. Zdawała się być naprawdę zaniepokojona. Sądzę, że o niczym nie wiedziała. Mel kiwnął głową. A zatem nie miało sensu branie jej na spytki.

- Potrzebuję kilku chłopaków, szefie.

- Nie ty jeden. Szkoda, że nie możemy zatrudnić ich tylu, by każdy w tym mieście miał swojego ochroniarza. Na co ci oni?

Mel wyciągnął zrobione przez Laverta zdjęcia, na których była Lily i ta druga, tajemnicza kobieta.

- Muszę ją zidentyfikować - powiedział, wskazując na blondynkę w ciemnych okularach.

- Jest zaplątana w jakąś aferę? Podejrzana o morderstwo? Dlaczego musisz ją zidentyfikować? -

Laster pokręcił z niechęcią głową.

Bennett nie na żarty rozzłościł go swoim sarkazmem. Mel najchętniej wyszedłby i demonstracyjnie trzasnął drzwiami, wiedział jednak, że lepszego szefa ze świecą by nie znalazł.

- Chodzi o to porzucone dziecko. Dzisiaj ma się odbyć sprawa przed sądem. Johnsonowie starają się o tymczasową opiekę. Po wczorajszym ataku długo myślałem nad tym wszystkim.

- Chwileczkę, mój drogi, przecież to nie należy do naszego wydziału. Sami mamy około dziesięciu nie rozwiązanych spraw... - Jego głos stał się porażająco

lodowaty. - Jak wiesz, jedno z morderstw burmistrz wykorzystał do swojej kampanii wyborczej, wykazując jednocześnie indolencję policji. Chcę, żebyś tym właśnie teraz się zajął, a nie poszukiwaniem mamusi jakiegoś bachora porzuconego na schodach!

- Tu nie chodzi tylko o porzucone dziecko. - Mel wiedział, że ma niewiele czasu, najwyżej kilka sekund, by wyłożyć swoje argumenty. - To wyjątkowo śmierdząca sprawa, z której może zrobić się niezła afera. Johnsonowie zostali zaatakowani w domu, ale to nie był napad rabunkowy. Napastnik chciał dziecka. To nie jest zwykły porzucony bachor, jak go nazwałeś. Lily Markey także lata za tą historią jak zwariowana. Więcej, można powiedzieć, że siedzi w niej po uszy! A wiesz, jaką ma pozycję w mediach. Nie możemy tego ot tak, po prostu zostawić. Poza tym moje przeczucia mówią mi, że...

- Słuchaj stary, to wszystko brzmi jak kiepski telewizyjny bełkot. Swoje przeczucia możesz sobie wsadzić, gdzie chcesz! W chwili obecnej nie znaczą one nic, poruczniku Haskin. Zero, mniej niż zero. Liczą się tylko dowody!

- O nie, intuicja bardzo pomaga w pracy detektywa. Każdy dobry policjant ją posiada. Wiele razy przekonałem się o tym przez te wszystkie lata. Jeszcze nigdy mnie nie zawiodła. Ta sprawa z dzieckiem wiele nam wyjaśni. Wiem o tym. Coś mi się wydaje, że ma swoje korzenie głęboko osadzone w departamencie policji, a kto wie, może i w biurze burmistrza! - Wiedział, że balansuje na cienkiej linii, ale nie mógł dopuścić do tego, by przestali zajmować się tą sprawą.

- W biurze burmistrza?

- Tak. Pomyśl tylko, jeśli okazałoby się, że Lavert działał na czyjeś zlecenie? To zbyt cuchnie. Nie możemy sobie pozwolić na zignorowanie tego przypuszczenia.
 - Nie możemy sobie pozwolić na to, by pakować się w kolejne śledztwo, Haskin. Ilu chcesz ludzi?
 - Trzech - powiedział krótko. Go prawda potrzebował dwunastu, ale z trzema też sobie poradzi.
 - Na jak długo?
 - Tylko na dzisiaj. - Miał nadzieję, że w tak krótkim czasie zdoła coś wytropić, a wtedy przekona szefa do dalszego działania.
 - Masz trzech ludzi na osiem godzin. To wszystko, co mogę dla ciebie zrobić. I nie zabawiaj mnie więcej opowiastkami o swoich przeczuciach. Konkrety, kochany. Konkrety!
- Mel uśmiechnął się szeroko.
- Dzięki. Postaram się coś przynieść.
 - Ty mi jeszcze nie dziękuj. Gdybyś miał wrócić bez czegoś namacalnego, a zamiast dowodów znów mi przedstawisz tylko swoje przeczucia, to lepiej nie pokazuj mi się na oczy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Lily otworzyła oczy i przerażona usiadła na łóżku. Na zewnątrz słychać było jakieś głosy. Przez moment nie miała pojęcia, gdzie się znajduje i co się dzieje, jednak po chwili nieco oprzytomniała. Na dworze było już jasno, lecz wciąż nie miała pojęcia, kto stoi na zewnątrz i tak głośno rozmawia. Dopiero po jakimś czasie zrozumiała, że kołysanie nie jest wewnętrznym złudzeniem, wynikłym z niecałkowitego rozbudzenia, lecz powodują je fale uderzające o łódkę. Wydarzenia poprzedniej nocy stanęły jej wyraziście przed oczami. Zeskoczyła z koi na podłogę.

- Przecież Kumpel upierał się, żeby tutaj przyjechać - powiedział damski głos.

- Tak, wiem. Kumpla ostatnio coś bardzo gryzie - przytaknął męski głos.

Lily natychmiast go rozpoznała. Należał do Petera Curry'ego, weterynarza i właściciela tego jachtu. Poczuli się jak intruz, żeby nie powiedzieć złodziej. Wzięła głęboki oddech. Nie, nie było innego wyjścia, będzie musiała stawić temu czoło. Ale kto jej uwierzy, że ten czarny kot namówił ją, by tu przyjechała,

a następnie wręczył klucz i nakłonił, żeby przenocowała? Sama myśl o tym była już na tyle absurdalna, że Lily zrobiło się głupio. A co dopiero, gdy będzie musiała wypowiedzieć ją na głos? Zerknęła w stronę Susie. Wciąż jeszcze spała. To jej właśnie groziło więzienie za porzucenie dziecka. Jeśliby Susie aresztowano, jej mąż Wayman bez najmniejszych problemów wydostałby ją z więzienia, i wtedy dopiero dałby jej popalić. Lily nie mogła do tego dopuścić. Wdrapała się po stromych schodach na górę. Ostre słońce oślepiło ją na moment, przymrużyła więc oczy, a kiedy je znowu otworzyła, ujrzała przed sobą ogromnie zaskoczone twarze państwa Curry.

- Wszystko państwu wyjaśnię, choć nie sądzę, żebyście chcieli uwierzyć moim słowom. - Szła w ich kierunku z lekko uniesionymi rękami, by mogli się przekonać, że nie jest uzbrojona.

- Kumpel cię tu przyprowadził - powiedziała bardzo rzeczowo Eleonora Curry.

- Pani w to wierzy?! - zawołała ze zdziwieniem.

- Wiemy, że jest zamieszany w tę sprawę z dzieckiem. A poza tym musiałabym być ślepa, by nie zauważyć, że gdy tylko powstaje jakieś zamieszanie wokół Dawida, również pani wyłania się ni stąd, ni zowąd. Chciałabym się dowiedzieć, jaka jest pani rola w tej historii. I czy to wszystko nie obróci się przeciwko Johnsonom?

Lily usłyszała za sobą kroki. Odwróciła się nerwowo. Na schodach stała Susie, była tylko w negliżu.

- Dość tej komedii - powiedziała. - To właśnie mi Lily pomagała przez cały czas.

Eleonora i Peter wymienili znaczące spojrzenia.

- Nie sędę, aby trzeba nam było więcej informacji
- powiedział Peter, który do tej pory milczał. Położył rękę na ramieniu Eleonory. - Przyprowadził was tu Kumpel, a to oznacza, że postanowił wam pomóc. Chcielibyśmy jedynie się przekonać, że to, co się tutaj dzieje, służy najlepiej pojętemu interesowi dziecka.

- Ochrona Dawida jest naszym głównym celem

- powiedziała Lily. - Jest mi bardzo przykro, że państwo Johnson znaleźli się na linii ognia, ale naprawdę trudno było przewidzieć, że to wszystko tak się potoczy. Jeśli jednak ktokolwiek może ochronić Dawida, to właśnie oni.

Eleonora kiwnęła ze zrozumieniem głową. Lily wiedziała, że oboje doskonale się orientują, kim dla dziecka jest Susie. Być może nie domyślali się jej nazwiska, ale prawdę mówiąc nie chcieli go znać. Chcieli pomóc swoim przyjaciółom, a zatem także i im.

- Pani nie chce odzyskać dziecka? - Eleonora patrzyła Susie prosto w oczy.

- Decyzja została podjęta, choć może wydać się państwu dziwna i niezrozumiała. - Jej głos zadrżał.

-Jednak bezpieczeństwo mojego syna i jego szczęśliwa przyszłość są dla mnie najważniejsze.

- Rozumiem, że w przypadku legalnej adopcji nie będzie stwarzać pani żadnych problemów? - zapytał Peter.

- Naturalnie, że nie.

Lily nie dopuściła do dalszego wypytywania Susie. Wiedziała, jak wiele ją takie rozmowy kosztują.

- Ojciec dziecka, a mąż mojej przyjaciółki, jest człowiekiem wyjątkowo brutalnym. W okrutny sposób wyżywał się na niej i z całą pewnością takie same

metody zastosowałyby wobec swojego dziecka. Oczywiście nigdy nie pozwoliłyby na oficjalną adopcję. Proszę mi wierzyć, wzięłyśmy wszystkie możliwości pod lupę. Najlepiej będzie dla małego, gdy zostanie uznane za porzucone dziecko niewiadomych rodziców. To najlepsze rozwiązanie dla nas wszystkich.

Peter i Eleonora raz jeszcze wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- Proszę pozostać na łodzi, jak długo będzie to potrzebne. Spiżarnia jest dobrze zaopatrzona. A jeżeli panie uznają, że możemy im w czymkolwiek pomóc, proszę dać nam znać.

- Bardzo dziękujemy. Może pewnego dnia będę mogła wytłumaczyć powody tego całego zamieszania
- dodała Lily.

Eleonora wsunęła dłoń pod ramię Petera. Odwrócili się i zeszli z pokładu na pomost. Pani Curry odwróciła się jeszcze na chwilę i zawołała:

- Być może. W każdym razie uważajcie na siebie i polegajcie na Kumplu. On naprawdę jest niezwykły.

- Myślałam, że wylądujemy w więzieniu - powiedziała Lily, kiedy państwo Curry znikli z horyzontu.

- Ja też.

- Ale numer...

- Co?

- Susie, to niesamowite. Czy ty nie rozumiesz? My, ludzie jakby nie było dorośli, jesteśmy przekonani, że możemy zdać się na inteligencję kota. Czegoś takiego Jeszcze nie było.

- O rety, co to? Słyszysz?

- To syreny policyjne! - Lily usiłowała je przekrzyczeć.

Złapała Susie za rękę i zbiegły na dół. Pierwsza myśl, jaka przemknęła jej przez głowę to ta, że Peter i Eleonora powiadomili władze, lecz ku ich zaskoczeniu nie po to przyjechała policja. Po chwili dźwięk syren zaczął się oddalać, aż wreszcie całkiem ucichł. Samochody zatrzymały się na pobliskim nabrzeżu. Obserwowały przez okno powstałe zamieszanie. Po chwili wytaszczono na brzeg zwłoki mężczyzny. Najwyraźniej ktoś utonął w Potomaku. Natychmiast obkoczyli go lekarze z karetki pogotowia. Sądząc po ilości radiowozów, nie był to zwykły wypadek.

- Spójrz, tam jest ten detektyw, który prowadzi śledztwo w sprawie Dawida. - Susie wskazała palcem na Mela, zbliżającego się do denata. - Nie wiedziałam, że to taki przystojny mężczyzna - dodała ze zdziwieniem. - Nie, nie. Nie myśl, że jestem nim zainteresowana. W tej chwili żaden mężczyzna nie jest stanie zwrócić mojej uwagi.

Lily uśmiechnęła się pod nosem. Przez ułamek sekundy Susie mówiła jak młoda, zdrowa kobieta. Była wyjątkowo urocza. Jak ten łajdak mógł ją tak traktować? Jednak nawet ten krótki przeblysłk dał Lily nadzieję, że Susie po jakimś czasie zdoła uporządkować swoje życie.

- Ciekawe, kto utonął? - zastanawiała się na głos Susie.

- Myślę, że on wcale nie utonął - odparła Lily.

- To co, morderstwo? - Oczy Susie zrobiły się okrągłe.

- Nie mam pojęcia. W takiej zamożnej okolicy? Może raczej jakaś bijatyka - powiedziała Lily bez zastanowienia.

- No właśnie, przemoc wcale nie zależy od stanu konta. - Susie znów bardzo zmarkotniała. - Wiesz, czasami próbuję sobie wmówić, że to nigdy się nie stało. Jakbym oglądała jakiś film, a nie brała udział w rzeczywistych wydarzeniach. Odrywam się od tego, odsuwam od siebie, a chwilami nawet zupełnie zapominam...

- Zapomnienie wcale nie jest niczym złym, może nawet stać się prawdziwym błogosławieństwem. Ale... dlaczego właściwie nie miałybyśmy sobie trochę dogodzić? - Lily zmieniła nagle temat. - Przygotujmy sobie dobre śniadanko, a potem zastanowimy się, co robić dalej.

- Potrafię przyrządzić najsmaczniejsze tosty francuskie w całym mieście - zażartowała Susie. I znowu zadrżało serce Lily. Jeszcze raz obudziła się w niej nadzieja. Jej przyjaciółka wracała do życia.

- To brzmi cudownie. Już mi ślinka cieknie. Lily włączyła radio i próbowała złapać lokalne wiadomości, lecz nic z tego nie wyszło, a telewizora nigdzie nie znalazła. Zachowanie pozornego spokoju, którym starała się emanować na zewnątrz, wcale nie przychodziło jej łatwo. Czy ten topielec ma jakiś związek z historią Dawida? Gdziekolwiek by się znalazła, zaraz pojawiał się ten detektyw. Do diabła, co to ma znaczyć? Wiecznie depcze jej po piętach, choćby nawet nieświadomie. Zupełnie tak, jakby los się na nią wziął. Ten człowiek dziwnym trafem zawsze wyrastał spod ziemi tam, gdzie go się najmniej spodziewała. A przystojny to on rzeczywiście jest. Wysoki, dobrze zbudowany, inteligentny. No tak, ale znalazł się po niewłaściwej stronie. A zatem przystojny wróg? Czegoś się domyślał, na szczęście niezbyt niedokładnie. Nie,

dzisiaj nie będę się tym zamartwiać, pomyślała Lily. Lepiej będzie, jeśli skoncentruję się na parzeniu kawy.

Mel kiwał głową, słuchając wstępnego raportu prokuratora. Jim Lavert otrzymał śmiertelny postrzał w głowę, a dopiero później został wrzucony do wody. Jeszcze raz spojrzął na ciało i poczuł skurcz żołądka. Zawsze przeżywał śmierć ofiar, nawet w przypadku takiego drania, jakim był Lavert, który tak niedawno próbował go zabić. A teraz leżał bez ruchu na nabrzeżu.

- Zbierz wszystkie informacje, jakie uda ci się zdobyć - zwrócił się do Kenny'ego Banksa, prokuratora.

- I daj mi znać.

- W porządku. Myślę, że do szóstej będę gotowy.

- To dobrze. I dzięki - rzucił krótko Mel. Wiedział, że Kenny będzie pracował tak szybko, jak tylko będzie to możliwe.

Mel nie był zdziwiony, że Jim zginął. Wprawdzie na ogół policjanci nie strzelają do siebie, ale tym razem tak właśnie się stało. Lavert musiał wplątać się w coś, co go najwyraźniej przerosło, a jego szef doszedł do wniosku, że stał się niebezpieczny i kazał go zlikwidować. Cholera, zaklął pod nosem Mel, że też nie udało mi się go dorwać. W taki oto sposób wymknął się ważny świadek w sprawie Dawida.

I znowu trzeba będzie zacząć wszystko od początku. Rozejrzał się dookoła. W dokach przycumowane były imponujące łodzie. Podrapał się po głowie. Dlaczego właśnie tu porzucono ciało Laverta? A może to tu go zastrzelili? Trzeba dowiedzieć się czegoś więcej o właścicielach jachtów.

- Przejdź się po okolicy i dokładnie sprawdź, czy

w którejś łodzi ktoś jest - zwrócił się do jednego z policjantów.

- Szukasz naocznego świadka?

- Raczej nie, ale może ktoś coś słyszał? Albo... czyja wiem? Po prostu trzeba próbować.

Skierował się w stronę dwóch jachtów, stojących w pobliskim doku. Panowała tu absolutna cisza i spokój. Nagle jego wzrok przykuła piękna, imponująca łódź. Jeśli miałby mieszkać na wodzie, to właśnie w czymś takim. Postanowił obejrzeć ją z bliska.

- Należysz kawę? - zapytała Susie, zwabiona przecudnym zapachem, który wypełnił kuchnię.

Lily poczuła, jak żołądek wprost skręca jej się z głodu. Usiadła przy niewielkim kuchennym stoliku. Susie właśnie postawiła na nim wspaniale pachnące śniadanie.

- Pycha - szepnęła i poliała tost syropem klonowym. Obie ochoczo zabrały się do jedzenia, lecz nie zdążyły przełknąć pierwszego kęsa, gdy ktoś zapukał do drzwi.

- Jestem z policji - usłyszały. - Chciałbym zamienić kilka słów.

Susie omal się nie udławiła. Zaczęła chrząkać i kaszleć, a Lily natychmiast podskoczyła do niej, by ją uciszyć.

- Proszę otworzyć. To rutynowa kontrola. Chciałbym zapytać, czy nie słyszeliście państwo ubiegłej nocy niczego podejrzanego?

Serce Lily łomotało jak oszalałe. Wiedziała jednak, że musi wyjść i porozmawiać z policjantem.

Pospiesznie wbiegła schodami na górę. Raptownie otworzyła

drzwi i wpadła prosto w objęcia Mela Haskina. Spojrzał na nią badawczo. Na jego twarzy malowało się niepomiernie zdziwienie.

- Porucznik Haskin? - powiedziała powoli, starając się zachować spokój. - Co pan tu robi?

- Również ja chciałbym zadać to pytanie szanownej pani. - Mocno ujął ją za ramię. - Mam dosyć tych gier! - rzucił wściekle. - Wciąż pojawiaasz się w miejscach, w których nie powinno cię być.

Dlaczego? Czy możesz mi to jakoś wyjaśnić? Lepiej byłoby dla ciebie, żebyś potrafiła sensownie się wytłumaczyć - dodał z groźną niecierpliwością.

Nie broniła się, tylko powoli skierowała się w stronę krzeseł na pokładzie. To jedyne, co w tej sytuacji mogła dla Susie zrobić. Widziała, że Mel stawał się coraz bardziej wściekły, a zarazem przeobrażał się w jedną wielką podejrzliwość.

Jak to możliwe, by Lily Markey pojawiała się na każdym zakręcie jego życia? Jakoś nie przemawiało do niego, że właśnie spędza uroczy urlop na jachcie. Weekend w środku tygodnia? Nie, to do niej zupełnie nie pasowało. Panna Markey w tym względzie była taka jak on: zawsze w pracy. Dostrzegł ślad syropu na jej ustach. A więc przeszkodził w śniadaniu.

- Zdaje się, że przerwałem ci posiłek. Możemy porozmawiać na dole, to skończysz jeść - powiedział niespodziewanie.

- Już się najadłam - ucięła krótko. - Wolę zostać tu, na słońcu. Powiedz, co się stało w doku?

Widziałam to całe zamieszanie, policję, karetkę... Czyżby jakieś morderstwo?

Piękny wywód. Nie była jednak zbyt zaskoczona

jego wizytą. Musiała go dostrzec przez okno i najwyraźniej nie próbowała tego ukrywać.

- Tak, mamy morderstwo. Facet z postrzałem w głowę. Z dwudziestki dwójki.

- Jakies porachunki gangów? Tutaj? W tak spokojnej i dostojnej okolicy?

- Może, kto to wie? Albo porzucono tu ciało.

- Dlaczego tutaj? - zapytała ponownie Lily.

Jej reakcja potwierdziła wszystko to, o czym myślał Mel. Nabrzeże nie było dobrym miejscem ani na morderstwo, ani na porzucenie ciała. Lecz tak właśnie się stało.

- To był jeden z ochroniarzy burmistrza - powiedział jakby nigdy nic. - Zresztą glina.

Widział, jak krew odpływa jej z twarzy. Starła się za wszelką cenę opanować, ale dostrzegł, jak oczy Lily wypełnia strach. W końcu, po dłuższej chwili, udało jej się pozbierać. Mel poczuł się jakoś dziwnie. Fakt, że wiadomość tak bardzo przeraziła Lily, ową nieustraszoną reporterkę, zaskoczył go i rozwścieczył zarazem. W co ta szalona kobieta się wplątała? Z drugiej jednak strony zaczęło go zastanawiać, dlaczego śmierć ochroniarza burmistrza tak bardzo ją przeraziła. Ją, wytrawną dziennikarkę, która przywykła do tego typu historii. Zawładnęło nim jakieś przedziwne przeczucie. Wiedział, że jest na dobrym tropie, choć nie był jeszcze pewien, jakie należało zadać pytanie.

- Lily, chwileczkę. Powiedz, nad czym ty tak naprawdę pracujesz? Tylko nie kręć. Czy to dotyczy burmistrza Torrella?

Nie odpowiedziała od razu. Z wyrazu jej twarzy

domyślił się, że próbuje zgadnąć, ile on już wie na temat tej sprawy.

- Nie pracuję nad niczym, co w jakimkolwiek stopniu związane byłoby z burmistrzem. - Jeśli chodzi o blefowanie, Mel był niezastąpiony, pomyślała. Ale ja też nie jestem najgorsza.

- Zatem z jego pracownikami - powiedział powoli i wiedział, że uderzył w czuły punkt.

- Dlaczego nie zapytasz mnie o morderstwo? Przecież po to tu przyszedłeś, żeby dowiedzieć się czegoś od ludzi, którzy byli w tym czasie na łodziach. Powinno cię interesować, czy ktoś coś zobaczył albo usłyszał. - Spojrzała mu prosto w oczy. - No więc oświadczam ci, że nie słyszałam i nie widziałam niczego. Pewnie spałam, gdy to się wydarzyło. Wystarczy? - Wstała, dając mu do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca.

- Jesteś tu sama? - Mówiąc to, poczuł ukłucie zazdrości. Wcześniej nie przyszło mu do głowy, że Lily mogła tu być z mężczyzną, który niecierpliwie czekał na nią na dole. Teraz jednak pomysł, żeby spędzić z Lily noc na pokładzie „The Illusion” - bo tak nazywał się jacht - wydał mu się niezwykle ekscytujący.

- Tak - odparła nieporuszona. - Chciałam trochę odpocząć i przemyśleć parę rzeczy.

Opuściła wzrok.

Dostrzegł w tym geście coś dziwnego, nietypowego dla tej kobiety i natychmiast stał się jeszcze bardziej podejrzliwy. Była kiepskim kłamcą. Jego wzrok pobiegł natychmiast w kierunku schodów prowadzących na dół. Podniósł się z krzesła i ruszył w tamtą stronę. Lily przebiegła przez pokład i zagroziła mu drogę.

- W żadnym wypadku! Nie pozwalam. Nie przesadzaj. To najście. Chyba że masz nakaz... - powiedziała wściekle.

Mel był zdziwiony siłą jej reakcji. Jeśli była z mężczyzną, nie musiała przecież z tego powodu robić takiej afery. Ale być może... Nie da się ukryć, że przyciskanie jej do muru sprawiało mu dziwną przyjemność.

- Jeśli nie masz nic ani nikogo do ukrycia, dlaczego nie pozwolisz, żebym się trochę tu rozejrzał? - zapytał.

- To kwestia zasad, Haskin. Nie ma powodu, dla którego miałbyś tu węszyć i zakłócać moją prywatność.

- Stała wyprostowana jak posąg. Nie cofnęła się nawet o milimetr.

Co za upierdliwa baba, pomyślał wściekły. Lecz z drugiej strony szanował ją i doceniał. Nie było dla niej sytuacji bez wyjścia.

- Chodzi o zasady, czy też masz coś do ukrycia?

- Naprawdę ją uwielbiał, jednak nie zamierzał jej odpuścić. Na przykład musiał się dowiedzieć, z kim była? Więc jednak mężczyzna... Znowu to cholerne ukłucie zazdrości. Lepiej skonfrontować się z faktami, niż dać się zezreć temu uczuciu. Tak, tego naprawdę potrzebował, kubła zimnej wody, który ostudziłby złudne nadzieje i głupie zapędy.

- Jeżeli nie masz nakazu, niczego się nie dowiesz

- powiedziała twardo Lily i zablokowała ciałem zejście w dół.

Mel zrobił jedną ze swoich groźnych min i podszedł bliżej. Każda normalna osoba automatycznie cofnęłaby się, ale nie ona. Stał tuż przed nią. Widział jej rzęsy. Były długie i zadziwiająco mocno wywinięte do góry. Czarne jak noc, kontrastowały z jasną karnacją. Potem

dłuższy czas patrzył jak zaczarowany w jej szmaragdowe oczy i w żaden sposób nie mógł od nich oderwać wzroku. Kiedy wreszcie mu się to udało, spojrział w dół, na pełne wargi. Ich boski wykrój i cudowna barwa sprawiły, że przeszył go dreszcz. Zrodziło się w jego głowie pragnienie, które go przeraziło. Czuł, że za moment popełni zawodowe samobójstwo, czego potem będzie żałował do końca swych dni. Jednak tym razem nie był w stanie i nie chciał słuchać swoich przeczuć. Pochylił głowę i powoli przybliżał do jej twarzy swoje rozpalone usta. Nie złapał jej wpół i nie przyciągnął do siebie. Miała możliwość usunąć się, jednak tego nie zrobiła. Ich usta spotkały się w namiętym pocałunku. Nie broniła się, co więcej, poddawała nastrojowi chwili, jakby już długo na nią czekała. Nie warto zgadywać, dlaczego ta kobieta pojawiła się w jego życiu, po prostu połączyło ich przeznaczenie. Ręce Mela wolno zsunęły się wzdłuż ciała Lily i oplotły jej talię. Mocno przyciągnął ją do siebie i jeszcze silniej przywarł do jej ust. Nie myślał już o podrzuconym dziecku ani o morderstwie, lecz rozkoszował się każdą ofiarowaną mu od losu sekundą.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Lily miała wrażenie, że śni. Co dzieje się z tym facetem? Najpierw sroży się i robi jej wyrzuty, a zaraz potem całuje ją jak najczulszy kochanek. Choć tego akurat nie miała mu za złe. Gdy objął ją i przyciągnął do siebie, kompletnie się zapomniała. To było cudowne uczucie. Niemniej zaskoczyła ją jej własna reakcja na dotyk tego mężczyzny. Nie tylko pragnęła, aby pocałunek nigdy się nie skończył, ale dałaby wszystko, by Mel przytulił ją tak mocno, że aż straciłaby dech. I to właśnie było najdziwniejsze. Od dawna nie pozwoliła zbliżyć się do siebie żadnemu facetowi, jednak temu nie mogła się oprzeć. Działał na nią jak narkotyk. Gdyby mogła to ogarnąć rozumem, na pewno nie posunęłaby się tak daleko. Nie potrafiła jednak zapanować nad sytuacją. Nagle przypomniało jej się, że na dole czeka na nią przerażona Susie. To ją przecież miała chronić, nie bacząc na trudności, niebezpieczeństwa i... wyrzeczenia. Wzięła więc głęboki oddech, zrobiła krok do tyłu i patrząc Melowi prosto w oczy, powiedziała:

- Tam nie ma nikogo. Dobrze o tym wiesz. Dostrzegła drobną zmianę w jego spojrzeniu. Wiedziała już, że wygrała. Nie może teraz nalegać, by oprowadziła go po jachcie. Oboje przekroczyli pewną granicę, która narzuciła nowe reguły gry. Coś niezwykłego zaiskrzyło między nimi. Namiętność, pożądanie, szalone pragnienia... Każdy dotyk lub szept wywoływał w ich ciałach burzę zmysłów. Nie będzie łatwo o tym zapomnieć. Nie będzie łatwo wyrwać się z objęć Mela. Przez te krótkie sekundy nic nie liczyło się bardziej niż on. Tego nie dało się po prostu zapomnieć. Wiedziała, że jeszcze nigdy nie stąpała po tak niepewnym gruncie.

- Gdzie znajdę cię dziś wieczorem? - zapytał Mel, gdy udało mu się zapanować nad swoim przyspieszonym oddechem.

- Mam nadzieję, że w domu.

- Mogę zaprosić cię na kolację?

Lily poczuła zawrót głowy. A więc nie było już odwrotu, choć co prawda najpierw powinien zaprosić ją na randkę, a dopiero potem całować. Lekko się uśmiechnęła, lecz szybko spoważniała. Jakoś dziwnie to wyszło: okłamała go, a on zabiera ją na kolację.

- Myślę, że powinniśmy pogadać - odparła po chwili. Musi jakoś mu to wszystko wyjaśnić, powinien wreszcie zrozumieć jej punkt widzenia.

- Tak. Byłoby dobrze, gdybyś powiedziała mi prawdę. Wiem, że jesteś po uszy uwikłana w tę aferę. Nie chciałbym, aby przytrafiło ci się coś złego.

Była przekonana, że jest z nią szczerzy. Tym razem nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości.

- Będę ostrożna - obiecała.

- Przyjadę po ciebie o ósmej. *Zarezerwuj* sobie trochę czasu, byśmy mogli spokojnie porozmawiać. Mogła znaleźć tysiąc powodów, by mu odmówić. No cóż, gdyby nie był Melem Haskinem, zrobiłaby to bez wahania...

- A więc do ósmej - powiedziała. Rozejrzał się raz jeszcze po łodzi.

- Chyba lepiej będzie, jeśli powrócę na ziemię. - Mówiąc to, przeszedł przez pokład, a ona obserwowała jego każdy ruch. Był zwinny jak kot. Gdy zeskakiwał na pomost, odwrócił się, spojrzał na nią przeciągle i zapytał: - To twoja łódź?

- Nie, należy do mojego przyjaciela. - Wiedziała, że brzmi to mało przekonująco. Zrobiło jej się głupio. Mel był naprawdę inteligentnym facetem i już wkrótce dowie się, kto jest właścicielem tego jachtu, oraz że państwo Curry są blisko z Johnsonami. Po co więc znowu skłamała? Żeby zyskać na czasie?

- Też chciałbym mieć takich przyjaciół - odpowiedział z uśmiechem.

- Do zobaczenia wieczorem, Mel. - Odwróciła się i zaczęła schodzić w dół. Chciała zniknąć z pola widzenia, zanim zada jej kolejne kłopotliwe pytanie. Wiedziała, że czym prędzej musi przetransportować Susie w jakieś inne bezpieczne miejsce, by w końcu móc wsadzić ją w samolot do Londynu. Miała straszne zaległości w pracy. Nawet nie zdążyła dokończyć artykułu. Kiedy tylko pojawi się w redakcji, szef urwie jej głowę.

Rozejrzała się w poszukiwaniu Susie. Znalazła ją w kuchni. Siedziała na krześle z twarzą ukrytą w dłoniach, skulona i przerażona.

- Nie martw się, Susie. Wszystko jest w porządku
- zapewniła ją Lily, najspokojniej jak potrafiła. - Muszę wyskoczyć do biura. Postaram się znaleźć dla nas jakąś inną kryjówkę i natychmiast wrócę po ciebie
- dodała prędko.

Gdy Susie usłyszała jej głos, uniosła głowę do góry. Była blada jak ściana.

- Ten facet... ten, którego wyłowili z rzeki... słyszałam wszystko... on pracował dla Waymana. - Jej głos drżał.

Lily pokiwała głową. Zastanawiała się przez chwilę, jak musi czuć się kobieta, która podejrzewa, że ojciec jej dziecka jest mordercą.

- Wayman specjalnie tutaj porzucił ciało. On dobrze wie, że tu jesteśmy. Wszystko stracone.

Obserwuj nas... - Rozplakała się.

Lily złapała ją za ramię.

- Nie, Susie. Gdyby wiedział, nie oszczędziłby nas. Na pewno nie wie, gdzie jesteśmy, i to go rozwściecza.

- Nie mam pojęcia, ale umieram ze strachu. Lily, ty go nie znasz!

- Uspokój się. Najlepiej połóż się trochę i odpocz- .nij. Może uda ci się zasnąć. Naprawdę muszę lecieć do redakcji. Poradzisz sobie jakoś?

Susie kiwnęła głową.

- Przecież nie mam innego wyjścia. - Znowu ukryła twarz w dłoniach. - Może źle postąpiłam? Może powinnam zabrać Dawida i wrócić do niego? Może mi jakoś wybaczy? W końcu nie ma żadnej pewności, że będzie brutalny również wobec naszego syna.

Lily odczuła pierwsze oznaki paniki. Już kiedyś słyszała coś podobnego z ust swojej siostry, choć Babs

dobrze wiedziała, że to ułuda. Za każdym razem, kiedy wracała, mąż dawał jej jeszcze większy wycisk niż poprzednio.

— Obiecuj mi, że nigdzie nie pójdziesz, dopóki nie wrócę - wyrzuciła z siebie Lily. - Postaram się być *i* powrotem za godzinę, najwyżej półtorej. Wtedy coś wymyślimy. Znajdziemy dla ciebie jakieś bezpieczne miejsce. Przysięgam, zrobię wszystko, co w mojej mocy.

- Dobrze — wymamrotała Susie beznamiętnie. Była pogrążona w beznadziejnej rozpacz.

„Ach, jak przyjemnie kołysać się wśród fal, gdy szumi, szumi woda, a my płyniemy w dal...” - miau... Jaka to cudowna piosenka, ale jakoś dzisiaj nie pasuje do Potomaku. Mimo tego co się wydarzyło, dookoła unosi się intrygujący zapach wody, a fale delikatnie głaszczą łodzie zacumowane w dokach. Ale dla Laverta nie był to zbyt radosny dzień, choć nie można powiedzieć, żeby sobie na taką śmierć nie zasłużył. Poza tym wiedział, dla kogo pracuje... Strach pomyśleć, co będzie z Lily i Susie, gdy ten cały Wayman dorwie je w swoje łapy. Lepiej o tym nie myśleć. A tak swoją drogą, wcale nie było trudno ukryć się przed glinami, kiedy krążyli po okolicznych dokach. Zresztą na ogół ludzie nie zwracają uwagi na koty. Interesujące przeżycie, obserwować policję przy pracy. Biedna Lily pewnie umierała ze strachu, że je nakryją, ale wygląda na to, że teraz ma całkiem inny problem... To już nie morderstwo czy nawet Susie, ale... Mel. Niezła para: zajadła reporterka i detektyw-twardziel. Muszę przyznać ze skruchą, że trochę podglądałem,

kiedy... się całowali, ale między nimi już od dawna przepływały jakieś fluidy. Kiedy się spotykają, aż iskrzy w powietrzu. Zupełnie jak z Klotyldą i ze mną. Ciekawe, ile czasu zajmie im odkrycie, że są dla siebie stworzeni. Nie rozumiem, dlaczego ludzie nie dostrzegają takich oczywistych rzeczy. No dobra, muszę lecieć. Klotylda czeka na mnie i pewnie się już niecierpliwi. Wprawdzie Preston wynajął ochroniarzy, żeby pilnowali domu, ale i tak muszę mieć na to wszystko oko. Choć przyznaję, cieszę się, że to zrobił. Zeszłej nocy sam patrolowałem całą okolicę. Wierzcie mi, jestem na ostatnich łapach. Potrzebuję odrobiny snu i czegoś smacznego na ząb. Nie, lepiej w odwrotnej kolejności. Najpierw przekąska, a potem chrapan-ko. Poza tym muszę koniecznie porozmawiać z Melem. Może uda mi się ukazać mu tę historię w innym świetle. Wiem, jakie podłe miał dzieciństwo, ale i ja, gdy byłem mały, poznałem życie od nie najlepszej strony. Porzucenie, to rzeczywiście obrzydliwa sprawa. Niemniej nie potępiałbym wszystkiego w czambuł. Czasami zdarzają się zupełnie wyjątkowe sytuacje, z których nie ma dobrego wyjścia. Ciekawe, czy Mel będzie umiał to zaakceptować. W końcu było kilka filmów na ten temat. Nie sądzę jednak, żeby ten twardziel chodził do kina. Sam się do niego pofatyguję i trochę powęszę. Może znajdę coś, dzięki czemu zdołam to i owo wbić mu do głowy. Ten duży facet musi zmienić swój sposób myślenia. Całe szczęście, że mieszka po drodze. Inaczej chyba nie dałbym rady, bo ledwo powłóczę łapami. Myśl o mojej miękkiej, aksamitnej poduszce, która czeka na moim ulubionym oknie, przyprawia mnie o zawrót głowy. Kwietniowe

słońce przypieka już całkiem mocno, zwłaszcza przez szybę. Uwielbiam wygrzewać tam moje obolałe kości. Kochana Eleonora. To tylko dzięki niej żyję w takim luksusie. Ale służba nie drużba. W końcu nie jestem zwykłym kocurem. Inaczej popędziłbym prosto do domu, wrzucił coś na ruszt i zwinął się w kłębek na mojej czerwonej podusi. Co się odwlecze, to nie uciecze. Najpierw obowiązek, a potem przyjemność. O, proszę bardzo, idzie nasz porucznik... Nie wie jeszcze, że od tej chwili towarzyszyć będzie mały czarny cień na czterech łapach.

Mel wsiadł do samochodu i ruszył w stronę miasta. Rozmyślał właśnie o tej kobiecie, która była na fotografii razem z Lily. Przyszło mu do głowy, że to ona mogła być na jachcie. Dlaczego był przekonany, że to Jakiś facet? No cóż, zazdrość zmała mu zdrowy rozsądek. Czy to tę blondynkę ukrywała Lily? Bo że kogoś ukrywała, tego był pewien. Prowadziła bardzo niebezpieczną grę. Zastanawiał się, dlaczego go okłamała. On też kilka razy w swoim życiu wymyślał jakieś niestworzone historie, żeby kogoś ochronić lub nie zranić. Czasami była to jedyna droga do prawdy. Lecz po co robiła to Lily? Od tej odpowiedzi zależało bardzo wiele. Tylko jeden Bóg wiedział, jak bardzo Mel pragnął tej kobiety. Każda myśl o niej przyprawiała go niemal o utratę zmysłów. Jej usta, oczy, włosy...

- Haskin, jesteś głupcem - powiedział głośno, wjeżdżając na obwodnicę miasta.

- Miau!

Kumpel przekrzywił łebek i wpatrywał się w Mela. Jeśli chodzi o tego kocura, zdążył się już przyzwyczać,

że pojawiał się w najbardziej nieoczekiwanych sytuacjach i najdziwniejszych miejscach. Wcale nie potrzebował zaproszenia.

- Miau! - rozległo się ponownie, a zaraz potem Kumpel zaczął stukać łapą w kierownicę. Wystawił pazury i delikatnie przytrzymał prawą dłoń Mela.

- Chcesz, żebym skręcił? - Mel zaczął się zastanawiać, czy całkowicie oszalał, czy też jeszcze jest przed nim jakaś nadzieja. - A skąd wiesz, dokąd jedziemy?

Kot mocniej wbił pazury, jakby chciał powiedzieć: „Skręcaj, nie marudź”.

Mel posłusznie skręcił więc w prawo. Miał wprawdzie mnóstwo rzeczy do roboty, ale kocur był tak fascynujący, że nie sposób było mu odmówić. Po chwili zorientował się, dokąd jadą. Jego zdziwienie nie miało granic.

- OK, masz rację. Muszę przesłuchać sekretarkę - sam przed sobą usiłował z honorem wybrnąć z sytuacji. Nie mógł pojąć, jak to możliwe, że kot kieruje jego poczynaniami. - Ale muszę cię ostrzec, zaraz potem jadę do biura.

Zaparkował i weszli do budynku. Przyglądał się, jak Kumpel z zainteresowaniem przechadzał się to tu, to tam. Oczami znawcy oglądał modernistyczne obrazy wiszące na ścianach i oceniał stare meble.

- No dobra, wiem, to niezbyt imponujące mieszkanie. - Przycisnął guzik automatycznej sekretarki. Jako pierwszy nagrał się Laster Bennett. Chciał wiedzieć, co się dzieje z Melem. Potem burmistrz Torrell prosił o natychmiastowy kontakt. Dalej jakiś głuchy telefon i na końcu informacja od Chrisholma: „Cześć, Mel. Mamy pewien ślad dotyczący tej kobiety ze zdjęcia. Zadzwoń do mnie”.

Szybko wystukał numer.

- Witaj, Chris. Dzięki za wiadomość. Czy możesz teraz wpaść do mnie z Tannerem i Barrettem?

- Jasne. Niedługo u ciebie będziemy.

- Dobra, czekam.

Poszedł do kuchni i nastawił kawę, podczas gdy Kumpel nadal węszył po kątach. Wyraźnie zafascynowała go kolekcja kaset wideo. Mel lubił kino, więc trochę się tego zbierało.

- No co, stary, podoba ci się coś? Niestety nie znajdziesz tu „Księgi Dżungli” ani „Króla Lwa”.

Zaskoczyło go przenikliwe spojrzenia Kumpla.

- Wybacz, nie chciałem cię dotknąć - powiedział, a potem głośno się roześmiał.

Kot nie tracił czasu, tylko łapą wygrzebał z półki Jeden z filmów.

- Chcesz obejrzeć „Smażone zielone pomidory”? Dobra. - Mel wyjął kasetę z opakowania i wsunął do wideo. - Masz około dwudziestu minut, bo potem zawiozę cię do Johnsonów. Nie mam pojęcia, jakim cudem przemieszczasz się z miejsca na miejsce, ale ja odwiozę cię tam osobiście. Przy okazji dowiem się, czy u nich wszystko bez zmian. - Przycisnął start.

Jego oczy zrobiły się całkiem okrągłe, gdy Kumpel uruchomił łapą przewijanie i usiadł, jakby oczekiwał na jakąś konkretną scenę. Mel zupełnie nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić, dlatego oparł się o poduszkę

i po prostu czekał. Nie trwało to zbyt długo, bo Kumpel zatrzymał przewijanie i na ekranie ukazała się młoda, pobita kobieta. Przycisnął „stop,” zeskoczył z sofy i po chwili wrócił ze zdjęciem Lily i Susie w pyszczku.

- Miau!!!

Zdumiony Mel natychmiast się domyślił, o co chodzi Kumpłowi.

- Chcesz mi powiedzieć, że ta kobieta była bita przez męża? Ale to nie jest jeszcze powód, żeby porzucać niemowlę. Przecież jest prawo. Mogła zwrócić się po pomoc albo legalnie oddać dziecko do adopcji.

Rozległ się dźwięk dzwonka.

- Poczekaj, stary.

Otworzył drzwi. Zobaczył uśmiechającego się promiennie Chrisholma.

- Cześć, Mel. Mamy dla ciebie kilka informacji. Jak sądzę, trochę cię zaskoczę. Nigdy byś nie zgadł, kim jest ta kobieta ze zdjęcia.

Szef zmierzył Lily od stóp do głów. Wciąż jeszcze było jej cholernie głupio. Wypowiedziane przez niego słowa, a raczej wyrzuty, sprawiły jej wielką przykrość, wiedziała jednak, że miał rację. Ostatnio zupełnie odpuściła sobie redakcję, jako że sprawa bezpieczeństwa Susie wypełniła jej wszystkie myśli. Mimo gorzkich słów szefa, wiedziała, że jej decyzja była słuszna. Kiedy się wszystko w końcu wyjaśni i będzie mogła wytłumaczyć swoje postępowanie, na pewno ją zrozumie. Na razie musiała walczyć o przetrwanie.

Kiedy wróciła na nabrzeże, dostrzegła dwa radiowozy zaparkowane tuż przy doku, w którym zakotwiczona była łódź państwa Curry. Podeszła do dwóch policjantów przesłuchujących starszą kobietę.

- Ona po prostu otworzyła drzwi, wyciągnęła mnie z samochodu i odjechała - uskarżała się staruszka. Była bardzo zdenerwowana. - To straszne! - Wymachiwała rękami. - Rozbój na prostej drodze.

- Przyjrzała jej się pani dokładnie?

- Tak. Ciemne włosy, ciemne oczy... niezbyt wysoka. No, taka... zwyczajna. Tylko jedno budziło moje wątpliwości. Miała szalony wyraz twarzy. Absolutnie szalony. To przepraszała mnie, mówiąc, że wcale nie chce mi tego robić, to znowu krzyczała, żebym się pospieszyła, bo musi ratować swoje dziecko.

Lily zamknęła oczy. Spojrzała w kierunku łodzi, ale wiedziała, że nie ma po co tam wracać. Susie postanowiła działać na własną rękę. Była w drodze... ale dokąd? Lily bez słowa pobiegła do samochodu. Wskoczyła do środka i ruszyła z piskiem opon.

- To jest jej przyjaciółka! - krzyknęła starsza kobieta, wskazując na odjeżdżający samochód. - Widziałam je obie dzisiaj rano na pokładzie. Zatrzymajcie ją!

- Stać! - wrzasnął młody policjant, usiłując przekrzyczeć ryk silnika.

Lily, mimo że usłyszała jego okrzyk, nie miała najmniejszego zamiaru dostosowywać się do tego żądania. Musiała czym prędzej znaleźć Susie. Mocno zacisnęła palce na kierownicy. Droga była wąska i mokra, a za jej samochodem wciąż pędził wrzeszczący policjant. Musi go zgubić. Przycisnęła pedał gazu do dechy. Silnik zawył żałośnie. Przy odrobinie szczęścia uda jej się uciec. Jechała wzdłuż rzeki, a potem nagle skręciła ostro w prawo, aż nią zarzuciło. Teraz nie miał już szans. Znowu nadepnęła gaz do dechy i znikła z pola widzenia. A więc jeszcze raz udało się, pomyślała. Odetchnęła ciężko i trochę zwolniła. W tym momencie Jakiś czarny sedan wyskoczył z podporządkowanej ulicy i zajechał jej drogę. Lily zaklęła ze złością.

Musiła ostro zahamować, żeby go nie staranować. Zatrzymała samochód i wyskoczyła z niego jak oparzona. Gdy była zaledwie kilka kroków od niego, drzwi otworzyły się i wysiadł z niego Mel Haskin. W ślad za nim pojawił się czarny kot.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Dłuższą chwilę Mel stał i przyglądał się jej bacznie, aż nagle wszystko przybrało zawrotne tempo. Nim Lily zdołała zorientować się, co się dzieje, znalazła się w policyjnym wozie. Zauważył, że zrobiła się przerażająco blada, a w jej pięknych oczach pojawił się wyraz szaleństwa. Usta zwęziły się w jedną wąską kreseczkę, a gdy Mel zapytał o Dawida, prawie całkowicie znikły z jej twarzy. Nawet nie drgnęła, gdy zakomunikował, że zabiera ją na posterunek. Dopiero gdy oznajmił, że zidentyfikował matkę podrzuconego dziecka, policzki Lily oblały się mocnym, szkarłatnym rumieńcem. Do tej chwili wyglądała niebezpiecznie, teraz jednak wprost buchała wściekłością. W takim stanie najłagodniejsi ludzie popełniają najcięższe zbrodnie.

- Sama rozumiesz, że Susie Bishop za porzucenie dziecka trafi do więzienia. A ty pomagałaś jej uknuć ten cały plan...

Nie odezwała się ani słowem. Mel już żałował, że pozwolił sobie na tak szorstkie i bezceremonialne starcie z Lily. Niepotrzebnie zagrały w nim emocje.

Zdał sobie sprawę, że gdyby wybrał inną taktykę, być może zdecydowałyby się na współpracę z policją. W tej chwili ich tak nieodległy pocałunek stał się jak senne złudzenie. Po tym, co teraz zaszło, z pewnością Lily nie będzie chciała mieć z nim nic wspólnego. Wręcz ziała nienawiścią. Gdyby miała przy sobie pistolet, z całą rozkoszą wpakowałyby w Mela cały magazynek. Nie miał złudzeń, tylko tego mógł się po niej spodziewać.

- Miau! - Czarny kocur przeskoczył do przodu i usiadł między nimi, tym samym przerywając smętne dywagacje Mela. Spoglądał to w jedną, to w drugą stronę, jakby chciał sprowokować choćby najmniejszą wymianę zdań.

Lecz w tej sytuacji jakakolwiek próba mediacji między zajadłą reporterką i brutalnym policjantem z góry skazana była na klęskę. Kumpel jednak nie rezygnował. Głośno i przeciągle mrucząc, ocierał łebek o ramię Lily.

- Zdrajca! - syknęła jadowicie.

- Kumpel nie ma z tym nic wspólnego - powiedział Mel. - Wpadł nam w ręce film zrobiony przez Jima Laverta. Były na nim zdjęcia twoje i Susie.

Przez moment wpatrywała się w niego jak zahipnotyzowana, a potem głośno jęknęła. A więc udało mu się wywołać w niej jakąś reakcję. Sprawilo mu to zaskakująco dużą przyjemność. Lecz już po chwili znowu odwróciła się i zacisnęła usta.

- Lavert śledził was. Wtedy, kiedy opuściłaś dom Johnsonów, po napadzie... Pamiętasz?

Sfotografował Susie, jadącą twoim samochodem. Tobie też zrobił kilka niezłych fotek. Na początku mieliśmy kłopoty, bo zmyliła nas ta blond peruka, w końcu jednak się

udało. A skoro chłopakom z wydziału się powiodło, to również komuś innemu może się udać. Takie właśnie zadanie otrzymał Lavert, zanim dostał kulkę w głowę.

Tego było za wiele. Lily, słysząc te przerażające słowa, zaczęła drzeć na całym ciele, a w jej oczach pojawiły się łzy. Mel musiał ze wszystkich sił zaciąć się w sobie, aby nie zatrzymać samochodu i nie wziąć jej w ramiona. Teraz naprawdę nie mógł sobie pozwolić na tego typu zachowanie. Nieważne, jakimi pobudkami kierowała się Susie, i tak będzie musiała odpowiedzieć za to, co zrobiła.

- Miau! - Kumpel trącił nosem łokieć Lily. Wzięła go na kolana i zaczęła głaskać jego błyszczące futerko. Naprawdę ufała temu kocurowi.

- Kumpel i ja oglądaliśmy dzisiaj rano kawałek filmu... - powiedział Mel, chcąc przerwać milczenie.

- Właściwie to on zachowywał się tak, jakby koniecznie chciał, abym obejrzał pewien fragment „Smażonych zielonych pomidorów”. Ten kawałek ze zmaltretowaną kobietą. Wiesz może, o co mu chodziło? - Cały czas obserwował Lily. Obawiał się, że za chwilę gruntownie go podsumuje.

Ona jednak odwróciła głowę i spoglądała na niego z zainteresowaniem.

- Dokładnie wiem, co ci Kumpel próbował wytłumaczyć. - To były pierwsze słowa, jakie powiedziała do Mela, odkąd wyjechali z portu.

To go ośmieliło.

- Więc mi to wyjaśnij.

- Czasami kobieta nie ma wyboru, ale ty nie chcesz przyjąć tego do wiadomości. Trochę cię rozumiem, bo rzeczywiście niełatwo sobie wyobrazić, że ktoś cię

katuje, bo na przykład zupa jest za słona albo za zimna. Albo ręcznik krzywo wisi... Wierz mi, nie każdy czuje się na siłach walczyć z czymś tak obezwładniająco strasznym.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że Wayman Bishop bił swoją żonę? Prawa ręka burmistrza? Facet odpowiedzialny za ostatnią kampanię dotyczącą bezpieczeństwa kobiet na ulicach Waszyngtonu?

- Bitą, to mało powiedziane. Susie ukrywa się od dwóch tygodni, ale to nie jest gra w chowanego, to nie są żarty! Do tej pory Wayman nie miał zielonego pojęcia, gdzie jest jego żona. - Zamilkła na chwilę.

- Widzę, że mi nie wierzysz. Proszę, sprawdź, ile razy trafiła na izbę przyjęć Lakeland Memorial Hospital z połamanyimi kośćmi, oparzeniami i najróżniejszymi obrażeniami. Nawet wtedy, gdy była w ciąży!

- Przecież szpitale mają obowiązek zgłaszania takich rzeczy, to znaczy jeśli zachodzi podejrzenie, że obrażenia powstały na skutek przemocy w rodzinie. Na pewno wiedziałbym o tym, gdyby został złożony raport na Waymana Bishopa.

- Pomyśl wreszcie przez chwilę, człowieku! - Zacisnęła tak mocno palce na jego ramieniu, że aż syknął.

- Chyba raz możesz użyć swego małego mózdzku? Która przerażona kobieta, panicznie bojąca się męża, złoży na niego skargę? Dobra, nie męcz się. Odpowiem za ciebie: żadna! Wykaż się odrobiną wyobraźni. Wiesz, co by ją za to spotkało? Oficjalne powody obrażeń bywają różne. Te nieszczęśnice albo spadają ze schodów, albo przelatują przez drzwi, albo wpadł na nie pies i się przewróciły, albo, albo... To bez znaczenia. Nikt nie wnika w szczegóły, bo nikomu nie zależy na prawdzie.

Rozluźniła dłoń i poczuła ciepło jego skóry. Była na niego autentycznie wściekła. Nie miało to jednak Żadnego wpływu na emocje iskrzące między nimi, bowiem działały na innych falach, były ponad wszystko. Mel także o tym wiedział. Próbował zebrać myśli. Zapadło krótkie milczenie.. To jasne, Lily święcie wierzy w to, co przed chwilą powiedziała, co do tego nie miał żadnych wątpliwości. Był tylko jeden problem: Mel nie mógł tak po prostu kupić podobnej opowiadki, a Już na pewno nie w całości. Wciąż nie usprawiedliwiała to porzucenia dziecka. Istniało wiele innych rozwiązań.

- Susie nie jest jakąś prostytutką lub przez nikogo niechcianą sierotą. To kobieta po studiach. Swego czasu zajmowała wysokie stanowiska. Wcale nie musiała tolerować brutalności swojego męża. A poza tym, gdy tylko przekonała się, że również dziecko może znaleźć się w niebezpieczeństwie, natychmiast powinna była podjąć prawne kroki, żeby je uchronić. Tak właśnie postąpiłaby każda dobra matka.

Lily patrzyła mu teraz prosto w twarz.

- Człowieku, na jakim świecie ty żyjesz? Pracujesz w policji, twoim chlebem powszednim są ludzie spaczeni, przestępcy i zbrodniarze, a opowiadasz mi tu Jakieś banialuki, jakby naszą rzeczywistością rządziły sprawiedliwość, miłość i prawo! Nie udawaj, że wierzysz w te bzdury, bo aż takim idiotą chyba nie jesteś. Z Waymanem nie ma żartów! Nie wiesz, czym mogło się to skończyć dla Susie? Trwałym kalectwem albo nawet śmiercią. Nie mówiąc o dziecku. Nie chciała, by Wayman zrobił z niego takiego potwora, jakim sam Jest. Doskonale to rozumiem. Właśnie bezgraniczna

miłość do Dawida zdecydowała o tym, że Susie się go wyrzekła. Myślisz, że taka decyzja jest łatwa? Wiesz, ile łez ta kobieta wylała i w jakiej jest rozpacz?

Mel zwolnił i zatrzymał się w pobliżu parku. W oddali małe dzieci bawiły się na placu zabaw. Przyglądał się przez dłuższą chwilę ich igraszkom, aż w końcu powiedział:

- Jeśli jesteś tak bardzo przekonana o słuszności jej postępowania, to skłoń ją do tego, by wyszła z ukrycia. Załatwię jej ochronę i niech w tej sprawie zdecyduje sąd.

- Ty naprawdę nic nie rozumiesz. Nie mogę tego zrobić, Mel. To w ogóle nie wchodzi w rachubę. Wayman jest mocniejszy, niż sądzisz. Czyżbyś był aż tak naiwny? On ma władzę i pieniądze. Bez trudu odbierze jej dziecko, udowadniając, że jest niezdolna do wychowywania Dawida. A to ją zabije. Wiedział, że to, co za chwilę powie, zniszczy w niej wszelkie uczucia, które dla niego miała.

- Sądzisz zatem, że dziecko zostanie z Johnsonami?

- Spojrzał na nią z niedowierzaniem. Zdał sobie sprawę, że przez cały czas nie spuszczała go z oka.

- Jako przedstawiciel prawa mam obowiązek oddać Dawida naturalnemu ojcu. - Spodziewał się wybuchu gniewu, szalonej, wściekłej burzy.

Ale ona nie uczyniła nic, nie powiedziała ani słowa. Odwróciła jedynie wzrok i tępo patrzyła w szybę.

- Lily, zrozum, ja muszę to zrobić. Nie mam innego wyjścia.

Nadal milczała, lecz jej twarz stała się przeraźliwie blada. Przez moment wydawało mu się, że uchodzi z niej życie.

Nagle spojrzała mu prosto w oczy z taką przenikliwością, że po plecach przebiegł mu dreszcz.

- Jak tylko dostanie dziecko, będzie polował na Susie, jak myśliwy na zwierzynę. A kiedy poderżnie jej gardło, nikt nawet się o tym nie dowie. Dobrze o tym wiesz. Takie jest twoje prawo!

Patrzył na nią z niejakim przerażeniem. Wciąż miał nadzieję, że jednak przeważy rozsądek.

- Susie powinna się zgłosić na policję. Nie ma innej drogi i ty też o tym wiesz. Jestem pewien, że jeżeli ten facet jest rzeczywiście tak brutalny, żaden sąd nie powierzy mu opieki nad dzieckiem.

- Z pewnością masz rację. - W głosie Lily brzmiało Jadowite szyderstwo. - W Waszyngtonie nie może zdarzyć się nic podobnego.

- To najlepsze rozwiązanie, jakie mogę ci zaoferować - powiedział na zakończenie Mel.

W tym momencie odezwało się w samochodzie radio.

- Do wozu numer 22. Było porwanie na 1212 Mulberry Lane. Chodzi o dziecko. Porwała je kobieta poruszająca się taurusem. Zrozumiałeś?

- Cholera! - wyrwało im się jak na komendę. Mel odpalił silnik, włączył koguta i ruszył przed siebie z piskiem opon. Poruszające się po ulicy samochody zaczęły zjeżdżać na pobocze. Oboje wiedzieli, co się stało. Susie wykradła małego Dawida z domu Johnsonów. Zabrała go i uciekła.

- Czy wszyscy pracownicy policji słyszeli ten komunikat? - zapytała z lękiem.

Mel tylko kiwnął głową, koncentrując się na prowadzeniu auta.

- O Boże! - jęknęła. - Przecież Wayman ma dostęp do policyjnych częstotliwości. Musimy się spieszyć. Będzie próbował ją dopaść, a wtedy, to już koniec... Jedź prędzej, pomogę ci ją odnaleźć!
 - Masz jakiś pomysł? - rzucił krótko.
 - Chyba wiem, dokąd pojedzie...
 - Dokąd? Mów! - Był zaskoczony nagłą zmianą w zachowaniu Lily.
 - Na końcu ulicy osiemnastej jest stary magazyn. Tam miałyśmy się spotkać, gdyby coś poszło nie tak. Jestem pewna, że tam właśnie będzie na mnie czekać, licząc na to, że pomogę jej wydostać się z miasta.
 - Skąd ta nagła zmiana? Dlaczego mi pomagasz?
 - Wayman wszędzie ma swoje wtyczki. Nie może być tam przed nami. Ty go nie znasz i nie wiesz, do czego jest zdolny. Susie nie dożyje południa, jeśli ten bydlak odnajdzie ją pierwszy. Jesteśmy jej jedyną szansą.
 - Nawet jeśli miałyby trafić do więzienia za porzucenie swojego dziecka? - Choć sympatyzował z tą nieszczęsną, beznadziejnie zastraszoną kobietą, nie mógł zmienić swojego postępowania. Przede wszystkim liczyło się dobro dziecka.
 - Więzienie jest lepsze niż trumna - syknęła wściekle przez zęby.
 - Pilotuj mnie - rzucił krótko, jak gdyby nagle coś do niego dotarło.
- Jakie miękkie i ciepłe są kolana Lily. To prawdziwie rajskie przeżycie znaleźć się tutaj. Ale nie o tym chciałem... Biedna Susie nie wytrzymała napięcia i teraz ciąży na niej jeszcze zarzut o porwanie. Jakoś nie wydaje mi się, aby oddanie się w ręce prawa miało

przynieść dobre rezultaty. Muszę jednak przyznać, że Jeśli chodzi o karkołomną jazdę, Mel mnie nie zawiódł. Nieźle popruwa. I wcale mnie to nie przeraża... Choć nie zaszkodziłaby tu jakaś mała modlitwa w intencji bezpiecznego zakończenia tej podróży. Szanse są coraz większe, bo już widzę magazyn, o którym wspomniała Lily. O, parkujemy, czy raczej zatrzymujemy się po-lirodku drogi. No, ale w końcu bierzemy udział w poważnej akcji. Nawet porucznik Columbo nie miałby do nas startu.

Mel wyskoczył z samochodu i wyciągnął z kabury pistolet.

- Zostań w środku - powiedział do Lily.

- Susie nie wyjdzie, jeśli mnie nie zobaczy. Muszę z tobą pójść.

Chciał zaoponować, ale w ostatniej chwili zrezygnował.

- Lily, to może być bardzo niebezpieczne - ostrzegł tylko.

- Tak, ale przede wszystkim dla Susie - powiedziała, wysiadając z samochodu. Spojrzała na Kumpla. - Może to on powinien zostać w środku?

- Dobra, a ty trzymaj się za mną - zakomenderował. Otworzył drzwi i weszli do magazynu. Panowała tam

absolutna ciemność. Dopiero po chwili zaczęły wyłaniać się z niej poszczególne przedmioty.

- Gdzie miała na ciebie czekać? - spytał szeptem.

- Tam. — Lily wskazała uchylone drzwi, prowadzące do małego biura.

- Zawołaj ją.

- Lepiej będzie, jeśli tam wejdziemy - wyjaśniła Lily i ruszyła do przodu.

Mel złapał ją za rękę i pociągnął w swoją stronę.

- Miałaś się trzymać za mną - zbeształ ją szorstko.

- Cokolwiek rozkażesz - szepnęła, po czym pokornie zajęła swoje miejsce w szyku.

Czuł jej oddech na swoich plecach. Przeszył go rozkoszny dreszcz. Lecz już po chwili ponownie skoncentrował się na uchylonych drzwiach. Boże, co za obrzydliwe miejsce, pomyślał. Same pudła i skrzynie. Przeciwnik może czańć się wszędzie. A do tego ta pełna grozy cisza. Ciekawe, czy Susie tam rzeczywiście jest? I to razem z dzieckiem?

Ostrożnie, krok po kroku, zbliżali się do biura.

- Poczekaj tu chwilę - powiedział nagle Mel. - Ta cisza mi się nie podoba. Susie jest z pewnością sparaliżowana strachem.

- Zgoda, ale pozwól, że ja ją zawołam. Inaczej dostanie ataku serca.

Mel rozejrzał się uważnie dookoła.

- Dobra.

- Susie, to ja! - krzyknęła Lily. - Jesteś tam? Przyszliśmy, żeby ci pomóc. Mel podejdzie do ciebie. Nie wpadaj w panikę! Zobaczysz, wszystko dobrze się ułoży.

Rzucił jej przez ramię krótkie, ale pełne wdzięczności spojrzenie.

- Dzięki! - szepnął. - Zrobię dla niej, co tylko będę mógł. Wiesz...

Lily kiwnęła głową i wbiła wzrok w podłogę.

- Wiem - odparła cicho, gdy był już przy drzwiach. Wsunął do środka głowę i nasłuchiwał. Po chwili zniknął z pola widzenia.

- Susie, jesteś tu? - zapytał łagodnie.

W odpowiedzi usłyszał trzask zamykających się za nim drzwi, a potem zgrzytnięcie zasuw. Było zbyt ciemno, by mógł cokolwiek dostrzec.

- Przepraszam, Mel - odezwała się Lily. - Nie pozostawiłeś mi innego wyboru. Jak tylko Susie z Dawidem będą bezpieczni, przyjdę i wypuszczę cię stąd.

- Lily, proszę, nie rób tego. Ściągniesz w ten sposób na siebie same problemy! - Był wściekły, że dał się tak wymanewrować. Wystrychnęła go na dudka jak jakiegoś żółtodzioba. - Lily! Lily! Jesteś tam jeszcze? Wypuść mnie, a zapomnimy o tym, co się przed chwilą wydarzyło.

- Naprawdę nie mogę, Mel. Chciałabym, ale nie mogę. Wierz mi.

Słyszał w jej głosie autentyczną rozterkę.

- Zastanów się, co robisz? Wchodzisz w poważny konflikt z prawem! Lily! - Czekał na odpowiedź, na jakąś reakcję. Na zewnątrz panowała jednak niczym nie zakłócona cisza. Wiedział, że to nie ma sensu, bo już wyszła.

Lily wybiegła na dwór. O mało co nie zapomniała o zamknięciu drzwi wejściowych do magazynu. Znała właściciela, dlatego bez trudu zdobyła klucze. Hala, mimo że załadowana starymi pudłami i kontenerami, od dawna nie była używana i Melowi nic nie groziło. Gdy wszystko się przewali, wróci tu, by z wysoko podniesioną głową ponieść wszelkie konsekwencje swoich czynów. Z całą pewnością Mel jej nie odpuści. Był na nią potwornie wściekły. Co do tego nie miała najmniejszych wątpliwości. Czym prędzej wsiadła do samochodu. Ze zdziwieniem spostrzegła, że nie ma Kumpla, nie miała jednak

czasu, by szukać kota, nawet jeśli był istotą zupełnie wyjątkową. Czas naglił. Była pewna, że Kumpel i tym razem poradzi sobie. Przede wszystkim musiała znaleźć Susie i dziecko, zanim uda się to Waymanowi. Zaczęła się intensywnie zastanawiać, dokąd Susie mogła pojechać, aby się ukryć. Co sama by zrobiła w takiej sytuacji? Wśród tak zwanych przyjaciół nie było nikogo, kto zechciałby jej pomóc, z pewnością też nie pojechała do domu samotnej matki, gdzie ukrywa się mnóstwo kobiet maltretowanych przez swoich mężów. A więc gdzie? Możliwości było niewiele, zwłaszcza dla takiej kobiety, jaką była Susie. Nie mówiąc już o tym, że została zidentyfikowana i każdy policjant w mieście, który by ją rozpoznał, miał prawo czy raczej obowiązek zatrzymać ją. Żadne publiczne miejsce nie wchodziło więc w grę. Niemal wszędzie porozstawiani byli ludzie Waymana i jak sępy czekali tylko, kiedy pojawi się jego udręczona żona. Nieszczęsna Susie nie miała także rodziny. Lily poczuła się zupełnie bezradna. Nie miała pojęcia, gdzie szukać przyjaciółki. Instynktownie skierowała się w stronę rezydencji Johnsonów, choć wiedziała, że tam z całą pewnością jej nie znajdzie. Liczyła jednak, że dowie się jakichś szczegółów. Gdy była już niedaleko Mulberry Road, nagle do głowy przyszła jej pewna myśl. Kiedyś, dosyć dawno temu, kiedy przejeżdżały koło pewnego małego parku, Susie zwierzyła jej się, że marzy o tym, by pójść ze swoim, wówczas jeszcze nienarodzonym dzieckiem, na plac zabaw. Rozkleiła się, wyobrażając sobie, jak by to było cudownie spędzić popołudnie na zabawie, a potem wrócić do domu do kochającego i czekające-

go z utęsknieniem męża. Nie mogła wtedy przestać o tym myśleć, choć dobrze wiedziała, że to tylko fantazje. Lily nie liczyła na to, że ją tam znajdzie, ale nic lepszego nie przyszło jej do głowy. Dojechała do Ambelly Park i zatrzymała samochód. Wszędzie było mnóstwo dzieci. Przypomniało jej się nagle, jak siedziała w parku z Melem i próbowała mu wyjaśnić postępowanie Susie. Dlaczego ten facet był taki uparty i za nic w świecie nie chciał zrozumieć, że nie każdy musi być takim twardzielem, jak on? Ciężko było jej z tym wszystkim, choć za wszelką cenę starała się jakoś trzymać. Pochyliła głowę nad kierownicą, a jej oczy wypełniły się łzami. Otarła je ze złością. Nie kto inny jak Mel Haskin zmusił ją do tego, co przed chwilą zrobiła. Zawinił jego idiotyczny upór. Ciekawe, czy i dla sądu będzie to takie oczywiste, pomyślała z rozzaleniem. Ale ktoś przecież musiał jej pomóc.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Mel, stary byku, kiedy w końcu przestaniesz rznąć naiwniaka? Wpadłeś jak śliwka w kompot. A wyglądało na to, że ona naprawdę zrozumiała swój błąd. Chociaż nie zaprzeczam, trochę mnie zaskoczyło, że tak nagle poszła na współpracę. Jasne, że nie miała zamiaru zaprowadzić go do Susie. Wyprowadziła go, ale w pole. Co za numer, zamknęła naszego detektywa na klucz! Chylę przed nią czoło. Trzeba przyznać, że to było coś. Wydaje mi się jednak, że słono będzie musiała za to zapłacić. Wścikłość Mela czuć przez ściany. Oj, biedna będzie Lily, gdy już ją dopadnie. Bo widzicie, ludzie to najbardziej irracjonalny gatunek na tej planecie. Na przykład z całą pewnością wiem, że do Mela nic nie docierało, kiedy Lily usiłowała mu cokolwiek wytłumaczyć. Niby słuchał, ale nic nie słyszał. Więc co miała robić? Ałe teraz to ma u niego naprawdę prze-chlapane. Nic a nic jej nie ufa. Znalazła się na pierwszym miejscu jego czarnej listy. Sytuacja strasznie się skomplikowała i aż wstyd przyznać, ale nie mogę powiedzieć, żebym miał w zanadrzu ileś tam

fantastycznych rozwiązań. Trochę trzeba będzie podumać. Zaraz... W tej chwili widzę właściwie tylko dwa wyjścia. Albo pomogę wykaraskać się z tarapatów Melowi, albo skoczę zobaczyć, co dzieje się u Johnsonów. Może mają jakieś nowe wieści? Poza tym strasznie tęsknię za Klotyldą. Moje słodkie biedactwo całymi dniami samotnie czeka na mnie. Jednak męska lojalność podpowiada mi, że powinienem pomóc Melowi. Może ten facet jest uparty jak osioł, może czasami trudno do niego dotrzeć, a nawet bywa agresywny, ale w sumie jest bardzo podobny do mnie. Rzecz jasna nie chodzi mi o podobieństwo fizyczne, ale o bardzo zbliżony sposób myślenia. Sądzę więc, że lepiej będzie, jeśli uwolnię go z tej pułapki, bo poważnie obawiam się, że Susie i Lily będą potrzebowały jego pomocy, i to już niedługo. Ten cały Wayman Bishop wygląda mi na wyjątkowo bezwzględnego faceta. Jeżeli zaplanował, że zamorduje żonę, to najpierw będzie musiał sprzątnąć Lily. To oczywiste. I nikt go nie powstrzyma. Najrozsądniej więc będzie wypuścić Mela, aby mógł zabawić się w superglinę i w razie potrzeby obronić obie panie. Zobaczmy, co się da zrobić. A może niech sobie jeszcze kilka minut porozmyśla o tym, co mówiła Lily? Usiądę na chwilę i troszeczkę odpocznę. Kumpel przycupnął w pobliżu drzwi, za którymi znajdował się Mel, i zwinął się w kłębek. Przez chwilę wodził wzrokiem za muchą krążącą wokół lufcika. Nie chciało mu się jednak ruszyć z miejsca. Jak przerwa, to przerwa, pomyślał. Przymknął oczy i zasnął. Nie była to jednak zbyt długa drzemka. Nie mógł się odprężyć. Wstał, przeciągnął się, a potem podrapał za uchem. No dobra, zaraz wezmę się do roboty, chyba już mu

wystarczy. Teraz pomyślę, jak otworzyć drzwi. A może, zanim go uwolnię, powinien uroczyście mi przyrzec, że będzie słuchał moich rad? Nie, to chyba jednak byłoby za wiele.

Mel zamarł. Dałby się pokroić, że słyszy jakieś szmery po drugiej stronie drzwi, coś jakby skrobanie, szuranie... Może to szczur albo mysz? - pomyślał. Wsłuchiwał się raz jeszcze. Tak, z pewnością coś się poruszało.

- Jest tam ktoś? - wyrwało mu się. - Halo! Halo! Proszę otworzyć drzwi! - zaczął nawoływać.

Wiedział jednak, że szanse były niewielkie, a poza tym, jeśli nawet ktoś się tam skradał, mógł mieć zarówno dobre, jak i złe intencje. Ale nie było przecież czasu na grę w podchody. Później będzie się martwił, bo teraz za wszelką cenę musi się stąd wydostać. Niech no on dostanie tę pannę w swoje ręce! W tej chwili dałby głowę, że złamie jej kark. A tak w ogóle, kto wie, może przydałaby mu się jakaś terapia, żeby wykurowali go z tej piekielnej, graniczącej z głupotą naiwności. Sam już nie wiedział, na kogo był bardziej wściekły, na Lily czy na siebie.

Znowu usłyszał głośnie szuranie.

- Hej! Muszę stąd koniecznie wyjść! Kto to?

W odpowiedzi nie padło wprawdzie ani słowo, ale zauważył, że w szparze pod drzwiami pojawia się jakiś przedmiot. Schylił się i podniósł wymięty kawałek papieru. Zapalił zapalniczkę i ujrzał kościelną ulotkę.

- „Wybaczenie jest kluczem do raj” - przeczytał na głos. Ze złością odrzucił kartkę. - Już ja ci pokażę wybaczenie... - zachnął się. - Jeśli natychmiast nie

otworzysz tych drzwi, to kimkolwiek jesteś, obiecuję ci, że zmienię twoje życie w piekło!

- Miau!

- Kumpel? To naprawdę ty? - Nie mógł wprost uwierzyć, że to znowu ten kot. Zawsze zjawiał się w najbardziej nieoczekiwanym momencie, kiedy nie widać było szansy na jakiegokolwiek rozsądne rozwiązanie. - Zorganizuj pomoc! Wiem, że stać cię na to. Jesteś najinteligentniejszym kotem pod słońcem - wyrzucił z siebie jednym tchem, zachodząc przy tym w głowę, dlaczego zleca zwierzakowi tak odpowiedzialne zadanie. No cóż, intensywne psychoterapie będzie jednak konieczne.

I znowu jakieś szmery. Chwila napięcia i pod drzwiami ukazuje się kolejna kartka. Identyczna jak poprzednia, z takim samym przesłaniem.

- Kumpel? Ty też postradałeś zmysły?

- Miau...? - W jego głosie Mel wyczuł wyraźne pytanie.

- A więc o to ci chodzi? - Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. - Chcesz, żebym przebaczył Lily? Tego już za wiele! Widzisz przecież, co nabroiła.

- Miau... - Tym razem głos Kumpla zabrzmiał miękko i słodko.

Czyżby świadkiem tej sceny była ta przeurocza kotka? - pomyślał Mel. Jak też ona miała na imię? A, Klotylda! Faktycznie, wyjątkowo urodziwa. Nie to co Kumpel, stary intrygant i szantażysta. Wiedział, że musi zaakceptować warunki przedstawione przez tego kocura albo spędzi w tym magazynie następne długie godziny.

- Przebaczyć Lily? Nie mogę! Nie rozumiesz tego? Zapanowała cisza, mroczna i całkowita. A zatem nie

ma wyjścia. Będzie musiał czekać, aż zjawi się tu jakiś człowiek i wreszcie otworzy te przekłete drzwi. Oparł się o ścianę. Ale niby dlaczego miałby go tutaj ktoś szukać? Czy ktokolwiek przy zdrowych zmysłach dobrowolnie by tu się pojawił? Dopiero gdy wreszcie ktoś zatrzyma Lily, która z pewnością zabrała jego samochód, cała historia się wyda. Choć nie jest to takie pewne, bo ta spryciara gotowa wymyślić jakąś zgrabną bajeczkę, a on nadal będzie tkwił z założonymi rękami w tym ciemnym, zapyziałym pomieszczeniu.

- Kumpel! - zawołał w nadziei, że kot wciąż tam jest. W odpowiedzi zobaczył kolejną kartkę z duchowym przesłaniem.

- Myślałem, że jesteś po mojej stronie - spróbował wziąć kota na męską solidarność.

Cisza.

- No dobra, zastanowię się, ale nie odchodź.

- Miau... - Kumpel zdawał się już niecierpliwić. Mel ciężko westchnął. Nawet gdyby przyszło mu siedzieć pięć lat w tej ciemnej, śmierdzącej budzie, nie zmieniłby zdania. Sytuacja zdawała się być beznadziejna. Nie chciał rzucać słów na wiatr. Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

- Kumpel? A co ty na to, gdybym wprowadził jej nie wybaczył, ale zrezygnował z ukarania?

- Miau!!!

Klasnął w ręce. Przynajmniej zgodzili się co do jednego.

- Więc jak mnie stąd wyciągniesz?

- Miau! Miau!

Zabrzmiało to tak, jakby Kumpel miał już gotowy plan działania i Melowi nie pozostało nic innego, jak

tylko czekać. Po około dziesięciu minutach usłyszał podekscytowane męskie głosy. Wyraźnie przybliżały się w jego kierunku.

- Hej! Halo! Tutaj jestem! - zawołał.

- Dobrze, dobrze, już idę. A gdzie podział się ten czarny kocur?

Po chwili rozległ się dźwięk otwieranej zasuwki i przez drzwi wpadło do pomieszczenia jaskrawe światło. Mel zamrugał oczami. Oślepiło go na moment. Po chwili dostrzegł przed sobą trzech facetów.

- Dzięki - powiedział z ulgą. Mężczyźni byli mocno zdziwieni.

- Kim pan jest? - zapytał jeden z nich podejrzliwie.

- Mel Haskin, porucznik policji. - Z kieszeni wyciągnął swój identyfikator. - Wpadłem w pułapkę.

Myślałem, że przyjdzie mi tu zemrzeć. - Spojrzał na Kumpla, który właśnie pojawił się koło jego nóg.

- Jak mnie znaleźliście?

- Chcieliśmy złapać tego czarnego kota. Miał pianę na pysku, myśleliśmy, że jest wściekły.

Chcieliśmy go tu zagonić i zadzwonić po weterynarza.

- No tak... - Mel pokiwał głową. - W każdym razie dziękuję za uwolnienie. A co do kota, proszę się nie martwić. Jest absolutnie zdrowy. To mój kot. - Z trudem powstrzymywał uśmiech, widząc zakłopotane twarze swoich wybawców. Sam był zresztą mocno zaskoczony pomysłowością i inteligencją tego przedziwnego zwierzęcia.

- Ostro grasz, stary - powiedział w końcu. I wcale nie było mu już głupio, że gada z kotem.

Kumpel, który spokojnie wylizywał sobie jedną z łap, teraz spojrział na Mela i mrugnął do niego

bursztynowym okiem, po czym wybiegł na ulicę. Melowi nie pozostawało nic innego, jak tylko podążyć za nim.

Lily poczuła się bezradna. Nie mogła przecież cały dzień krążyć po mieście. To nonsens. Już dwa razy omal nie wpadła na policję. Wiedziała też, że Mel nie będzie siedział w tej starej budzie beczynnie, ale zrobi wszystko, żeby jak najszybciej wydostać się stamtąd. No i natychmiast zgłosi kradzież samochodu. A wtedy to już naprawdę koniec. Zatrzyma ją każdy patrol. Na samo wspomnienie tego, co zrobiła, poczuła przerażenie. Nie, teraz nie mogła o tym myśleć. Porucznik Haskin nigdy jej tego nie wybaczy. Nigdy. Ciało Lily przeszły gwałtowny dreszcz. Dlaczego czuje tak niewymowny żal? Przypomniła sobie dotyk jego ręki na swojej skórze... Kiedy zbliży się do niej następnym razem, to tylko po to, żeby założyć kajdanki... i już nigdy jej nie pocałuje. Choć z pewnością wtedy i tak był to tylko jeden z elementów jego taktyki. Ten człowiek przyciągał ją do siebie z jakąś magiczną siłą. Jeden pocałunek Haskina przewrócił jej świat do góry nogami. Niestety Mel nigdy w to nie uwierzy. Dawniej uwielbiała facetów. Kochała z nimi flirtować i uwodzić ich, aż do momentu, gdy Babs... Najbardziej przerażające było to, że jej siostra pomimo tego, iż mąż katował ją i poniżał, wciąż wracała do niego i nie potrafiła nad tym zapanować. Nigdy wcześniej nie przyszło jej do głowy, że coś takiego jest możliwe. A jednak... Od tego czasu zmieniła się. Przekonała samą siebie, że życie bez facetów jest

dużo lepsze, a już na pewno spokojniejsze i bezpieczniejsze. Nauczyła się też jeszcze jednego, a mianowicie że nikt nie wierzy bitej kobiecie. Ta myśl przerażała ją i oburzała zarazem. Jednak Mel tego nigdy nie zrozumie i chyba właśnie to było w tym wszystkim najsmutniejsze. Dla niego Lily po prostu złamała prawo. Żył w tym swoim czarno-białym świecie i za żadne skarby nie chciał dostrzec tysiąca innych barw. Czy dwoje tak różnych ludzi mogło kiedykolwiek się zrozumieć? Przez chwilę ludziła się, że był jedynym facetem na świecie, który mógłby sprawić, iż znów zaczęłyby naprawdę żyć. Jednak dzisiejszym posunięciem straciła go na zawsze. Próbowała się otrząsnąć, pozbierać. Spojrzała na Susie. Przytulona do Dawida spała na tylnym siedzeniu. Dobrze, pomyślała. Przynajmniej ona trochę odpocznie. Nie miała pojęcia, dokąd pojechać i co zrobić. Nagle Susie, jakby czując jej wzrok, poruszyła się i otworzyła oczy. Mały zaczął płakać.

- Chyba jest głodny - powiedziała. - Może spróbowałabym nakarmić go piersią?

- Spróbuj, a ja podskoczę do sklepu i kupię wszystko, co potrzebne. Jakoś sobie poradzimy.

Idąc do pobliskiego sklepu, rozmyślała raz jeszcze nad zaistniałą sytuacją. Nie powinna pozwolić, by więź między Dawidem a Susie zacieśniła się jeszcze bardziej. Ale z drugiej strony jaki miała wybór w chwili obecnej? Znajdowały się w nie najlepszej części miasta, ale zdawała się dzisiaj być bardziej bezpieczna niż inne. Weszła do środka. Wybrała pieluchy, rozpuszczalne mleko w proszku dla niemowląt, butelki i jeszcze kilka

innych artykułów, które mogły się przydać Susie lub małemu. Na szczęście w sklepie było pusto. Podeszła do kasy, zapłaciła i szybko wyszła na ulicę. A teraz co? Co powinna zrobić? Z rozważań wyrwał ją pisk opon ostro ruszającego samochodu. Myślała, że śni. To był samochód Mela. Z jego wnętrza słychać było rozzwierający krzyk Susie. Nim przepadł za zakrętem, zdołała jeszcze dostrzec, kto siedział za kierownicą. Był to młody, potężny facet. Na pewno jeden z ludzi Waymana. Nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Rzuciła siatki i pobiegła za autem.

- Stać! Stać! Zatrzymaj się!

Lecz samochód coraz bardziej oddalał się, aż w końcu znikł z pola widzenia. Przez dłuższą chwilę Lily stała na ulicy, nie mogąc się poruszyć. W jej głowie kłębiły się myśli. Więc znalazł ją. I ma ich teraz w swoich rękach. Susie i Dawida. Jak mogła sądzić, że ucieczka się powiedzie?

Mel wyszedł z domu Johnsonów z przedziwnym uczuciem. Nie było wątpliwości, że to Susie Bishop wykradła swoje własne dziecko, ale ku jego zdziwieniu ani Rose, ani Preston nie chcieli skierować przeciwko niej sprawy do sądu. Czyżby z nią sympatyzowali? Kiedy jeden z policjantów przekazywał mu klucze od radiowozu, zauważył, że zarówno Kumpel jak i Klotylda podążają za nim.

- O nie, nie tym razem. Wracajcie do domu — powiedział.

Tego było już za wiele. Naprawdę nie potrzebował, żeby te dwa kocury włóczyły się za nim krok w krok. Musiał czym prędzej działać, znaleźć te dwie szalone

kobiety z dzieckiem i aresztować je. Co prawda przyrzekł Kumplowi, że odpuści Lily incydent w magazynie, ale współdziałanie w porzuceniu, ukrywanie przestępcy i na koniec porwanie, to już zupełnie inna historia. Odetchnął z ulgą, gdy zauważył, że koty posłuchały jego prośby. Wiedział, że nie tylko on chce odnaleźć Lily i Susie. Wayman Bishop był jeszcze bardziej tym zainteresowany. Poczł skurcz żołądka, gdyż zdał sobie nagle sprawę, że ten facet rzeczywiście byłby zdolny zabić obie kobiety. I co gorsza, nie spadłby mu z tego powodu nawet włos z głowy. Wiedział, że w tej sprawie Lily mogła mieć rację. Swoją drogą, jakie to uczucie, być żoną człowieka, który w każdej chwili bezkarnie może cię zamordować? Toż to Jakieś średniowiecze! Mimo tych wszystkich wątpliwości I tak nic nie usprawiedliwia tego, co zrobiła ta kobieta. Ale z pewnością nie chciał, aby przytrafiło jej się coś złego. Postanowił pojechać do mieszkania Lily. To kawał drogi, pomyślał, ale będzie miał przynajmniej trochę czasu, żeby nad kilkoma rzeczami się zastanowić. Na przykład dokąd mogła się udać cała trójka? Skreślił w małą uliczkę i dosłownie zamarł za kierownicą. Czarny Taurus stał zaparkowany na rogu. To był samochód, który ukradła Susie. Nawet nie musiał sprawdzać tablic rejestracyjnych, aby potwierdzić swe przypuszczenia. Zatrzymał się zaraz za nim. Wysiadł i zajrzał do środka. Na podłodze leżał mały, dziecięcy koszyk. Ten widok zasmucił go. Już miał połączyć się z komisariatem, żeby zidentyfikować wóz, ale w ostatniej chwili przypomniały mu się słowa Lily. Przecież Wayman ma wszędzie swoje wtyczki, na wszystkich szczeblach departamentu policji. Jima Laverta też kupił. Mel nie mógł więc ryzykować. A zatem zdany był wyłącznie na siebie. Przeczesał cały pobliski park.

Wprawdzie nie znalazł ani Lily, ani Susie, ale kilka kobiet je zapamiętało. Były tam. Miały ze sobą dziecko. Zdecydował, że wróci do samochodu. Z daleka słyszał już przez otwarte okno terkoczące radio.

- Słucham. O co chodzi?

- Porucznik Haskin? - zapytał dyspozytor.

- Tak.

- Mamy dla pana prywatną informację, a raczej list.

- Tak, tak...

- Dostałem dyspozycję, żeby skłonić pana do przyjazdu na posterunek, by odebrał pan przesyłkę.

Mel wyczuł niepewność w głosie dyspozytora.

- Nie mam czasu.

- Ale ta kobieta powiedziała, że to bardzo ważne. Dodała, że jest panu winna przeprosiny i potrzebuje pańskiej pomocy.

Lily! Serce zaczęło walić mu jak młot. Ale zaraz się pozbierał. O nie, drugi raz nie da się wystrychnąć na dudka!

- Przyjadę, jak skończę.

- Nalegała, że to bardzo pilne. Dlatego dzwonię. To ta dziennikarka. Poznałem ją od razu. Jest naprawdę strasznie zdenerwowana.

Mimo że Mel nie ufał jej, czuł, że musi się z nią zobaczyć. Starał się zachować zimną krew.

- Jak tylko będę mógł, przyjadę.

- Pospiesz się. - Dyspozytor niemal szeptał. - Wygląda, jakby miała za chwilę eksplodować. Twierdzi, że nikt poza tobą nie może jej pomóc.

Mel uruchomił silnik i mocno nadepnął pedał gazu. To, czego nie dopowiedział dyspozytor, dla niego stało się jasne. Lily desperacko błagała go o pomoc. Coś

musiało pójść nie po jej myśli. Ostro zahamował przed komendą. Wyskoczył z samochodu i wbiegł po schodach na górę. Gdy tylko pojawił się w drzwiach, natychmiast wstała i podbiegła w jego kierunku.

- Wiem, że jesteś na mnie wściekły - szepnęła, zanim zdążył się odezwać. - Nie interesuje mnie, co zrobisz ze mną. Wayman ma Susie i dziecko! Nie mam pojęcia, dokąd ją zabrał i co z nimi robi. Jej rzeczywiście chodziło tylko o Susie. Mógł ją mieć za oszustkę, idiotkę czy przestępczynię. Nie dbała o to. Widział w jej oczach autentyczny strach. Wziął ją za łokieć i wyprowadził na zewnątrz. Nie sprzeciwiała się. Musieli porozmawiać na osobności.

- Skąd wiesz, że Bishop ją ma?

- Porwano ją z parkingu, nieopodal sklepu, w którym robiłam dla niej zakupy. Czekala z małym w samochodzie. Kiedy wróciłam, zobaczyłam, jak znikają za zakrętem. Za kierownicą siedział młody facet. Susie krzyczała wniebogłosy. Porwali ją. Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. Gdyby to była policja, dawno wiedziałbyś już o tym, prawda?

Jej pytanie pozostało bez odpowiedzi.

- A jeśli to znowu część twojego planu?

- Mel, wiem, co myślisz, ale ratuj ją! Błagam! Byłam jedyną osobą na świecie, która jej pomagała.

- Skąd wiesz, że jest w tak wielkim niebezpieczeństwie? Może przesadzasz?

- Jej mąż to potwór. Nie znosi sprzeciwu. Zabije ją za to, co zrobiła. Chce teraz tylko dziecka. Zrozum!

- Przecież nie wszyscy faceci katują kobiety, które im się sprzeciwiają. Inaczej byłabyś w tej chwili w poważnych tarapatach.

W Lily jakby piorun strzelił. Nic nie kapował.

- To nie moja wina, że tego nie pojmujesz! Jesteś zupełnie innym człowiekiem i nigdy nie dotknąłbyś kobiety nawet najmniejszym palcem, ale to nie powód, żebyś teraz bagatelizował moje słowa. - Zacisnęła palce na jego dłoniach. - Wayman ma Susie. Jeśli ich szybko nie znajdziemy, Susie zniknie na zawsze z tego świata! Wiem, że trudno ci to zrozumieć, bo jesteś inny. Ty nikogo byś nie skrzywdził.

Ścisnęła go tak mocno, jakby nie chciała wypuścić z rąk prawdy, którą przed chwilą przed samą sobą odkryła. Dostrzegła w jego oczach ciepło. Wprawdzie próbował je ukryć pod maską pozornego chłodu, ale to nie miało znaczenia. Czują, że być może tym razem uda jej się wyrwać go z czarno-białego świata, w którym tkwił od lat. Wspięła się na palce i gorąco go pocałowała. Przycisnęła ją do siebie i odpowiedział długim pocałunkiem. Wtuliła głowę w jego tors, a po chwili lekko się odsunęła i spojrzała mu prosto w oczy.

- Muszę powiedzieć ci w końcu prawdę, Mel. Nigdy nie pragnęłam żadnego mężczyzny tak bardzo, jak ciebie. Nigdy. Być może wszystko zepsułam, ale to niczego nie zmienia, poza tym, że za swoją głupotę będę musiała zapłacić bardzo wysoką cenę. Ale nie mogę znieść myśli, że Susie zginie z mojej winy!

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Na moment cały świat przestał istnieć. Była tylko Lily i jej szmaragdowe oczy. Jej oszałamiająca uroda i niezwykła wręcz odwaga zawładnęły nim bez granic. Wpakowała się w sytuację niemal bez wyjścia, a wciąż myślała tylko o tym, jak uratować Susie. Gdzie podział się jej instynkt samozachowawczy? Do reszty obezwładniła go ledwie dostrzegalna, lecz mimo to wyraźna nuta aksamitnej wprost miękkości, przebijająca spod bezkompromisowej determinacji tej kobiety. To było coś nowego. Najchętniej porwałby Lily w ramiona i całował do nieprzytomności, lecz niespodziewanie zakłócił tę idyllę dźwięk klaksonu. Odwrócił się i zobaczył Kumpla siedzącego na przednim fotelu radiowozu z łapą opartą na przycisku. Po chwili wyłoniła się też łepetyna powabnej, białej kotki, spoglądającej na nich z pewnym wyrzutem. I znowu rozdarł powietrze ostry, ponagląjący dźwięk.

- Poganiają nas i mają rację. Kumpel dobrze wie, że czas pracuje na naszą niekorzyść. Chodźmy. - Lily odwróciła się i ruszyła w stronę samochodu.

- Gdzie może być Susie? - zapytał Mel.

- Nie wiem. Wiem tylko, że była w twoim samochodzie, kiedy ją porwano. Powiedz, że uda nam się ją odnaleźć...

Otworzył w milczeniu drzwiczki i pomógł Lily wsiąść, a potem zgrabnym ruchem wskoczył za kierownicę. Oba koty leżały przytulone na tylnym siedzeniu.

- Jak myślisz, Lily, gdzie Bishop mógł kazać ją zawieźć?

Była bardzo zdenerwowana. Zaciśnęła dłonie w pięści, aż pobieleły jej kostki. Tak wiele zależało od tego, co teraz powie.

- Myślę, że nie do jej domu i raczej nie do ich górskiej chaty. Pewnie gdzieś, gdzie nikt by się nie spodziewał. Może... tam, gdzie załatwił Laverta?

W odpowiedzi Mel chwycił mikrofon i połączył się z posterunkiem. Lekarze sądowi byli zdania, że Lavert został odnaleziony wkrótce po zamordowaniu, zatem zbrodni musiano dokonać w okolicach nabrzeża.

Wówczas Lily przypomniała sobie, jak Susie opowiadała jej, że zaraz po ślubie Wayman zabrał ją na przejażdżkę bardzo piękną i drogą łodzią.

Widząc w jej oczach bezgraniczne zaufanie i nadzieję, że potrafi zapobiec temu, co najgorsze, Mel miał ochotę roztrzaskać coś w drobny mak.

- Lily, w tym mieście jest jakieś dziesięć tysięcy łodzi! - wybuchnął. Dostrzegł, jak jej oczy matowieją, a nadzieja zamienia się w smutek i bezradność.

- Ten człowiek jest nieobliczalny - powiedziała zrezygnowana.

- Miau - odezwał się Kumpel. Wstał, przeskoczył

do przodu i otarł się pyszczkiem o radio. Klotylda zamruczała z aprobatą.

- Co masz na myśli? - zapytała Lily.

Gdy spojrzała na Mela, dostrzegł w jej oczach zażenowanie.

- Nie przejmuj się, ja też z nim rozmawiam. Kumpel zaczął niecierpliwie uderzać łapą w radio.

- Pewnie chce, żebyś się z kimś połączył. Może z prokuraturą? Tak, Kumpel? O to chodzi?

Kocur nie zareagował.

~ Zaraz, dzwoniłeś przecież w sprawie Laverta.

- Maiu! - zamiauczały oba koty zgodnym chórem.

- A więc Jim. No tak, on jest jedynym namacalnym śladem, jaki mamy - powiedział powoli Mel, kiwając głową. - Na pewno był zamieszany w tę historię. Z kim by tu pogadać na jego temat? - zastanawiał się na głos.

- Może z jego żoną? Musi przecież coś wiedzieć, choćby domyślać się, co robił jej mąż i dlaczego zginął. Być może da nam jakąś wskazówkę, która doprowadzi nas do celu.

- Zbyt na to nie licz, to może być kolejna ślepa uliczka. - Delikatnie pogładził ją po ramieniu. Potem włączył silnik i ruszył z miejsca.

- Pozostała mi tylko nadzieja - szepnęła Lily.

Mel przełknął nerwowo. Złość i rozdrażnienie znikły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Nikt inny nie działał tak na niego. A już na pewno nie ktoś, kto wcześniej z całą premedytacją zamknął go w magazynie. Lily stanowiła absolutny wyjątek. Miał jednak pewność, że jej intencje były bez zarzutu. Ale wiedział też, że droga do piekła usłana jest dobrymi chęciami.

- Dlaczego to robisz? - zapytał.

- Dlaczego pomagam Susie? - Lily uśmiechnęła się pod nosem. Spojrzała przez okno. Na dworze było ciepło i słonecznie. Prawdziwie wiosenny dzień. - Do głowy by mi nie przyszło, że tak się sprawy potoczą. Myślę, że byłam bardzo naiwna, zobowiązując się, że jej pomogę. Sądziłam, że będzie to o wiele prostsze. Miałam znaleźć dla Dawida kochający dom, a Susie wsadzić do samolotu, by odleciała ku nowemu życiu. Wszystko jednak strasznie się skomplikowało, a ja nie mogłam tak po prostu wycofać się i zostawić jej samej, gdy dowiedziałam się, że ona nie ma nikogo.

Mel nadal nie rozumiał Lily, ale zaczynał jej ufać. Widział, że działała pod wpływem emocji, zupełnie przy tym nie zdając sobie sprawy z czyhających na nią niebezpieczeństw.

- Co chciałaś w ten sposób osiągnąć? - zapytał.

- Sądziłam, że uda mi się uchronić małego przed jego wynaturzonym ojcem, a Susie ułatwić start w nowe, lepsze życie.

- Według ciebie nie mogła zacząć tego nowego, lepszego życia razem ze swoim dzieckiem? - zapytał zszokowany.

- Dużo łatwiej byłoby wywieźć ją samą niż z dzieckiem. Co ja mówię? Gdyby chciała opuścić kraj z Dawidem, nigdy by jej się to nie udało.

Zapadło milczenie. Mel dłuższą chwilę zastanawiał się, czy zadać to pytanie. W końcu zdecydował się.

- Powiedz mi, jak ona mogła tak po prostu oddać swoje dziecko?

- Nawet nie wiesz, jak bardzo z tego powodu cierpiała. Kocha Dawida ponad wszystko. Tak strasz-

nie się bała, że nie będzie potrafiła dobrze go wychować. Miała zacząć w zupełnie nowym miejscu, w innym świecie, prawie bez grosza przy duszy. Nie mogła pójść na takie ryzyko. Wiedziała, że Johnsonowie od lat pragną dziecka. Obie ich znałyśmy i było dla nas jasne, że będą wspaniałymi rodzicami. Może ty nie podjąłbyś takiej decyzji, ale Susie w rozpaczy doszła do wniosku, że tak będzie najlepiej. Ani ty, ani ja nie zrozumiemy do końca, dlaczego tak właśnie zdecydowała.

- Właśnie próbuję - powiedział Mel. Zjechał na pobocze i wyłączył silnik. Ujął Lily za dłoń i wyszeptał: - Naprawdę próbuję ją zrozumieć.

- Wiem. - Odwzajemniła jego uścisk.

Kumpel i Klotylda skorzystali z sytuacji i wyskoczyli na zewnątrz. Mel nawet nie próbował ich powstrzymać. Koty przebiegły przez trawnik i znikły z pola widzenia. Mel wziął Lily pod rękę i poprowadził w stronę pobliskiego domu. Dopiero teraz zorientowała się, że byli przed domem Laverta.

- Miejmy nadzieję, że uda nam się dowiedzieć czegoś użytecznego - szepnął do Lily i przycisnął dzwonek.

Otworzyła im filigranowa blondynka. Niepewnie spojrzała na przybyszy. Mel wyciągnął swoją legitymację i wyjaśnił, że chcieliby porozmawiać na temat jej męża. Margie Lavert wprowadziła ich do przestronnego salonu. Usiadła na sofie, naprzeciwko Lily. Mel rozejrzał się wprawnym okiem po pokoju i nagle dostrzegł w oknie dwa kocie łby.

- Znaleźliście już mordercę? - zapytała, nie mogąc powstrzymać łez.

- Niestety jeszcze nie. Ale może pani mogłaby nam w tym pomóc?

Pokręciła przecząco głową.

- Jim nigdy mi o niczym nie mówił. Zawsze tylko powtarzał, że niepotrzebnie się martwię. Wciąż się gdzieś spieszył. Przyzwyczaiałam się do tego, że nigdy go nie było. Wiedziałam jednak, że wróci... - Znowu łzy potoczyły się po jej policzkach.

- Pani Lavert, proszę się dobrze zastanowić, zanim mi pani odpowie. Czy pani mąż wspominał kiedyś coś o jakiejś łodzi lub o jakimś miejscu położonym nad wodą?

- Nie mamy nic takiego - odparła natychmiast - ale marzyliśmy o tym, że może w przyszłości, jak uzbieramy trochę pieniędzy... Dawno temu snuliśmy nie kończące się plany na temat wspólnych wypraw. Ale to było naprawdę dawno, co najmniej pięć lat temu. Chociaż chwileczkę... Jim opowiadał coś, że burmistrz ma dużą łódź, którą od czasu do czasu udostępnia swoim pracownikom. Mel wydobyl z kieszeni notatnik i zapisał kilka informacji.

- A Wayman Bishop?

- Z tego co wiem, nie miał jachtu ani łodzi motorowej. Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Mogę się mylić. Pamiętam jednak, jak Jim opowiadał, że wypożyczał czasem jacht od Torrella. To piękna, stara łódź. Jakiś czas temu byliśmy na niej na przyjęciu.

- I gdzie trzymał tę łódź?

- U Hendersona. To taki mały, zaciszny i uroczy port. Jim lubił to miejsce. Powtarzał, że jak przejdzie na emeryturę, kupimy sobie taką łódź i będziemy podró-

zować. Był niepoprawnym marzycielem - powiedziała Margie, ocierając łzy. Mel uniósł się z fotela.

- Proszę przyjąć moje kondolencje, pani Lavert. Będziemy panią na bieżąco informować o przebiegu śledztwa. Proszę wybaczyć to najście.

Mel wyciągnął rękę w stronę Lily i oboje szybkim krokiem skierowali się do wyjścia, starając się jednak nie wzbudzać podejrzeń wdowy. Wskoczyli do samochodu. Z ulgą stwierdzili, że oba koty siedzą jakby nigdy nic na tylnym siedzeniu.

- Port Hendersona... - Jego instynkt podpowiadał mu, że są na dobrym tropie.

- Gdzie to jest? - zapytała Lily.

- Około dwóch mil w górę rzeki. To bardzo ekskluzywne miejsce. - I prawie odcięte od świata, dodał w duchu.

Jechał tak szybko, jak tylko mógł. W pewnej chwili wyciągnął ze schowka pistolet i podał go Lily.

- To na wszelki wypadek.

Z niejakim ociąganiem wzięła broń do ręki.

- Nie przypuszczam, żebym mogła do kogokolwiek strzelić.

- Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie, ale nie chciałbym, abyś była kompletnie bezbronna. Jeśli Wayman Bishop jest tam z Susie... - Nie dokończył. Nie musiał. Lily dobrze wiedziała, na co było stać tego człowieka.

- Pospiesz się - powiedziała tylko. - Zaczyna się ściemniać.

- Kiedy dojedziemy, będzie już zupełnie ciemno. Zobaczymy, co uda nam się zdziałać.

Mel, łamiąc po drodze wszystkie przepisy ruchu drogowego, dotarł do portu w rekordowym tempie. Gdy byli już na drodze dojazdowej, wyłączył światła. Nie chciał stracić jedynej przewagi, jaką posiadał, a mianowicie elementu zaskoczenia. Zresztą księżyc świecił jasno, widoczność była więc całkiem niezła. Mel zatrzymał samochód i wyłączył silnik. Nigdy wcześniej tu nie był. Słyszał na temat tego miejsca różne barwne opowieści, ale żadna z nich nie oddawała piękna i malowniczości tej okolicy. W promieniu kilku mil nie było żadnych zabudowań, tylko niczym nieskażona przyroda. Po prostu żywego ducha. Na końcu długiego pomostu przycumowana była piękna, stara, drewniana łódź. Poruszana wiatrem, lekko kołysała się na wodzie. Tylko jej środkowa część była oświetlona, wszystko inne tonęło w mroku. Mel dał znak Lily, żeby podążała za nim. Krok po kroku przybliżali się do łodzi. Obejrzał się i dostrzegł, że Kumpel i Klotylda także im towarzyszą. W razie kłopotów koty na pewno będą pomocne, pomyślał.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytała szeptem Lily. Czuł jej ciepły, delikatny oddech na swojej szyi.

Gdyby nie niesprzyjające okoliczności, z pewnością przygarnąłby ją do siebie i pocałował.

- Zaczekaj tu. Spróbuję wśliznąć się na pokład. W ten sposób mamy większą szansę. A jeśli coś miałyby pójść nie tak, wrócisz do samochodu i wezwiesz pomoc. Mógłbym zrobić to teraz, ale nie jestem pewien, czy nie są na podsłuchu. — Nie chciał wspominać o tym, że pojawienie się policji zmieniłoby diametralnie sytuację ofiary porwania. Najkorzystniej byłoby, gdyby udało mu się samodzielnie rozwiązać tę sprawę.

Lily wyjęła z kieszeni marynarki telefon komórkowy.

- Użyteczny gadżet - powiedziała, podając mu go. Mel szybko wystukał numer posterunku, a potem popatrzył się na nią zaskoczony.

- Jest kompletnie rozładowany.

- Cholera... - zaklęła Lily. - Mel, jeśli na łodzi jest Wayman, to z całą pewnością są z nim również jego ludzie. Mam lepszy pomysł. Wejdę na pokład i odwrócę uwagę. Jak mi się uda, dam ci znać, ilu ich jest. Wtedy zadzwonisz po posiłki i nas odbijesz.

Mel wzdrygnął się na samą myśl o tym szalonym pomysle.

- Mowy nie ma, to w ogóle nie wchodzi w rachubę. Co to, to nie. - Mógł nie zgadzać się w pełni z działaniami, które podjęły Lily i Susie, ale za to całkowicie uwierzył, że Wayman Bishop był człowiekiem nieobliczalnym, zdolnym posunąć się do najgorszego. - Ja tam pójdę. Nawet jeśli mnie zobaczy, będzie wiedział, że wpadł i że wszystko stracone. Co najwyżej będzie chciał się ratować ucieczką. A ciebie po prostu zabije, zanim zdążysz otworzyć usta.

- Może nie...

Spojrzał na nią i w tym momencie stało się dla niego Jasne, że poglądy Lily na temat agresywnych mężczyzn wynikają z jej osobistych doświadczeń. Nie powiedział ani słowa, ale poprzysiągł sobie, że ten, kto kiedykolwiek ją skrzywdził lub kiedyś skrzywdzi, słono za to zapłaci.

- Zostań, proszę. Nie mogę pozwolić ci tam pójść.

- Dlaczego dbasz o moje bezpieczeństwo? Uśmiechnął się.

- Gdy jesteś bezpieczna, mogę skupić się na

działaniu, a jeśli będę się cały czas zastanawiał, co z tobą się dzieje, to już po chwili oboje możemy być w niezłych tarapatach.

- Jak na faceta, jesteś zdecydowanie za mądry. To komplement - wyjaśniła po chwili, widząc w jego oczach wahanie.

Nie mógł się dłużej opanować. Przycisnął ją mocno do siebie i pocałował.

- Jeszcze wiele musisz się nauczyć o mężczyznach, a przynajmniej o niektórych. Mnie też przydałoby się dowiedzieć czegoś więcej o kobietach. Myślę, że moglibyśmy spróbować wspólnej nauki...

Splotła dłonie wokół jego szyi.

- Mel, obiecaj, że to nie są czcze słowa. Wrócisz, aby nauczyć mnie tych kilku rzeczy. Przysięknij!

- Przymknęła oczy, a spod jej powiek popłynęły łzy.

- Chcę się ciebie nauczyć - szepnęła.

Pochylił głowę i delikatnie dotknął wargami jej ust. Były miękkie i aksamitne.

- Jeśli tylko sama tego zechcesz, żadna siła już mnie nie powstrzyma.

Nigdy nie wierzył w miłość od pierwszego wejrzenia, lecz teraz musiał radykalnie zmienić swoje poglądy. Postanowił, że gdy tylko Susie będzie bezpieczna, a Wayman znajdzie się za kratkami, poprosi Lily, by spędziła z nim resztę życia. Nie dopuszczał odmowy, zresztą wiedział, że i ona tego pragnie. Raz jeszcze pocałował ją delikatnie.

- Widzisz to okno? - powiedział cicho, wskazując dłonią w kierunku łodzi. - Kiedy znajdę się w jego pobliżu, machnę do ciebie dwa razy. Będzie to dla ciebie znak, żebyś zadzwoniła po posiłki.

- Jasne, zrobię tak.

- O, jestem przekonany, że mogłabyś zrobić dużo więcej! - Uśmiechnął się szeroko. - Jednak na wszystko przyjdzie czas. - Wcale nie było mu łatwo zostawić ją tu samą. Doskonale zdawał sobie sprawę, że groziło Jej niebezpieczeństwo. W każdej chwili mogło zdarzyć się coś nieprzewidzianego.

- Uważaj na siebie. Za każdym krzakiem może się czaić człowiek Waymana - szepnął, po czym powoli odwrócił się i ruszył w stronę Jachtu.

Po chwili zniknął w ciemności. Od czasu do czasu wylaniał się jego cień widoczny w świetle księżyca.

Lily zaczęła błagać Boga, by wspomógł Mela w jego misji.

Podczas gdy ta urocza para migdałiła się, udałem się na mały rekonesans. Nie żebym zdobył jakieś rewelacje, poza olbrzymią ilością śladów po oponach samochodowych. Najwyraźniej w ciągu ostatnich kilku godzin był tu całkiem spory ruch. Ale coś mi się w tym wszystkim nie podoba. Margie Lavert była podejrzanie wylewna, jeśli chodzi o udzielanie informacji na temat tej łódki i miejsca jej postoju. Oczywiście jest wdową po gliniarzu i przykłada wagę do szczegółów, ale to Klotylda zwróciła uwagę na jej zaskakującą chęć współpracy. A ta kotka, zapewniam was, posiada naprawdę nieprzeciętną inteligencję, bystrość umysłu oraz intuicję. Czasem widzi rzeczy, o których ja nawet nie śniłem. Sam nie wiem, co powinienem teraz zrobić. **Czy** podążać za naszym Jamesem Bondem na łódkę, **czy** też raczej zostać z dziewczynami? Szkoda, że nie mogę być w dwóch miejscach jednocześnie. Czasem

by się przydało. Poradzę się Klotyldy. Zaraz, chwileczkę, co to za hałas? Jasny gwint! Uciekaj, Lily! Uciekaj! Na szczęście połapała się w sytuacji i zdążyła się schować. Chwilowo nie ma możliwości, żeby wróciła do radiowozu. Ależ ten gość ma wściekle jasne światła. Jakby wiedział, że za moment kogoś nakryje. O rany koguta! Klotylda miała rację. W środku siedzi Margie Lavert i kilku napakowanych dryblasów. Wysiedli i idą w naszym kierunku. A więc ta wiedźma najpierw wysłała nas tutaj, aby zaraz potem podążać naszym śladem. Rety, jesteśmy jak szczury na tonącej łajbie. Nie ma drogi odwrotu. Mel jest już przecież na łodzi. Cholera, właśnie daje znaki, że potrzebne będzie wsparcie, a Lily nie może zrobić ani kroku! Jedyne co jej pozostało, to modlić się, żeby bystre oko tej wiedźmy nie dostrzegło niczego. O rany! Nie, to niemożliwe, mają Lily..Mądra dziewczyna. Nie próbuje uciekać. Jak może, stara się zachować zimną krew. Zawlekli ją na pomost, a teraz najwyraźniej szukają Mela. Nie potrwa to zbyt długo, zaraz i jego będą mieli. Co robić? Co robić? Póki co, musimy się z Klotyldą dobrze schować. Jak się sytuacja trochę unormuje, może da się coś wymyślić. Mel uratuje Lily, jestem tego pewien. Szkoda, że nie umiem gadać po ludzku, bo nie sądzę, żeby facet na posterunku zrozumiał mój koci komunikat. Dobrze, Lily, rób, co ci mówią. Grzeczna dziewczynka. Nie, nie wyciągaj pistoletu! O rety, moja Klotylda ładuje się właśnie w samo oko cyklonu. Nie skacz na niego! Nie! On cię zabije! Uf. Uciekła. Zaraz, muszę się upewnić, czy jej nie drasnął. Obezwładnili Lily i odebrali jej pistolet. Nie można powiedzieć, żeby obchodzili się z nią zbyt delikatnie.

Prowadzą ją w kierunku łodzi. Gdzie jest Klotylda? Boże, co za zamieszanie, a do tego kompletne fiasko! Chyba stracę głowę.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Lily próbowała wyrwać się z uścisku. Miała po-ścierane dłonie i kilka siniaków. Dała też sobie odebrać pistolet, który dostała od Mela. Ale przede wszystkim straciła nadzieję, że uda im się coś wskórać.

- To nie było najmądrzejsze z twojej strony — powiedziała z rozbawieniem w głosie Margie Lavert. - A teraz przypomnij sobie, że jesteś damą. Idź grzecznie przed siebie. Jestem przekonana, że Way-man ucieszy się na twój widok.

Jeden z osiłków popchnął Lily w stronę pomostu. Potknęła się i omal nie upadła. Odwróciła się i rzuciła mu ostre spojrzenie. Kochana Klotylda, próbowała jej pomóc. Lily miała nadzieję, że temu draniowi nie udało się postrzelić kotki. Ona nie liczyła na tyle szczęścia. Było to bardzo mało prawdopodobne. Chyba że Kumpel coś wymyśli. Dobrze, że nie zdradził swojej obecności.

- Nie ujdzie wam to na sucho - wypaliła Lily.

- Tak uważasz? Gdzie jest ten gliniarz?

Nic nie odpowiedziała, w zamian za co poczuła kolejne szturchnięcie.

- Nie wiem. Kazał mi tu zostać, ale nie powiedział, dokąd idzie. Miałam obserwować łódź.

- A on poszedł na piechotę z powrotem do miasta. No pewnie - zaśmiała się Margie.

Lily miała nadzieję, że strzelanina ostrzegła Mela. Może zaszył się gdzieś na łodzi i czekał na odpowiedni moment, żeby obezwładnić Margie i tych facetów, kiedy wejdą na pokład. Jej nikłe nadzieje runęły w gruzy, gdy wepchnięto ją do kabiny. Mel siedział na krześle, a za nim stał Wayman Bishop z pistoletem przyłożonym do jego głowy.

- Lily! - krzyknęła z przerażeniem Susie, zwinięta w kłębek w kącie kabiny. - On nas wszystkich pozabija! - zaszlochała.

Lily zebrała wszystkie siły i udało jej się zapanować nad strachem.

- Nie sądzę - odparła spokojnie.

- Zamknij się, ty dziwko! - ryknął Wayman do swojej żony i wymierzył w nią pistolet. - Zamknij się albo zrobię to teraz!

Susie opanowała łkanie. Zaczęła rytmicznie huśtać się w tę i z powrotem, mocno przytulając do siebie Dawida. Lily udało się wymienić krótkie spojrzenie z Melem. Był spokojny. Widziała w jego oczach, że nie zamierza się poddać. Odwrócił się do Margie.

- A to niespodzianka - powiedział jakby nigdy nic.

- Tego bym się nie spodziewał.

- A powinienes. No cóż, zawiodła cię intuicja.

- Podeszła bliżej i stanęła obok Waymana. - A może by pozbyć się ich wszystkich za jednym zamachem?

- Nie ma sprawy. - Uśmiechnął się szeroko. Lily pomyślała, że ten łajdak przypomina rekina.

Krwiożerczy potwór w garniturze. Pan i władca. Nic dziwnego, że Susie tak panicznie się go bała.

- Nie będzie to takie proste, jak myślisz. Mój szef nie da się tak łatwo oszukać - rzuciła Lily. - Nie licz na to, że zamordujesz kolejne trzy osoby i znowu uda ci się zwiać.

- Zapominasz, że jestem prawą ręką burmistrza. Naprawdę nie jest aż tak trudno zaaranżować na przykład pożar albo wypadek samochodowy. Nie sądzisz? A kto ośmieli się podważyć moje słowa? Porwałyście moje dziecko! On - wskazał na Mela - próbował wam w tym przeszkodzić. I może by mu się udało, gdyby nie nieszczęśliwy wypadek... Rozumiesz? I co ty na to?

Uśmiech Waymana był najohydniejszym ze wszystkich uśmiechów, jakie widziała do tej pory.

- Nie uda się - blefowała Lily. Wiedziała z doświadczenia, że najgorszą rzeczą, jaką mogłaby zrobić w takiej sytuacji, to pokazać, że się boi. Takich facetów jak Bishop strach ofiary podkreca jeszcze bardziej. - Trzy ciała razem? Zapomnij o tym. W końcu i ty kiedyś wpadniesz. Poza tym zostawiłam w biurze wiadomość, dokąd pojechałam i po co. Tak więc jeśli coś mi się stanie, będą wiedzieć, kto jest za to odpowiedzialny. Mogę cię zapewnić, że w śledztwie nie będziesz pominięty. - Lily zacisnęła dłoń w pięści. Oczywiście nie zostawiła żadnych informacji, tylko jak szuler wyciągnęła fałszywą kartę z rękawa i zamierzała w nią zagrać.

Oczy Waymana zwięziły się w nienawistnym spojrzeniu. Z jego ust pozostała jedynie wąska kreska.

- Jej mieszkanie, jej biuro... wszystko sprawdzić.

Znajdźcie tę notatkę - zwrócił się do dwóch osiłków. - Jeśli będą jakieś problemy, załatwcie nakaz. Mężczyźni wyszli bez słowa.

- Jak widzisz, ślicznotko, to bardzo użyteczne być prawą ręką burmistrza. Mam taką władzę, której ty nawet nie jesteś w stanie sobie wyobrazić. Jeśli czegoś chcę, po prostu to mam.

- Tak, teraz posiadasz władzę, ale wszystko ma swoje granice. Nie łudź się, że nigdy cię nie dopadną. Niejeden już na tym wpadł, ciebie też w końcu przycisną. Zgnijesz w więzieniu. Pomyśl o tym, Bishop. Odrobina wyobraźni wystarczy. Najpierw pojawiają się twoi ludzie i dopominają się informacji na mój temat. Załatwiają zgodę na przeszukanie mojego mieszkania, a wkrótce potem okazuje się, że właśnie przypadkiem zginęłam. Nie sądzisz, że to szyte zbyt grubymi nićmi?

- Zapewniam cię, że wszystkie ślady doprowadzą do naszego kochanego detektywa Haskina - zaśmiał się Wayman szyderczo. - Ale gadaj sobie, gadaj. Widzę, że to lubisz.

Lily zacisnęła zęby.

- Może nie powinniśmy ich teraz zabijać? - odezwała się miękko Margie i podeszła do Waymana. Uniosła ręce i zaczęła masować jego ramiona. - Chyba najpierw lepiej dowiedzieć się, co ona tam napisała?

Bishop jednym ruchem zrzucił jej dłonie ze swoich ramion i warknął:

- A może myślenie zostawisz mi, co? Przez ostatnie dwa lata chyba całkiem nieźle mi szło? I dziwnym trafem to ja potrafiłem pozbyć się twojego męża.

Margie uśmiechnęła się niepewnie.

- Masz rację, kochanie. Tylko próbowałam ci pomóc.
- Susie, zbierz rzeczy dziecka! - rzucił Wayman tonem nie znoszącym sprzeciwu.
- Nie! - krzyknęła i pochyliła się do przodu, chcąc osłonić małego.
- Ty przekłeta dziwko! - Podszedł do niej i mocno pociągnął ją za włosy. - Nie podskakuj, bo pożałujesz! A może chcesz, żebym dał ci jeszcze jedną lekcję? Wypolerować ci tę twoją twarzyczkę?
- Nie... - zaszłochała Susie.

Mel wstał, ale Wayman skierował na niego pistolet.

- Haskin, nie prowokuj mnie! - Poczekał, aż Mel usiadzie. - A teraz, Susie - raz jeszcze szarpnął ją za włosy - pozbieraj to i wychodzimy.

- Wayman, proszę - płakała Susie. Jej głos drżał z bólu i przerażenia. - Dlaczego.... - jego spojrzenie spowodowało, że nie dokończyła zdania.

- Nie zaczynaj - pociągnął ją za włosy do góry - bo twoja pyskata przyjaciółeczka też oberwie.

Susie zaczęła pospiesznie wrzucać rzeczy do torby.

- Pilnuj jej! - nakazał Margie, po czym wycelował broń w Mela i Lily. - A wy dwoje, wyłazić! Jest tu na łodzi mała rupieciarnia. Właśnie tam spędzicie kilka ostatnich godzin waszego pieprzonego życia.

Spróbujcie je interesująco spożytkować. Może jakaś wzajemna spowiedź albo coś w tym rodzaju.

Kiedy wrócę, zamienię was w grzanki. - Roześmiał się.

Lily, kiedy przekraczała próg ciemnego, wąskiego pomieszczenia na dziobie jachtu, poczuła się, jakby wstępowała do własnego grobowca. Odgłos roztrzaskujących się o rufę fal potęgował jeszcze bardziej jej przerażenie. Na plecach czuła dłoń Mela. Wiedziała, że

próbuję dodać jej otuchy, jednak prawda była taka, że nic nie mógł w tej sytuacji zrobić.

- Spokojnie, Lily - szepnął Mel, widząc jej spiętą twarz.

- Zamknij się! - warknął Wayman. - Jeszcze jedno słowo, a przestrzelę jej kolano. - Popchnął ich brutalnie w nieprzeniknioną ciemność obskurnej pakamery. Drzwi się zatrzasnęły, zaskowyczała zasuwka.

Lily poczuła, że nie musi być już odważna. Wreszcie mogła pozwolić sobie na słabość. Jej odwaga i tak już nikomu nie była potrzebna. Po jej policzkach potoczyły się łzy. Znalazła się w ramionach Mela. Przytulił ją z całych sił, jakby chciał powiedzieć: „Malaśka, nie bój się, wszystko dobrze się skończy”. Potem sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej zapalniczkę. Mały płomyk pozwolił im rozejrzeć się po pomieszczeniu. Było bardzo małe, bez okien. Jedyne wyjście były drzwi, przez które zostali wepchnięci. Na podłodze leżał materac przykryty cienką derką. W kącie dostrzegli małą dziecięcą butelkę. Domyślili się, że Susie też była tu zamknięta przez jakiś czas. Po chwili światło zgasło. Mel ujął Lily za rękę i ostrożnie poprowadził w kierunku materaca. Usiedli i mocno się do siebie przytulili.

- Muszę ci się do czegoś przyznać - szepnął Mel. Zaskoczył ją. Nie spodziewała się zwierzeń.

- Tak? Słucham?

- Cholernie się myliłem - powiedział, delikatnie gładząc jej włosy.

- Myliłeś się? Ale w czym? - zapytała niepewnie.

- Co do Susie i dziecka. Sam oddałbym własne,

byle tylko nie wpadło w łapy tego drania. Zrobiłbym dokładnie to samo co ona. Miałaś rację, Lily. Dlaczego nie chciałem cię słuchać? Nie mogę sobie tego darować. Gdybym nie był taki uparty, nie wpakowalibyśmy się w te wszystkie kłopoty.

Wtuliła głowę w ramiona Mela. Słyszała bicie jego serca. Mocne i spokojne. To, co powiedział, było dla niej bardzo ważne. Ale nie da się przecież cofnąć czasu.

- Dzięki.

- Jak tylko się stąd wydostaniemy, pomogę wam, a Wayman spędzi resztę życia w więzieniu. Solennie ci to obiecuję. Susie wreszcie poczuje się bezpiecznie i nie będzie musiała oddawać swojego dziecka. Zamknęła oczy i próbowała sobie wyobrazić przyjaciółkę z małym Dawidem w parku. Cóż za piękna i idylliczna wizja, ale jakże daleka od rzeczywistości. Nie wiedziała nawet, czy Susie jeszcze żyje, i czy uda im się jakimś cudem wybrnąć z tej strasznej sytuacji.

- Co to była za strzelanina? - zapytał niespodziewanie Mel.

- Strzelali do Klotyldy. Zaatakowała jednego z tych osiłków. Mam nadzieję, że nic jej się nie stało.

- A Kumpel? - W głosie Mela zabrzmiała nutka nadziei.

- Też pewnie gdzieś tam był, ale nie widziałam go. Zresztą co on może zrobić? Przecież to tylko zwierzę. Wprawdzie inteligentne, ale zwierzę. Nie potrafi użyć telefonu, posługiwać się bronią ani prowadzić samochodu... Co mógłby wskórać?

Mel przytulił do siebie Lily.

- Ta historia nauczyła mnie kilku rzeczy. Po pierw-

sze nikogo nie należy osądzać pochopnie, a po drugie nie wolno nie doceniać tych dwóch kotów.

- Też się czegoś nauczyłam - powiedziała Lily, kładąc dłonie na torsie Mela. - Muszę ci coś wyjaśnić. Moja siostra była żoną policjanta. Wyjątkowo brutalnego drania, który wykorzystywał każdy pretekst, żeby ją katować. Źle cię oceniłam. Przepraszam. Bardziej nie mogłam się pomylić.

- Miałaś wszelkie prawo tak o mnie myśleć. Zachowywałam się okropnie.

- Jak sądzisz, ile czasu nam zostało? - Wiedziała, że Jej nie okłamie.

- Myślę, że najwyżej kilka godzin.

Lily poczuła jego ciepły oddech. Nie potrzebowała więcej zachęty.

- Spróbujmy wykorzystać je jak najlepiej - szepnęła miękko, delikatnie ocierając się włosami o jego policzek. Potem uniosła głowę do góry i zbliżyła lekko rozchylone usta do twarzy Mela.

Miała zamknięte oczy. Nie czuła ani wstydu, ani zażenowania. Jej ręce zaczęły rozpinać guziki jego koszuli. Oddech Mela był przyspieszony. Delikatnie ściągnął z niej bluzkę. Ciepło jego dłoni rozkleiło ją do reszty. Chciało jej się płakać i śmiać. Tak bardzo go pragnęła. Tyle razy myślała o tej chwili, wyobrażając sobie najróżniejsze sceny, ale rzeczywistość przerastała najśmielsze wyobrażenia. Była jak w transie, upojona gorącymi pocałunkami. Dłonie i usta Mela zdawały się pochłaniać każdy centymetr jej ciała, uważnie bacząc, by żaden jego zakamarek nie umknął ich uwagi. A jego gładkie, muskularne ciało przeżyło się niczym drapieżny zwierz do skoku.

- Mel... - szepnęła.
 - Tak?
 - Muszę ci coś powiedzieć...
 - Tak, słuchani cię.
 - Być może to moja ostatnia szansa, dlatego... chciałabym, żebyś wiedział. - Rozpaczliwie próbował w ciemności odnaleźć jej wzrok. - Kocham cię.
 - O, moja najdroższa, będziesz jeszcze żałowała tych słów, kiedy stąd wyjdziemy. Nie dam ci spokoju. Zadrżała na samą myśl, jak cudownie byłoby kochać się z nim na ogromnym, miękkim łożu.
 - O nie. Jestem pewna, że nigdy nie będę żałował tych słów.
 - Moja Lily. Pokochałem cię już wtedy, kiedy mnie po raz pierwszy wkurzyłaś - wyszeptał czule i uśmiechnął się sam do siebie.
 - Pomyśl tylko, ile czasu zmarnowaliśmy.
 - A więc wykorzystajmy ten, który nam pozostał
 - dodał, całując ją namiętnie.
- Lily zapomniała o trudnym położeniu, o niebezpieczeństwie, o tysiącu obaw, o strachu... o wszystkim
- poza tym mężczyzną, którego kochała bez granic.
 - Kumpel, Kumpel! - wołała Klotylda już z oddali. - Ci źli ludzie zabrali Susie i dziecko i gdzieś ją wywieźli!
- Na szczęście Klotylda wyszła z szamotaniny bez szwanku. Tylko jeden z pocisków trochę osmalił jej futerko.
- Te potwory zapłacą za to. Obiecuję ci, kochana! Moja dzielna kotka ma stalowe nerwy. Prawdziwie ją podziwiam. Strasznie się o nią martwiłem, choć wiem, że jest zwinna i sprytna. Teraz czym prędzej

musimy znaleźć Mela i Lily. Na pewno są na łodzi. Jakoś nie wydaje mi się, żeby Wayman miał ich zabić. Kiedy uda już się nam ich odszukać, trzeba będzie wytropić, dokąd wywieźli Susie z Dawidem. Co prawda nie umiem gadać po ludzku, ale jeśli udałoby nam się uruchomić w samochodzie radio, to na pewno ludzie Mela zrozumieliby, że coś z nim jest nie tak. Klotylda mówi, że to dobry pomysł. Potem pobiegniemy na łódkę. A kiedy się to wszystko wreszcie skończy, powinni nam postawić olbrzymią miskę łososia. Tak dużą, jak młyńskie koło.

Trzeba przyznać, że w samochodzie jest o wiele cieplej. No i proszę, już włączyłem radio... i jeszcze ten guzik... Świetnie! Jest odbiór! Ojej, a czemu ta pani jest taka zdenerwowana? No tak, nie słyszy odpowiedzi... Gdyby tylko wiedziała... Co tu zrobić? Jak dać jej do zrozumienia, że coś jest nie w porządku? Klakson! Włączmy po prostu klakson. Prawda, Klotyldo, że to wspaniały pomysł?

Naciśnijmy razem. O tak! Dobra. Teraz na pewno się domyślą, że coś się nie zgadza.

Mel trzymał Lily w ramionach. Zasnęła. On też był wykończony, ale nie mógł przestać myśleć. Jego mózg pracował na najwyższych obrotach. Mel nie myślał jednak o niebezpieczeństwie, w jakim się znaleźli. Czuł, że jakoś się wygrzebią. Rozmyślał o swojej przyszłości z Lily, o dzieciństwie i o tak wielu związanych z nim problemach. Wciąż widział siebie stojącego w holu domu dziecka i swoją matkę, znikającą za wyjściowymi drzwiami. Tylko tym razem słyszał jej płacz i czuł jej rozpacz. W żaden sposób nie potrafił odepchnąć od siebie tej wizji. Dziwne, dlaczego nigdy wcześniej nie pamiętał, że płakała? Może ona wcale nie

chciała go tam zostawić, tylko, tak jak Susie, nie widziała innego wyjścia? Mel westchnął ciężko. Skąd miał wiedzieć, jaka była prawda? Lecz jakież to dziś mogło mieć znaczenie? Po długiej wewnętrznej walce przecież jej wybaczył. A najdziwniejsze w tym wszystkim było, że w tym samym momencie poczuł, iż wyzwolił się ze swego własnego więzienia.

- Dziękuję, Lily - powiedział i pocałował ją w czoło. Przez sen coś zamruczała, a potem jeszcze mocniej przytuliła się do niego.

Mel zaczął się zastanawiać, ile czasu siedzieli już w zamknięciu. Czyżby nie słyszał, kiedy wrócił Way-man? W tym całym zamieszaniu zapomniał spojrzeć na zegarek.

Lily poruszyła się.

- Mel? - szepnęła zaspana.

- Tak, słucham? - Jakże cudownie ciepły był jej głos.

- Nie opuszczaj mnie, proszę.

- Nigdy - zapewnił ją, jak zapewnia się małe zasmucone dzieci, i przycisnął ją do siebie z całych sił. - Nigdy - powtórzył gorąco.

W pakamerze zrobiło się zdecydowanie zimniej. Nic dziwnego, przecież w nocy zawsze spada temperatura. Mel siedział oparty o ścianę i próbował wymyślić jakiś rozsądny plan działania. Przeraziła go myśl, że Bishop ich po prostu zostawił i wcale nie miał zamiaru dłużej się nimi przejmować. Jeśli czegoś prędko nie wymyśli, zginą z pragnienia. Nigdy nie marzył o takiej śmierci. Nagle usłyszał lekkie drapanie w drzwi. Potem jeszcze raz i jeszcze raz. Po chwili rozległo się ciche miauknięcie. Ściany były grube, więc nie był pewny, czy się nie przesłyszał.

- Też to słyszałaś? - Lekko potrząsnął Lily za ramię.

- Co?

- Wsłuchaj się.

Drapanie powtórzyło się znowu. A zaraz za nim miauczenie. Lily poderwała się na równe nogi.

- Przecież to Kumpel! - krzyknęła z nadzieją w głosie. - Co za kot! On chce nam pomóc!

- Chcieć nie zawsze znaczy móc. Jak miałyby otworzyć te cholerne drzwi? A na tym diabelskim odludziu nikogo nie znajdzie do pomocy - zachnął się Mel.

- Wayman dobrze wiedział, że nie mamy żadnych szans wydostać się stąd. Inaczej postawiłby kogoś na straży.

- Myślę, że nie doceniasz Kumpla. - Zbliżyła się do drzwi. - Kumpel - powiedziała, zniżając głowę niemal do samej podłogi - jesteśmy tutaj! Sprowadź pomoc!

- Miau!

Słyszając tę rozmowę, również Mel podniósł się z podłogi.

- Kumpel, spróbuj. Może coś uda ci się wymyślić

- dodał bez większego entuzjazmu.

- Miau! - rozległo się przeciągłe miauknięcie.

- Ojej, to była przecież Klotylda - ucieszyła się Lily.

- Więc nic jej się nie stało. Tak bardzo się bałam, że ją postrzelili.

- Dobra. Ruszajcie już i zobaczcie, co da się zrobić. Pospieszcie się. Obawiam się, że nasze minuty są policzone - powiedział Mel i zasepił się.

Zdał sobie sprawę, że znaleźli się w sytuacji raczej beznadziejnej. Już po raz drugi w ciągu ostatnich godzin zdani byli na dwa kocury. Cóż za paradoks.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Lily po omacku usiłowała odnaleźć poszczególne części swojej garderoby. Pojawienie się Kumpla i Klotyldy z jednej strony wyrwało ją ze świata złudzeń, ale z drugiej obudziło w niej nadzieję, że wyjdą z tego cało.

- Wyciągną nas z tego bagna - powiedział na głos Mel, jakby czytając w jej myślach.

- Jestem pewna, że im się uda - przytaknęła Lily. - Dlatego muszę szybko się ubrać. Nie chciałabym być półnaga, kiedy przyjdzie tu ktoś z odsieczą.

Mel położył jej dłoń na plecach i przyciągnął do siebie.

- A teraz obiecaj mi, że to nie pierwszy i zarazem ostatni raz. Że nie tylko groźba śmierci sprowokowała cię do wyznania mi miłości. Że odtąd będziesz robić to zawsze...

- Jasne, obiecuję... - Uśmiechając się, pocałowała go delikatnie. Nagle jednak spoważniała. - Cokolwiek się stanie, tego, co między nami jest, nie mamy prawa zaprzepaścić.

- Nie sądzę, by udało nam się przed sobą uciec.

Przynajmniej taką mam nadzieję. Jesteśmy sobie przeznaczeni. Dlatego nie możemy dać się wykończyć. Pamiętaj, jeśli przyjdzie tu ktoś i otworzy drzwi, zostań w środku. Dopiero kiedy się upewnię, że wszystko jest w porządku, dam ci znać.

- Za nic nie puszcę cię samego.

- Nie o to chodzi. Oni chcą głównie ciebie, a ja nie mogę dopuścić, żeby mi ciebie odebrali. Zwłaszcza teraz, kiedy cię wreszcie odnalazłem.

- Tobie łatwiej uda się uciec, Mel. Gdy tylko otworzą się drzwi, uciekaj. Ja sobie jakoś poradzę

- dodała bez przekonania, wiedząc, że Mel jej propozycji nie weźmie nawet pod uwagę.

- Kochanie, nie mów do mnie w ten sposób. Wiesz, że nigdy bym czegoś podobnego nie zrobił. Nie bądź uparta i zrób to, o co cię proszę. Przynajmniej tym razem.

- Ale tylko tym razem... - Lily nagle urwała.

- Słyszysz?

Dobiegły ich jakieś dziwne hałasy. Jak gdyby ktoś za ścianą przesuwiał meble.

- Słyszę, ale nie mam pojęcia, o co chodzi.

No cóż, Wayman mógł w każdej chwili zdecydować, że z nimi skończy, a jedyne co mogli zrobić, to cierpliwie czekać.

- Mel, mogę cię o coś zapytać? - Odszukała w ciemności jego dłoń.

- Zawsze... - Przyciągnął ją do siebie.

- Dlaczego ta sprawa z dzieckiem tak bardzo cię rozjuszyła? To znaczy... - zaczęła się plątać - domyślałam się, że ma ona coś wspólnego z tobą, ale...

Zapanowała długa, przejmująca cisza. Wiedziała, że Mel nie lubił mówić o sobie i swojej przeszłości

ani o prześladowających go demonach. Wiedziała też, że tym niespodziewanym pytaniem postawiła go przed nie lada dylematem.

- Kiedy miałem cztery lata, moja matka zaprowadziła mnie do domu dziecka pod wezwaniem świętego Antoniego. To było najstraszniejsze miejsce, jakie w życiu widziałem. Gdy szliśmy w dół długiego korytarza, echo naszych kroków odbijało się od ścian i dudniło mi w uszach. Do dziś pamiętam stukot jej wysokich obcasów. Byłem mały i niewiele z tego rozumiałem. Myślałem, że to jakiś szpital, bywałem w jednym, kiedy odwiedzaliśmy chorą babcię. Moja matka była tego dnia bardzo smutna. Bałem się, że zaraz mi powie, że babcia nie żyje, bo to miejsce, ciemne i zimne, kojarzyło mi się ze śmiercią... i z trumną.

Lily stała bez ruchu. Bezwiednie przesunął dłonie to w górę, to w dół jej ramion, próbując dodać otuchy, zanim powie jej to, co dla niego samego tak trudne było do zrozumienia. Tej samej otuchy, której zabrakło mu, gdy był jeszcze dzieckiem.

- Potem rozmawiała przez chwilę z jakąś kobietą, bardzo brzydką i niemłą - kontynuował Mel. - A następnie wstała, pocałowała mnie w czoło i wyszła z pokoju. Po jej policzkach płynęły łzy.

Lily starała się za wszelką cenę nie rozkleić. Wiedziała, że Mel musi to z siebie wreszcie wyrzucić. Nie chciała mu w tym przeszkodzić.

- Pobiegłem za nią - mówił z przejęciem. - Ale kiedy znalazłem się w holu, ona była już przy wyjściu. Szła bardzo szybko, a kiedy mnie zobaczyła, zaczęła biec. Biegła i płakała. A potem popchnęła te ciężkie

drzwi i znikła. Drzwi zatrzęsły się z hukiem i już nigdy więcej jej nie zobaczyłem.

Nie mogła zmienić jego przeszłości ani przemawiającego przez niego bólu. Westchnęła tylko ciężko, a z jej oczu popłynęły łzy. Nie znalazła słów, które byłyby choćby w najmniejszym stopniu adekwatne do tak przejmującej sytuacji.

- Zawsze myślałem, że bała się odpowiedzialności i że zmęczyła ją ciągła opieka nade mną. A ojciec? Cóż, pewnie nas zostawił. Nic o nim nie wiem.

- Próbowałeś odnaleźć swoją matkę? - spytała Lily niepewnie.

- Do dziś myślałem, że była pozbawioną serca egoistką i nie miałem najmniejszej ochoty jej szukać.

- A teraz? - zapytała Lily z nadzieją w głosie.

- Sam nie wiem - powiedział powoli. - Może wcale nie chcę dowiedzieć się prawdy? Co by to miało zmienić? Wychowałem się w domu dziecka. Nigdy nie brakowało mi jedzenia i otrzymałem dobre wykształcenie. Nie wszystkie dzieci dostają aż tyle od swoich rodziców.

- Jesteś wspaniały! - Lily czule pocałowała Mela w policzek.

- Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, jak trudno jest wybaczyć rzeczy, które wydają nam się nie do wybaczenia. No powiedz, potrafiłabyś wybaczyć swojemu szwagrowi?

Wzięła głęboki oddech.

- On prawie zabił moją siostrę... Bezustannie ją katował i poniżał. Nawet kiedy była w ciąży. Przez niego poroniła. Nie wiem, czy umiałabym mu wybaczyć... Ale wybaczyłam Babs.

- Siostrze? - był zaskoczony.
- No tak. To, że kochała kogoś takiego jak Bob, że wiedząc, co ją czeka, gdy wróci, wracała jak bezrozum-na ćma do świecy. Dawała się niszczyć. Byłam na nią wściekła. Nie mogłam tego w żaden sposób zrozumieć. Bałam się takiego uzależnienia. Przerażała mnie myśl, że i ja mogę popaść w coś podobnego. Dlatego wzbraniałam się przed wszelką miłością. Wystrzegałam się jej jak ognia. A wszystko ze strachu, że będę taka głupia jak moja biedna siostra. Że nie potrafię właściwie ocenić człowieka.

Mel przygarnął ją mocno do siebie, a Lily powiedziała jeszcze:

- Wiesz, to nie Bob jest problemem. To ja nim jestem, a raczej mój strach.

- A ja sądziłem, że jesteśmy parą mądrych, inteligentnych ludzi. Tymczasem każdy ma swoje zahamowania. Co dzieje się z tym światem? Co dzieje się z nami?

- Każdy ma za sobą swoją historię i nieraz bardzo ponure doświadczenia. Najpierw trzeba rozprawić się ze swoją przeszłością, wtedy dopiero można być naprawdę szczęśliwym, Mel.

- Obiecuj mi jedną rzecz. Kiedy już wydostaniemy się stąd, nie pozwolimy, żeby nasza przeszłość kładła się ponurym cieniem na teraźniejszość. I tak będziemy żyli: bez przeszłości i bez przyszłości.

Będziemy cieszyć się każdą piękną chwilą.

- Niczego bardziej nie pragnę - szepnęła Lily z uśmiechem.

Tuż przy drzwiach rozległ się straszny huk i głośne kocie miauczenie.

- Cokolwiek tam się dzieje, wygląda na to, że trwają Intensywne przygotowania, by nas stąd uwolnić - powiedział Mel.

- O, wierzę, że Kumpla stać na wszystko. Sam tak kiedyś powiedziałeś. - Poczowała jego usta na szyi.

- Musimy zawsze sobie wierzyć - szepnął jej do ucha.

Klotylda, to jest kocica! Żadna jej nie dorówna. Miała wspaniały pomysł. Zrobić z kabla telefonicznego lasso, wleźć po pudełkach na górę i zaczepić pętelkę o zasuwę. Jest tylko jeden problem. Ta cholerna łajba nie może nawet na chwilę stanąć spokojnie. Cały czas się kołysze i przez to obsuwają się pudła. Nikt chyba nie powinien się dziwić, że nie lubię wody. Zawsze miałem do niej nieodpartą niechęć. Teraz przynajmniej wiem, dlaczego tak się dzieje. W ogóle woda to rzecz co najmniej podejrzana. Można do niej wejść, lecz gdy spada się na nią z wysoka, staje się twarda jak kamień. Podczas mrozu zamienia się w ląd, a gdy jest gorąco, całkiem znika. Nie można na nią nigdy w stu procentach liczyć. Do tego bez przerwy się porusza i przeszkadza w realizacji ważnych planów, jak na przykład w zarzuceniu lassa na zasuwę. Spadłem z tego cholernego pudełka i wystawiłem się na pośmiewisko. Nienawidzę wody! Klotylda śmiała się ze mnie i twierdziła, że zabawnie wyglądałem, kiedy tak leciałem w dół i kiedy rozjechały mi się łapy, a mój tułów skręcił się w spiralę. Moja urażona duma boli zdecydowanie bardziej od tylnej części, którą z całym impetem uderzyłem o pokład. Żeby to chociaż przybliżyło nas do celu. Ale nie, skądże. Nie udało mi się nic zdziałać.

A przecież Wayman może wrócić w każdej chwili. Nie pozostaje mi nic innego, jak jeszcze raz wdrapać się na to pudło. No, jestem. Jak wreszcie wszystko dobrze pójdzie, gdy uda mi się wspiąć na czubki pazurów, to może... Uff! Zwycięstwo! Czuję się, jakbym zdobył himalajski szczyt. Ale to była długa i ciężka batalia. Teraz wystarczy jedno pociągnięcie i... mamy ją! Sznurek zacisnął się posłusznie na skoblu. Swoją drogą, jaki to głupek z tego Waymana. Nie przewidział, że pan porucznik i jego dziewczyna mogą mieć lojalnych współpracowników, którzy pomogą im w ucieczce. Błąd, niewybaczalny błąd. No dobra. Teraz trzeba tylko otworzyć ten zamek. Raz, dwa, trzy... Słucham? Klotylda twierdzi, że słyszy jakieś podejrzanе odgłosy. Według mnie to woda obija się o burzę, a nie rekin ani piranie... O rany, to Wayman, który właśnie wchodzi ze swoimi ludźmi na pokład. Trzymajcie się! Nadchodzi pomoc! Jeszcze jedno pociągnięcie i zasuwka odskoczyła. Mel popchnął drzwi. Proszę, to wcale nie było takie trudne. Przedstawienie skończone. Mel rzucił okiem na Klotyldę. Miała zjeżone futro, niczym wściekły tygrys. Natychmiast zorientował się, że coś jest nie tak. Po chwili i do niego dotarły jakieś głosy. No, pięknie. A on przecież nie miał broni.

- Lily, chodź! - Posłusznie przytuliła się do niego i poczuł jej ciepłe ciało na swoich plecach. - Oni tam są.

- Ilu?

Pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia. - Wziął ją za rękę i powoli, cichutko ruszyli w dół korytarza.

Znajdowało się w nim wiele drzwi. Mel otworzył

jedne z nich. Była to mała sypialnia. Niestety nie można było wydostać się z niej na zewnątrz. Otworzył więc drugie drzwi, najwyraźniej do gabinetu. Może to nie był najlepszy pomysł, ale nie miał czasu na myślenie, bowiem słyszał czyjeś kroki na schodach. Cała czwórka wśliznęła się do środka. Koty doskonale wiedziały, co mają zrobić. Natychmiast przepadły w ciemnych zakamarkach pokoju. Mel lekko uchylił niewielkie drzwi z tyłu kabiny. Była to łazienka, ale także bez okna.

- Musimy dostać się na górę. Luki zaczynają się dopiero ponad pokładem - powiedział.

Nie miał możliwości zwiedzić łodzi, wiedział więc tylko o schodach, którymi sprowadzono ich na dół.

- Idą - szepnął.

Lily odwróciła się twarzą w stronę drzwi. Mel wysunął się przed nią. Kroki stawały się coraz głośniejsze. Był przygotowany na wszystko. Lecz ludzie Waymana nie zajrzeli do środka. Ominęli pokój, w którym skazańcy czekali na wyrok. Mel odetchnął z ulgą. W kilka sekund później usłyszeli wściekły ryk. Wayman musiał odkryć, że uciekli. W rogu pokoju stała duża skrzynia. Może nie było to najlepsze miejsce na kryjówkę, ale Mel miał nadzieję, że Wayman uzna, iż już dawno opuścili łódź. Uniósł wieko i pomógł wejść Lily do środka. Zwinęła się w kłębek.

- Nie zostawiaj mnie tu! Pamiętaj!

Mel nachylił się i pocałował ją w czubek głowy.

- Nigdy! - Przykrył ją kocem i zamknął pokrywę. - Będę mógł skuteczniej działać, jeśli będę wiedział, że jesteś bezpieczna. Klotylda zostanie tu z tobą - szepnął jeszcze i ruszył przed siebie.

Przez chwilę nasłuchiwał, a potem uchylił drzwi. Na korytarzu panowała cisza. Rozejrzył się jeszcze raz i ostrożnie wyszedł na zewnątrz. Kumpel przemknął mu pomiędzy nogami. Może powinien wyciągnąć Waymana poza łódź? A może dopaść do radiowozu i wezwać pomoc? Nie, radio nie. Dotarł do schodów prowadzących na pokład i powoli zaczął wspinać się na górę. Po chwili ujrzał rozgwieżdżone niebo i poczuł dość silny wiatr. Najwyraźniej zbierało się na sztorm. Jednak na łodzi panowała absolutna cisza. Ani śladu po Waymanie i jego ludziach. Ciekawe, dokąd ten drań zawlókł Susie. Ogarnęła go nieopisana wściekłość, gdy przypomniał sobie, w jaki sposób Wayman chwycił ją za włosy.

- Cześć, Mel - usłyszał niski, spokojny głos. Odwrócił się i ujrzał tuż przed sobą lufę olbrzymiego pistoletu trzymanego przez Margie.

- Szczury wychodzą, żeby prysnąć? - syknęła zadowolona. - Gdzie jest twoja dziennikareczka?

- Nie wiem - odparł powoli. W ciemności nie widział dobrze jej twarzy. Dziwnie było tak rozmawiać z kobietą-widmem.

- Byłoby dla niej lepiej, gdyby nie ukrywała się na jachcie. - Zapaliła papierosa.

W świetle zapalniczki Mel zauważył, że miała świeżo podbite, prawie całkiem zapuchnięte oko.

- O rety, co ci się stało? - zapytał zszokowany.

- Nic takiego. Niezdara ze mnie i tyle. Wpadłam na drzwi. - Zaciągnęła się głęboko. - Czy to nie tak mówi się w podobnej sytuacji?

- Ale ty nie musisz w niej tkwić - zaproponował Mel z nadzieją w głosie. - Przecież, jak się domyślam, nic złego nie zrobiłaś.

- Poza tym, że pragnęłam śmierci własnego męża.

- Jeszcze nikogo nie wsadzili za same pragnienia, wiesz o tym, prawda?

- Jim sam wykopał sobie grób - powiedziała nagle Margie. - Już wiele lat temu zaprzedał się Waymanowi. A kiedy był sfrustrowany postępowaniem swojego szefa, odbijał to sobie na mnie.

- A teraz zamieniłaś Jima na Waymana? - Mel nie mógł wprost uwierzyć w ironię tego wyboru.

- Doszłam do wniosku, że skoro już muszę być bita, to przynajmniej chcę z takiego życia coś mieć. Przynajmniej od czasu do czasu. - Zaśmiała się nieprzyjemnie, aż Mela przeszył dreszcz.

- I co, uważasz, że było warto?

- Niezupełnie... - Zawiesiła głos i spojrzała na Mela z dziwnym smutkiem w oczach. - Nigdy nie potrafiłam podejmować decyzji. Tak się składa, że zawsze dokonywałam złego wyboru.

- To może się zmienić. Nie musisz się niczego obawiać, przecież nie byłaś zamieszana w morderstwo Jima. A więc? - Omal nie krzyknął z bólu, bo Kumpel z całą zapalczywością zaczął wgryzać się w jego łydkę. O co mu chodzi? Prawie ją przekonał. Był tego pewien.

- Tak? A co będę z tego miała, jeśli ty nie zginiesz?

- Pomyśl, Margie. Jeśli mnie teraz puścisz...

- Wayman cię złapie. To tylko kwestia czasu - przerwała mu.

- Nie żartuj. Lily poinformowała już wszystkich. Wayman długo już nie pociągnie. A póki co, masz czyste ręce.

Pistolet zadrżał w jej dłoni i Mel już chciał go jej odebrać, gdy nagle poczuł coś koło swojego ucha. Odwrócił

się i zobaczył Waymana, trzymającego tuż przy jego głowie magnum kaliber 9. Kryło go kilku dryblasów.

- A kogo my tu mamy? Nasz detektywek. Już myślałem, że uciekłeś. Jak miło.

- Twierdzi, że dziennikarka zwała - syknęła ze złością Margie.

- Nic nie szkodzi, za to on jest tutaj. I coś mi podpowiada, że również ją gdzieś tu znajdziemy. Czyż nie byłby to zadziwiający zbieg okoliczności? - powiedział spokojnie i podsunął Melowi pod nos swoją rękę, przesiąkniętą zapachem benzyny.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - warknął Mel.

- Ach, nic takiego. Przygotowałem sobie tylko plan zbrodni doskonałej. Idziemy na pokład! - ryknął nagle. - Ty, Margie, będziesz ubezpieczać mnie od tyłu.

Mel rozejrzał się dookoła. Okolica wyglądała na całkowicie wymarłą.

- Co zrobiłeś z Susie i dzieckiem? - zapytał, obawiając się tego, co usłyszy.

- Susie? O nią się nie martw. Jest bezpieczna. Zrozumiała, że powinna zająć się moim synem. Gdyby mnie tylko słuchała, wszystko byłoby w porządku. To naprawdę cudowny materiał na matkę.

Mel nie potrafił znaleźć słów, które wyraziłyby jasno jego uczucia. Wayman po prostu go szokował. Ten człowiek jest chory, pomyślał. Chyba nie zdaje sobie sprawy, co mówi. Stać go dosłownie na wszystko.

- Proszę, siadaj - wycedził przez zęby Wayman, wskazując mu miękką skórzaną sofę.

Mel odwrócił się dyskretnie i jeszcze raz rzucił okiem na Margie, stojącą za jego plecami. W świetle wyraźnie zobaczył, jak bardzo miała obitą twarz. Mu-

siało się to wydarzyć niedawno, gdyż w wielu miejscach widoczne były świeże ślady krwi.

- Czego się gapisz? - syknęła, zakrywając twarz dłońmi.

- Detektywie Haskin, gdzie pana dobre maniery?

- rzucił szyderczo Wayman. - Zrozum, Margie się wstydzi, że musiała zostać ukarana. Nie powinieneś się tak przyglądać, bo sprawiasz jej przykrość.

- Nie wiem, które z was jest bardziej chore - powiedział Mel, zwracając się już do Waymana.

- To nie twoja rzecz. Nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy. Nie sądzisz, że najwyższa pora, żebyś zaczął martwić się o pannę Lily?

Nagle ryknął na całe gardło i w pokoju pojawiło się dwóch mężczyzn. Musieli stać pod drzwiami i czekać na rozkazy.

- Przeszukajcie całą łódź! Wszystko! I dobrze wam radzę, znajdźcie mi ją!

- Przecież jej tu dawno nie ma - przerwał mu Mel.

- Twój czas się kończy, Wayman.

- Ach tak? Więc mogę cię teraz zastrzelić, bo to i tak już nie ma żadnego znaczenia. Jeden wte czy wewte... Niczego to już nie zmieni. - Wayman uniósł do góry pistolet, odbezpieczył i wycelował w głowę Mela.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Lily zamarła. Siedząc w swojej kryjówce, słyszała każde słowo wypowiedane w pokoju obok. Wiedziała, że życie Mela wisiało na włosku. W końcu zdążyła trochę poznać tego szaleńca Waymana. Skoro katował swoją żonę i zabijał bez mrugnięcia okiem, dlaczego nagle teraz miałby mieć jakieś skrupuły. Sytuacja zdawała się być naprawdę bez wyjścia. Mel siedział tam z pistoletem przystawionym do głowy, a jej szukało kilku bandziorów. Gorzej już być nie mogło. Wstrzymała oddech i wsłuchiwała się w każde słowo.

- Proszę bardzo, zabij mnie - zagrał Mel va banque.
- W ten sposób i Margie będzie zamieszana w morderstwo. Może do tej pory byłaś czysta - zwrócił się do niej
- a może nawet sama byłaś ofiarą, ale teraz to już co innego.
- Poczekaj chwilę, Wayman — usłyszała błagalny kobiecy głos.

Ta skrzynia była naprawdę ciasna. Lily w żaden sposób nie mogła zmienić pozycji. A musiała. I to koniecznie. Ścierpła jej noga. Starła się bezgłośnie

oddychać. Zastanawiała się, gdzie jest Susie i Dawid, i co powinna teraz zrobić. Nie było czasu na błędy. Lekko uchyliła wieko. W pokoju panowała cisza. Kroki poszukujących jej ludzi oddaliły się. Rozejrzała się i wyszła ze skrzyni. Bezszelestnie podeszła do drzwi i spojrzała przez szybkę. Na korytarzu przed kabiną, w której toczyła się dyskusja, zobaczyła jakiś cień.

- Nie wtrącaj się! Nie będziesz mi mówić, co mam robić, Margie. Inaczej skończysz tak samo, jak oni.

- Dlaczego chcesz mnie zniszczyć, Wayman?! - krzyknęła przerażona.

- Jeszcze nie zrozumiałaś, kto tu rządzi? Nie wystarczyła ci nasza pierwsza rozmowa? Potrzebujesz kolejnej?! - ryknął na nią z furją.

Lily zagryzła wargi. Niczym nie różnił się od Boba. Ohydny sadysta i zwyrodnialec.

- Nie. Oczywiście ty decydujesz, ale jeśli go zastrzelisz, policja ci nie odpuści. I tak już zabiłeś jednego gliniarza. Nie możesz liczyć na to, że i w tym przypadku ochroni cię twoja pozycja. - Jej głos był bardzo spokojny. - A jeżeli podpalimy łódź, będzie to wyglądało na wypadek. Ogłusz go! A potem będziemy działać zgodnie z twoim planem.

Nogi ugięły się pod Lily. Zaczęła ogarniać ją panika. Po cichu wyszła na korytarz. Drzwi wejściowych do kabiny, w której znajdował się Mel, pilnowały dwa koty. Ostrożnie zajrzała przez okienko do środka. W pierwszym odruchu chciała rzucić się na Waymana, ale wiedziała, że to by tylko wszystko pogorszyło. Koniecznie musiała coś wymyślić.

- Miau. - Głos Kumpla był niski i nieprzyjemny. W podobny sposób zawtórowała mu Klotylda. Musiały przeczuwać coś niedobrego. Miały wygięte w łuk grzbiety, najeżoną sierść i sztywno postawione ogony. Usłyszała zbliżające się głosy. Zamarła z przerażenia.

- Tu jej nie ma. Sprawdźmy na górze.

Lily rozejrzała się bezradnie w poszukiwaniu jakiegoś miejsca do ukrycia. Muszę wydostać się na pokład, pomyślała gorączkowo. Koty torowały jej drogę. Na palcach pobiegła w kierunku mostka. Usłyszała głośnie miauknięcie, więc obejrzała się. Kumpel stał przy linie mocującej łódź do brzegu i szybkimi, zgrabnymi ruchami uderzał w nią łapą. Natychmiast zrozumiała, co chciał jej przekazać. W mgnieniu oka znalazła się przy nim i odwiązała linę. Przynajmniej przez jakiś czas nie będą mogli opuścić łodzi, a tym bardziej wysadzić jej w powietrze. Nie zastanawiając się ani sekundy, ruszyła pędem w stronę steru. Nie miała pojęcia, czy będzie umiała uruchomić silnik. Liczyła na to, że mechanizm funkcjonuje tak samo jak w samochodzie. Klucz tkwił w stacyjce. Nie myśląc długo, przekreśliła go. W tej samej chwili poczuła straszne szarpnięcie. Było tak silne, że z całym impetem uderzyła o tablicę rozdzielczą. Miała nadzieję, że panowie na dole nieźle się poturbowali. Po chwili usłyszała rytmiczny stukot silników. Była z siebie dumna. Chwyciła za ster, usiłując wyprostować łódź. Nie było to jednak wcale proste, gdyż ster reagował na najdrobniejszy ruch. Zaczęło miotać jachtem to w jedną, to w drugą stronę. Cholera, zaklęła Lily pod nosem. Wiedziała, że nie upłynie nawet kilka sekund, jak przylecą ludzie Waymana. Słyszała już ich kroki na schodach. Świetnie!

Wystarczy jedno mocne szarpnięcie i... Łomot dochodzący od schodów potwierdził, że osiągnęła swój cel.

- Miau! Miau! - nagradzały ją kociaki jeden przez drugiego.

- Zatrzymaj łódź! - usłyszała wściekły głos Waymana. - Albo zaraz ją zatrzymasz, albo wpakuję twojemu oficerkowi kulę w łeb!

Jeszcze raz obróciła raptownie koło steru. Łódź stanęła niemal dęba i zmieniła kurs. Płynęła teraz prosto na brzeg. Jeśli mieli zginać, to na pewno nie bez walki. Nagły wystrzał przeszył chłodne, nocne powietrze. Lily zamarła. W ostatniej chwili wyprostowała łódź.

- Miau - odezwała się Klotylda. W pyszczku trzymała kawałek sznurka.

Lily zablokowała ster i wyszła na zewnątrz. Żaglówka poruszała się teraz po okręgu. Na pokładzie nie było nikogo. Huk wystrzału wciąż brzmiał w jej uszach. Musiała zejść na dół i zobaczyć, co się stało. Dobiegła do schodów. Ale w tym momencie pojawił się na nich jeden z ludzi Waymana. Kulał, ale w rękę trzymał pistolet. Zaraz za nim zjawił się drugi. Rzuciła się do ucieczki, ale zauważyli ją i już po chwili poczuła na szyi szorstką dłoń. Ostatnią rzeczą, którą pamiętała, było mocne uderzenie w głowę. Potem spłynęła na nią wszechogarniająca ciemność.

Mel zacisnął zęby. Złapali ją, pomyślał. Teraz do niego należy następny ruch. Podczas szarpnięcia łodzi obaj przewrócili się, jednak Wayman nie wypuścił broni z ręki. Teraz przyciskał pistolet do jego brzucha. Przez koszulę czuł przenikliwie zimno stali. Zaczęli się szamotać. Próbował wyrwać broń z ręki szaleńca, lecz mu się to nie udało. Nagle pistolet wypalił. Mel poczuł

nieprzyjemne ciepło w okolicy ramienia, a zaraz potem przejmujący, piekący ból. Ostatkiem sił odwinął się i z całym impetem uderzył Waymana w głowę. Pistolet wysliznął się z jego dłoni, zakreślił w powietrzu szeroki łuk, po czym spadł z hukiem na podłogę. Ignorując ból, Mel próbował podczołgać się w tym kierunku. Miał go już w ręku, gdy poczuł obcas wbijający się w jego nadgarstek.

- Nie tak szybko, Mel.

To była Margie. W złączonych dłoniach trzymała pistolet.

- A teraz proszę, bez numerów. Siadajcie obaj przy ścianie. - Pochyliła się i podniosła z podłogi broń Waymana. Cały czas trzymała ich na muszce. - Gdy mnie uderzyłeś, popełniłeś błąd - zwróciła się do Bishopa. - Zawsze myślałam, że Susie była parszywą jędzą i dlatego ją tłukłeś. Jednak się myliłam. Ty po prostu uwielbiasz katować kobiety.

- Nie bądź głupia, Margie. Jestem trochę porywczy, to fakt, ale jakoś się przecież dogadamy.

- Jesteś mordercą. Również mnie zabiłbyś bez mrugnięcia okiem.

- Margie, nie żartuj, wiesz, że to nieprawda - mówił spokojnie Wayman, idąc w jej kierunku.

- Stój! Nie jest to wprawdzie magnum, ale też strzela! Uprzedzam.

- Odłóż pistolet! - wrzasnął. Nie potrafił zapanować nad swoją wściekłością. - Nie będę się powtarzał.

Odłóż ten cholerny pistolet i chodź tu w tej chwili!

Margie nawet nie drgnęła.

- Nie podoba mi się sposób, w jaki do mnie mówisz - powiedziała spokojnie.

Mel postanowił na razie nie wtrącać się w tę rozmowę. Nie bardzo wierzył w nagłą przemianę tej kobiety. Czyżby rzeczywiście dopiero teraz zrozumiała, kim naprawdę był Wayman?

- Chodź tu! - ryknął dziko.

Po twarzy Margie przebiegł ledwo dostrzegalny grymas niepewności, ale nadal stała w miejscu.

W tym momencie Mel zdecydował się pospieszyć Jej z odsieczą.

- Margie - odezwał się cicho - wiem, że nie jesteś złym człowiekiem. Trochę się uwikłałaś, ale będę mógł ci pomóc. Obiecuję, że zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy, tylko oddaj mi te pistolety.

- Nie słuchaj go! - darł się Wayman. - Nie daj się nabrać, głupia. Chodź tu do mnie! W tej chwili! - cedził przez zęby.

- Bo co? - zapytała zaczepnie Margie. - Co mi zrobisz? Stłuczysz mnie? Będę miała sine również drugie oko? No i co? Myślisz, że jesteś taki nieomylny? Już mi jest wszystko obojętne. Mam przy tobie zostać, żebyś doprowadził mnie do stanu, w jakim jest Susie? Oddała własne dziecko, by je przed tobą chronić! Musiałam być kompletną idiotką, żeby nie dostrzec tego wcześniej.

W tym momencie drzwi otworzyły się z impetem i do środka wpadło dwóch osiłków. Margie bezwiednie pociągnęła za spust. Pocisk odbił się o podłogę i zranił Waymana w kolano.

Rozwścieczony do ostatnich granic, z rykiem padł na podłogę. Jeden z jego ludzi dopadł Margie, wytrącił jej z rąk pistolety, a potem z całej siły popchnął na przeciwległą ścianę. Ogromne magnum upadło na sam środek kabiny,

a mniejszy pistolet pod szafę. Nieprzytomna Margie osunęła się obok Waymana. Mel, ignorując palący ból w ramieniu, jednym susem rzucił się w kierunku magnum. Już go trzymał, gdy jeden z tych drani bolesnym kopniakiem wytrącił mu go z ręki. Zwinął się z bólu, podczas gdy tamten stał i przyglądał mu się z zadowoleniem.

- Dalej, zabij go! - wrzeszczał Wayman, zaciskając dłonie na kolanie. - Zabij ich wszystkich! I ją też!
- wskazał głową na Margie, która powoli odzyskiwała przytomność. - Zastrzel te parszywe baby, a potem podpalimy łódź! Upozorujemy, że to on, ten zasmarkany detektywek, je zamordował. Ale miał pecha, bo kiedy chciał zatrzeć ślady, tak się niestety stało, że sam zginął. - Wayman wstał z trudem i kulejąc dotarł do krzesła. - Tylko pospieszcie się. Potrzebuję lekarza.

- A co z dzieckiem? - rzucił jeden z osiłków.

- Z moim synem?

- Właśnie. I z Susie?

Wayman obrzucił go lodowatym spojrzeniem.

- Już jej nie potrzebuję. Sprzątnij ją. Najlepiej od razu, na samym początku. A dziecko przyniesiesz mi. Teraz! I niech któryś dobije do brzegu. Szybciej! Macie tę dziennikarkę?

- Spokojnie, szefie. Leży sobie jak niemowlę. Nawet nie drgnie.

- I tak trzymać! Dawaj sfluwę - Wayman wyciągnął rękę - i spadaj!

- Coś mi się zdaje, że mój postrzał nie pasuje do twojej historyjki - zauważył Mel, próbując zatamować krwawienie z ramienia.

- Zostaw to mnie. To już nie twoja sprawa. I tak nie dożyjesz, by się o tym przekonać.

Mel rozejrzał się po pomieszczeniu. Wyglądało na to, że przegrał, jednak nie miał zamiaru się poddawać. Lily była taka dzielna i taka odważna... A teraz leżała gdzieś na łodzi związana i rzucona w kąt. Na samą tę myśl pękało mu serce. Ale wciąż żyła, więc nie mógł się poddać. Być może była to już ostatnia szansa, by podjąć próbę ocalenia z tej zupełnie beznadziejnej sytuacji. Z rozmyślań wyrwało go pomrukiwanie dochodzące spod szafy. W pierwszej chwili sądził, że to tylko jego wyobraźnia. Ale nie, to nie była żadna imaginacja. Spod szafy wysunęła się czarna łapa, aby natychmiast zniknąć. Potem Kumpel wystawił na ułamek sekundy pyszczek, w którym trzymał pistolet. Nie do wiary... Mel postanowił natychmiast wykorzystać sytuację.

- O... - jęknął. - Mam mdłości. Będę wymiotował.

- Taki z ciebie twardy glina? - naśmiewał się z niego Wayman.

- Niedobrze mi... - jęknął znowu Mel i opadł na podłogę, kładąc się na swoim zdrowym ramieniu i wyciągając je w stronę szafy. Już miał schwycić za pistolet, gdy usłyszał rozkazujący głos:

- Wstawaj! Zejdziemy na niższy pokład.

- Nie mogę - stękał Mel. - Jest mi potwornie niedobrze. - Wykonał nieznaczny ruch ciałem i tym razem udało mu się pochwycić broń. Dźwignął się na kolana i wsuwając pistolet za pasek spodni, zaczął się podnosić.

- Szybciej! - ryknął Wayman - albo wpakuję ci kulę w łeb!

- Idę, już idę - jęczał Mel, powoli się podnosząc.

Niespodziewanie z całym impetem kopnął Wayma-na w przestrzelone kolano. Gdy Bishop zawył i przewrócił się na podłogę, Mel wyciągnął zza paska pistolet i wycelował mu prosto w twarz.

- Widzisz, waźniaku, jak szybko i niespodziewanie może nastąpić zamiana ról? Nawet nie wiesz, jak żałuję, że nie wolno mi cię zastrzelić - powiedział, po czym ogłuszył go potężnym kopniakiem w głowę. Upewnił się, że Wayman jest nieprzytomny i podszedł do Margie. Patrzyła na niego spojrzeniem zalęknionego zwierzęcia. - Tylko mnie nie prowokuj, bo potraktuję cię tak samo - ostrzegł.

- W porządku...

- Masz sznase wyjść z tego obronną ręką, o ile znów nie zrobisz czegoś głupiego. Albo pójdiesz na dno, albo wyprostujesz swoje życie.

- Mam nadzieję, że to zdanie będzie moim mottem na następne lata...

Mel uśmiechnął się pod nosem z nie ukrywanym zadowoleniem, lecz już po chwili wrócił do rzeczywistości, bardzo trudnej i niebezpiecznej. Wprawdzie udało mu się zdobyć małą przewagę, ale dotyczyła ona tylko tego pomieszczenia. Gdzie jest Lily? To pytanie nie dawało mu spokoju. Co ci dranie zrobili z Susie i z jej dzieckiem? Nie wiedział też, ilu bandziorów jest jeszcze na jachcie.

- Ilu ich tu jest? - rzucił w stronę Margie. Jego ostre spojrzenie sugerowało, że żarty się skończyły.

- Tutaj tylko dwóch, ale w sumie niezmierna masa.

- Umiesz obsługiwać radiostację na łodzi?

- Tak - powiedziała, podnosząc się bardzo powoli.

Potem wlepiła w Mela błagalne spojrzenie i zapytała: - Naprawdę mi pomożesz?

- Najpierw sama musisz sobie pomóc - odpowiedział bez namysłu. - Skontaktuj się z policją. Muszą się **tu** jak najszybciej zjawić. A tak w ogóle... czasu nie da się cofnąć, ale przynajmniej musisz uważać, żeby nie brnąć dalej w to bagno.

- Masz rację... - Wyszła z kabiny, nie zerkając nawet na Waymana.

Dokoła unosił się silny zapach benzyny. Gdzie jest Lily? A co, jeśli tych dwóch miało rozkaz podpalenia łodzi? Mel rozejrzał się w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby związać tego szaleńca, jednak nie znalazł nic takiego. W tej sytuacji, tak na wszelki wypadek, Jeszcze raz potraktował Waymana kopniakiem.

- Miau! - Ni stąd, ni zowąd pojawił się Kumpel I począł ocierać się o nogi Mela.

- Masz rację, nie mamy chwili do stracenia. Musimy czym prędzej odnaleźć Lily. Pewnie zawlekli ją na dolny pokład, a to nie jest najlepsze miejsce na strzelaninę. Chodź, zobaczmy co warci są ci dwaj atleci.

- Miau - potaknął Kumpel. O rany, znowu ten dolny pokład! Brrr! Wszędzie woda. Co będzie, jeśli tam utkniemy? No dobra, nie ma chyba innego wyjścia. Idziemy. Poprosiłem Klotyldę, żeby miała na oku Margie i Waymana. Nie sądzę, żeby ta nieszczęsna kobiecina chciała jeszcze coś zbroić, ale strzeżonego pan Bóg strzeże. Jest w końcu tylko człowiekiem. O, o! Słysząc tych dwóch...

Rozmawiają z Susie. Próbują odebrać jej dziecko. Nie daj się! Nie daj! Jesteśmy już blisko! Tak, to dobry moment, żeby wysunąć się na-

przód i ruszyć do ataku. Najlepszy będzie skok na głowę. No to jazzzda! Mam jednego z nich! Trzymam mocno i na pewno nie popuszczę. Wrzeszczy jak opętany. A ten drugi chyba zgłupiał i stracił orientację. Hej, Mel! Teraz twoja kolej. Rety, trzeba przyznać, że jest niezły. Stalone i Schwarzenegger mogliby pobierać u niego lekcje. Porusza się jak Batman. Nie dziwię się. Gdybym walczył o moją Klotyldę, też dałbym z siebie wszystko. Super! Charles już leży rozłożony na łopatki i błaga o litość. Dobra. Teraz ten, Mel! Czas, bym się ewakuował. Muszę zajrzeć do wybranki mego serca. Póki co, jest dobrze, choć Susie i Dawid zanoszą się od płaczu. O rany koguta! Za stołem leży Lily. Ależ ją związali. Ledwo oddycha. Dobrze, że Mel jest już przy niej. Nawet nieźle radzi sobie z tymi supłami. Nareszcie jest wolna. Rzuciła mu się w objęcia. Czyżby zносиło się na podwójny happy end? No proszę, nawet Susie się uśmiecha i mały przestał płakać. Może powinienem na wszelki wypadek zajrzeć do Waymana? Chętnie bym go jeszcze trochę popieścił pazurkami, ale z drugiej strony po co brudzić sobie łapy takim nędznikiem? No cóż, w takim razie czeka mnie niebanalny wieczór w towarzystwie mojej cudownej koteczki. W końcu zasłużyliśmy na małe co nieco. Pachnąca rybka... Zaraz, zaraz, a jeśli chodzi o zapachy, co to takiego? I ten dym? Chryste! Pali się!

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Lily czuła się kompletnie przegrana. Kiedy pojawił się Mel, była u kresu wytrzymałości.

- Boże, jak to cudownie, że jesteś przy mnie

- wyszeptała.

Gdy minęła pierwsza euforia, dostrzegła, że jego marynarka przesiąknięta jest krwią, Mel jednak upierał się, że to tylko draśnięcie i nie warto się nim zajmować. Jakże bezpiecznie czuła się w jego obecności.

- Zabierz Susie z małym i wydostańcie się na brzeg

- powiedział cicho. Nagle spojrzął na nią z niedowierzaniem. - Czujesz ten zapach?

Oba koty w panicznym strachu wybiegły na korytarz, lecz już po chwili, przeraźliwie miauczając, powróciły. Mel wyjrzał z kabiny i natychmiast zamknął za sobą drzwi. Schody prowadzące na górę płonęły. Powinienem był jednak związać Margie i tego drania, pomyślał.

- Musimy znaleźć gaśnicę! - rzucił krótko.

Lily ruszyła do akcji. Otwierała wszystkie szafy i schowki.

- Jest jakaś inna droga na pokład? - zwrócił się do Susie.

- Nie wiem. Byłam tu wprawdzie kilka razy, ale Wayman nie spuszczał mnie z oka. Nie miałam więc okazji dobrze się tu rozejrzeć.

- Miau! - Klotylda oparła łapkę na jednym z półprzysłomnych osiłków. Kumpel dołączył do niej i teraz oboje rytmicznymi ruchami ze wszystkich sił starali się go ocucić.

- Dobra myśl - powiedziała Lily.

Poszła do łazienki, po chwili wróciła ze szklanką zimnej wody i bez wahania chlusnęła Charlowskiemu w twarz. Ocknął się, klnąc pod nosem. Kiedy jednak zobaczył przed sobą pistolet, natychmiast ucichł.

- Twój szef podpalił łódź. Oznacza to, że jeśli nam nie pomożesz, wszyscy, włącznie z tobą, spłonimy. Może wiesz, gdzie jest gaśnica, albo znasz inną drogę na górny pokład?

Zaczął się zastanawiać.

- Gaśnica... - wycedził powoli - jest na mostku.

- A co z inną drogą? Pokręcił przecząco głową.

- Są tylko te schody - sapnął. - Może jakoś da się przejść?

- Nie ma mowy - uciął krótko Mel.

- Musi być jakieś wyjście. Po tym co przeżyliśmy, nie możemy się tu po prostu usmażyć. Nie mam zamiaru czekać tu na śmierć! - krzyknęła Lily i rzuciła krótkie spojrzenie Susie.

Ta jednak wyglądała na kompletnie zrezygnowaną. Siedziała na krześle i rytmicznie kiwała się to w przód, to w tył, przytulając do siebie małego.

- Gdyby Dawid został u Johnsonów, przynajmniej on byłby bezpieczny. Miałaś rację, Lily. To był błąd

- wymamrotała pod nosem.

- Nie martwcie się. Wyjdziemy z tego. - Mel chyba miał jakiś plan.

Lily podeszła do niego i przytuliła się mocno.

- Przecież to sobie obiecaliśmy - szepnęła.

- Wyjedziemy z tego - odparł, patrząc na nią z miłością. - Zobaczysz... - urwał nagle i nerwowo się rozejrzał. Usłyszał jakieś dziwne, bliżej nieokreślone syczenie... Czyżby ten bandyta chciał potraktować ich gazem?

- Hej! - dobiegł ich znajomy głos. - Hej! Żyjecie?

- To Margie! - wykrzyknęli oboje jednocześnie.

- Miau! - Kumpel wyskoczył na korytarz. - Miau! Lily i Mel zerwali się na równe nogi. Płomienie co prawda nadal pełzały po ścianach, ale utworzyło się niewielkie przejście.

- Spróbujcie opanować trochę ogień od dołu!

- krzyknęła Margie i rzuciła gaśnicę.

Mel zawył z bólu, gdyż trafiła go prosto w przestrzelone ramię, ale za to trzymał ją teraz w rękach. Otrząsnął się i przystąpił do działania.

- Trzymaj się z tyłu, Lily! - wrzasnął. Biała piana pokryła dużą część schodów i ogień przygasł. -

Udało się - westchnął i ruszył schodami do góry, sprawdzając, czy nie załamią się pod ciężarem wbiegających ludzi.

- A gdzie Wayman?

- Uciekł, kiedy nadawałam przez radio. Podrzucił ogień i wyskoczył za burtę.

- Pewnie popłynął w stronę brzegu...

- Jest ciemno, nie wiem. Poza tym próbowałam

gasić pożar. - Wyciągnęła rękę w stronę Mela i pomogła mu wdrapać się na pokład. Mel zaś pomógł najpierw Lily, a potem wszystkim pozostałym. Usłyszeli szum śmigła helikoptera.

- Pewnie wysłali brygadę antyterrorystyczną - wyjaśniła Margie. - Zaraz powinni zjawić się też strażacy. Gdy tylko zauważyłam ogień, od razu nadałam komunikat.

Mel położył rękę na ramieniu Margie.

- Dziękuję ci. Zrobię dla ciebie, co tylko będę mógł. Obiecuję.

- W takim razie mam prośbę: znajdź Waymana i wsadź go za kratki. - A po chwili dodała: - Nawet gdybym i ja musiała coś odsiedzieć. Trudno byłoby mi znieść myśl, że znowu mu się udało.

Okłamywał mnie, a ja nie chciałam tego przyjąć do wiadomości. Nie mogę wprost uwierzyć, że byłam taką naiwną idiotką. Chciałam wierzyć w każde jego słowo... - Obtarła usmoloną ręką łzy, spływające jej po policzkach. - Nawet w to, że Susie zasłużyła sobie na takie traktowanie. Mówił, że go zdradzała i oszukiwała.

Susie stała ze spuszczoną głową i nie odzywała się ani słowem. Dopiero po dłuższej chwili spojrziała ze zrozumieniem w stronę Margie i powiedziała:

- Ja też mu ufałam. Nie wiem, dlaczego. Rozumiem cię... Kiedy dotarło do mnie, że to bandyta i sadysta, było już za późno. Nie widziałam drogi odwrotu.

- Ale teraz wygrałaś, ocaliłaś swoją przyszłość - szepnęła Lily, podchodząc do niej.

- I mam mojego synka - dodała Susie z uśmiechem. Jej oczy przepełnione były szczęściem.

Helikopter wylądował niedaleko nabrzeża. Mel stanął **na** środku górnego pokładu i zaczął dawać pilotowi znaki, że wszystko jest w porządku. Podeszedł do radia i polecił odszukać Waymana Bishopa. Łódź z wolna dryfowała do brzegu. Mel odpalił silniki i skierował ją w stronę doku.

- Jeśli chcesz, mogę przejąć ster - powiedziała Margie. - Teraz już sobie poradzę.

Niezbyt chętnie, ale przystał na jej propozycję. Czuł się bardzo osłabiony. Stracił sporo krwi, koszula i marynarka przesiąkły na wylot. Lily podeszła do niego i pociągnęła go lekko za rękę.

- Już po wszystkim. Chodź do kabiny, jesteś ranny. Kumpel i Klotylda również podążyli za nimi. Lily zamknęła drzwi i zanim zdążył zaprotestować, zdjęła mu marynarkę.

- Pokaż, jak to wygląda. - Rozpięła koszulę i zsunęła ją z ramienia. - O Boże! - wykrzyknęła przerażona, a w jej oczach pojawiły się łzy.

Pobiegła do łazienki po ręczniki i próbowała obwiązać ranę, by zatamować wciąż sączącą się krew.

Po chwili poczuli lekkie stuknięcie o nabrzeże. A więc Margie udało się przybić do doku. Całe szczęście, pomyślała. Kiedy wreszcie wyjdą na brzeg, Mel trafi w ręce fachowców. Choć ledwo trzymał się na nogach, niełatwo było go przekonać, że czym prędzej powinien jechać do szpitala. Stracił bardzo dużo krwi. Co za twardziel z tego faceta. Wiedziała o tym od pierwszej chwili. Dobrze rokował na przyszłość... A nie było to całkiem bez znaczenia, bo przecież zamierzała spędzić z nim długie, długie lata.

Coś próbowała mu jeszcze powiedzieć, ale zagłuszyły ją coraz głośniejszy syreny radiowozów.

- Wreszcie nadeszły posiłki! - w euforii krzyknęła mu wprost do ucha, z czułością odgarniając opadające na czoło kosmyki włosów.
 - Dobrze i to - powiedział Mel, kiedy umilkł ryk syren.
 - A co z Waymanem? - zapytała.
 - Nie ma szans. Może sobie uciekać, ale nic mu to nie pomoże. I tak go złapią. Margie i Susie będą zeznawać przeciwko niemu, dzięki czemu spędzi resztę swojego życia za kratkami.
 - Właśnie, a co będzie z Susie?
 - O nią nie musisz się już martwić. Ani o małego. Lily pocałowała go mocno. Boże, jakże była mu wdzięczna!
 - Lepiej mi powiedz, co z naszą przyszłością, moja dzielna dziewczynko?
 - Nas też już nic nie rozdzieli...
- Lily zamknęła drzwi szpitalnego pokoju, w którym leżał Mel.
- Musisz trochę odpocząć, kochanie - szepnęła. Jeszcze przed chwilą było tu pełno ludzi. Odwiedził go nie tylko Laster Bennett, ale również całe mnóstwo kolegów. Lily nie wypuszczała z ręki gazety, którą podrzucił jej do szpitala szef. Na pierwszej stronie widniał olbrzymi nagłówek: „Korupcja i zbrodnia”. A zaraz poniżej: „Wayman Bishop aresztowany”. Rzecz jasna, to ona napisała ten artykuł. Rozległo się ciche pukanie. Oderwała wzrok od tekstu i spojrzała na drzwi, w których pojawili się Rose i Preston John-sonowie z ogromnym bukietem tulipanów.
 - Można na chwilkę? Mieliśmy nadzieję, że czujesz

się już trochę lepiej, Mel... - powiedziała niepewnie Rose.

- Mam się całkiem dobrze. Wejdźcie, bardzo mi miło. Zupełnie nie wiem, dlaczego wciąż mnie tu trzymają - odparł zażenowany.

Lily przymknęła oczy.

- Przestań, Mel. Ledwo cię odratowali. Miałeś dużo szczęścia i ciesz się, że nie musieli ci amputować ręki. Bardzo dobrze, że cię tu trzymają.

- E tam, to był tylko drobny postrzał. - Ujął jej rękę i przyciągnął do siebie. - Kiedy już stąd wyleżę, nauczę cię, jak powinnaś szanować mężczyznę, który cię kocha.

- Wiesz... nie mogę się już doczekać - szepnęła, nie ukrywając zadowolenia.

W tym momencie drzwi znowu się otworzyły.

- Babs! - Lily w mgnieniu oka znalazła się przy niej. Zupełnie zapomniała, że jej siostra miała się pojawić w weekend z tym wysokim, przystojnym blondynem w okularach.

- Lily, to jest właśnie Luke. A to moja siostra, która" wszystkich męskich bokserów pakuje za kratki. - Potem nachyliła się i szepnęła: - Twój szef powiedział mi, że cię tu znajdę.

- W porządku.

Lily dokonała ogólnej prezentacji. Całkiem inaczej wyobrażała sobie faceta Babs. Był zupełnie inny niż Bob. Zresztą Babs też się zmieniła. Podziwiała ją za odwagę... Ale w końcu i jej należało się trochę miłości.

Kolejne stukanie do drzwi. Tym razem była to Eleonora Curry.

- Ale tu ciasno! - wykrzyknęła. Za nią wsunął się

Peter. Małżonkowie trzymali w ręku plastikowe klatki. - Przepraszam, ale Kumpel i Klotylda upierali się. Nie było siły, żeby ich zatrzymać. Choć przyznam, że zwłaszcza Kumpel nie przepada za atmosferą szpitala.

Otworzyli klatki. Nie trwało nawet sekundy, a oba koty siedziały na łóżku Mela.

- Cześć - powiedział, głaszcząc je na przemian. Lily wzięła Kumpla na ręce i czule pocałowała go w pyszczek.

- Taki kocur, to skarb! Bez wahania wzięłabym was oboje do siebie.

- Co to, to nie - pokręciła głową Eleonora. - Fakt, że Kumpel czasami mnie wkurza, ale za żadne skarby bym go nie oddała.

Znowu rozległo się pukanie. W drzwiach stanęła Susie z Dawidem na rękach. Lily poczuła pewien dyskomfort. Spojrzała w stronę Johnsonów. Trochę pechowo, że Susie trafiła właśnie na nich.

- Susie! - z piersi Rose wyrwał się okrzyk radości. Podbiegła do niej i serdecznie ją uścisnęła, a potem wzięła na ręce małego i ucałowała go w główkę.

Lily wymieniła z Melem porozumiewawcze spojrzenia.

- Przyznam szczerze, że w ostatnich dniach musiałem nieco zrewidować moje poglądy - powiedział z zadumą Mel. - Na wiele rzeczy patrzę dziś zupełnie inaczej.

Lily spojrzała na niego z czułością. Do i tak już zatłoczonego pokoju weszły dwie pielęgniarki ze stolikiem na kółkach. Stały na nim butelki zmrożonego szampana i kieliszki.

- Tak zarządził lekarz - wyjaśnił Mel z uśmiechem i mrugnął do Lily.

Dźwignął się na łóżku i wziął do ręki kieliszek wypełniony spienionym trunkiem. Kiedy wszyscy obecni byli gotowi wznieść toast, Mel powiedział:

- Nigdy nie przypuszczałem, że przyjdzie mi to zrobić w tak dziwnej sytuacji, ale chciałbym, abyście pomogli mi przekonać Lily, że to dobry pomysł.

Lily, widząc iście diabelskie chochliki w jego oczach, z trudem powstrzymywała śmiech.

- Nie wiem, co powiedziała by lekarz na tę twoją nie kontrolowaną ekscytację. - Pogroziła mu palcem.

- Z pewnością nie byłby przeciwny.

- Tak sądzisz? O co zatem chodzi? Mel ujął jej dłoń i przycisnął do ust.

- Kochanie, prawda, że wyjdiesz za mnie? Liczyła na to, że kiedyś padnie takie pytanie, ale dziś kompletnie nie była na nie przygotowana. Próbowwała coś z siebie wydusić, ale z jej krtani nie wydobyło się ani jedno słowo.

- To nie wyrok śmierci - dodał spokojnie Mel. Nie ukrywał rozczarowania. Spojrzał z rezygnacją po wszystkich zgromadzonych. - A może to nie był najlepszy pomysł...

Lily ścisnęła go za rękę.

- Zaczekaj, Mel. Wyrokiem śmierci byłoby życie bez ciebie. Nawet nie wiesz, jaka jestem szczęśliwa!

To tylko... Zatkanęło mnie i nie wiem, co powiedzieć.

- Może po prostu powiedz „tak”? - szepnął Mel.

- Tak, jasne, że tak! - wykrzyknęła uszczęśliwiona.

- Jak rozumiem, to oficjalne zaręczyny - rzuciła Babs. - Wznieśmy więc toast za nieustające szczęście tych dwojga.

Rozległy się głośne śmiechy i pomrukiwania.

Wszyscy zaczęli klaskać w dłonie. Gdy nieco ucichło, Preston odchrząknął i zaczął niepewnie:

- Czuję się w obowiązku coś wyjaśnić. No więc, Susie... - Podrapał się nieco zmieszany po głowie.

- Susie zgodziła się zamieszkać z nami. Mam na myśli... tak długo, jak długo nie wyklarują się jej plany na przyszłość. Poza tym chcielibyśmy z radością was powiadomić, że zostaniemy rodzicami chrzestnymi Dawida.

- Świat jest pełen wspaniałych, kochających ludzi

- odezwała się Susie i podniosła do góry kieliszek z szampanem. - Wiem o tym dzięki Lily i Melowi, którzy mnie i moje dziecko uratowali od zguby. A zatem właśnie za nich wznoszę toast.

- Miau! - Kumpel zeskoczył z łóżka i otarł się przymilnie o nogi Susie.

- Jasne! Masz rację! Oczywiście również za Kumpla i Klotyldę. Bez nich w ogóle nie dalibyśmy sobie rady

- dodała szybko, nieco zażenowana.

Nie ma jak ludzie, którzy doceniają wartość i inteligencję kota. Mam nadzieję, że w tej sytuacji Eleonora i Peter znajdą trochę miejsca dla małej zgrai kociątek. Z całą pewnością będzie to absolutnie per-rrefekcyjny prezent dla nowożeńców. Cieszę się też, że Susie zostanie z Dawidem u Johnsonów.

Myślę, że wszyscy będą zadowoleni z takiego rozwiązania. Sam bym tego lepiej nie wymyślił, a to już poważny komplement. Przydałoby się coś konkretnego na ząb, zamiast tych bąbelków. Ale broń Boże ze szpitalnej kuchni. Chociaż... właściwie całkiem niezłe są te bąbelki. Zaraz, zaraz, czemu Klotylda posyła mi takie

ogniste spojrzenia? Czyżby szampan uderzył jej do głowy? O, a teraz puściła do mnie oczko! W porządku, zrozumiałem. A zatem czas się wycofać. W końcu mamy pustą chatę i będzie można się zabawić. No dobra, moja piękna koteczko, masz rację, chodźmy stąd. Pozwólmy ludziom świętować.